

AUTOR NAJLEPSZYCH POWIEŚCI
SZPIEGOWSKICH WSZECH CZASÓW

DANIEL Silva



INNA
KOBIEȚA

Daniel Silva

Inna kobieta

Tłumaczenie: Alina Patkowska

Po raz kolejny mojej żonie Jamie
oraz dzieciom, Nicholasowi i Lily.

Dostał nowy kredyt na życie, gdy Centrala w końcu zaproponowała mu udział w szkoleniu nowej generacji agentów w szkole szpiegów KGB. Przyjął tę ofertę z wielkim entuzjazmem i okazał się znakomitym nauczycielem. Dzielił się swoją wiedzą z radością, cierpliwością i oddaniem. Kochał tę pracę.

Jurij Modin „Moja piątka z Cambridge”

I cóż my wiemy o zdrajcach albo dlaczego Judasz zrobił to, co zrobił?

Jean Rhys „Szerokie Morze Sargassowe”

PROLOG

Moskwa, 1974

To była limuzyna marki ZiŁ, długa i czarna, z plisowanymi zasłonkami w tylnych oknach. Pędziła z lotniska Szeremietiewo do centrum Moskwy pasem zarezerwowanym dla członków Biura Politycznego i Komitetu Centralnego. Zapadła już noc, gdy znaleźli się u celu - na placu imienia rosyjskiego pisarza w starej części miasta znanej jako Patriarsze Prudy. Szli przez nieoświetlone uliczki, dziecko i dwóch mężczyzn w szarych garniturach, aż dotarli do kaplicy stojącej pośród platanów. Naprzeciwko kaplicy znajdował się budynek mieszkalny. Weszli do środka przez drewniane drzwi i wcisnęli się do windy, która zawiozła ich do mrocznego holu. Przed nimi wznosiły się schody. Dziecko z przyzwyczajenia liczyło stopnie. Piętnaście. Na podeście zobaczyli kolejne drzwi ze skórzaną tapicerką, a w nich dobrze ubranego mężczyznę z drinkiem w ręce. W jego zniszczonej twarzy było coś znajomego. Z uśmiechem wypowiedział po rosyjsku tylko jedno słowo. Dziecko dopiero po wielu latach zrozumiało, co to słowo znaczyło.

Część pierwsza

NOCNY POCIĄG DO WIEDNIA

1

Budapeszt, Węgry

Nic z tego wszystkiego by się nie zdarzyło – ani desperackie poszukiwania zdrajcy, ani rozpad sojuszy, ani łańcuch niepotrzebnych śmierci – gdyby nie ten nieszczęsny Heathcliff. Był dla nich tragiczną postacią, niespełnioną obietnicą, a w końcu stał się jeszcze powodem do chwały dla Gabriela. Mimo wszystko Gabriel wolałby, żeby Heathcliff pozostał wśród żywych. Takie zdobycze nie trafiają się codziennie; czasami tylko raz w życiu, rzadko dwa razy. Tak to już jest w tej szpiegowskiej robocie, ubolewał Gabriel. Takie jest życie.

W istocie wcale nie nazywał się Heathcliff. Ci, którzy się nim zajmowali, twierdzili, że to imię zostało losowo wygenerowane przez komputer. Komputer wybierał pseudonim, który w żaden sposób nie kojarzył się z prawdziwym nazwiskiem, narodowością ani rodzajem pracy danego człowieka. Od tej strony pseudonim spełniał wszelkie kryteria. Mężczyzna, który został nazwany Heathcliffem, nie był podrzutkiem ani beznadziejnym romantykiem, nie był również zgorzkniały, mściwy czy gwałtowny. W gruncie rzeczy z Heathcliffem Emily Brontë nie łączyło go nic oprócz ciemnej karnacji, jego matka pochodziła bowiem z byłej radzieckiej republiki Gruzji. Podkreślała z dumą, że z tej samej republiki, co towarzysz Stalin, którego portret wciąż wisiał w największym pokoju jej moskiewskiego mieszkania.

Heathcliff jednak płynnie czytał oraz mówił po angielsku i lubił wiktoriańskie powieści. Zastanawiał się nawet nad

studiowaniem literatury angielskiej, ale w porę oprzytomniał i dostał się do Moskiewskiego Instytutu Języków Obcych, drugiej najbardziej prestiżowej uczelni w Związku Radzieckim. Opiekun jego roku był poszukiwaczem talentów dla SWR, służby wywiadu zagranicznego, i po ukończeniu studiów Heathcliff otrzymał propozycję wstąpienia do akademii SWR. Jego matka szalała ze szczęścia, kładła kwiaty i świeże owoce pod portretem towarzysza Stalina.

- On na ciebie patrzy - powtarzała. - Któregoś dnia staniesz się ważną osobą, człowiekiem, którego inni będą się bali.

W jej oczach oznaczało to najwyższe możliwe osiągnięcie.

Ambicją większości kadetów była zagraniczna rezydentura w placówce SWR, gdzie mieli rekrutować i prowadzić szpiegów wroga. Do tej pracy wymagano szczególnego typu osobowości. Kadet powinien być urodzonym uwodzicielem, śmiałym, pewnym siebie, rozmownym i ruchliwym. Niestety Heathcliff nie posiadał żadnej z tych cech. Nie wyróżniał się również cechami fizycznymi niezbędnymi do wykonywania niektórych mniej przyjemnych zadań SWR. Natomiast łatwo przychodziła mu nauka języków. Mówił płynnie po niemiecku, holendersku i angielsku oraz miał wyjątkowo dobrą pamięć, nawet jak na wysokie standardy SWR. Przedstawiono mu wybór, co w hierarchicznym świecie SWR było rzadkością: mógł zostać tłumaczem w Centrali Moskwa albo kurierem pracującym poza Moskwą. Wybrał to drugie i tym samym przypieczętował swój los.

Ta praca nie przynosiła splendoru, ale była niezmiernie istotna. Wyposażony w znajomość czterech języków oraz teczkę pełną fałszywych paszportów przemierzał świat w służbie ojczyzny - zakonspirowany posłaniec, potajemny listonosz.

Odbierał materiały ze skrzynek kontaktowych, zostawiał pieniądze w sejfach bankowych, a od czasu do czasu nawet spotykał się osobiście z płatnymi agentami Centrali Moskwa. Zdarzało się, że trzysta nocy w roku spędzał poza Rosją. Taki tryb życia wykluczał małżeństwo, a nawet poważniejszy związek. Podczas pobytów w Moskwie SWR zapewniało mu towarzystwo kobiet - pięknych młodych dziewcząt, które w innym wypadku nawet by na niego nie spojrzały, ale podczas podróży często czuł się bardzo samotny.

Właśnie w takiej chwili samotności w barze hotelowym w Hamburgu poznał swoją Catherine - atrakcyjną szatynkę po trzydziestce, o opalonych ramionach i nogach. Siedziała przy stoliku w kącie i piła białe wino. Heathcliffa ostrzegano, by podczas podróży unikał takich kobiet, bo wszystkie bez wyjątku były agentkami wroga albo prostytutkami zatrudnionymi przez wrogi wywiad. Catherine jednak nie sprawiała takiego wrażenia. Gdy zerknęła na Heathcliffa znad komórki, na widok jej uśmiechu poczuł prąd przeszywający go od serca aż po lędźwie.

- Masz ochotę się przysiąc? - zapytała. - Bardzo nie lubię pić sama.

Nie miała na imię Catherine, tylko Astrid. W każdym razie tak szepnęła mu do ucha, wiodąc paznokciem po wewnętrznej stronie jego uda. Była Holenderką, więc Heathcliff, który przedstawił jej się jako rosyjski biznesmen, mógł z nią rozmawiać w jej ojczystym języku. Wypili kilka drinków, a potem wprosiła się do jego pokoju, gdzie czuł się bezpiecznie. Następnego ranka obudził się z potężnym kacem, co było u niego niezwykle, i nie potrafił sobie przypomnieć, czy się kochali. Astrid, już po prysznicu, stała owinięta we frotowy

szlafrok. W świetle dnia zauważył, że jest bardzo piękna.

- Masz wolny wieczór? - zapytała.

- Nie powinienem.

- Dlaczego?

Nie umiał odpowiedzieć.

- Ale i tak zabierzesz mnie na porządną randkę. Kolacja w jakimś miłym miejscu, a potem może dyskoteka.

- A potem?

Rozchyliła szlafrok, ukazując pięknie ukształtowane piersi. Heathcliff wyteęzał pamięć, ale nie przypominał sobie, by ich dotykał.

Wymienili się numerami telefonów - to również było zakazane - i rozstali. Heathcliff miał tego dnia wykonać w Hamburgu dwa zadania i musiał poświęcić kilka godzin na sprawdzenie, czy nie jest pod obserwacją. Gdy wykonywał drugie zadanie - rutynowo opróżniał skrytkę kontaktową - dostał esemesa z nazwą modnej restauracji w pobliżu portu. Pojawił się tam o wyznaczonej godzinie. Promienna Astrid siedziała już przy stoliku, a przed nią stała otwarta butelka odrażająco drogiego Montracheta. Heathcliff zachmurzył się na myśl, że będzie musiał zapłacić za wino z własnych pieniędzy. Centrala Moskwa uważnie sprawdzała wszystkie jego wydatki i dostawał nagane, gdy przekraczał wyznaczony limit.

Astrid chyba wyczuła jego niepokój.

- Nie martw się, ja stawiam.

- Myślałem, że to ja mam cię zaprosić na porządną randkę.

- Naprawdę tak powiedziałam?

W tej chwili Heathcliff zrozumiał, że popełnił okropny błąd. Intuicja kazała mu odwrócić się na pięcie i uciekać, wiedział jednak, że nic by tym nie osiągnął; mleko już się rozlało. Został

zatem w restauracji i zjadł kolację z kobietą, która go zdradziła. Rozmowa była sztywna i napięta jak w kiepskim serialu telewizyjnym, a rachunek zapłaciła Astrid, oczywiście gotówką.

Na zewnątrz czekał samochód. Heathcliff nie protestował, gdy Astrid cichym głosem poleciła mu usiąść z tyłu. Nie protestował również wtedy, gdy samochód ruszył w kierunku przeciwnym do tego, w którym znajdował się jego hotel. Kierowca wyraźnie był profesjonalistą i w zupełnym milczeniu wykonał kilka podręcznikowych manewrów, żeby zgubić potencjalne ogony. Astrid przez cały czas pisała i odbierała wiadomości, nie odzywając się do Heathcliffa ani słowem.

- Czy myśmy w ogóle...

- Uprawiali seks? - dokończyła.

- Tak.

Spojrzała w okno.

- To dobrze - stwierdził. - Tak jest lepiej.

W końcu zatrzymali się w niewielkim domku nad morzem. Mężczyzna, który na nich czekał, zwrócił się do Heathcliffa po angielsku z niemieckim akcentem. Powiedział, że ma na imię Marcus i że pracuje dla zachodniego wywiadu, nie sprecyzował jednak, dla którego. Potem pokazał mu kilka wysoce poufnych dokumentów, które Astrid poprzedniego wieczoru skopiowała z jego zamkniętej teczki, gdy był nieprzytomny po środkach, które mu zaaplikowała. Marcus zapowiedział, że od tej pory Heathcliff będzie im dostarczał podobne dokumenty i robił o wiele więcej, bo w innym wypadku materiały, które znalazły się w posiadaniu Marcusa i jego kolegów, zostaną użyte do udowodnienia Centrali Moskwa, że jest szpiegiem.

W odróżnieniu od swojego imiennika Heathcliff nie był zgorzkniały ani mściwy. Wrócił do Moskwy bogatszy o pół

miliona dolarów i czekał na następne zlecenie. SWR przysłało do jego mieszkania na Worobiowych Wzgórzach piękną młodą dziewczynę. Heathcliff omal nie zemdleł ze strachu, gdy przedstawiła się jako Jekaterina. Przyrządził jej omlet i odesłał ją nietkniętą.

Ludzie tacy jak Heathcliff zwykle nie żyli długo. Karą za zdradę była śmierć. Ale nie szybka śmierć, lecz okropna. Podobnie jak wszyscy, którzy pracowali dla SWR, Heathcliff słyszał rozmaite historie, opowieści o ludziach, którzy błagali o strzał kończący ich cierpienia. Kula w końcu nadchodziła, rosyjskim zwyczajem w potylicę. W żargonie SWR nazywało się to *wysshaja miera*: najwyższy wymiar kary. Heathcliff obiecał sobie, że nigdy nie trafi w ich ręce. Dostał od Marcusa ampułkę z trucizną. Wystarczy ją rozgryźć i w dziesięć sekund będzie po wszystkim.

Marcus dał również Heathcliffowi tajne urządzenie nadawcze, które pozwalało na przekazywanie za pośrednictwem satelity raportów w postaci zaszyfrowanych mikrosekundowych wiązek sygnału. Heathcliff używał go rzadko. Wolał podczas zagranicznych podróży spotykać się z Marcusem osobiście. Gdy tylko okoliczności temu sprzyjały, pozwalał Marcusowi sfotografować zawartość swojej teczki, jednak przede wszystkim rozmawiali. Heathcliff nie był nikim ważnym, ale pracował dla ważnych ludzi i przewoził ich tajemnice. Co więcej, znał lokalizację rosyjskich skrzynek kontaktowych na całym świecie i miał je wszystkie w swojej zdumiewającej pamięci. Bardzo uważał, by nie wyjawić zbyt wiele ani zbyt szybko, dla własnego bezpieczeństwa, a także ze względu na prędko powiększający się stan konta w banku.

Wydzielał sekrety po jednym, by zwiększyć ich wartość. Po roku z pół miliona dolarów zrobił się milion, potem dwa, a wreszcie trzy.

Heathcliffa nie dręczyły wyrzuty sumienia – nie wyznawał żadnej ideologii ani nie kierował się polityką – ale lęk prześladował go w dzień i w nocy. Lęk, że Centrala wie o jego zdradzie i obserwuje każdy jego krok. Lęk, że zdradził o jeden sekret za dużo albo że któryś ze szpiegów Centrali na Zachodzie w końcu go wyda. Wielokrotnie prosił Marcusa, by ten spuścił go z haczyka, ale Marcus odmawiał, czasami używając kojącego balsamu, a czasem trzaśnięcia z bicia. Heathcliff miał przekazywać informacje, dopóki jego życie nie stanie się poważnie zagrożone. Dopiero wtedy będzie mu wolno się wycofać. Heathcliff miał uzasadnione wątpliwości, czy Marcus zdoła precyzyjnie odczytać sygnały i określić dokładnie chwilę, kiedy miecz zawiśnie nad jego karkiem, ale nie miał wyboru, musiał robić dalej to, co robił. Marcus zmuszał go do tego szantażem i zamierzał wycisnąć z niego wszystkie tajemnice co do jednej, zanim pozwoli mu odejść.

Ale sekrety nie są sobie równe. Niektóre są przyziemne, codzienne i można je przekazać, nie ściągając na siebie większego zagrożenia, inne jednak są zbyt niebezpieczne, by je zdradzać. Heathcliff w końcu odkrył taką tajemnicę w skrytce kontaktowej w dalekim Montrealu. Było to puste mieszkanie używane przez nielegalnego rosyjskiego imigranta, głęboko zakonspirowanego w Stanach Zjednoczonych. W szafce pod zlewem kuchennym znalazł pendrive'a. Miał go zabrać i przewieźć do Moskwy, unikając w ten sposób potężnej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych. Przed wyjściem z mieszkania wsunął pendrive'a do laptopa.

Urządzenie nie zostało zabezpieczone, a treści nie zaszyfrowano i Heathcliff bez trudu zapoznał się z zawartością dokumentów. Pochodziły od kilku różnych amerykańskich służb wywiadowczych i opatrzone były klauzulą najwyższej tajności.

Nie odważył się skopiować dokumentów, ale zachował wszystkie szczegóły w swej bezbłędnej pamięci. Wrócił do Moskwy i przekazał swojemu oficerowi prowadzącemu pendrive'a wraz ze słowami surowej dezaprobaty dla nielegalnego imigranta, który nie zabezpieczył treści. Oficer prowadzący, który nazywał się Wołkow, obiecał zająć się tą sprawą, a potem w nagrodę zaproponował Heathcliffowi bezstresową wycieczkę do przyjaznego Budapesztu.

- Możesz to uważać za opłacony w pełni urlop, prezent od Centrali. Nie zrozum mnie źle, Konstantynie, ale wyglądasz, jakbyś potrzebował odpoczynku.

Tego wieczoru Heathcliff skorzystał z urządzenia kontaktowego, by poinformować Marcusa, że odkrył sekret tak wielkiej wagi, że nie ma wyboru i musi uciekać. O dziwo, Marcus nie zaprotestował. Nakazał Heathcliffowi pozbyć się urządzenia tak, by nigdy nie zostało znalezione. Heathcliff rozbił je na kawałeczki i wrzucił do otwartej studzienki kanalizacyjnej, uznając, że nawet psy gończe z Wydziału Bezpieczeństwa SWR nie będą tam niczego szukać.

Tydzień później, po złożeniu ostatniej wizyty matce, która siedziała w swoim ciasnym jak królicza nora mieszkanku pod czujnym okiem melancholijnego towarzysza Stalina, Heathcliff po raz ostatni wyjechał z Rosji. Przybył do Budapesztu późnym popołudniem i taksówką pojechał do hotelu InterContinental. Miasto powoli przysypywał śnieg. Pokój hotelowy wychodził na Dunaj. Heathcliff zamknął drzwi na dwa zamki i zasuwę, usiadł

przy biurku i czekał, aż zadzwoni komórka. Obok niej leżała ampulka z trucizną, którą dostał od Marcusa. Wystarczy ją rozgryźć. Dziesięć sekund i po wszystkim.

2

Wiedeń

Dwieście dwadzieścia kilometrów dalej na północny zachód, za kilkoma zakrętami leniwego Dunaju, wystawa prac Petera Paula Rubensa, malarza, uczonego, dyplomaty i szpiega powoli zbliżała się do melancholijnego zamknięcia. Tłumy importowanych turystów pojawiły się i zniknęły, a późnym popołudniem jeszcze tylko kilku stałych gości starego muzeum kręciło się niepewnie po pomalowanych na różowo salach. Jednym z nich był mężczyzna w średnim wieku. Spod skraju płaskiej czapki naciągniętej nisko na czoło patrzył na wielkie płótna, na których korpulentne nagie postacie prezentowały się w różnych pozach na bogatym antycznym tle.

Za jego plecami zniecierpliwiony młody mężczyzna spojrzął na zegarek.

- Jak długo jeszcze, szefie? - zapytał cicho po hebrajsku.

Starszy mężczyzna jednak odpowiedział po niemiecku, i to tak głośno, by usłyszał go senny strażnik w kącie sali.

- Chciałbym zobaczyć jeszcze tylko jeden. Dziękuję.

Przeszedł do następnej sali i zatrzymał się przed obrazem Madonny z Dzieciątkiem. Olej na płótnie, sto trzydzieści siedem na sto jedenaście centymetrów. Doskonale znał ten obraz. Przeprowadzał jego renowację w domku nad morzem w zachodniej Kornwalii. Pochylił się nieco i przyjrzał się powierzchni obrazu w blasku świetlówek. Jego praca trzymała się nieźle. Gdyby tylko mógł powiedzieć to również o sobie, pomyślał, rozcierając miejsce u podstawy kręgosłupa, gdzie

czuł piekący ból. Dwa ostatnio złamane kręgi były najmniejszą z jego fizycznych dolegliwości. Podczas długiej i pełnej osiągnięć kariery oficera wywiadu izraelskiego Gabriel Allon dwa razy został postrzelony w pierś, raz zaatakowany przez owczarka alzackiego, a także zrzucony z kilku biegów schodów do piwnic na moskiewskiej Łubiance. Nawet Ari Szamron, jego mentor i człowiek legenda, nie odniósł tylu fizycznych obrażeń.

Młody człowiek, który szedł za Gabrielem przez kolejne sale muzeum, nazywał się Oren i pełnił funkcję szefa ochrony Gabriela. To był nieprzyjemny przywilej związany z niedawnym awansem. Od trzydziestu sześciu godzin podróżowali. Najpierw lecieli samolotem z Tel Awiwu do Paryża, a potem samochodem jechali z Paryża do Wiednia. Teraz przeszli przez opustoszałe sale wystawowe i znaleźli się na schodach przy wyjściu z muzeum. Zaczął padać śnieg; w bezwietrznej nocy wielkie puszyste płatki płynęły prosto w dół. Zwykły turysta, patrząc na tramwaje przemykające przez oprószone śniegiem ulice pośród pustych pałaców i kościołów, uznałby, że miasto wygląda malowniczo. Ale nie Gabriel. Wiedeń zawsze go przygnębiał, a najbardziej wtedy, kiedy padał śnieg.

Samochód z kierowcą czekał na ulicy. Gabriel postawił kołnierz starej kurtki i powiedział Orenowi, że zamierza pójść do bezpiecznego lokalu piechotą.

- Sam - dodał.
- Szefie, nie mogę pozwolić, żeby chodził pan po Wiedniu bez ochrony.
- Dlaczego?
- Bo jest pan teraz szefem. Gdyby coś się stało...
- Po prostu powiesz, że dostałeś taki rozkaz.
- Zupełnie jak Austriacy. - Ochroniarz w ciemności podał

Gabrielowi jericho, kaliber 9 mm. - Niech pan przynajmniej weźmie to.

Gabriel wsunął pistolet za pasek spodni.

- Będę w tym mieszkaniu za pół godziny. Kiedy dotrę, zawiadomię bulwar Króla Saula.

Przy bulwarze Króla Saula znajdowała się centrala wywiadu Izraela. Długa, skomplikowana i celowo myląca nazwa nie miała nic wspólnego z tym, czym ta instytucja naprawdę się zajmowała. Nawet dyrektor określał ją wyłącznie mianem Biura.

- Trzydzieści minut - powtórzył Oren.

- I ani minuty dłużej - obiecał Gabriel.

- A jeśli się pan spóźni?

- To będzie znaczyło, że zostałem zabity albo porwany przez Isis, Rosjan, Hezbollah, Irańczyków albo kogoś innego, komu udało mi się nadepnąć na odcisk. W takim razie nie będzie wielkich nadziei, że przeżyję.

- A co z nami?

- Nic ci się nie stanie, Oren.

- Nie o tym mówię.

- Nie chcę, żebyście się zbliżali do tego mieszkania - powiedział Gabriel. - Róbcie swoje, dopóki się do was nie odezwę. I pamiętaj, nie próbujcie za mną iść. To bezpośredni rozkaz.

Ochroniarz popatrzył na niego w milczeniu z wyraźnie zatroskaną miną.

- Co znowu?

- Szefie, czy jest pan pewien, że nie chce pan towarzystwa?

Gabriel odwrócił się bez słowa i zniknął w mroku.

Przeciął Burgring i ruszył po ścieżkach Volksgarten. Nie był wysoki, miał nie więcej niż sto siedemdziesiąt parę centymetrów wzrostu i szczupłą sylwetkę rowerzysty, pociągłą twarz, o wąskim podbródku i szeroko rozstawionych kościach policzkowych. Szczupły nos wyglądał jak wyrzeźbiony z drewna, oczy wyróżniały się nienaturalnym odcieniem zieleni, ciemne włosy srebrzyły się już na skroniach. Trudno było określić, z jakiej części świata pochodzi ten mężczyzna, na dodatek mówił płynnie w pięciu językach, łącznie z włoskim, którego nauczył się w połowie lat siedemdziesiątych przed wyjazdem do Wenecji, gdzie studiował konserwację dzieł sztuki. Potem Gabriel prowadził życie upartego, choć utalentowanego konserwatora nazywającego się Mario Delvecchio, jednocześnie służąc jako oficer wywiadu i zabójca na potrzeby Biura. Właśnie w Wiedniu odbył kilka swoich najlepszych misji, a także kilka najgorszych.

Wyminął Burgtheater, najbardziej prestiżową niemieckojęzyczną scenę świata, i poszedł przez Bankgasse do Café Central, jednej z najśłynniejszych kawiarni wiedeńskich. Zajrzał do środka przez szybę z matowego szkła i w pamięci zamajaczył mu Erich Radek, kolega Adolfa Eichmanna, który torturował matkę Gabriela. Siedział sam przy stole, popijając *einspänner*, czyli kawę po wiedeńsku. Obraz mordercy Radka był niewyraźny i zatarty jak postać na obrazie przed konserwacją.

- *Czy jest pan pewien, że nigdy się nie spotkaliśmy? Pańska twarz wydaje mi się znajoma.*

- *Szczerze w to wątpię.*

- *Może jeszcze kiedyś się zobaczymy.*

- *Może.*

Obraz się rozplynął. Gabriel odwrócił się i poszedł w stronę starej dzielnicy żydowskiej, gdzie przed drugą wojną światową mieszkała jedna z najbardziej żywotnych społeczności żydowskich na świecie. Teraz ta społeczność odeszła już do historii. Popatrzył na kilku staruszków ostrożnie wychodzących z niepozornych drzwi Stadttempel, głównej synagogi wiedeńskiej, a potem skierował się na pobliski plac otoczony restauracjami. Wśród nich była włoska restauracja, w której zjadł ostatni posiłek w towarzystwie Leah, pierwszej żony, i Daniela, ich jedyne dziecko.

Na sąsiedniej ulicy zobaczył miejsce, gdzie wtedy stał ich samochód. Mimowolnie zwolnił, gdy sparaliżowały go wspomnienia. Przypomniawszy sobie zmagania z pasami fotelika syna i lekki smak wina na ustach żony, gdy całował ją po raz ostatni. Przypomniawszy sobie, że silnik nie chciał zaskoczyć i wydał dziwny dźwięk, jak płyta gramofonowa nastawiona na niewłaściwe obroty, bo bomba ciągnęła prąd z akumulatora. Zbyt późno wykrzyknął do Leah, żeby nie obracała kluczyka po raz drugi. A potem w rozbłysku jaskrawobiałego światła na zawsze stracił żonę i syna.

Serce dudniło mu głośno jak dzwon. Nie teraz, powiedział sobie, walcząc ze łzami. Teraz ma zadanie do wykonania. Uniósł twarz do nieba.

Czy tu nie jest pięknie? Na Wiedeń pada śnieg, a na Tel Awiw spadają pociski...

Sprawdził godzinę na zegarku. Miał jeszcze dziesięć minut, by dotrzeć do bezpiecznego mieszkania. Gdy szedł szybko po pustych ulicach, naraz ogarnęło go przeczucie zbliżającej się

apokalipsy. To tylko pogoda, powiedział sobie. Wiedeń zawsze wprawiał go w przygnębienie, a najbardziej wtedy, kiedy padał śnieg.

3

Wiedeń

Bezpieczne mieszkanie mieściło się po drugiej stronie Donaukanal, w uroczej starej biedermeierowskiej kamienicy w Drugiej Dzielnicy. Ta dzielnica mniej kojarzyła się z muzeum, więcej tu widziało się ruchu i życia. Były tu mały sklep Spar, apteka, kilka azjatyckich restauracji i nawet świątynia buddyjska. Ulicą przemykały samochody i motocykle, po chodnikach poruszali się przechodnie. W takim miejscu nikt nie zwracał uwagi na szefa wywiadu izraelskiego. Ani na rosyjskiego dezentera, pomyślał Gabriel.

Przeciął alejkę, potem podwórze i wszedł do holu. Schody pogrążone były w mroku. Na podeście trzeciego piętra zauważył lekko uchylone drzwi. Wsunął się do środka, zamknął je za sobą i po cichu poszedł do salonu, gdzie siedział Eli Lavon otoczony otwartymi notebookami. Podniósł wzrok, zobaczył śnieg na czapce oraz ramionach Gabriela i zmarszczył czoło.

- Proszę, tylko mi nie mów, że przyszedłeś piechotą.
- Samochód się zepsuł. Nie miałem wyjścia.
- Twój ochroniarz mówił co innego. Lepiej daj znać na bulwar Króla Saula, że już tu jesteś, bo wyślą ekipę poszukiwawczą.

Gabriel pochylił się nad jednym z komputerów, wpisał krótką wiadomość i posłał ją bezpiecznym łączem do Tel Awiwu.

- Kryzys zażegnany - stwierdził Lavon.

Nosił rozpinany sweter pod zmiętą tweedową marynarką i szalik na szyi. Miał włosy w strąkach, a rysy twarzy nijakie, łatwe do zapomnienia. Aparycja stanowiła jeden z jego

największych atutów. Eli Lavon wyglądał jak życiowy nieudacznik, ale w gruncie rzeczy był urodzonym drapieżcą, który potrafił śledzić doskonale wyszkolonego agenta wywiadu albo twardego terrorystę na dowolnej ulicy świata, nie ściągając na siebie nawet odrobiny zainteresowania. Prowadził oddział Biura znany jako Neviot. Wśród jego agentów byli artyści spostrzegawczości, kieszonkowcy, złodzieje, a także ludzie specjalizujący się w umieszczaniu ukrytych kamer i urządzeń podsłuchowych za zamkniętymi na klucz drzwiami. Tego wieczoru jego podwładni mieli dużo roboty w Budapeszcie.

Ruchem głowy wskazał jeden z komputerów. Na ekranie widać było mężczyznę, który siedział przy biurku w pokoju drogiego hotelu. Obok łóżka leżała nieotwarta torba, a przed mężczyzną komórka i ampułka.

- Czy to fotografia? - zapytał Gabriel.

- Nagranie na żywo.

Gabriel postukał w ekran laptopa.

- Ale on cię nie słyszy.

- Jesteś pewny, że żyje?

- Jest śmiertelnie przerażony. Od pięciu minut nawet nie drgnął.

- Czego się tak boi?

- To Rosjanin - odparł Lavon, jakby to wszystko wyjaśniało.

Gabriel patrzył na Heathcliffa jak na postać z obrazu. Rosjanin naprawdę nazywał się Konstantin Kirow i był jednym z najcenniejszych źródeł Biura. Tylko niewielka część dostarczanych przez niego wiadomości miała bezpośredni związek z bezpieczeństwem Izraela, ale olbrzymie nadwyżki trafiały do Londynu i Langley. Dyrektorzy MI6 i CIA gorliwie

rzucali się na każdą nową porcję sekretów, które wypłynęły z teczki Rosjanina. Anglicy i Amerykanie nie żywili się za darmo. Obydwa wywiady pomagały pokryć koszty operacji, a Brytyjczycy po wielu debatach i oporach zgodzili się przyznać Kirowowi azyl w Zjednoczonym Królestwie.

Ale pierwszą osobą, którą Rosjanin miał zobaczyć po ucieczce, był Gabriel Allon. Przeszłość Gabriela związana z rosyjskim wywiadem i ludźmi na Kremlu była długa i krwawa. Z tego powodu chciał osobiście przeprowadzić wstępną rozmowę z Kirowem, a zwłaszcza dowiedzieć się, co konkretnie odkrył i dlaczego tak nagle poczuł potrzebę dezercji. Potem Gabriel z wielką przyjemnością zamierzał przekazać Rosjanina Brytyjczykom, w ręce szefa wiedeńskiej placówki MI6. Ujawnieni agenci dostarczali tylko bólu głowy, szczególnie ujawnieni agenci rosyjscy.

W końcu Kirow się poruszył.

- Co za ulga - stwierdził Gabriel.

Obraz na ekranie na kilka sekund zmienił się w rozmazaną kaszkę, a potem wrócił do normy.

- Tak jest przez cały wieczór - wyjaśnił Lavon. - Widocznie przekaźnik odbiera jakieś zakłócenia.

- Kiedy byli w tym pokoju?

- Jakąś godzinę przed przyjazdem Heathcliffa. Złamaliśmy system zabezpieczeń hotelu, pogrzebaliśmy w rezerwacjach i znaleźliśmy jego numer pokoju. Wejście do środka to już żaden problem.

Czarodzieje z Wydziału Technologii Biura opracowali magiczną kartę, która otwierała wszystkie zamki elektroniczne w hotelach na całym świecie. Przy pierwszym przesunięciu karta wykradała kod, przy drugim otwierała zamek.

- Kiedy zaczęły się te zakłócenia?
- Zaraz po tym, jak wszedł do pokoju.
- Czy ktoś go śledził w drodze z lotniska do hotelu?

Lavon potrząsnął głową.

- Jakież podejrzanе nazwiska w rejestrze gości?

- Większość to uczestnicy konferencji Wschodnioeuropejskiego Stowarzyszenia Inżynierów - wyjaśnił Lavon. - Prawdziwy bal jajogłowych. Stado gości z wkładkami na długopisy w kieszeniach koszul.

- Kiedyś sam byłeś taki, Eli.

- Nadal jestem. - Obraz znów zmienił się w mozaikę szarych kropek. - Niech to cholera - powiedział Lavon cicho.

- Czy chłopcy sprawdzili łącza?

- Dwa razy.

- I?

- Na linii nie ma nikogo innego. A nawet gdyby był, sygnał jest tak zakodowany, że dwa superkomputery musiałyby pracować przez miesiąc, żeby go poskładać. - Obraz ustabilizował się. - No, teraz lepiej.

- Pokaż mi hol.

Lavon stuknął w klawiaturę innego komputera i pojawił się obraz holu: morze źle dopasowanych ubrań, identyfikatorów i łysiejących czasek. Gabriel przebiegł wzrokiem po twarzach, szukając jakiejś, która nie pasowałaby do tego miejsca. Znalazł takie cztery, dwie męskie i dwie kobiece. Lavon za pośrednictwem hotelowych kamer zrobił zdjęcia i wysłał je do Tel Awiwu. Na ekranie sąsiedniego laptopa Konstantin sprawdzał teraz swój telefon.

- Jak długo każesz mu czekać? - zapytał Lavon.

- Dopóki przy bulwarze Króla Saula nie wrzucą tych twarzy

w bazy danych.

- Musi niedługo wyjść, bo spóźni się na pociąg.

- Lepiej żeby spóźnił się na pociąg, niż żeby w holu InterContinentalu zabili go wysłannicy moskiewskiej Centrali. - Obraz znów stał się poszatkowany. Zirytowany Gabriel postukał palcem w ekran.

- Nie trudź się - powiedział Lavon. - Już tego próbowałem.

Po dziesięciu minutach Wydział Operacyjny przy bulwarze Króla Saula oświadczył, że nie znalazł żadnej z tych czterech twarzy w cyfrowej galerii Biura zawierającej portrety agentów obcego wywiadu, znanych albo przypuszczalnych terrorystów i prywatnych najemników. Dopiero wtedy Gabriel napisał krótką wiadomość na zabezpieczonym blackberry i nacisnął „wyślij”. Po chwili Konstantin Kirow sięgnął po komórkę. Przeczytał wiadomość od Gabriela, podniósł się gwałtownie, naciągnął płaszcz i owinął szyję szalikiem. Wsunął telefon do kieszeni, ale ampułkę z trucizną nadal trzymał w ręce. Walizkę zostawił w pokoju.

Gdy Kirow otwierał drzwi pokoju i wychodził na korytarz, Eli Lavon stuknął w kilka klawiszy laptopa. Kamery systemu bezpieczeństwa w hotelu monitorowały krótki spacer Heathcliffa do wind. W pobliżu nie pojawili się inni goście ani personel, a winda, do której wsiadł Rosjanin, była pusta. Na dole w holu panowało szaleństwo. Zdawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na wychodzącego Kirowa, łącznie z dwoma osiłkami w skórzanych kurtkach - węgierskimi ochroniarzami obserwującymi ulicę.

Brakowało kilku minut do dziewiątej. Kirow miał jeszcze czas, by zdążyć na nocny pociąg do Wiednia, ale musiał się

pośpieszyć. Szedł na południe przez Apáczai Csere Jánosa, a za nim dwóch ludzi Eliego Lavona. Potem skręcił w Kossutha Lajosa, jedną z głównych arterii Budapesztu.

- Moi chłopcy mówią, że jest czysto - powiedział Lavon. - Nie ma Rosjan ani Węgrów.

Gabriel wysłał drugą wiadomość do Konstantina Kirowa. Poleciał mu wsiąść do pociągu zgodnie z planem. Kirow postąpił zgodnie ze wskazówkami cztery minuty przed odjazdem, pod okiem ludzi Lavona. Na razie Gabriel i Lavon nie mogli zrobić nic więcej. Popatrzyli na siebie w milczeniu, myśląc o tym samym: czekanie. Wiecznie to czekanie.

Westbahnhof, Wiedeń

Ale Gabriel i Eli Lavon nie czekali sami, bo tego wieczoru mieli partnera operacyjnego w postaci Secret Intelligence Service – Tajnej Służby Wywiadowczej Jej Królewskiej Mości, najstarszej i najwspanialszej takiej instytucji w cywilizowanym świecie. Sześciu oficerów z legendarnego wiedeńskiego oddziału – wkrótce ich dokładna liczba miała stać się przedmiotem sporu – z napięciem czuwało w zabezpieczonej komorze w Ambasadzie Brytyjskiej, a kilkunastu innych krążyło wokół komputerów i telefonów z migającymi diodami w Vauxhall Cross, położonej na brzegu rzeki londyńskiej siedzibie MI6.

Jeszcze jeden oficer MI6, Christopher Keller, czekał w pobliżu dworca wiedeńskiego za kierownicą niepozornego volkswagena passata. Miał bardzo niebieskie oczy, włosy rozjaśnione słońcem, mocno uwydatnione kości policzkowe i kanciasty podbródek z dołkiem pośrodku. Jego usta sprawiały wrażenie zastygłych w ironicznym uśmiechu.

Tego wieczoru nie miał nic więcej do roboty oprócz wypatrywania zabłąkanych rosyjskich opryszków, więc myślał o niezwykłej ścieżce, która go tu doprowadziła. Zmarnowany rok w Cambridge, głęboko zakamuflowana operacja w Irlandii Północnej, przypadkowy bratobójczy postrzał podczas pierwszej wojny w Zatoce, po którym udał się na dobrowolne wygnanie na Korsykę. Tam nauczył się mówić po francusku doskonale, choć z korsykańskim akcentem. Wykonywał również dla

pewnego znanego korsykańskiego przestępcy usługi, które z grubsza można by określić jako morderstwa na zlecenie. Ale to wszystko miał już za sobą. Dzięki Gabrielowi Allonowi Christopher Keller był teraz szanowanym oficerem w Tajnej Służbie Wywiadowczej Jej Królewskiej Mości. Jego życie wróciło na właściwe tory.

Keller popatrzył na Izraelczyka siedzącego na miejscu pasażera. Był wysoki i chudy, z bezbarwną cerą i oczami w kolorze lodu z lodowca. Na twarzy miał wyraz głębokiego znużenia, ale niespokojne postukiwanie palcami o deskę rozdzielczą zdradzało jego prawdziwy stan ducha.

Keller zapalił papierosa, czwartego w ciągu ostatnich dwudziestu minut, i wydmuchał chmurę dymu na przednią szybę.

- Musisz? - zaprotestował Izraelczyk.

- Przestanę palić, kiedy ty skończysz to cholerne bębnienie - powiedział Keller ze snobistycznym akcentem z zachodniego Londynu, który pozostał mu po uprzywilejowanym dzieciństwie.

- Głowa mnie od tego boli.

Palce Izraelczyka znieruchomiały. Nazywał się Michaił Abramow i podobnie jak Keller był weteranem elitarniej jednostki wojskowej. Służył w Sajjeret Matkał należącej do Sił Obronnych Izraela. Już kilka razy działali wspólnie, ostatnio w Maroku, śledząc Saladyna, dowódcę oddziału operacji zewnętrznych ISIS, aż do wioski na odludziu w górach Atlasu średniego. Ale żaden z nich nie oddał strzału kończącego krwawe rządy Saladyna. Gabriel ubiegł ich obydwu.

- Właściwie czym się tak denerwujesz? - zapytał Keller. - Jesteśmy w samym środku nudnego, nijakiego Wiednia.

- Tak - odrzekł Michaił nieobecny tonem. - Tu nigdy nic się

nie dzieje.

Michaił spędził dzieciństwo w Moskwie i mówił po angielsku z lekkim rosyjskim akcentem. Zdolności językowe i słowiańska uroda pozwoliły mu odgrywać rolę Rosjanina w kilku ważnych operacjach Biura.

- Działałeś już kiedyś w Wiedniu? - zapytał Keller.

- Raz czy dwa razy. - Michaił sprawdził broń, jericho, kaliber .45. - Pamiętasz tych terrorystów samobójców z Hezbollahu, którzy zamierzali zaatakować Stadttempel?

- Myślałem, że tym się zajmowała EKO Cobra. - EKO Cobra to taktyczna jednostka austriackiej policji. - Właściwie jestem zupełnie pewny, że coś o tym czytałem w gazetach.

Michaił popatrzył na Kellera z twarzą bez wyrazu.

- To byłeś ty?

- Oczywiście nie sam. Miałem pomoc.

- Ktoś, kogo znam?

Michael milczał.

- Rozumiem.

Zbliżała się północ. Ulica biegnąca wzdłuż nowoczesnej szklanej fasady dworca kolejowego była pusta, tylko dwie taksówki czekały na ostatnie kursy. Jedna z nich miała zabrać rosyjskiego uciekiniera i zawieźć go do hotelu Best Western na Stubenring. Stamtąd pieszo powinien dotrzeć do bezpiecznego mieszkania. Decyzja, czy można go tam wpuścić, należała do Michaiła, który miał pójść za nim. Lokalizacja bezpiecznego mieszkania była chyba najpilniej strzeżonym sekretem całej operacji. Jeśli okaże się, że Kirow jest czysty, Michaił miał go przeszukać po wejściu do budynku i zabrać na górę na spotkanie z Gabrielem. Keller dostał rozkaz, żeby zostać na dole w passacie, ubezpieczając ich od zewnątrz, chociaż nie

wiedział, jak właściwie miałyby to zrobić. Alistair Hughes, szef wiedeńskiego oddziału MI6, nie pozwolił mu zabrać broni. Keller zapracował sobie na opinię człowieka skłonnego do przemocy, Hughes z kolei słynął z ostrożności. Prowadził wygodne życie w Wiedniu - pożyteczne znajomości, długie lunchy, niezłe stosunki z miejscowymi służbami. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, był problem, przez który znów znalazłby się za biurkiem w Vauxhall Cross.

Naraz ekran komórki Michaiła rozjaśnił się z powodu nadchodzącej wiadomości, oświetlając jego bladą twarz.

- Pociąg wjechał na stację. Kirow zmierza do wyjścia.

- Heathcliff - powiedział Keller z przyganą. - Dopóki nie znajdzie się w bezpiecznym mieszkaniu, nazywa się Heathcliff.

- Już tu idzie.

Michaił wsunął blackberry do kieszeni kurtki. Kirow wyszedł ze stacji. Przed sobą i za sobą miał obserwatorów Eliego Lavona.

- Wydaje się zdenerwowany - zauważył Keller.

- Jest zdenerwowany. - Michaił znów postukał palcami o deskę rozdzielczą. - To Rosjanin.

Obserwatorzy opuścili stację pieszo, a Konstantin Kirow w jednej z taksówek. Keller podążał za nim w dyskretnej odległości. Samochód jechał na wschód przez puste ulice miasta. Keller nie zauważył nic, co mogłoby świadczyć o tym, że rosyjski kurier jest śledzony. Michaił zgodził się z nim.

Piętnaście minut po północy taksówka zatrzymała się przy Best Western. Kirow wysiadł, ale nie wszedł do hotelu, tylko przekroczył Donaukanal mostem Schwedenbrücke. Michaił ruszył za nim pieszo. Po zejściu z mostu obaj znaleźli się na

Taborstrasse, a ta z kolei doprowadziła ich do ładnego placzyku z kościołem, który nazywał się Karmeliterplatz. Tam Michaił zmniejszył odległość od obiektu do kilku kroków.

Razem przeszli na sąsiednią ulicę i mijając szereg ciemnych sklepów i kawiarni, zmierzali w kierunku biedermeierowskiej kamienicy na końcu kwartału. Z okna na trzecim piętrze sączył się słaby blask. Światła wystarczyło, by Michaił zauważył sylwetkę Gabriela, który stał z jedną ręką na podbródku i głową przechyloną nieco na bok. Michaił wysłał mu jeszcze jedną, ostatnią wiadomość. Kirow był czysty.

W tym momencie usłyszał dźwięk zbliżającego się motocykla. W pierwszej chwili pomyślał, że to nie jest odpowiednia noc na jazdę na dwukołowcu. Jego podejrzenia potwierdziły się po kilku sekundach, gdy motocykl wyłonił się z za rogu kamienicy. Motocyklista miał na sobie czarną kurtkę i czarny hełm z ciemną szybką. Zatrzymał się kilka metrów od Kirowa, podparł jedną nogą i wyciągnął z za pazuchy pistolet zakończony długim cylindrycznym tłumikiem. Michaił nie potrafił powiedzieć, co to była za broń. Może glock, a może hk. W każdym razie lufa mierzyła prosto w twarz Kirowa.

Michaił wypuścił telefon z ręki i sięgnął po jericho, ale zanim zdążył je wyciągnąć, z lufy pistoletu motocyklisty wystrzeliły dwa języki ognia. Obydwa strzały trafiły do celu. Michaił usłyszał trzask kul przebijających czaszkę Kirowa i zobaczył eksplozję krwi i tkanki mózgowej.

Kirow upadł, a motocyklista obrócił ramię o kilka stopni i wymierzył w Michaiła. Dwa strzały chybiły. Michaił padł na chodnik i po dwóch kolejnych strzałach zaczął się czołgać w stronę zaparkowanego samochodu. Prawa ręka odnalazła kolbę jericha. Wyciągnął broń w chwili, gdy mężczyzna na

motocyklu podniósł nogę i zwiększył obroty silnika. Był najwyżej trzydzieści metrów od Michaiła, a za sobą miał parter kamienicy. Michaił trzymał jericho w obu dłoniach, opierając wyciągnięte ramiona na bagażniku samochodu. Mimo to nie strzelił. Wytyczne Biura dawały agentom operacyjnym wiele swobody, jeśli chodzi o używanie śmiertelnej broni do obrony własnego życia, nie pozwalały jednak agentowi strzelać z pistoletu kalibru .45 do ruchomego celu w mieszkalnej dzielnicy europejskiego miasta, gdzie zbłąkana kula z łatwością mogła odebrać życie niewinnemu człowiekowi.

Motocykl ruszył, ryk silnika odbił się echem od ścian budynków. Michaił prowadził motocyklistę na muszce, dopóki ten nie zniknął, a potem podczołgał się do miejsca, gdzie upadł Kirow. Rosjanina też już nie było. Z jego twarzy nie zostało prawie nic.

Michaił podniósł wzrok w stronę sylwetki w oknie na trzecim piętrze i usłyszał za plecami wznoszący się odgłos silnika szybko jadącego samochodu. Obawiał się, że zbliża się reszta grupy zabójców, by dokończyć robotę, ale to był tylko Keller w passacie. Michaił zgarnął swoją komórkę i wskoczył do środka.

- Mówiłem ci - powiedział, gdy samochód wyprysnął do przodu. - Tutaj nigdy nic się nie dzieje.

Gabriel pozostał w oknie dłużej, niż powinien, patrząc na oddalające się tylne światła motocykla, za którym jechał passat bez świateł. Gdy obydwa pojazdy zniknęły, przeniósł wzrok na leżącego na ulicy człowieka. Przyprószył go już śnieg. Nie mógł być bardziej martwy. Był martwy, pomyślał Gabriel, jeszcze zanim dotarł do Wiednia. Zanim wyjechał z Moskwy.

Obok niego stanął Eli Lavon. Minęła długa chwila. Kirow wciąż tam leżał, zupełnie sam. W końcu zatrzymał się obok niego jakiś samochód, z którego wysiadła młoda kobieta. Podniosła rękę do ust i odwróciła wzrok.

Eli Lavon zaciągnął rolety.

- Czas stąd znikać.
- Nie możemy tak po prostu...
- Dotykałeś czegoś?

Gabriel zastanowił się.

- Komputerów.
- Niczego więcej?
- Zasuwy do drzwi.
- Zajmiemy się tym przy wyjściu.

Naraz pokój rozjaśnił się niebieskim światłem. Gabriel dobrze je znał. To radiowóz Bundespolizei. Zadzwoił do Orena, szefa swojej ochrony.

- Przyjedź pod budynek od strony Hollandstrasse. Tam jest cisza i spokój.

Rozłączył się i pomógł Lavonowi spakować komputery i telefony. Przed wejściem obydwaj porządnie wytarli zasuwę, najpierw Gabriel, a potem na wszelki wypadek jeszcze Lavon. Przechodząc przez podwórze, słyszeli pierwsze słabe dźwięki syren, ale na Hollandstrasse panowała cisza przerywana tylko cichym mrużeniem silnika pracującego na jałowym biegu. Gabriel i Lavon usiedli z tyłu. Przejechali przez Donaukanal, zostawili za sobą Drugą Dzielnicę i znaleźli się w Pierwszej.

- Był czysty. Tak, Eli?
- Jak łąza.
- W takim razie skąd zabójca wiedział, dokąd jechać?
- Może powinniśmy go zapytać.

Gabriel wyciągnął telefon z kieszeni i zadzwonił do Michała.

Floridsdorf, Wiedeń

Czterodrzwiowy passat wyposażony był w najnowszą wersję napędu na wszystkie koła Volkswagena, jednak skręt w prawo na świeżym śniegu przy prędkości stu kilometrów na godzinę znacznie przekraczał jego możliwości. Tylne koła straciły przyczepność i przez chwilę Michaił obawiał się, że wpadną w niekontrolowany poślizg, potem jednak jakimś cudem opony odzyskały przyczepność, samochód jeszcze raz zarzucił tyłem i znów pojechał prosto.

Michaił rozluźnił palce na podłokietniku.

- Masz duże doświadczenie w jeździe w zimowych warunkach?

- Duże - odparł Keller spokojnie. - A ty?

- Ja się wychowałem w Moskwie.

- Wyjechałeś stamtąd jeszcze jako dziecko.

- Miałem szesnaście lat.

- Czy twoja rodzina miała samochód?

- W Moskwie? Jasne, że nie. Jeździliśmy metrem, tak jak wszyscy.

- Więc tak naprawdę nie jeździłeś samochodem w zimie w Rosji.

Michaił nie zaprzeczył. Znów znaleźli się na Taborstrasse, minęli park przemysłowy i kompleks magazynów. Jechali jakieś sto metrów za motocyklem. Michaił mniej więcej znał topografię Wiednia i zauważył, że zmierzają na wschód. Na wschodzie znajdowała się granica. Był przekonany, że wkrótce

bardzo im się przyda.

Światło hamowania motocykla rozjarzyło się czerwienią.

- Skręca - zauważył Michaił.

- Widzę.

Motocykl skręcił w lewo i na chwilę zniknął im z oczu. Keller wszedł w zakręt, nie zwalniając. Za przednią szybą przepłynęła panorama brzydkiej wiedeńskiej ulicy. Gdy odzyskał kontrolę nad samochodem, motocykl był już co najmniej dwieście metrów przed nimi.

- Dobry jest - stwierdził Keller.

- Szkoda, że nie widziałeś, jak potrafi użyć broni.

- Widziałem.

- Dzięki za pomoc.

- A co miałem zrobić? Próbować odwrócić jego uwagę?

Przed nimi wznosiła się Millennial Tower, pięćdziesięciopiętrowy budynek mieszkalno-biurowy na zachodnim brzegu Dunaju. Przekroczyli rzekę i prędkość wzrosła do stu pięćdziesięciu, ale motocykl wciąż się od nich oddalał. Michaił zastanawiał się, ile jeszcze czasu minie, zanim Bundespolizei zwróci na nich uwagę. Zapewne tyle, ile trzeba, by wyciągnąć paszport z kieszeni martwego rosyjskiego kuriera.

Motocykl zniknął za kolejnym rogiem. Zanim Keller wziął zakręt, tylne światło było już tylko małą czerwoną kropeczką w mroku.

- Zgubi nas.

Keller przycisnął gaz do podłogi. W tej samej chwili komórka Michaiła zawibrowała. Oderwał na chwilę oczy od tylnego światła motocykla i przeczytał wiadomość.

- Co to? - zapytał Keller.

- Gabriel chce, żebyśmy go informowali. - Michaił napisał krótką odpowiedź i znów podniósł wzrok. - Cholera - mruknął.

Tylne światło zniknęło.

W końcu okazało się, że wszystkiemu winien był Alois Graf, emeryt i cichy sympatyk ekstremalnie prawicowej partii austriackiej, choć jego sympatie nie miały nic wspólnego z tym, co zaszło. Graf niedawno owdowiał i od tego czasu cierpiał na bezsenność. Właściwie nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy od śmierci ukochanej Trudi udało mu się przespać więcej niż dwie czy trzy godziny. To samo odnosiło się do Schultziego, jego dziewięcioletniego jamnika. Pies właściwie nie należał do niego, tylko do Trudi. Schultzie nigdy nie darzył Grafa wielkim uczuciem i na odwrót. A teraz stali się współtowarzyszami z celi, braćmi w smutku, bezsenności i depresji.

Pies był dobrze wyszkolony w etykiecie wypróżniania i brał pod uwagę potrzeby innych, ale od jakiegoś czasu wyrażał ochotę wyjścia o najdziwniejszych porach. Graf również brał pod uwagę potrzeby innych i nigdy nie protestował, gdy Schultzie przychodził do niego nad ranem z desperackim spojrzeniem w pełnych niechęci oczkach.

Tamtej nocy, według zegarka, który stał na szafce przy łóżku Grafa, wezwanie nadeszło dwadzieścia pięć minut po północy. Ulubionym miejscem Schultziego był skrawek trawy przy amerykańskim barze z fast foodem na Brünnerstrasse. Cieszyło to Grafa, bo uważał, że ta restauracja, o ile w ogóle można to nazwać restauracją, szpeci okolicę. Ale z drugiej strony Graf nigdy nie lubił Amerykanów. Był na tyle stary, że pamiętał powojenny Wiedeń, podzielone miasto szpiegów i nieszczęścia. Wolał Brytyjczyków niż Amerykanów. Brytyjczycy w każdym

razie obdarzeni byli pewnym sprytem.

Żeby dotrzeć na skrawek ziemi obiecanej Schultziego, trzeba było przejść przez Brünnerstrasse. Graf, dawny dyrektor szkoły, popatrzył w prawo, a potem w lewo, zanim zszedł z krawężnika. Zauważył pojedyncze przednie światło motocykla, który nadjeżdżał od strony centrum, i zatrzymał się niezdecydowanie. Motocykl był jeszcze daleko, Graf nie słyszał żadnego dźwięku. Z pewnością miał dość czasu, by dotrzeć na drugą stronę ulicy. Mimo wszystko lekko szarpnął smycz Schultziego, żeby pies nie zatrzymał się na środku jezdni, co czasem lubił robić.

W połowie drogi jeszcze raz spojrzął w stronę motocykla, który w ciągu trzech czy czterech sekund znacznie się przybliżył. Jechał z ogromną szybkością, o czym świadczył również wysoki napięty dźwięk silnika, który Graf słyszał teraz wyraźnie. Schultzie również go usłyszał i stanął nieruchomo jak posąg, nie zamierzając się ruszyć, choć Graf nerwowo szarpał za smycz.

- Komm, Schultzie! Mach schnell!

Zero reakcji, zupełnie jakby zwierzę przyrosło do asfaltu.

Motocykl znajdował się już o jakieś sto metrów od nich, mniej więcej o długość boiska przy dawnej szkole Grafa. Graf pochylił się, żeby pochwycić psa, ale za późno: motocykl był tuż przy nich. W ostatniej chwili nieco skręcił i niemal otarł się o kurtkę Grafa, przejeżdżając tuż za jego plecami. Zaraz potem Graf usłyszał okropny zgrzyt metalu i zobaczył wyrzuconą w powietrze postać w czarnym stroju. Motocyklista poszybował tak daleko, jakby umiał latać, ale kolejny dźwięk – odgłos ciała uderzającego o chodnik – świadczył o tym, że jednak nie.

Kilka razy przekoziołkował, pokonując parę następnych metrów, i w końcu znieruchomiał. Graf zamierzał podejść do

niego choćby po to, by potwierdzić to, co zdawało się oczywiste, ale z tej samej strony szybko nadjeżdżał kolejny pojazd. Tym razem był to samochód. Z wyrrywającym się Schultziem w ramionach Graf szybko zszedł z jezdni. Samochód zwolnił przy wraku motocykla i zatrzymał się przy postaci w czarnym stroju leżącej nieruchomo na ulicy.

Z samochodu wysiadł pasażer. Był wysoki i chudy, jasna twarz wydawała się świecić w ciemności. Popatrzył na mężczyznę na ulicy i zdaniem Grafa bardziej ze złością niż współczuciem zdjął z jego głowy roztrzaskany kask, a potem zrobił coś dziwnego, o czym Graf nigdy nikomu nie powiedział: sfotografował twarz martwego człowieka telefonem komórkowym. Błysk lampy zaskoczył Schultziego i pies zaniósł się szczekaniem. Mężczyzna popatrzył zimno na Grafa i znów wsiadł do samochodu, który w następnej chwili odjechał.

Ciszę nocy rozdarły syreny. Alois Graf powinien pozostać na miejscu i opowiedzieć Bundespolizei o tym, czego był świadkiem, ale nie zrobił tego, tylko wrócił szybko do domu, trzymając w ramionach wyrrywającego się Schultziego. Graf pamiętał powojenny Wiedeń i uznał, że czasami lepiej jest nic nie widzieć.

6

Wiedeń - Tel Awiw

Dwóch martwych ludzi oddalonych od siebie o mniej więcej sześć kilometrów. Do jednego strzelono dwukrotnie z bliskiej odległości, drugi zginął w wypadku motocyklowym, jadąc z dużą prędkością, i miał przy sobie broń dużego kalibru, hk45 Tactical z tłumikiem. Przy żadnym wypadku nie było świadków i żadnego nie zarejestrowały kamery monitoringu. Ale to nie miało znaczenia, gdyż wystarczająco wiele opowiedział śnieg, ślady opon i stóp, łuski naboju oraz krew. Austriacy pracowali szybko, bo zapowiadano silne opady deszczu, a potem dwa dni niezwyklego na tę porę roku ocieplenia. Zmiany klimatu działały przeciwko nim.

Mężczyzna, który został śmiertelnie postrzelony, miał przy sobie telefon komórkowy, portfel i rosyjski paszport, według którego nazywał się Oleg Gurkowski. Z dokumentów znalezionych w portfelu wynikało, że mieszkał w Moskwie i pracował w firmie telekomunikacyjnej. Rekonstrukcja ostatnich godzin jego życia nie nastręczyła trudności. Lot Aerofłotu z Moskwy do Budapesztu. Pokój w hotelu InterContinental, gdzie, o dziwo, zostawił bagaż. Nocny pociąg do Wiednia. Kamery bezpieczeństwa na Westbahnhof zarejestrowały, jak wsiadał do taksówki, a taksówkarz przesłuchany przez policję przypomniał sobie, że wysadził go przy hotelu Best Western na Stubenring. Stamtąd Gurkowski przeszedł przez Donaukanal mostem Schwedenbrücke, a za nim podążał pieszo jakiś mężczyzna.

Policja znalazła kilka fragmentów nagrań z kamer sklepowych i drogowych, na których dało się częściowo zobaczyć twarz owego mężczyzny. Zostawił również ślady butów, szczególnie na Karmeliterplatz, gdzie śnieg był prawie nienaruszony. Według europejskiej numeracji buty z gładką podeszwą miały rozmiar czterdzieści osiem. Ekipa śledcza odkryła kilka pasujących śladów tuż obok ciała, a także sześć łusek, kaliber .45 oraz ślady opon motocyklowych marki Metzeler Lasertec. Analiza bieżnika pozwoliła bez żadnych wątpliwości powiązać te ślady z motocyklem BMW, którego wrak znaleziono na Brünnerstrasse, a analiza balistyczna potwierdziła, że łuski pasują do hk45 Tactical, który motocyklista miał przy sobie, gdy wbił się w zaparkowany samochód. Poza tym mężczyzna nie miał nic – ani paszportu, ani prawa jazdy, ani gotówki czy kart kredytowych. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, ale policja mogła się mylić w ocenie, bo twarz przeszła rozległe operacje plastyczne. Wyglądało na to, że był profesjonalistą.

Ale dlaczego profesjonalny zabójca stracił kontrolę nad motocyklem na Brünnerstrasse? Kim był mężczyzna, który szedł pieszo za zamordowanym Rosjaninem od hotelu Best Western aż do miejsca w Drugiej Dzielnicy, gdzie Rosjanina dwukrotnie postrzelono z bliska? A przede wszystkim po co Rosjanin przyjechał z Budapesztu do Wiednia? Czy został tu zwabiony albo wezwany, a jeśli tak, to przez kogo? Pominąwszy te pytania, wyglądało to na profesjonalne zabójstwo przeprowadzone przez bardzo kompetentne służby wywiadowcze.

Bundespolizei podczas pierwszych godzin dochodzenia zachowywała takie wnioski dla siebie, ale media mogły spekulować, ile tylko chciały. Już przed południem uznały, że

Oleg Gurkowski był dysydentem, choć żaden z rosyjskich opozycjonistów o kimś takim nie słyszał. Jednak pewni ludzie w Rosji, a wśród nich prawnik, o którym mówiono, że jest osobistym przyjacielem samego Cara, czyli Putina, twierdzili, że znają go dobrze, tyle że nie jako Olega Gurkowskiego. Utrzymywali, że naprawdę nazywał się Konstantin Kirow i był tajnym agentem SWR, wywiadu rosyjskiego.

I właśnie wtedy, około południa, na portalach z wiadomościami i w mediach społecznościowych zaczął się pojawiać strumyczek artykułów, tweetów, ćwierknień, beknień, postów na blogach i innych form nowoczesnego dyskursu. Na początku te doniesienia sprawiały wrażenie spontanicznych, ale to wrażenie wkrótce znikło. Prawie cały materiał napływał z Rosji albo z byłych sowieckich republik bądź państw satelickich. Żadne z rzekomych źródeł nie zostało sprecyzowane, a w każdym razie nie w sposób, który dałoby się zweryfikować. Każde z tych doniesień stanowiło tylko fragment większej układanki, ale gdy złożyło się je wszystkie razem, wniosek był oczywisty: Konstantin Kirow, oficer rosyjskiej SWR, został zamordowany z zimną krwią przez wywiad izraelski na bezpośredni rozkaz jego dyrektora, znanego rusofoba Gabriela Allona.

Kreml wydał takie oświadczenie o trzeciej po południu, a o czwartej rosyjski portal z wiadomościami Sputnik opublikował fotografię, która miała przedstawiać Allona wychodzącego z budynku mieszkalnego w pobliżu miejsca zabójstwa w towarzystwie drobnego człowieka o zamazanej twarzy. Pochodzenie tej fotografii było niejasne. Sputnik twierdził, że dostał ją od austriackiej Bundespolizei, choć sama Bundespolizei temu zaprzeczała. Mimo wszystko zło zostało

wyrządzone. Wynajęci eksperci telewizyjni w Londynie i Nowym Jorku, łącznie z kilkoma, którzy dostąpili zaszczytu osobistego spotkania z Allonem, przyznali, że mężczyzna na fotografii bardzo go przypomina. Minister spraw wewnętrznych Austrii również się z tym zgodził.

Publicznie rząd Izraela nie powiedział nic, zgodnie ze swoją od dawna stosowaną polityką niekomentowania spraw związanych z wywiadem. Ale wczesnym wieczorem, gdy napięcie narastało, premier podjął niezwykle krok i osobiście zaprzeczył, by Izrael w jakikolwiek sposób wmieszany był w śmierć Kirowa. To oświadczenie zostało przyjęte ze sceptycyzmem, być może słusznie. Co więcej, zwrócono uwagę na to, że dementi wyszło z ust premiera, a nie samego Allona. Milczenie tego ostatniego, jak stwierdził pewien szpieg amerykański, było bardzo wymowne.

W istocie Gabriel nie mógł wówczas niczego skomentować, bo siedział zamknięty w zabezpieczonym pomieszczeniu Ambasady Izraela w Berlinie, monitorując ostrożne ruchy swojego zespołu operacyjnego. Po ósmej wieczorem, gdy wszyscy już bezpiecznie dotarli do Tel Awiwu, a Christopher Keller wrócił do domu w Londynie, Gabriel wymknął się niespostrzeżenie z ambasady i wsiadł do samolotu El Al lecącego do Tel Awiwu. Nawet personel lotu nie znał jego prawdziwej tożsamości. Allon nie spał już drugą noc z rzędu. Wspomnienie martwego Konstantina Kirowa leżącego w śniegu nie pozwalało mu zmrużyć oczu.

Było jeszcze ciemno, gdy samolot wylądował na lotnisku Ben Guriona. Na końcu pasa startowego czekało dwóch ochroniarzy, którzy przeprowadzili Gabriela przez terminal do nieoznakowanych drzwi na lewo od stanowiska kontroli

paszportowej. Za tymi drzwiami znajdował się pokój zarezerwowany dla pracowników Biura wracających z zagranicznych misji, trwale przesycony zapachem papierosów, przypalonej kawy i męskiego potu. Ściany były wyłożone imitacją jerozolimskiego wapienia, składane krzesła pokrywał czarny winyl. Na jednym z nich, skąpany w jaskrawym świetle, siedział Uzi Navot. Jego szary garnitur wyglądał, jakby Uzi w nim spał, a oczy za modnymi okularami bez oprawek były czerwone ze zmęczenia. Podniósł się i zerknął na wielki srebrny zegarek, który dostał na ostatnie urodziny od swojej żony Belli. To Bella kupiła lub wybrała małżonkowi wszystkie bez wyjątku ubrania i dodatki, łącznie z parą nowych oksfordów, które zdaniem Gabriela miały o wiele za długie czuby jak dla człowieka w wieku Navota i o jego zawodzie.

- Co ty tu robisz, Uzi? Jest trzecia nad ranem.
- Musiałem odpocząć.
- Od czego?

Navot uśmiechnął się smutno i poprowadził Gabriela korytarzem. Nad głowami mieli świetlówki jarzące się ostrym blaskiem. Korytarz prowadził do zabezpieczonych drzwi, a drzwi do zamkniętego obszaru położonego tuż obok głównego pierścienia drogi otaczającej lotnisko. W żółtym świetle latarni przesuwała się tamtędy kolumna samochodów. Navot ruszył w stronę otwartych drzwi pasażera w SUV-ie Gabriela, ale naraz zatrzymał się, okrążył samochód od tyłu i przeszedł na stronę kierowcy. Navot był bezpośrednim poprzednikiem Gabriela na stanowisku szefa. Bezprecedensowo zrywając z tradycją Biura, zgodził się zostać jego zastępcą, zamiast zgodnie z życzeniem Belli przyjąć propozycję lukratywnej pracy w kalifornijskiej firmie dostarczającej sprzęt dla wojska. Teraz

z pewnością żałował tej decyzji.

- Na wypadek, gdybyś się zastanawiał - powiedział Gabriel, gdy SUV ruszył - nie zabiłem go.

- Nie martw się, wierzę ci.

- Chyba tylko ty jeden. - Gabriel wziął do ręki egzemplarz „Ha-Arec” leżący na siedzeniu między nimi i ponuro popatrzył na nagłówek. - Wiesz, że nie jest dobrze, kiedy gazeta z twojego miasta uznaje cię za winnego.

- Wysłaliśmy wiadomość do prasy z jasnym przekazem, że nie mieliśmy nic wspólnego ze śmiercią Kirowa.

- Ale jasne jest, że wam nie uwierzyli - powiedział odparł Gabriel, przeglądając pozostałe gazety.

Wszystkie ważniejsze publikacje bez względu na orientację polityczną uznały, że wydarzenia w Wiedniu to spaprana operacja Biura i domagały się oficjalnego dochodzenia. „Ha-Arec”, dziennik o lewicowej orientacji, posunął się nawet do rozważań, czy Gabriel Allon, uzdolniony oficer operacyjny, nadaje się na stanowisko szefa. Jak szybko wszystko się zmienia, pomyślał Allon. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej fetowano go jako człowieka, który wyeliminował Saladyna, mózg stojący za terrorem ISIS, i zapobiegł zrzuconiu brudnej bomby na okolicę Downing Street w Londynie. A teraz to.

- Muszę przyznać - powiedział Navot - że to zdjęcie bardzo przypomina cię. - Wpatrywał się w fotografię Gabriela na pierwszej stronie „Ha-Arec”. - A ten człowieczek koło ciebie również przypomina mi kogoś, kogo znam.

- W budynku po przeciwnej stronie ulicy musiała być ekipa SWR. Sądząc po kącie ujęcia, przypuszczam, że na drugim piętrze.

- Analitycy uważają, że raczej na trzecim.

- Tak?

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa - ciągnął Navot - Rosjanie mieli jeszcze kogoś przed budynkiem. W samochodzie, a może w innym mieszkaniu.

- To znaczy, że wiedzieli, dokąd idzie Kirow.

Navot powoli pokiwał głową.

- Chyba powinieneś się cieszyć, że przy okazji nie zabili również ciebie.

- Szkoda. Wtedy miałbym lepszą prasę.

Zbliżali się już do wyjazdu z lotniska. Na prawo była Jerozolima, żona i dzieci Gabriela, na lewo Tel Awiw i bulwar Króla Saula. Gabriel kazał kierowcy zawieźć się do Biura.

- Na pewno? - zapytał Navot. - Chyba przydałoby ci się parę godzin snu.

- I co wtedy o mnie napiszą?

Navot przycisnął zamek cyfrowy walizeczki ze stali nierdzewnej, wyjął z niej fotografię i podał Gabrielowi. To było zdjęcie zabójcy Konstantina Kirowa zrobione przez Michaiła. W oczach tliła się jeszcze resztką światła. Reszta twarzy była zmasakrowana, ale nie wskutek wypadku - skóra została ponaciągana i pozszywana do tego stopnia, że twarz prawie nie przypominała ludzkiej.

- Wygląda jak pewna bogata kobieta, którą spotkałem kiedyś na aukcji dzieł sztuki - stwierdził Gabriel. - Wrzuciłeś to w bazę?

- Kilka razy.

- I?

- I nic.

Gabriel oddał zdjęcie Navotowi.

- Można się zastanawiać, dlaczego tak doskonale wyszkolony

agent nie wyeliminował jedyne go zagrożenia dla swojego życia.

- Michaiła?

Gabriel powoli pokiwał głową.

- Strzelił do niego cztery razy.

- I cztery razy chybił. Z tej odległości nawet ty byś w niego trafił, Uzi.

- Myślisz, że kazano mu chybić?

- Z całą pewnością.

- Dlaczego?

- Może uznali, że z powodu martwego Izraelczyka historia na okładki będzie mniej wiarygodna. Albo może mieli inny powód - odrzekł Gabriel. - To Rosjanie. Oni zwykle mają jakieś inne powody.

- Po pierwsze, dlaczego zabili Kirowa w Wiedniu? Przecież mogli przemaglować go w Moskwie i potem go zastrzelić.

Gabriel postukał palcem w stertę gazet.

- Może chcieli wykorzystać okazję, żeby śmiertelnie zranić mnie.

- Istnieje proste rozwiązanie - zauważył Navot. - Ogłosić całemu światu, że Konstantin pracował dla nas.

- W tym momencie już na pierwszy rzut oka wyglądałoby to na legendę. Poza tym w ten sposób wysłalibyśmy przekaz do wszystkich naszych potencjalnych współpracowników, że nie potrafimy chronić tych, którzy dla nas pracują. To zbyt wysoka cena.

- Więc co zrobimy?

- Na początek muszę się dowiedzieć, kto dał Rosjanom adres naszego bezpiecznego mieszkania w Wiedniu.

- Na wypadek, gdybyś się zastanawiał, to nie byłem ja - powiedział Navot.

- Nie martw się, Uzi, wierzę ci.

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

życzeniem Uziiego Navota w ostatnim roku jego kadencji jako szefa wywiadu było przeniesienie siedziby Biura z bulwaru Króla Saula do błyszczącego nowego kompleksu budynków na północnych obrzeżach Tel Awiwu, w Ramat ha-Szaron. Mówiono, że za tym pomysłem stała Bella. Nigdy nie lubiła starego budynku, nawet gdy pracowała tam jako analityk do spraw związanych z Syrią, i uważała, że nie godzi się, by służba wywiadowcza o zasięgu ogólnoswiatowym miała siedzibę w takim miejscu. Marzyła o izraelskiej wersji Langley albo Vauxhall Cross, nowoczesnym pomniku wywiadowczej sprawności Izraela. Osobiście akceptowała projekty architektoniczne, lobbowała u premiera i w Knesecie w sprawie koniecznych funduszy i nawet wybrała lokalizację – pustą działkę przy parku technologicznym w pobliżu węzła Glilot sąsiadującego z centrum handlowym i multipleksem Cinema City. Ale Gabriel w jednej ze swoich pierwszych oficjalnych decyzji jednym eleganckim pociągnięciem pióra odesłał ten plan na półkę. W sprawach wywiadu i sztuki był tradycjonalistą. Wierzył, że stare metody są lepsze od nowych i w żadnym wypadku nie zgodziłby się na przeniesienie Biura w miejsce potocznie znane w Izraelu jako Węzeł Glilot.

- Jak mielibyśmy o sobie mówić? - zapytał Eliego Lavona. - Zrobilibyśmy z siebie pośmiewisko.

Stary budynek miał swoje uroki, a co ważniejsze, czuło się tam historię. Owszem, był ponury i bezbarwny, ale – podobnie

jak z Elim Lavonem - jego zaletą była anonimowość. Nad wejściem nie wisiał żaden szyld ani emblemat, żadne złote litery nie wyjawiały, kto go zajmuje. Zupełnie nic nie wskazywało na to, że mieści się tu jedna z najbardziej szanowanych i budzących lęk służb wywiadowczych w świecie.

Gabinet Gabriela znajdował się na najwyższym piętrze i miał widok na morze. Ściany były zawieszane obrazami. Kilka wyszło spod jego własnej ręki - te niepodpisane, kilka innych namalowała jego matka. W kącie stały stare włoskie sztalugi, na których analitycy ustawiali fotografie i diagramy. Nawet przeniósł swoje duże szklane biurko do nowego gabinetu po drugiej stronie korytarza, ale zostawił ścianę z telewizorami, które pokazywały wiadomości z całego świata. Kiedy Gabriel wszedł do gabinetu, na kilku ekranach migają obrazy z Wiednia, a na panelu zarezerwowanym dla BBC World Service zobaczył własną twarz. Podkręcił głoś i dowiedział się, że premier Wielkiej Brytanii Jonathan Lancaster, który zawdzięczał mu karierę, wyraża głębokie zaniepokojenie oskarżeniem Izraela o udział w śmierci Konstantina Kirowa.

Gabriel ściszył dźwięk, poszedł do prywatnej łazienki, wziął prysznic i przebrał się w czyste ubranie, a po powrocie do gabinetu zastał tam Jakowa Rossmana, szefa Wydziału Operacji Specjalnych. Jakow miał włosy, które przypominały kłębek stalowego drutu i zafrasowaną twarz o twardych rysach. W ręce trzymał kopertę i ponuro patrzył na wiadomości BBC.

- I można tu wierzyć Lancasterowi?
- Ma swoje powody.
- Na przykład jakie?
- Chroni własny wywiad.
- Dwulicowe dranie - wymamrotał Jakow. - Nie trzeba było

dawać im wglądu do materiałów Kirowa. - Położył kopertę na biurku Gabriela.

- Co to jest?
- Moja rezygnacja.
- Dlaczego napisałeś rezygnację?
- Bo straciliśmy Kirowa.
- A czy to twoja wina?
- Chyba nie.

Gabriel wrzucił kopertę do niszcarki.

- Czy ktoś jeszcze zamierza złożyć rezygnację?
- Rimona.

Rimona Stern była szefową Wydziału Zbierania Danych i odpowiadała za prowadzenie agentów Biura na całym świecie. Gabriel podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrał numer jej gabinetu.

- Przyjdź tutaj i weź z sobą Jossiego.

Odłożył słuchawkę, a w następnej chwili Rimona wpadła do środka. Agentka o włosach w kolorze piasku i szerokich biodrach słynęła z wybuchowego temperamentu. Miała to we krwi. Jej wujem był Ari Szamron. Gabriel znał ją od dziecka.

- Jakow mówi, że masz coś dla mnie - powiedział.
- O czym ty mówisz?
- O twojej rezygnacji. Dawaj ją tutaj.
- Jeszcze nie napisałam.
- To nie trudź się, bo i tak jej nie przyjmę.

Gabriel popatrzył na Jossiego Gawisza, który zatrzymał się w progu. Był wysoki, łysiejący, cały w tweedach i nosił się z dystansem primadonny. Urodził się w Londynie, w dzielnicy Golders Green, i przed emigracją do Izraela ukończył Oksford. Wciąż mówił po hebrajsku z wyraźnym angielskim akcentem

i regularnie zamawiał herbatę w sklepie na Piccadilly.

- A ty, Jossi? Czy ty też zamierzasz złożyć rezygnację?

- Dlaczego miałbym stracić pracę? Jestem tylko analitykiem.

Gabriel wbrew sobie uśmiechnął się przelotnie. Jossi nie był zwykłym analitykiem. Prowadził cały departament, który w leksykonie Biura nazywano departamentem badawczym. Często nie znał tożsamości wysoko postawionych agentów, tylko ich pseudonimy i kryptonimy, ale należał do wąskiego kręgu pracowników, którzy dostali nieograniczony dostęp do akt Kirowa.

- Nie chcę więcej słyszeć o rezygnacjach, rozumiecie? - powiedział Gabriel. - Poza tym jeśli ktoś tu ma stracić pracę, to tylko ja.

- Ty? - zdumiał się Jossi.

- Nie czytałeś gazet? Nie oglądałeś telewizji? - Wzrok Gabriela zatrzymał się na ścianie z ekranami. - Domagają się mojej krwi.

- I to przeminie.

- Może - przyznał Gabriel - ale chciałbym, żebyście mi pomogli zwiększyć szanse przetrwania.

- Jak?

- Dostarczając mi nazwisko osoby, która podpisała wyrok śmierci na Kirowa.

- To nie ja - rzekł krótko Jakow.

- Cieszę się, że to wyjaśniliśmy. - Gabriel spojrzał na Rimonę.

- A ty? Wydałaś Kirowa Rosjanom?

Rimona zmarszczyła czoło.

- A może to byłeś ty, Jossi? - dodał Gabriel. - Zawsze wydawało mi się, że jesteś zdradzieckim typem.

- Nie patrz na mnie. Ja jestem tylko analitykiem.

- To wracaj do gabinetu i zajmij się analizą. I przynieś mi to nazwisko.

- Tego się nie da zrobić szybko. Trzeba sporo czasu.

- Oczywiście. - Gabriel usiadł przy biurku. - Masz siedemdziesiąt dwie godziny.

Reszta dnia wlokła się jak w izbie tortur. Zdawało się, że wieczór nigdy nie nadejdzie. Co chwilę pojawiała się kolejne pytanie, na które Gabriel nie znał odpowiedzi. Pocieszał się, próbując pocieszyć innych. Rozmawiali w małych grupkach, bo w przeciwieństwie do sztabów CIA i MI6, przy bulwarze Króla Saula nie było formalnego audytorium. Taką decyzję podjął Szamron. Uważał, że szpiedzy nie powinni nigdy się gromadzić w jednym miejscu w pracy ani po to, by świętować, ani żeby obchodzić żałobę. Nie aprobował również mów motywacyjnych w amerykańskim stylu. Twierdził, że wystarczającą motywacją powinny być dla nich zagrożenia stojące przed Izraelem.

Późnym popołudniem, gdy gabinet zalewało cynobrowe światło, Gabriel otrzymał wezwanie od premiera. Sprzątnął z biurka kilka teczek dotyczących rutynowych spraw, sprawdził, co słyhać w paru bieżących operacjach i o wpół do dziewiątej, wyczerpany, wsiadł do konwoju, który zawiózł go na ulicę Kaplan w Jerozolimie. Podobnie jak wszyscy goście odwiedzający gabinet premiera, przed wejściem musiał oddać komórkę. Zabezpieczone przed podsłuchem pudło, w którym ją zostawił, nazywano ulem, a bezpieczne pomieszczenie, które znajdowało się dalej, zostało ochrzczone mianem akwarium. Premier powitał go wylewnie, lecz z wyraźnym chłodem. Jego kadencji, najdłuższej od czasów Dawida Ben Guriona, zagrażało dochodzenie w sprawie finansów osobistych i absolutnie nie

potrzebował teraz skandalu związanego ze służbami wywiadowczymi.

Zwykle Gabriel i premier siadali w wygodnych fotelach i tam rozmawiali o prywatnych sprawach bądź omawiali bieżące wydarzenia, ale tego wieczoru premier pozostał przy swoim biurku pod portretem Theodora Herzla, założyciela dziewiętnastowiecznego ruchu syjonistycznego, który doprowadził do przywrócenia władzy Żydów nad częścią historycznej Palestyny. Pod nieugiętym spojrzeniem Herzla Gabriel zreferował wszystkie fakty, jakie znał. Premier słuchał spokojnie, równie nieruchomy jak fotografia nad jego ramieniem.

- Wiesz, jak spędziłem dzisiejszy dzień? - zapytał, gdy Gabriel skończył mówić.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Osiemnastu moich zagranicznych odpowiedników uznało za stosowne zadzwonić do mnie osobiście. Osiemnastu! Ostatni raz coś takiego zdarzyło się podczas ostatniej wojny w Gazie. I wszyscy zadawali mi to samo pytanie. Jak mogłem być tak lekkomyślny, aby pozwolić, żeby mój słynny szef wywiadu zastrzelił rosyjskiego agenta wywiadu w samym sercu Wiednia?

- Niczego takiego nie zrobiłeś. Ja też nie.

- Próbowałem im to wyjaśnić, ale nikt mi nie wierzył.

- Nie jestem pewny, czy ja sam bym ci uwierzył - przyznał Gabriel.

- Nawet mój przyjaciel w Białym Domu był sceptyczny. Co za tupet - mruknął premier. - On ma większe kłopoty niż ja, a to już coś znaczy.

- Podejrzewam, że Jonathan Lancaster nie dzwonił.

Premier potrząsnął głową.

- Ale kanclerz Austrii trzymał mnie przy telefonie prawie przez godzinę. Mają podobno niepodważalne dowody, że to my stoimy za morderstwem Rosjanina. Zapytał również, czy chcemy dostać ciało naszego zabójcy.

- Czy powiedział coś więcej o tych dowodach?

- Nie, ale nie wyglądało na to, że blefuje. Dał mi jasno do zrozumienia, że zapewne zostaną wprowadzone sankcje dyplomatyczne.

- Jak poważne?

- Wydalenia. Może zerwanie stosunków dyplomatycznych. Kto wie? Mogą wydać parę nakazów aresztowania. - Premier przez chwilę patrzył na Gabriela. - Nie chcę z powodu tej sprawy stracić ambasady w Europie Zachodniej. Ani szefa mojego wywiadu.

- Co do tego zgadzamy się w zupełności - stwierdził Gabriel.

Premier spojrzał na telewizor, który pokazywał wiadomości z wyłączonym dźwiękiem.

- Udało ci się pozbawić mnie przywódczej pozycji. To spore osiągnięcie.

- Proszę mi wierzyć, że nie takie były moje intencje.

- Poważne głosy wzywają do niezależnego audytu.

- Nie ma tu czego audytować. Nie zabiliśmy Konstantina Kirowa.

- Ale z całą pewnością wygląda na to, że to wy zrobiliście. Audyt może być konieczny dla zachowania pozorów.

- Sami sobie z tym poradzimy.

- Na pewno? - W głosie premiera brzmiały wyraźne wątpliwości.

- Dowiemy się, co poszło nie tak. Jeśli okaże się, że część winy była po naszej stronie, podejmiemy odpowiednie środki.

- Zaczynasz mówić jak polityk.
 - Czy to ma być komplement?
- Premier uśmiechnął się zimno.
- W żadnym wypadku.

Ulica Narkiss, Jerozolima

Chiara wieczorami rzadko oglądała telewizję. Wychowana w chronionym świecie żydowskiego getta w Wenecji, wykształcona na uniwersytecie w Padwie, uważała się za staroświecką kobietę i lekceważąco patrzyła na nowoczesne przeszkadzajki, takie jak smartfony, media społecznościowe i światłowodowe łącza telewizyjne, które pozwalały odbierać tysiąc nienadających się do oglądania kanałów telewizyjnych w jakości HD. Gdy Gabriel wracał do domu, zwykle zastał ją pogrążoną w czytaniu jakiejś historycznej cegły – kiedy Biuro ją zrekrutowało, kończyła doktorat z historii Cesarstwa Rzymskiego – albo poważnego dzieła literackiego dostarczonego pocztą od księgarza z via Condotti w Rzymie. Ostatnio zaczęła czytać również popularne powieści szpiegowskie, które dawały jej poczucie więzi, jakkolwiek słabej i mało realistycznej, z życiem, z którego chętnie zrezygnowała, by zostać matką.

Jednak tego wieczoru, gdy Gabriel wrócił do swojego silnie strzeżonego mieszkania w jerozolimskiej dzielnicy Nachlaot, jego żona z ponurą twarzą oglądała kablowy amerykański kanał z wiadomościami. Reporter z wyraźnym sceptycyzmem referował zaprzeczenia Izraela, jakoby jego wywiad miał cokolwiek wspólnego z wydarzeniami w Wiedniu. Szef izraelskiego wywiadu, donosił reporter, właśnie opuścił ulicę Kaplan. Według jednego z doradców premiera zajmujących się sprawami bezpieczeństwa narodowego, który pragnął pozostać

anonimowy, spotkanie przebiegło na tyle dobrze, na ile można było się spodziewać.

- Czy coś z tego jest prawdą? - zapytała Chiara.

- Spotkałem się z premierem. Właściwie tylko tyle.

- Nie poszło dobrze?

- Nie zaproponował mi chińskiego jedzenia. Uznałem, że to zły znak.

Chiara wycelowała pilota w ekran i wyłączyła telewizor. Dżinsy ze streczem podkreślały jej długie smukłe nogi, ciemne włosy z rudymi i kasztanowymi refleksami kontrastowały z jasnym swetrem, oczy miały kolor karmelu ze złocistymi plamkami. W tej chwili patrzyła na Gabriela ze źle maskowanym współczuciem. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak wygląda. Stres działań operacyjnych zawsze odbijał się na jego twarzy. Po pierwszej operacji, Gniew Boży, posiwił w wieku dwudziestu pięciu lat, a potem było już tylko coraz gorzej.

- Gdzie są dzieci? - zapytał.

- Wyszły z przyjaciółmi. Mówiły, żebyśmy na nie nie czekali. - Prowokacyjnie uniosła brwi. - Mamy cały dom dla siebie. Może miałbyś ochotę zaciągnąć mnie do łóżka i zrobić ze mną, co zechcesz?

To była wielka pokusa. Gabriel już od dawna nie kochał się ze swoją młodą i piękną żoną. Nie miał na to czasu. Chiara zajęta była wychowaniem dwojga dzieci, a Gabriel ochroną kraju. Widywali się przez kilka minut każdego ranka i jeśli im się poszczęściło, przez jakąś godzinę wieczorem, gdy Gabriel wrócił z pracy. W te wieczory, kiedy wydarzenia nie pozwalały mu na przebycie długiej drogi do Jerozolimy, używał należącego do Biura bezpiecznego mieszkania w Tel Awiwie. Nie znosił tego mieszkania. Przypominało mu, jak wyglądało jego życie,

zanim pojawiła się w nim Chiara. Połączyło ich Biuro i teraz to samo Biuro spiskowało, by ich rozdzielić.

- Czy sądzisz, że to możliwe, by dzieci wśliznęły się do mieszkania tak, że ich nie zauważyłaś? - zapytał.

- Wszystko jest możliwe. Może sprawdzisz?

Gabriel cicho podszedł do drzwi pokoju dzieci i otworzył je. Przed wyjazdem do Wiednia wymienił kołyski na dwa łóżeczka. Oznaczało to, że dzieci mogły w nocy poruszać się po mieszkaniu. Teraz jednak spały mocno pod murałem przedstawiającym chmury z obrazu Tycjana, które Gabriel namalował po krwawej konfrontacji z rosyjską służbą wywiadowczą.

Pochylił się i pocałował Rafaela w czoło. Twarz chłopca oświetlona smugą światła z uchylonych drzwi była zdumiewająco podobna do twarzy Gabriela. Odziedziczył nawet jego zielone oczy. Irene jednak bardziej przypominała matkę Gabriela, po której dostała imię. Chiara była składnikiem pominiętym w genetycznym przepisie na dzieci. To się z czasem zmieni, pomyślał Gabriel. Takiej urody, jaką mogła się poszczycić, nie da się zupełnie stłumić.

- Czy to ty, *abba*?

To był głos Irene. Rafael potrafiłby przespać wybuch bomby, ale Irene miała lekki sen, podobnie jak Gabriel. Pomyślał, że doskonale nadawałaby się na szpiega.

- Tak, kochanie - szepnął. - To ja.

- Zostań tu na chwilę.

Gabriel przysiadł na skraju łóżka.

- Pogłaszcz mnie po plecach - nakazała, a Gabriel delikatnie położył dłonie na ciepłej piżamie. - Miałaś dobrą podróż?

- Nie - odrzekł szczerze.

- Widziałam cię w telewizji.
- Naprawdę?
- Byłeś bardzo poważny.
- Gdzie się nauczyłaś takiego słowa?
- Jakiego?
- Poważny.
- Od mamy.

Takim właśnie językiem mówiono w domu Allonów. Dzieci nazywały Gabriela *abba*, co po hebrajsku znaczy ojciec, ale Chiare zawsze nazywały mamą. Uczyły się jednocześnie hebrajskiego, włoskiego i niemieckiego. W rezultacie mówiły językiem, który potrafili zrozumieć tylko rodzice.

- Gdzie byłeś, *abba*?
- W nieciekawym miejscu.
- Zawsze tak mówisz.
- Naprawdę?
- Tak.

Dzieci niezbyt dobrze zdawały sobie sprawę, na czym polega praca ojca. Wiedziały, że czasami pojawia się w telewizji, że jest rozpoznawany w publicznych miejscach i że nieustannie otaczają go ludzie z bronią.

- Opiekowałaś się mamą po moim wyjeździe?
- Próbowałam, ale mama była smutna.
- Tak? Dlaczego?
- Przez coś, co zobaczyła w telewizji.
- Bądź teraz grzeczna i znowu zaśnij.
- Czy mogę spać z tobą i z mamą?
- Absolutnie nie.

Odpowiedział bardzo surowym tonem, mimo to Irene zachichotała. Dom był jedynym miejscem, gdzie nikt nie słuchał

jego rozkazów. Gładził córkę po plecach jeszcze przez minutę, aż jej oddech stał się głęboki i regularny, a potem ostrożnie wstał z łóżka i podszedł do drzwi.

- *Abba?*

- Tak, kochanie?

- Czy możesz mnie jeszcze raz pocałować?

Pocałował ją niezliczoną ilość razy. Całował ją, aż uszczęśliwiona poprosiła go, by już sobie poszedł.

Wszedł do kuchni. Garnek z wodą bulgotał na kuchence, a Chiara ścierała na tarce parmezan z Reggiano. Wydawało się, że nie wkłada to w to żadnego wysiłku, podobnie jak w większość rzeczy, z opieką nad dziećmi włącznie. Gdy uznała, że już wystarczy, odłożyła parmezan, sięgnęła po pecorino i ten również starta. Gabriel szybko obrzucił wzrokiem pozostałe składniki rozłożone na blacie: masło, oliwa, wysoki młynek do pieprzu. Zanosilo się na *cacio e pepe*. To proste danie rzymskie z makaronu było jednym z jego ulubionych, szczególnie gdy przygotowywała je Chiara.

- Wiesz - powiedział, patrząc na nią - w sklepie Mahane Yehuda jest bardzo miły człowiek, który chętnie to za ciebie zrobi.

- A może po prostu powinnam kupić starty ser w słoiku w supermarkecie? - Z wyrzutem potrząsnęła głową. - Ser musi być starty do odpowiedniej grubości, inaczej rezultat będzie katastrofalny.

Gabriel pochmurnie spojrział na nieduży telewizor stojący na końcu blatu.

- Tak jak w Wiedniu.

Chiara wyciągnęła jedną nitkę spaghetti z garnka,

spróbowała i odcedziła całość. Wrzuciła do garnka roztopione masło, oliwę i starte sery, dolała nieco wody, w której makaron się gotował i doprawiła wszystko pieprzem na tyle, by było dość ostre. Zjedli razem przy małym stoliku w kuchni. Między nimi stał włączony telewizorek z wyciszonym dźwiękiem. Chiara zaproponowała toskańskie wino, ale Gabriel odmówił; Bóg jeden wie, co jeszcze może się tej nocy zdarzyć. Chiara nalała sobie niewielki kieliszek i uważnie słuchała, gdy opowiadał o wydarzeniach w Wiedniu.

- I co teraz? - zapytała.

- Musimy przeprowadzić szybkie, ale bezwzględne dochodzenie, żeby się przekonać, skąd wyszedł przeciek.

- Kto znał adres tego mieszkania?

- Eli, Michaił, pracownicy Neviota, pracownik Wydziału Gospodarczego, który je wynajmował, i sześciu ochroniarzy, łącznie z moimi. No i oczywiście Uzi.

- Nie wspomniałeś o Brytyjczyku.

- Nie wspomniałem?

- Myślę, że masz podejrzanego.

- Nie chciałbym w żaden sposób przesądzać wyników dochodzenia.

- Za dużo rozmawiasz z premierem.

- To jedno z zagrożeń mojego nowego stanowiska.

Wzrok Chiary powędrował w stronę telewizora.

- Wybacz mi to, co powiem, ale Uzi na pewno w duchu bardzo się cieszy. Kirowa zrekrutowano podczas jego kadencji, a teraz nie żyje.

- Uzi przez cały czas bardzo mnie wspierał.

- Nie miał wyboru. Ale spróbuj sobie wyobrazić, jak to musi wyglądać z jego punktu widzenia. Kompetentnie prowadził

Biuro przez sześć lat. Może bez fajerwerków – dodała – ale kompetentnie. A w nagrodę został zepchnięty ze stołka, żebyś ty mógł go zająć.

Zapadło milczenie przerywane tylko rytmicznym oddechem dzieci dochodzącym z monitora.

- Wspaniale się zachowałeś z Irene – zauważyła Chiara w końcu. – Była tak podniecona twoim powrotem, że nie chciała iść spać. Muszę powiedzieć, że Rafael dobrze sobie radzi z twoją nieobecnością. Jest małym stoikiem, taki kiedyś zapewne był jego ojciec. Ale Irene okropnie za tobą tęskni, kiedy cię nie ma. – Po chwili dodała: – Prawie tak jak ja.

- Jeśli z tej sprawy wyniknie pełnowymiarowy skandal, to możliwe, że będziesz mnie widywać znacznie częściej.

- Nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić. Ale premier nigdy się nie odważy wyrzucić wielkiego Gabriela Allona. Jesteś najpopularniejszą osobą w kraju.

- Drugą najbardziej popularną – poprawił ją Gabriel. – Ta aktorka jest znacznie bardziej popularna niż ja.

- Nie wierz w sondaże, one nigdy nie mówią prawdy – odparła z uśmiechem Chiara. – Wiesz, Gabrielu, są znacznie gorsze rzeczy niż utrata pracy.

- Na przykład co?

- Na przykład gdyby rosyjski zabójca rozwalił ci mózg. – Podniosła kieliszek do ust. – Na pewno nie chcesz się napić? To całkiem dobre wino.

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

Pomimo troski premiera Gabriel pozostawił dochodzenie w rękach Jossiego Gawisza i Rimony Stern, dwojga swoich najbardziej zaufanych pracowników wyższego szczebla i najbliższych przyjaciół. Zrobił to z osobistych powodów. Ostatnie niezależne dochodzenie Biura przeprowadzone po szeregu nieudanych operacji w późnych latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zaowocowało odwołaniem Ariego Szamrona z niespokojnej emerytury. Wśród jego pierwszych oficjalnych działań była podróż do zachodniej Kornwalii, gdzie Gabriel zamknął się w domku na odludziu, za całe towarzystwo mając obrazy i własną rozpacz. Szamron jak zwykle nie przyjechał z pustymi rękami i zaproponował operację, która miała stać się pierwszym krokiem na długiej drodze Gabriela z dobrowolnego wygnania do gabinetu szefa przy bulwarze Króla Saula. Morał tej historii, przynajmniej z perspektywy Gabriela, był taki, że gdy szpiedzy wpuszczają do swojego kręgu ludzi z zewnątrz, sami ściągają na siebie zagrożenie.

Jossi i Rimona musieli w pierwszej kolejności oczyścić siebie samych z wszelkich podejrzeń w kwestii przecieku. Zrobili to, poddając się dwóm zupełnie niepotrzebnym badaniom na wykrywaczu kłamstw, przez które przeszli bez żadnego trudu. Następnie poprosili o pomoc dodatkowego analityka, a Gabriel niechętnie wypożyczył im Dinę Sarid, ekspertkę od terroryzmu, która miała na swoim biurku stertę aktualnych spraw, w tym

trzy dotyczące ISIS z kategorii tykających bomb zegarowych. Dina nie wiedziała prawie nic o sprawie Kirowa ani o planowanej zdradzie Rosjanina, mimo to Gabriel kazał podłączyć ją do wariografu. Nie było nic dziwnego w tym, że przeszła badanie, podobnie jak Eli Lavon, Michaił Abramow, Jakow Rossman, cały zespół Neviotu, członkowie ochrony oraz pracownik Wydziału Gospodarczego.

Rezultaty pierwszej fazy dochodzenia, którą zakończono następnego dnia w południe, były zgodne z przewidywaniami. Troje analityków nie znalazło żadnych dowodów mogących sugerować, że przeciek wyszedł z personelu Biura. Nie znaleźli również żadnych błędów podczas prowadzenia operacji. Wszyscy troje brali wcześniej udział w przedsięwzięciach znacznie bardziej skomplikowanych niż zwyczajna eksfiltracja dezertera. Jak napisał Jossi w memorandum: „Według naszych standardów było to dziecinnie proste”. Mimo wszystko przyznał, że „działały tu czynniki znane i nieznane”. Najważniejszym z nich wydawała się możliwość, że przeciek wyszedł ni mniej, ni więcej tylko od samego Konstantina Kirowa.

- Jak? - zapytał Gabriel.

- Wysłałeś do niego tego wieczoru cztery esemesy, zgadza się?

- Masz je wszystkie, Jossi. Wiesz, że się zgadza.

- W pierwszej wiadomości kazałeś Kirowowi wyjść z InterContinentalu i pójść pieszo na dworzec kolejowy. W drugiej kazałeś mu wsiąść do ostatniego pociągu do Wiednia. Po przyjeździe miał wziąć taksówkę i pojechać do Best Western. Ale minutę przed tym, zanim tam dotarł, wysłałeś mu adres bezpiecznego mieszkania.

- Wszystko się zgadza.
- Wciąż był w taksówce, a to znaczy, że Michaił i Keller nie widzieli go wyraźnie.
- I co ma z tego wynikać?
- Mógł przekazać tę wiadomość.
- Komu?
- Centrali w Moskwie.
- Żeby go zabili?
- Może sądził, że ten wieczór zakończy się inaczej.
- Jak?
- Na przykład, że ktoś inny stanie się celem.
- Kto?

Jossi wzruszył ramionami.

- Ty.

Od tego zaczęła się druga faza dochodzenia: pełny przegląd historii Konstantina Kirowa, od zrekrutowania przez prowadzenie i ogrom pozyskanych danych. Mądrzejsi o to, co się stało, analitycy dokładnie oglądali każdy raport Kirowa, ale nie znaleźli żadnego dowodu zdrady. Uznali, że Kirow, mimo okoliczności wymuszonej rekrutacji, był niezwykle cenną zdobyczą przez cały czas znoszącą złote jajka.

Biuro jednak nie zatrzymywało wszystkich danych dostarczonych przez Kirowa dla siebie, dzieliło się tą obfitością z Amerykanami i Brytyjczykami. Każda taka operacja dzielenia się danymi była zarejestrowana w wielkiej teczce Kirowa: typ materiału, data, a przede wszystkim lista dystrybucyjna. Jednak nikt w Waszyngtonie ani w Londynie nie znał prawdziwej tożsamości agenta, który występował pod kryptonimem Heathcliff, i tylko garstka oficerów wysokiego szczebla wiedziała o jego zamiarze dezercji. Jeden z pracowników MI6

dostał wcześniej adres wiedeńskiego mieszkania. Nalegał na to, twierdząc, że jest to konieczne, by mógł zapewnić uciekinierowi bezpieczny transfer na międzynarodowe lotnisko w Wiedniu, gdzie czekał mały odrzutowiec Falcon, który miał go zabrać do Londynu.

- My też na jego miejscu chcielibyśmy to wiedzieć - stwierdził Uzi Navot. - Poza tym dostęp do informacji nie jest jeszcze dowodem, że przekazał ją Rosjanom.

- To prawda - zgodził się Gabriel. - Ale to dobre miejsce, żeby zacząć.

Navot podniósł do ust filiżankę z delikatnej porcelany, w której znajdowała się gorąca woda z plasterkiem cytryny. Obok spodka stał talerz z łydżkami selera naciowego ułożonymi starannie tak, żeby wyglądały jak najapetyczniej. Widocznie Bella nie była zadowolona z obecnej wagi Navota, która zmieniała się jak notowania giełdy latynoamerykańskiej. Biedny Uzi większość ostatnich dziesięciu lat spędził na diecie. Jedzenie było jego jedyną słabością, szczególnie ciężka i kaloryczna kuchnia Europy Środkowej i Wschodniej.

- To twoja decyzja - ciągnął - ale ja na twoim miejscu chciałbym mieć coś więcej niż stos podejrzeń, zanim oskarżyłbym oficera zaprzyjaźnionego wywiadu. Prawdę mówiąc, spotkałem go osobiście i nie sprawił na mnie wrażenia typu, który mógłby zdradzić swój kraj.

- Angleton na pewno mówił to samo o Kimie Philbym.

Navot poważnie skinął głową.

- Więc jak zamierzasz to rozegrać?

- Polecę do Londynu i porozmawiam z naszymi partnerami.

- Mogę się zabawić we wróżkę?

- Dlaczego nie?

- Twoi partnerzy kategorycznie odrzucają te podejrzenia, a potem zaczną obwiniać nas za to, co zdarzyło się w Wiedniu. Zawsze tak jest w naszym biznesie, kiedy zdarzy się jakaś katastrofa. Każdy szuka dziury, w której mógłby się ukryć.

- Więc powinienem to tak zostawić? Co chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że opieranie się w tej sprawie na niepewnych przypuszczeniach poważnie zaszkodzi naszym cennym stosunkom.

- Nie mamy żadnych stosunków z Brytyjczykami. Są zawieszony do odwołania.

- A ja się obawiałem, że możesz działać pochopnie. - Navot ściszył głos i dodał: - Nie odmrażaj sobie uszu na złość mamie, Gabrieli.

- Moja matka zawsze mi to powtarzała, ale wciąż nie rozumiem, co to znaczy.

- To znaczy, że powinieneś wrzucić ten raport do niszcarki.

- Nic z tego.

- W takim razie - westchnął Navot - wyślij kogoś do Wiednia, może uda mu się sprawdzić jeszcze kilka szczegółów. Kogoś, kto mówi po niemiecku tak, jakby się tam urodził i ma kontakty w miejscowej służbie bezpieczeństwa. I kto wie, że jeśli odpowiednio rozegra swoje karty, to może uda mu się odwieść Austriaków od przekonania, że zabiliśmy człowieka, który zdezerterował na naszą stronę.

- Znasz kogoś takiego?

- Być może.

Gabriel się uśmiechnął.

- Kiedy już tam będziesz, Uzi, zjedz sobie sznyceł wiedeński. Wiem, że te zrobione w Wiedniu najbardziej ci smakują.

- Sznycele i *rindsgulasch*. - Navot mimowolnie przesunął

dłonią po wydatnym brzuchu. – Właśnie tego potrzebuję. Bella wydziela mi głodowe porcje.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żeby pojechać?

– Ktoś musi. – Nawot popatrzył ponuro na talerz z łądygami selera. – Równie dobrze mogę to być ja.

Las Wiedeński, Austria

Uzi Navot spędził spokojny wieczór z Bellą w wygodnym domu w Petach Tikwa, przedmieściu Tel Awiwu, a w nocy wstał o nieludzkiej trzeciej i o piątej dziesięć wsiadł do samolotu linii El Al zmierzającego do Warszawy. Ten lot w Biurze nazywany był czule polskim ekspresem. W niewielkiej torbie miał dwie zmiany ubrania i dokumenty wystawione na trzy różne tożsamości. Siedząca obok niego trzydziestotrzyletnia kobieta z miasteczka w górnej Galilei nie poznała go. Navot poczuł ulgę, ale jednocześnie, gdy szczerze zastanowił się nad swoimi uczuciami, również głęboką urazę. Przez sześć lat prowadził nienagannie Biuro, a jednak o nim zapomniano. Już dawno z rezygnacją pogodził się z myślą, że zostanie zapamiętany tylko jako wypełniacz stanowiska szefa, ten, który grzał krzesło dla wybrańca. Był jak przypis w historii Biura.

Ale jednocześnie w gruncie rzeczy sprawdził się w szpiegowskiej robocie. Owszem, sprawnością w działaniu nie dorównywał Gabrielowi. Jednak Navot był prawdziwym szpiegiem: rekrutował i prowadził agentów, kolekcjonował sekrety innych ludzi. Przed biurokratyczną karierą przy bulwarze Króla Saula jego najważniejsze pole bitwy stanowiła Europa Zachodnia. Uzbrojony w wiele języków, złowróźbny urok i niewielką fortunę, zrekrutował rozległą siatkę agentów w organizacjach terrorystycznych, w ambasadach, ministerstwach spraw zagranicznych i służbach bezpieczeństwa. Jednym z tych agentów był Werner Schwarz.

Navot zadzwonił do niego tego wieczoru z pokoju hotelowego w Pradze. Głos Wenera brzmiał tak, jakby wypił kieliszek czy dwa za dużo. Werner za bardzo lubił alkohol. Był nieszczęśliwie żonaty i traktował alkohol jako środek znieczulający.

- Spodziewałem się telefonu od ciebie.
- Nie znoszę być tak przewidywalny.
- Przy twojej pracy to raczej wada - zgodził się Werner Schwarz. - Przypuszczam, że wybierasz się do Wiednia.
- Prawdę mówiąc, jutro.
- Lepiej byłoby pojutrze.
- Czas mnie goni, Werner.
- Nie możemy się spotkać w Wiedniu. W mojej pracy wrze.
- W mojej też.
- Mogę sobie wyobrazić. Może w tej małej winnicy w Lesie Wiedeńskim? Pamiętasz ją chyba?
- Z wielką przyjemnością.
- A z kim będę jadł kolację?
- Z monsieur Laffontem. - Vincent Laffont to była jedna z dawnych tożsamości Navota, żyjący na walizkach wolny strzelec piszący o podróżach, z pochodzenia Bretończyk.
- Bardzo chętnie znów się z nim spotkam. Vincent zawsze był jednym z moich ulubieńców - powiedział Werner Schwarz i się rozłączył.

Navot, jak miał w zwyczaju, pojawił się w restauracji pół godziny wcześniej z ozdobnym pudełkiem od Demela, słynnego wiedeńskiego mistrza czekolady. Zjadł większość czekoladek podczas jazdy i w ich miejscu utknął pięć tysięcy euro w gotówce. Właściciel restauracji, nieduży człowieczek w kształcie rosyjskiej matrioski, pamiętał go. Navot, odgrywając rolę monsieur Laffonta, zabawiał go przez chwilę

opowieściami o swoich ostatnich podróżach, a potem rozsiadł się w spokojnym kącie wyłożonej drewnem jadalni i zamówił butelkę grüner veltliner, pewny, że to nie będzie ostatnia. Tylko trzy inne stoliki były zajęte i wszystkie trzy grupki kończyły już lunch. Wkrótce winiarnia opustoszeje. Navot lubił gwar jako tło swoich szpiegowskich zadań, Werner jednak wolał zdradzać kraj w odosobnieniu.

Pojawił się równo o trzeciej, ubrany jak do pracy, w ciemnym garniturze i płaszczu. Zmienił się, odkąd Navot widział go po raz ostatni, i niekoniecznie na lepsze. Był nieco grubszy i bardziej siwy, przybyło również popękanych naczynek na policzkach. Oczy mu się rozjaśniły, gdy Navot napełnił winem dwa kieliszki, zaraz jednak na twarz wrócił wyraz zwykłego rozczarowania, który Werner Schwarz nosił jak krzykliwy krawat. Navot dostrzegł to podczas jednej z podróży do Wiednia i przy pomocy pewnej kobiety, a także nie żałując pieniędzy, wciągnął Wenera do swojej siatki. Werner pracował w BVT, cenionej austriackiej służbie bezpieczeństwa wewnętrznego, i dostarczał cennych informacji w sprawach, które mogły zainteresować Państwo Izrael. Gdy Navot został szefem, musiał oddać kontrolę nad Wernerem i przez kilka lat jedyną formą kontaktu między nimi były pocztówki na Boże Narodzenie oraz regularne przelewy na konto bankowe Wenera w Zurychu.

- Coś dla Lotte - powiedział Navot, podając Wernerowi pudełko.

- Nie trzeba było.

- To tylko drobiazg. Wiem, że jesteś zajęтым człowiekiem.

- Ja? Mam dostęp do informacji, ale właściwie za nic nie odpowiadam. Siedzę na zebraniach i marnuję czas.

- Jak długo jeszcze?

- Jakieś dwa lata.

- Nie zapomnimy o tobie, Werner. Byłeś dla nas ważny.

Austriak lekceważąco pomachał ręką.

- Nie jestem dziewczyną, którą poznałeś w barze. Kiedy pójde na emeryturę, z trudem przypomnisz sobie moje nazwisko.

Navot nie próbował zaprzeczać.

- A co u pana, monsieur Laffont? Widzę, że wciąż jesteś w grze.

- Jeszcze co najmniej przez kilka rund.

- Twoja służba kiepsko cię potraktowała. Zasłużyłeś na coś lepszego.

- Miałem dobrą passę.

- Tylko po to, żeby odrzucono cię na bok na rzecz Allona. - Werner przybrał konspiracyjny ton. - Czy naprawdę wydawało mu się, że ujdzie mu na sucho zabicie agenta SWR w samym środku Wiednia?

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- Uzi, proszę cię.

- Musisz mi uwierzyć, Werner. To nie byliśmy my.

- Mamy dowody.

- Jakie?

- Jeden z członków twojej ekipy zabójców, ten wysoki - mówił Werner z przekonaniem. - Ten, który wygląda jak trup. Pomagał Allonowi kilka lat temu przy tym niewielkim problemie w Stadttempel, a Allon był na tyle głupi, żeby przysłać go znów do Wiednia, żeby zajął się Rosjaninem. Ty nigdy byś nie popełnił takiego błędu, Uzi. Zawsze byłeś bardzo ostrożny.

Navot zignorował to pochlebstwo.

- Nasi pracownicy byli tu wtedy - przyznał - ale nie

z powodu, o którym myślisz. Rosjanin pracował dla nas. Kiedy go zabito, właśnie miał przejść na naszą stronę.

Werner Schwarz się uśmiechnął.

- Ile czasu potrzebowaliście z Allonem, żeby to wymyślić?

- Nie widziałeś samego momentu zabójstwa, prawda, Werner?

- Na tym końcu ulicy nie było kamer i właśnie dlatego wybraliście to miejsce. Analiza balistyczna bez żadnych wątpliwości potwierdziła, że za spust nacisnął agent na motocyklu. - Werner Schwarz urwał na chwilę, po czym dodał:

- A tak w ogóle, moje kondolencje.

- Nie są potrzebne. On nie był nasz.

- Leży w centralnej kostnicy. Naprawdę chcesz go tam zostawić?

- On nas nic nie obchodzi. Możecie z nim zrobić, co chcecie.

- Ależ robimy to.

Właściciel winiarni przyjął od nich zamówienie w chwili, gdy trzy grupy siedzące przy lunchu hałaśliwie zmierzały do drzwi. Za oknami jadalni w Lesie Wiedeńskim zaczął zapadać zmrok. To była spokojna pora, którą Werner Schwarz lubił najbardziej. Nawot dolał mu wina, a potem bez żadnego ostrzeżenia ani wyjaśnienia wypowiedział nazwisko.

Werner Schwarz uniósł brwi.

- A co z nim?

- Znasz go?

- Tylko ze słyszenia.

- A co słyszałeś?

- Dobry agent, który profesjonalnie służy w Wiedniu interesom swojego kraju w zgodzie z naszymi życzeniami.

- To znaczy, że nie próbuje brać na cel austriackiego rządu.

- Ani naszych obywateli. Dlatego nie przeszkadzamy mu w pracy. Przeważnie - dodał Werner Schwarz.

- Masz go pod obserwacją?

- Gdy mogę sobie na to pozwolić. Nasze służby są niewielkie.

- I?

- Jest bardzo dobry w tym, co robi. Ale z mojego doświadczenia wynika, że oni wszyscy tacy są. Stwarzanie pozorów przychodzi im naturalnie.

- Żadnych przestępstw, potknięć ani słabości?

- Od czasu do czasu jakiś romans - odparł Werner Schwarz.

- Ktoś konkretny?

- Dwa lata temu wdał się w romans z żoną pracownika amerykańskiego konsulatu. Powstała spora awantura.

- Co z tym zrobiono?

- Pracownika konsulatu przeniesiono do Kopenhagi, a żona wróciła do Wirginii.

- Coś jeszcze?

- Często lata do Berna, a to jest ciekawe, bo Berno nie należy do jego terytorium.

- Myślisz, że znalazł tam sobie nową dziewczynę?

- Albo może coś innego. Jak wiesz, nasza władza kończy się na szwajcarskiej granicy.

Przyniesiono im pierwsze danie - pasztet z kurzych wątróbek dla Navota i wędzoną pierś kaczki dla Wenera Schwarza.

- Mogę zapytać, dlaczego ten człowiek tak cię interesuje?

- Pewien problem wewnętrzny. Nic poza tym.

- Czy to ma jakiś związek z tym Rosjaninem?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ze względu na zbieżność w czasie.

- Dwie pieczenie przy jednym ogniu - wyjaśnił Navot lekko.

- Nie tak łatwo to zrobić. - Werner Schwarz dotknął wykrochmaloną serwetką ust. - Co znów prowadzi nas do tematu człowieka, który leży w centralnej kostnicy. Jak długo jeszcze zamierzasz udawać, że on nie jest wasz?

- Czy naprawdę sądzisz - odrzekł Navot spokojnie - że Gabriel Allon pozwoliłby ci pochować Żyda w nieoznaczonym grobie w Wiedniu?

- Przyznaję, to nie byłoby w stylu Allona. Nie po tym, przez co przeszedł w tym mieście. Ale ten człowiek w kostnicy nie jest Żydem. W każdym razie nie jest etnicznym Żydem.

- Skąd wiesz?

- Bundespolizei nie potrafiła go zidentyfikować i zleciła badania DNA.

- I co?

- Ani śladu genów aszkenazyjskich. Nie ma też markerów DNA charakterystycznych dla Żydów sefardyjskich. Żadnej arabskiej, północnoafrykańskiej ani hiszpańskiej krwi. Ani kropli.

- Więc kim on jest?

- Rosjaninem. Stuprocentowym.

- Coś takiego - powiedział Navot.

Andaluzja, Hiszpania

Willa przywarła do skraju wielkiego urwiska w górach Andaluzji. Kobięcie podobało się to niezwykle położenie; zdawało się, że dom może w każdej chwili odzepić się od skały. W niektóre noce, gdy leżała bezsennie, wyobrażała sobie, że spada w przepaść razem z pamiątkami, książkami i kotami, które wirują wokół niej jak wielkie tornado pamięci. Zastanawiała się, jak długo mogłaby tak leżeć martwa na dnie doliny, przysypana szczątkami swojej samotnej egzystencji, zanim ktoś by ją zauważył. Czy władze zapewniłyby jej przyzwoity pogrzeb? Czy zawiadomiłyby jej dziecko? Zostawiła w rzeczach osobistych, a także na samym początku autobiografii, kilka starannie ukrytych wskazówek dotyczących tożsamości dziecka. Dotychczas zapisała ołówkiem zaledwie jedenaście stron, a na każdej widoczny był brązowy ślad po kubku do kawy. Wymyśliła już jednak tytuł, co uważała za znaczące osiągnięcie, bo z tytułami zawsze jest najtrudniej. Dzieło miało się nazywać „Inna kobieta”.

Skromne jedenaście stron, dotychczasowy efekt jej wysiłków, nie dawało jej jednak zadowolenia, bo dni tutaj przypominały wielką pustynię czasu. Co więcej, była dziennikarką, a w każdym razie w młodości uchodziła za dziennikarkę. Może to temat, który wybrała, nie pozwalał jej posunąć się dalej. Pisanie o życiu innych – dyktatora, bojownika o wolność, człowieka, który sprzedawał na suku oliwki i przyprawy – było dla niej względnie proste. Bohater coś mówił, jego słowa

należało porównać z dostępnymi faktami - jego, bowiem w tamtych czasach kobiety się nie liczyły - i na stronę spływało kilkaset słów, jeśli dobrze poszło, napisanych na tyle przenikliwie i z polotem, by zasłużyć na niewielkie honorarium od odległego redaktora w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku. Ale pisanie o sobie - cóż, to zupełnie inna sprawa. To było jak próba przypomnienia sobie szczegółów wypadku samochodowego na ciemnej drodze. Miała kiedyś taki wypadek, z nim, w górach w pobliżu Bejrutu. Był pijany jak zwykle, a poza tym zachowywał się agresywnie, a to już nie było do niego podobne. Sądziła, że miał powód do złości, bo w końcu zdobyła się na to, by mu powiedzieć o dziecku. Nawet teraz zastanawiała się, czy próbował ją zabić. Zabił wielu innych ludzi. Prawdę mówiąc, setki. Teraz o tym wiedziała, ale wtedy nie.

Pracowała, albo raczej udawała, że pracuje przed południem w zacienionej wnęce pod schodami. Spała coraz mniej i wstawiała coraz wcześniej. Może to jeszcze jedna nieprzyjemna konsekwencja starzenia się. Tego ranka szło jej lepiej niż zwykle. Napisała całą stronę gładkiej prozy, która nie wymagała poprawek ani zmian. Mimo wszystko nie skończyła jeszcze pierwszego rozdziału. A może to będzie prolog? Zawsze odnosiła się podejrzliwie do prologów. Uważała je za tani chwyt, którym posługują się mierni pisarze. W jej przypadku jednak prolog byłby usprawiedliwiony, bowiem rozpoczynała swoją opowieść nie od początku, ale od środka, od dusznego sierpniowego popołudnia 1974 roku, kiedy niejaki towarzysz Ławrow - to oczywiście pseudonim - przywiózł jej list z Moskwy. Na kopercie nie było nazwiska nadawcy ani daty, lecz wiedziała, że to od niego: od angielskiego dziennikarza,

którego poznała w Bejrucie. Zdradził go styl.

Odłożyła ołówek o wpół do dwunastej, kiedy metaliczne brzęczenie zegarka Seiko przypomniało jej, że powinna wziąć lekarstwo. Dolegało jej serce. Przełknęła małą gorzką tabletkę, popijając ją resztkami zimnej kawy, i zamknęła manuskrypt – owszem, to było pretensjonalne słowo, ale nie przychodziło jej do głowy żadne inne – w zabytkowej wiktoriańskiej kasetce pod biurkiem. Rytualna kąpiel, następny punkt jej codziennego programu, zajęła całe czterdzieści minut. Potem nastąpiło pół godziny starannej toalety i ubierania, po czym opuściła willę i ruszyła przez rozżarzone powietrze wczesnego popołudnia w stronę centrum.

Miasteczko było białe jak wysuszona kość, służyło ze swojej bieli, leżało na samym szczycie urwiska przypominającego przedni ząb. Sto czternaście zwykłych kroków wzdłuż promenady doprowadziło ją do nowego hotelu, kolejne dwieście dwadzieścia osiem kroków przeniosło przez zagajnik złożony z drzew oliwnych oraz karłowatych dębów i doprowadziło do *centre ville*, jak nazywała to miejsce nawet teraz, po wielu latach spędzonych na tym cudownym wygnaniu. Liczenie kroków było grą, w którą bawiła się dawno temu ze swoim dzieckiem w Paryżu. Ile kroków trzeba, by przejść przez podwórze i znaleźć się na ulicy? Ile kroków, żeby przejść przez pont de la Concorde? Ile kroków musi zrobić dziesięcioletnie dziecko, żeby zniknąć matce z oczu? Odpowiedź brzmiała: dwadzieścia dziewięć.

Jakiś grafficiarz pomazał pierwszy budynek w kształcie kostki cukru hiszpańskimi wulgaryzmami. Uznała, że wykonał przyzwoitą robotę – odrobina koloru jak poduszka rzucona na kanapę przełamywała monotonię bieli. Wspinała się coraz

wyżej, w stronę calle San Juan. Sklepikarze patrzyli na nią lekceważąco. Nazywali ją wieloma określeniami, ale żadne nie było pochlebne. Mówili o niej *la loca*, szalona, albo *la roja* z powodu jej przekonań politycznych, których wbrew instrukcjom towarzysza Ławrowa nie starała się ukrywać. Prawdę mówiąc, była w konflikcie prawie ze wszystkimi sklepikarzami i zawsze chodziło o pieniądze. Uważała ich za kapitalistyczne sępy, a oni, co zrozumiałe, uważali ją za komunistkę i podżegaczkę, w dodatku importowaną.

Kawiarnia, w której zwykle jadała południowy posiłek, znajdowała się przy placu niemal w samym centrum miasteczka. Pośrodku miała ośmiokątną wyspę pod ładną lampą, a po wschodniej stronie placu stał kościół – nie biały, lecz w kolorze ochry, następne odstępstwo od monotonii. Wystrój samej kawiarni był prosty i bez udziwnień – plastikowe stoliki i krzesła, ceratowe obrusy w nieoczekiwaną szkocką kratę, taras jednak ocieniały trzy urocze pomarańczowe drzewka obwieszane owocami. Gości obsługiwał młody życzliwy Marokańczyk z jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi wioski w górach Rif. O ile wiedziała, był fanatykiem ISIS i przy pierwszej okazji mógł podciąć jej gardło, ale był też jednym z nielicznych ludzi w miasteczku, którzy odnosili się do niej życzliwie. Rozmawiali z sobą po arabsku. Ona używała sztywnego klasycznego arabskiego, którego nauczyła się w Bejrucie, on dialektu Maghrebu z północnej Afryki. Nie żałował jej szynki ani sherry, choć z dezaprobatą odnosił się do jednego i drugiego.

- Widziała pani dzisiaj wiadomości z Palestyny? - zapytał, stawiając przed nią tortillę. - Syjoniści zamknęli Wzgórze Świętynne.

- Oburzające. Jeśli ci głupcy szybko jej nie otworzą, to będzie ich koniec.

- *Inszallah.*

- Tak - zgodziła się, popijając bladą manzanillę. - Rzeczywiście, *inszallah.*

Nad kawą zapisała kilka linijek w notesie. To były impresje i wspomnienia z owego sierpniowego popołudnia dawno temu w Paryżu. Starła się oddzielić to, co wiedziała wtedy, od tego, co wiedziała teraz, chcąc zanurzyć siebie i czytelnika w tamtej chwili bez interferencji czasu. Kiedy dostała rachunek, zostawiła sumę dwukrotnie wyższą i wyszła na plac. Z jakiegoś powodu kusił ją, by wejść do kościoła. Pokonała schodki - było ich cztery - i z wysiłkiem pociągnęła drewniane, nabijane ćwiekami drzwi. Chłodne powietrze owionęło ją jak oddech. Odruchowo wyciągnęła rękę w stronę kropielnicy i zanurzyła czubki palców w święconej wodzie, ale powstrzymała się, zanim zdążyła się przeżegnać. Z całą pewnością, pomyślała, ziemia by od tego zadrżała, a zasłona w świątyni rozdarła się na dwoje.

Nawa była pusta, pogrążona w półmroku. Kobieta przeszła z wahaniem kilka kroków w stronę ołtarza, wdychając znajome zapachy kadzidła, dymu ze świec i wosku pszczelego. Zawsze lubiła zapach kościołów, ale uważała całą resztę kościelnego rytuału za bezsensowną. Bóg na swoim rzymskim przyrządzie do egzekucji jak zwykle nie przemawiał do niej ani nie poruszał jej w żadnym stopniu, ale posąg Madonny z Dzieciątkiem nad podestem, gdzie płonęły świece wotywnie, zupełnie nieoczekiwanie poruszył ją do łez.

Wsunęła kilka monet do skarbonki i wyszła na światło słońca. Bez ostrzeżenia zrobiło się przejmująco chłodno, jak zwykle zimą w górach Andaluzji. Szybko zeszła do podnóża urwiska,

licząc kroki i zastanawiając się, dlaczego w jej wieku trudniej jest schodzić niż się wspinać. Mały supermarket El Castillo obudził się już ze sjesty. Wzięła kilka rzeczy na kolację z uporządkowanych półek i niosła je w plastikowej torbie przez pustynię dębów i oliwek obok nowego hotelu aż do swojego więzienia w willi.

Chłód podążał za nią jak zbłąkany pies. Rozpaliła ogień w kominku i naląła sobie whisky, by przegnać chłód z kości. Zapach dymu i zwęglonego drewna sprawił, że znów nieświadomie zaczęła myśleć o nim. Jego pocałunki zawsze miały smak whisky.

Zaniosła szklanekę do swojej wnęki pod schodami. Nad biurkiem znajdowała się pojedyncza półka na książki. Kobieta powiodła wzrokiem z lewa na prawo po wypukłych popękanych grzbietach. Knightley, Seale, Boyle, Wright, Brown, Modin, Macintyre, Beeston, a także broszurowe wydanie jego nieszczerých wspomnień. W żadnym z tomów nie pojawiała się jej imię. Była jego najlepiej strzeżonym sekretem. Nie, pomyślała nagle, drugim najlepiej strzeżonym sekretem.

Otworzyła wiktoriańską kasetkę i wyjęła notatnik oprawiony w skórę, tak stary, że pachniał tylko kurzem. W środku, starannie przyklejone, znajdowały się nieliczne fotografie, wycinki prasowe i listy, które towarzysz Ławrow pozwolił jej zabrać ze starego mieszkania w Paryżu, a także kilka, które udało się zatrzymać bez jego wiedzy. Miała tylko osiem pożółkłych zdjęć dziecka, ostatnie zrobione potajemnie na Jesus Lane w Cambridge. Fotografii, na których widniał on, było znacznie więcej. Długie zakrapiane lunche w hotelach St. Georges i Normandie, pikniki na wzgórzach, pijackie popołudnia w domku na plaży w Khalde Beach. Zachowała też

zdjęcia, które zrobiła w swoim mieszkaniu, kiedy był bezbronny. Nie spotykali się w jego dużym mieszkaniu przy Kantari, zawsze u niej. Jakimś cudem Eleanor nigdy się o nich nie dowiedziała. Pewnie obydwójce doskonale umieli oszukiwać, podobnie jak ich dziecko.

Znów schowała album do kasetki i włączyła staroświecki telewizor w salonie. Na La 1 zaczynały się właśnie wieczorne wiadomości. Po kilku minutach tego, co zawsze – strajk robotników, zamieszki na meczu futbolowym, kolejne niepokoje w sąsiedniej Katalonii – pojawiła się informacja o zamordowaniu rosyjskiego agenta w Wiedniu i o tym, że zabójstwo przypisuje się szefowi izraelskiego wywiadu. Nienawidziła tego Izraelczyka już za samo to, że istniał, ale w tej chwili ogarnęło ją szczere współczucie. Biedny głupiec, pomyślała. Nie ma pojęcia, z czym przyszło mu się zmierzyć.

12

Belgravia, Londyn

Oficjalny protokół wymagał, by Gabriel poinformował „C”^[1], dyrektora generalnego brytyjskich służb wywiadowczych, o swoim zamiarze przyjazdu do Londynu. Na lotnisku Heathrow czekałby na niego komitet powitalny, który przeprowadziłby go bez kontroli paszportowej i zabrał do Vauxhall Cross konwojem jak premiera, prezydenta albo innego potentata z jakiegoś zakątka utraconego imperium. Prawie wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli w oficjalnym i w tajnym Londynie, dowiedzieliby się o jego obecności. Krótko mówiąc, to by była zupełna katastrofa.

Dlatego Gabriel poleciał do Paryża z fałszywym paszportem, a potem po cichu przekradł się do Londynu w środku dnia pociągiem Eurostar. Zatrzymał się w Grand Hotel Berkshire przy West Cromwell Road. Zapłacił za dwie noce gotówką – to było tego rodzaju miejsce – i wszedł do pokoju po schodach, bo winda się zepsuła. To było tego rodzaju miejsce.

Wywiesił tabliczkę „nie przeszkadzać”, zamknął drzwi na zasuwkę i dopiero wtedy podniósł słuchawkę telefonu, która wciąż pachniała wodą po goleniu poprzedniego gościa. Zaczął wybierać numer, ale zatrzymał dłoń. Rozmowa byłaby monitorowana przez gchq, brytyjską agencję zajmującą się wywiadem elektronicznym, i prawie na pewno przez NSA, amerykańską Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Obie te organizacje znały dźwięk jego głosu w wielu językach.

Odłożył słuchawkę i włączył w komórce aplikację

zamieniającą tekst na dźwięk. Wpisał treść wiadomości, wybrał język, w którym miała zostać odczytana, po raz drugi podniósł śmierzącą słuchawkę i tym razem wykręcił numer do końca.

Odezwał się męski głos, chłodny i zdystansowany, jakby zirytowany, że ktoś mu przeszkadza. Gabriel przyłożył głośnik telefonu do słuchawki hotelowego aparatu i przycisnął ikonkę z napisem „play”. Automatycznie generowany głos źle akcentował słowa i sylaby, ale skutecznie przekazał prośbę Gabriela, który życzył sobie spotkania z „C” w prywatnym miejscu, jak najdalej od Vauxhall Cross i tak, żeby nikt z MI6 się o tym nie dowiedział. Podał swój adres, Grand Hotel Berkshire, pokój trzysta cztery, i powiedział, że nie ma dużo czasu.

Po odtworzeniu wiadomości do końca rozłączył się i patrzył na przesuwający się ulicą strumień samochodów. Minęło dwadzieścia minut, zanim telefon hotelowy wreszcie się odezwał. Głos, który Gabriel usłyszał, należał do człowieka.

- Eaton Square pięćdziesiąt sześć, o siódmej. Strój swobodny. Potem usłyszał kliknięcie i telefon zamilkł.

Spodziewał się, że zostanie wysłany do jakiegoś okropnego bezpiecznego mieszkania MI6 w miejscu takim jak Stockwell, Stepney czy Maida Vale, więc zdziwił go adres w modnej Belgravii. Przy południowo-zachodniej części placu stał duży georgiański budynek. Podobnie jak jego sąsiedzi, z którymi stykał się ścianami, parter miał pokryty śnieżnobiałym chropowatym tynkiem, a wyższe cztery kondygnacje były z jasnobrązowej cegły. Między kolumnami portyku paliło się jasne światło, a gdy Gabriel przycisnął kciukiem dzwonek, wewnątrz domu rozległ się donośny gong. Czekając, aż ktoś otworzy, przyglądał się innym domom stojącym przy placu.

W większości były pogrążone w mroku, co oznaczało, że ten jeden z najbardziej pożądaných adresów w Londynie stanowi rezerwat bogatych i w tej chwili nieobecnych właścicieli z krajów arabskich, Chin i oczywiście Rosji.

W końcu rozległy się kroki, stukot wysokich obcasów na marmurowej posadzce. Drzwi uchyliły się i stanęła w nich wysoka kobieta, mniej więcej sześćdziesięcioletnia, w modnych czarnych spodniach i żakiecie. Wzór żakietu przypominał paletę Gabriela po długim dniu pracy. Kobieta oparła się pokusom chirurgii plastycznej oraz implantów kolagenowych i dzięki temu udało jej się zachować elegancką i pełną godności urodę. Prawą rękę trzymała na zasuwie, w lewej miała kieliszek białego wina. Gabriel się uśmiechnął. Zanosilo się na interesujący wieczór.

- Mój Boże, to naprawdę pan - powiedziała, odwzajemniając jego uśmiech.

- Niestety, to ja.

- Proszę wejść, zanim ktoś zrobi panu zdjęcie albo spróbuje pana wysadzić. Tak w ogóle mam na imię Helen. Helen Seymour - dodała, zatrzaskując drzwi. - Graham z pewnością o mnie wspominał.

- Przez cały czas o pani mówi.

Skrzywiła się.

- Graham ostrzegał, że pan lubi czarny humor.

- Postaram się kontrolować.

- Proszę tego nie robić. Wszyscy inni nasi znajomi są tak cholernie nudni. - Poprowadziła go przez hol z posadzką we wzór szachownicy do wielkiej kuchni, w której pięknie pachniało kurczakiem i ryżem szafranowym. - Właśnie robię paellę. Graham mówił, że nie będzie pan miał nic przeciwko

temu.

- Najmocniej przepraszam?

- Chorizo i skorupiaki - wyjaśniła. - Zapewniał, że nie przestrzega pan zasady koszerności.

- Nie, chociaż zwykle unikam zakazanych rodzajów mięsa.

- Może pan je omijać na talerzu. Arabowie tak zwykle robią, kiedy u nas jadają.

- Często ich gościcie? - zapytał Gabriel.

Helen Seymour przewróciła oczami.

- A kogoś szczególnie?

- Dopiero co był tu ten Jordańczyk. Ten, który nosi garnitury z Savile Row i mówi nieskazitelną angielszczyzną.

- Farid Barakat.

- Jest bardzo z siebie zadowolony. Lubi pana - dodała.

- Farid i ja jesteśmy po tej samej stronie.

- A co to za strona?

- Strona stabilności.

- Mój drogi, coś takiego już nie istnieje.

Gabriel podał jej butelkę sancerre w temperaturze pokojowej, którą kupił w Sainsbury's przy Berkeley Street. Włożyła ją od razu do zamrażarki.

- Widziałam ostatnio pańskie zdjęcie w „Timesie” - powiedziała, zamykając drzwi. - A może to był „Telegraph”?

- Obawiam się, że jedno i drugie.

- To nie było dobre ujęcie. Może to pomoże. - Nalała mu duży kieliszek albariño. - Graham czeka na pana na górze. Podobno macie o czymś porozmawiać przed kolacją. Pewnie ma to coś wspólnego z Wiedniem. Ja mam o tym nic nie wiedzieć.

- Może pani uznać, że się pani poszczęściło.

Gabriel wszedł po szerokich schodach na piętro. Światło

wpadało przez otwarte drzwi do statecznego, pełnego książek gabinetu, gdzie we wspaniałej izolacji czekał na niego Graham Seymour, następca Cumminga, Menziesa, White'a i Oldfielda. Ubrany był w szary garnitur w jasne prążki i krawat w pepitkę dobrany kolorem do bujnej czupryny. W prawej ręce trzymał kryształową szklankę pełną przezroczystego trunku. Wpatrywał się w ekran telewizora, na którym jego premier odpowiadał na pytania reportera dotyczące brexitu. Gabriel ze swojej strony cieszył się z tej zmiany tematu.

- Proszę, powiedz Lancasterowi, jak wiele znaczy dla mnie jego niewzruszone wsparcie w tych dniach po Wiedniu. Jeśli tylko będzie czegoś potrzebował, może mi dać znać.

- Nie obwiniaj Lancastera - odrzekł Seymour. - To nie był jego pomysł.

- A czyj?

- Mój.

- Nie mogłeś trzymać gęby zamkniętej? Musiałeś mnie wystawić na odstrzał?

- Ty i twoi ludzie przeprowadziliście nieudaną operację, a ja nie chciałem, żeby to się odbiło na moich służbach albo na premierze. - Seymour zerknął z dezaprobatą na wino Gabriela, podszedł do wózka i dolał sobie trunku. - Czy mogę zaproponować ci coś odrobinę mocniejszego?

- Poproszę o aceton z lodem.

- Z oliwką czy z cytryną? - Seymour z ostrożnym uśmiechem zadeklarował tymczasowe wstrzymanie ognia. - Trzeba było zawiadomić mnie wcześniej, że przyjeżdżasz. Masz szczęście, że mnie zastałeś. Jutro rano lecę do Waszyngtonu.

- Wiśnie zakwitną dopiero za jakieś trzy miesiące.

- Bogu dzięki.

- W jakiej sprawie lecisz?
- Rutynowe spotkanie w Langley. Przegląd aktualnych wspólnych operacji i wyznaczanie priorytetów na przyszłość.
- Moje zaproszenie widocznie zginęło gdzieś w poczcie.
- Niektóre rzeczy robimy bez twojej wiedzy. W końcu jesteśmy rodziną.
- Odległą - zauważył Gabriel.
- Z dnia na dzień coraz odleglejszą.
- Ten sojusz miewał już swoje kryzysy.
- Tak, ale teraz to co innego. Stoimy przed bardzo realną perspektywą załamania porządku międzynarodowego. Tego porządku, dodam, dzięki któremu zrodził się twój kraj.
- Potrafimy o siebie zadbać.
- Na pewno? - zapytał Seymour poważnie. - Jak długo i przeciwko ilu wrogom jednocześnie?
- Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. - Po chwili Gabriel dodał: - Na przykład o Wiedniu.
- To była prosta operacja - odrzekł Seymour po chwili. - Wyciągnąć ukrytego agenta, porozmawiać z nim na osobności i wsadzić na pokład samolotu, który zabierze go do nowego życia. Ciągłe to robimy.
- My też - powiedział Gabriel. - Ale operacja skomplikowała się przez to, że mój agent został zdekonspirowany na długo przed wyjazdem z Moskwy.
- Nasz agent - podkreślił Seymour. - To my zgodziliśmy się go przyjąć.
- Właśnie dlatego jest teraz martwy.
- Seymour ścisnął szklanekę tak mocno, że końce palców mu pobielały.
- Ostrożnie, Graham, bo zmiażdżysz tę szklanekę.

Graham odstawił drinka na wózek.

- Przyjmijmy - powiedział chłodno - że według tych dowodów, które mamy, Kirow został zdekonspirowany.

- Przyjmijmy.

- Ale przyjmijmy również, że twoim obowiązkiem było go ściągnąć bez względu na okoliczności. Powinieneś zauważyć w Wiedniu obserwatorów SWR i dać mu sygnał, że akcja odwołana.

- Nie mogliśmy ich zauważyć, Graham, bo ich nie było. Nie byli potrzebni. Wiedzieli, dokąd Kirow pójdzie i że ja tam będę na niego czekał. Dlatego zrobili mi zdjęcie, kiedy wychodziłem z budynku. I dlatego użyli swoich botów, trolli, komunikatorów i portali informacyjnych, żeby stworzyć wrażenie, że to my stoimy za zabiciem Kirowa.

- Gdzie był przeciek?

- Nie wyszedł z naszych służb. A to oznacza, że wyszedł z twoich - stwierdził Gabriel.

- Mam rosyjskiego szpiega na liście płac? - zapytał Seymour.

- To właśnie chcesz powiedzieć?

Gabriel podszedł do okna i popatrzył na ciemne domy po drugiej stronie placu.

- Czy mógłbyś nastawić płytę Harry'ego Jamesa na cały regulator?

- Mam lepszy pomysł. - Seymour się podniósł. - Chodź.

Eaton Square, Londyn

Drzwi, choć wyglądały zupełnie normalnie, były zamontowane wewnątrz niewidocznej framugi ze wzmocnionej stali. Seymour otworzył je, wstukując osiem właściwych cyfr na klawiaturze na ścianie. Za drzwiami znajdowało się małe i zagracone pomieszczenie z podłogą podniesioną o kilka cali. Stały tu dwa krzesła oraz telefon i ekran do bezpiecznych wideokonferencji.

- Domowy pokój zabezpieczony przed podsłuchem - powiedział Gabriel. - Co wymyślę w następnej kolejności?

Seymour opadł na krzesło i wskazał Gabrielowi drugie. Ich kolana stykały się jak u pasażerów dzielących przedział w pociągu. Górne światło dziwnie zniekształcało przystojną twarz Seymoura. Gabriel nagle odniósł wrażenie, że widzi go po raz pierwszy.

- To bardzo wygodne, prawda? I zupełnie przewidywalne.

- Co? - zapytał Gabriel.

- Szukasz kozła ofiarnego, żeby usprawiedliwić swoją porażkę.

- Byłbym ostrożny z używaniem określenia „kozy ofiarny”. Tacy ludzie jak ja nie odbierają tego najlepiej.

Seymour jakoś zdołał zachować maskę brytyjskiej rezerwy.

- Nie próbuj grać ze mną tą kartą. Zbyt długo się znamy.

- To prawda. I dlatego pomyślałem, że może cię zainteresować wiadomość, że twój szef placówki wiedeńskiej jest rosyjskim szpiegiem.

- Alistair Hughes? To dobry oficer.

- Z pewnością ci, którzy kontrolują go z Moskwy, też tak sądzą. - System wentylacyjny w pokoju hałasował jak otwarta zamrażarka. - Czy przynajmniej zechcesz mnie wysłuchać?

- Nie.

- W takim razie nie mam wyboru i muszę zawiesić nasze stosunki.

Seymour tylko się uśmiechnął.

- Nie jesteś dobrym pokerzystą, prawda?

- Nigdy nie miałem czasu na trywialne zajęcia.

- Znów grasz tą kartą.

- Nasza znajomość, Graham, przypomina małżeństwo. Opiera się na zaufaniu.

- Moim zdaniem większość małżeństw opiera się albo na pieniądzu, albo na lęku przed samotnością. A jeśli się ze mną rozwiedziesz, to na całym świecie nie będziesz miał już żadnego przyjaciela.

- Nie mogę z tobą współpracować ani dzielić się informacjami, skoro twój wiedeński szef jest na rosyjskiej liście płac. Jestem pewien, że Amerykanie będą tego samego zdania.

- Nie ośmielisz się.

- Sam się przekonasz. Chyba powiem o tym mojemu dobremu przyjacielowi Morrisowi Payne'owi przed waszym jutrzejszym spotkaniem. - Payne był szefem CIA. - To powinno znacznie ożywić atmosferę.

Seymour milczał.

Gabriel spojrział na obiektyw kamery nad ekranem.

- To nie jest włączone?

Seymour potrząsnął głową.

- I nikt nie wie, że tu jesteśmy?

- Nikt oprócz Helen. A tak w ogóle, ona za nim przepada.
- Za kim?
- Za Hughesem. Uważa, że jest seksowny.
- Żona pewnego amerykańskiego dyplomaty, który pracował w Wiedniu, była tego samego zdania.

Seymour przymrużył oczy.

- Skąd o tym wiesz?
- Powiedziała mi ptaszyna. Ta sama ptaszyna wyjawiała, że Alistair Hughes domagał się adresu bezpiecznego mieszkania, gdzie miałem się spotkać z Kirowem.

- To centrala londyńska chciała mieć ten adres, a nie Alistair.

- Po co?

- Bo to my byliśmy odpowiedzialni za to, żeby Kirow bezpiecznie wyjechał z Wiednia i wsiadł do samolotu. To nie jest jak zamówienie taksówki w Uberze, nie można nacisnąć guzika w ostatniej chwili. Musieliśmy zaplanować trasę pierwszego wyboru i plan awaryjny na wypadek, gdyby Rosjanie zainterweniowali. Dlatego był nam potrzebny ten adres.

- Ilu ludzi o tym wiedziało?

- W Londynie? - Seymour spojrzął na sufit. - Ośmiu albo dziewięciu. Jeszcze sześciu albo siedmiu w Wiedniu.

- I może jeszcze Wiedeński Chór Chłopięcy? - Gdy Seymour milczał, Gabriel zapytał: - Ile wiedzieli Amerykanie?

- Szef naszej placówki w Waszyngtonie poinformował ich, że Heathcliff chce zdezerterować i że zgodziliśmy się przyznać mu status uchodźcy. Nie podał im żadnych szczegółów operacyjnych.

- Ani lokalizacji?

- Tylko miasto.

- Czy wiedzieli, że ja tam będę?

- Być może. - Seymour udawał, że się zastanawia. - Przykro mi, ale niezbyt dobrze rozumiem, o co ci chodzi. Próbujesz oskarżyć Amerykanów, że przekazali informacje Rosjanom, czy nas?

- Oskarżam przystojnego Alistaira Hughesa.

- A co z pozostałymi czternastoma pracownikami MI6, którzy znali adres twojego bezpiecznego mieszkania? Skąd wiesz, że to nie jeden z nich?

- Bo siedzimy w tym pokoju. Przyprowadziłeś mnie tutaj - stwierdził Gabriel - bo obawiasz się, że mogę mieć rację.

Eaton Square, Londyn

Graham Seymour siedział przez długą chwilę w kontemplacyjnym milczeniu, z odwróconym wzrokiem, jakby patrzył na krajobraz przesuwaną się za oknem przedziału kolejowego, który wyobrażał sobie Gabriel. W końcu cicho wypowiedział rosyjskie nazwisko, które Gabriel usiłował zrozumieć mimo ryku systemu wentylacyjnego.

- Gribkow - powtórzył Seymour. - Władimir Władimirowicz Gribkow. W skrócie nazywaliśmy go WuWu. Udawał attaché prasowego w rosyjskiej misji dyplomatycznej w Nowym Jorku. Muszę powiedzieć, że kiepsko mu to szło. Naprawdę był oficerem SWR, który szukał szpiegów w ONZ. Centrala Moskwa ma ogromną rezydenturę w Nowym Jorku. Nasza placówka jest znacznie mniejsza, a twoja jeszcze mniejsza. Właściwie składa się z jednego człowieka. Znamy jego tożsamość, podobnie jak Amerykanie. Ale to nie ma nic do rzeczy.

Istotne było, że Władimir Władimirowicz Gribkow podczas skądinąd nudnego dyplomatycznego koktajlu w snobistycznym hotelu na Manhattanie podszedł do nowojorskiego przedstawiciela MI6 i dał mu do zrozumienia, że chciałby porozmawiać o pewnej niezmiernie delikatnej sprawie. Oficer MI6, którego Seymour nie wymienił z nazwiska, natychmiast przekazał wiadomość o tym kontakcie do centrali londyńskiej. Bo każdy zatrudniony w MI6 wie, że nieautoryzowana rozmowa sam na sam z łowcą szpiegów z SWR to najpewniejszy sposób, by jego kariera zmieniła się w kupkę popiołu.

Londyn oficjalnie pobłogosławił to spotkanie i trzy tygodnie po pierwszym kontakcie – to wystarczający czas, jak stwierdził Seymour, żeby Gribkow mógł ochłonąć i odzyskać rozum – dwóch agentów umówiło się na spotkanie na wschodnich krańcach Nowego Jorku, na Long Island.

- Właściwie była to mała wysepka przy wybrzeżu, nazywa się Shelter Island. Nie ma tam mostu, tylko prom samochodowy. Większą część wyspy zajmuje rezerwat poprzecinany ścieżkami, na których można nie spotkać żywej duszy. Krótko mówiąc, było to doskonałe miejsce na spotkanie oficera Tajnych Służb Wywiadowczych Jej Królewskiej Mości z Rosjaninem, który rozważał zdradę swojego kraju.

Gribkow nie tracił czasu na wstępy ani zawodowe uprzejmości. Powiedział, że rozczarowała go praca dla swr i dla Rosji pod rządami Cara. Chciałby się ujawnić i przenieść do Anglii razem z żoną i dwójką dzieci, które teraz mieszkają z nim w Nowym Jorku w rosyjskim kompleksie dyplomatycznym na Bronksie. Oświadczył, że mógłby przekazać MI6 cenne informacje, z których jedna by sprawiła, że stałby się najcenniejszym nawróconym szpiegiem w historii. Dlatego chciałby w zamian zostać odpowiednio wynagrodzony.

- Ile? – zapytał Gabriel.

- Dziesięć milionów funtów w gotówce i dom na angielskiej prowincji.

- Albo jedno, albo drugie – rzekł Gabriel pogardliwie.

- Tak – zgodził się Seymour.

- A co to za informacja, która była warta takiego majątku?

- Nazwisko rosyjskiego kreta, który pracuje na samym szczycie angloamerykańskiej siatki wywiadowczej.

- Czy określił, z której służby jest ten kret albo z której strony

oceanu działa?

Seymour potrząsnął głową.

- I jak zareagowałeś?

- Ostrożnością na granicy sceptycyzmu, czyli punkt wyjścia taki jak zawsze. Zakładaliśmy, że opowiada nam bajki albo że jest prowokatorem przysłanym przez Moskwę, żeby doprowadzić nas do samoniszczącego polowania na czarownice i poszukiwań szpiega pośród nas.

- Więc powiedziałeś mu, że nie jesteś zainteresowany?

- Wręcz przeciwnie. Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy bardzo zainteresowani, ale że potrzebujemy kilku tygodni, aby wszystko przygotować. A tymczasem sprawdziliśmy jego referencje. Gribkow nie był stażystą, tylko weteranem swr. Służył w kilku rezydenturach na Zachodzie, ostatnio w Wiedniu, gdzie miał liczne kontakty z moim szefem placówki.

- Przystojnym Alistairem Hughesem.

Seymour nie zareagował.

- Jaka była natura tych kontaktów?

- Jak zwykle - odrzekł Seymour. - Ważne jest to, że Alistair raportował je tak, jak powinien. Wszystkie były zapisane w jego teczce i zgadzały się z zapisami w teczce Gribkowa.

- Ściągnąłeś więc Hughesa do Vauxhall Cross, żeby powiedział ci, co myśli o Gribkowie i o tym, co tamten próbuje nam sprzedać.

- Właśnie.

- I?

- Alistair był jeszcze bardziej sceptyczny niż londyńska centrala.

- Naprawdę? Zdumiony jestem, że tak mówisz.

Seymour ściągnął brwi.

- Wówczas minęło już sześć tygodni od pierwotnej propozycji i Gribkow zaczął się denerwować. Dwa razy bardzo niemądrze zadzwonił do mojego człowieka w Nowym Jorku. A potem zrobił coś kompletnie lekkomyślnego.

- Co takiego?

- Skontaktował się z Amerykanami. Jak możesz się spodziewać, w Langley byli na nas wściekli za to, jak poprowadziliśmy tę sprawę. Wywarli presję, żebyśmy wzięli Gribkova jak najszybciej. Nawet zaproponowali, że zapłacą część z tych dziesięciu milionów. Kiedy stawialiśmy opór, przerodziło się to w pełnowymiarową rodzinną kłótnię.

- Kto wygrał?

- Moskwa - odrzekł Seymour. - Kiedy my się awanturowaliśmy z amerykańskimi kuzynami, nie zauważyliśmy, że Gribkova ściągnięto do kraju na pilne konsultacje. Jego żona i dzieci wróciły do Rosji kilka dni później, a w następnym miesiącu stała misja Rosyjskiej Federacji przy ONZ ogłosiła nominację nowego attaché prasowego. Nie muszę chyba wspominać, że Władimira Władimirowicza Gribkova nikt od tamtej pory nie widział ani o nim nie słyszał.

- Dlaczego nikt mi o tym wszystkim nie powiedział?

- To ciebie nie dotyczyło.

- Dotyczyło mnie od chwili - odrzekł Gabriel spokojnie - kiedy dopuściliście Alistaira Hughesa do mojej operacji w Wiedniu.

- Nie przyszło nam do głowy, żeby trzymać go z dala od tej operacji.

- Dlaczego?

- Bo nasze wewnętrzne dochodzenie oczyściło go z podejrzeń o jakikolwiek udział w sprawie Gribkova.

- Sprawiliś mi ogromną ulgę. Ale jak właściwie Rosjanie się dowiedzieli, że Gribkow próbował zdradzić?

- Doszliśmy do wniosku, że musiało ich naprowadzić na trop jego zachowanie. Amerykanie się z nami zgodzili.

- I w ten sposób zakończyliście potencjalnie destabilizującą walkę między przyjaciółmi. Ale teraz macie na głowie następnego martwego rosyjskiego zdrajcę. A wspólnym mianownikiem jest twój szef placówki w Wiedniu, człowiek, który miał pozamałżeński romans z żoną amerykańskiego oficera konsularnego.

- Jej mąż nie był urzędnikiem konsularnym. Był z Agencji. A gdyby zdrada małżeńska była pewnym wskaźnikiem zdrady państwa, to nie mielibyśmy żadnych służb. Ty też byś nie miał.

- On spędzał mnóstwo czasu po drugiej stronie granicy, w Szwajcarii.

- Czy o tym też powiedziała ci ptaszyna, czy może go obserwowałaś?

- Nigdy bym nie śledził twojego człowieka bez twojej wiedzy, Graham. Przyjaciele tego sobie nie robią. Nie trzymają się nawzajem w mroku. Nie wtedy, gdy stawką jest życie.

Seymour nie odpowiedział. Wydawał się wyczerpany i znużony tą sprzeczką. Gabriel nie zazdrościł przyjacielowi położenia, w jakim ten się znalazł. Szef służby wywiadowczej w takiej sytuacji nie mógł niczego zyskać. Rzecz tylko w tym, jak wiele straci.

- Ryzykuję, że wtykam nos tam, gdzie nie powinienem - powiedział Gabriel - ale wydaje mi się, że masz dwa wyjścia.

- Tak?

- Najbardziej logicznym wyjściem byłoby otworzyć wewnętrzne dochodzenie, które miałoby sprawdzić, czy Alistair

Hughes przekazywał wasze sekrety Rosjanom. Musiałbyś o tym dochodzeniu powiedzieć Amerykanom i przez to wasze stosunki trafiłyby do zamrażarki. Ponadto musiałbyś w to włączyć swoich rywali z MI5, a to chyba ostatnia rzecz, na jakiej ci zależy.

- A drugie wyjście? - zapytał Seymour.

- My możemy obserwować Hughesa.

- Chyba żartujesz.

- Czasami. Ale nie teraz.

- To bez precedensu.

- Niezupełnie - odrzekł Gabriel. - I to wyjście ma swoje zalety.

- Na przykład jakie?

- Hughes zna wasze techniki obserwacyjne i, co chyba jeszcze ważniejsze, wasz personel. Jeśli będziecie próbowali go obserwować, jest duże ryzyko, że to zauważy. Ale jeśli my to zrobimy...

- To zyskacie wgląd w prywatne sprawy jednego z moich ludzi.

Gabriel wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że i tak posiada ten wgląd, ze zgodą Seymoura czy bez niej.

- On nie będzie w stanie ukryć tego przed nami, Graham, jeśli będziemy go obserwować przez okrągłą dobę. Jeśli jest w kontakcie z Rosjanami, zobaczymy to.

- I co potem?

- Przekażemy ci dowody, a ty zrobisz z nimi, co uznasz za stosowne.

- Albo to, co ty uznasz za stosowne.

Gabriel nie dał się złapać na haczyk. Potyczka zmierzała ku końcowi. Seymour z irytacją podniósł wzrok stronę kratki

w suficie. Powietrze było lodowate jak na Syberii.

- Nie mogę ci pozwolić, żebyś obserwował mojego szefa placówki wiedeńskiej, o ile ktoś od nas nie będzie patrzył ci na rękę - powiedział w końcu. - Chcę, żeby w ekipie prowadzącej inwigilację był jeden z moich ludzi.

- Właśnie w ten sposób narobiliśmy sobie kłopotów, Graham.
- Gdy Seymour milczał, Gabriel dodał: - Wziąwszy pod uwagę okoliczności, jest tylko jeden człowiek z MI6, którego mogę zaakceptować.

- Nie zapomniałeś, że on i Alistair się znają?

- Nie, ten ważny fakt nie wyleciał mi nagle z pamięci. Ale nie martw się, nie zbliżą się do siebie nawet na kilometr.

- I ani słowa Amerykanom - zastrzegł Seymour.

Gabriel podniósł prawą rękę, jakby składał przysięgę.

- I absolutnie żadnego dostępu do teczek MI6 ani wewnętrznych spraw oddziału wiedeńskiego - dodał Seymour. - Twoja operacja będzie ograniczona tylko do fizycznej inwigilacji.

- Ale jego mieszkanie to inna sprawa - odparował Gabriel. - Uszy i oczy.

Seymour udawał, że się zastanawia.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Ale postaraj się być odrobinę dyskretny z kamerami i mikrofonami. Człowiek ma prawo do jakiejś strefy nietykalności.

- Chyba że szpieguje dla Rosjan. Wtedy ma prawo do *wysszej miery*.

- To hebrajski?

- Rosyjski.

- I co to znaczy?

Gabriel wystukał ośmiocyfrowy kod na klawiaturze i zamki

otworzyły się z trzaskiem.

Seymour zmarszczył czoło.

- Zmienię to z samego rana.
- Zmień - powiedział Gabriel.

Seymour podczas kolacji był roztargniony, więc na barki Helen, doskonałej żony człowieka służby wywiadowczej, spadł ciężar prowadzenia rozmowy. Robiła to niesłychanie taktownie. Postać Gabriela często pojawiała się w londyńskich gazetach, lecz Helen ani razu nie poruszyła nieprzyjemnego tematu jego poprzednich wyczynów na brytyjskiej ziemi. Dopiero później, gdy zbierał się już do wyjścia, uświadomił sobie, że rozmawiali o niczym.

Miał nadzieję pójść pieszo do hotelu, ale przy krawężniku czekał luksusowy jaguar, a na tylnym siedzeniu siedział Christopher Keller i czytał coś na swoim służbowym blackberry.

- Ja bym na twoim miejscu wsiadł - powiedział. - Po drugiej stronie tego placu mieszka dobry przyjaciel Cara.

Gabriel wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Limuzyna szybko oddaliła się od krawężnika i po chwili mknęła już przez King's Road w stronę Chelsea.

- Jak było na kolacji? - zapytał Keller z rezerwą.
- Prawie równie kiepsko jak w Wiedniu.
- Podobno mamy tam wrócić.
- Nie ja.
- Szkoda. - Keller wyjrzał przez okno. - Wiem, jak kochasz to miasto.

Ambasada Brytyjska, Waszyngton

Dyrektor generalny Tajnych Służb Wywiadowczych Jej Królewskiej Mości nie dysponował prywatnym samolotem – tylko premier cieszył się takim przywilejem – toteż Graham Seymour następnego ranka przekroczył Atlantyk wycarterowanym odrzutowcem Falcon. Na pasie startowym międzynarodowego lotniska Dulles czekał na niego komitet powitalny CIA, który przewiózł go z wielką prędkością przez rozległe przedmieścia Wirginii Północnej do kompleksu budynków Ambasady Brytyjskiej przy Massachusetts Avenue. Zaraz po przyjeździe zaprowadzono go na górę na obowiązkowe spotkanie z ambasadorem, którego znał niemal od dziecka. Ich ojcowie służyli razem w Bejrucie w początkach lat sześćdziesiątych XX wieku. Ojciec ambasadora pracował dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a Seymoura dla MI6.

- Zjemy dziś kolację? - zapytał ambasador, prowadząc Seymoura do drzwi.

- Niestety, muszę wracać do Londynu.

- Szkoda.

- Owszem.

Następnie Seymour odwiedził placówkę MI6, która znajdowała się za pancernymi drzwiami – sekretne królestwo, oddzielne i niezależne od reszty ambasady. Placówka była znacznie większa od wszystkich pozostałych i bez żadnych wątpliwości najważniejsza. Według obowiązującej umowy jej pracownicy nie próbowali prowadzić działań wywiadowczych

na amerykańskiej ziemi. Służyli po prostu jako łącznicy dla amerykańskiej siatki wywiadowczej, która uważała ich za cenionych klientów. MI6 pomogła zbudować system wywiadowczy Ameryki podczas drugiej wojny światowej i teraz, po kilkudziesięciu latach, wciąż czerpała z tego korzyści. Dzięki bliskim kontaktom rodzinnym Zjednoczone Królestwo, łupina dawnego imperium obdarzona niewielką siłą militarną, odgrywało niewspółmiernie wielką rolę na światowej scenie, a tym samym podtrzymywało iluzję, że wciąż jest globalną potęgą, z którą należy się liczyć.

Rebecca Manning, szefowa waszyngtońskiej placówki, czekała na Seymoura po drugiej stronie bariery bezpieczeństwa. Kiedyś była piękna – zdaniem pewnego rekrutera służb, o którym wszyscy dawno zapomnieli, o wiele za piękna na pracę w wywiadzie – ale teraz, w pełni rozkwitu życia zawodowego, była po prostu zadziwiająco atrakcyjna. Kosmyk ciemnych włosów opadł jej na kobaltowoniebieskie oczy. Odsunęła go na bok i wyciągnęła dłoń do Seymoura.

– Witam w Waszyngtonie – powiedziała tonem, jakby miasto i wszystko, co reprezentowało, należało wyłącznie do niej. – Mam nadzieję, że lot nie był zbyt okropny.

– Miałem okazję przeczytać materiały, które mi przesłałaś.

– Jest jeszcze kilka spraw, które chciałabym omówić, zanim pojedziemy do Langley. W pokoju konferencyjnym czeka kawa.

Puściła rękę Seymoura i poprowadziła go korytarzem. Jej elegancki żakiet i spódnica lekko pachniały tytoniem. Niewątpliwie przed przyjazdem Seymoura wyszła do ogrodu na szybkiego dymka. Rebecca Manning była niepoprawną palaczką i nie zamierzała za to przeproszać. Zaczęła palić w Cambridge i ten nałóg znacznie się pogorszył podczas pobytu

na placówce w Bagdadzie. Służyła również w Brukseli, w Paryżu, w Kairze, w Rijadzie i w Ammanie, gdzie była szefową placówki. To Seymour w samych początkach swojej kadencji szefa mianował ją H/Waszyngton, jak nazywano to stanowisko w służbowym żargonie, a tym samym praktycznie namaścił na swoją następczynię. Waszyngton miał być ostatnią zagraniczną placówką Rebekki; dalej nie było już nic, tylko ostatni skok do Vauxhall Cross, żeby oficjalnie przedstawić ją baronom z Whitehall. Ta nominacja miała się zapisać w historii i należała się jej od dawna. MI5 szefowały już dwie kobiety, w tym Amanda Wallace, obecna dyrektor generalna, ale Szóstce zawsze przewodzili mężczyźni i Seymour byłby dumny, gdyby udało mu się to zmienić.

Pominąwszy względy rodzinne, placówka waszyngtońska zachowywała te same procedury bezpieczeństwa jak każda inna na świecie, szczególnie jeśli chodzi o poufne rozmowy między pracownikami wyższego szczebla. Sala konferencyjna była zabezpieczona przed elektronicznym podsłuchem. Na stole w miejscu, gdzie miał usiąść Seymour, leżała oprawiona w skórę teczka, a w niej terminarz spotkań z dyrektorem CIA Morrisem Payne'em, omówienie aktualnych kierunków działania, przyszłych celów i bieżących operacji. Był to jeden z najcenniejszych dokumentów w świecie globalnego wywiadu i Centrala Moskwa z pewnością zabiłaby za tę teczkę.

- Śmietanka? - zapytała Rebecca Manning.
- Czarna.
- To nie w twoim stylu.
- Zalecenia lekarza.
- Mam nadzieję, że to nic poważnego.
- Mam nieco za wysoki cholesterol. Także ciśnienie krwi. To

jeden z ubocznych skutków tej pracy.

- Ja już dawno przestałam się martwić o własne zdrowie. Skoro udało mi się przetrwać w Bagdadzie, to przetrwam wszędzie. - Podała Seymourowi kawę, przyrządziła drugą dla siebie i skrzywiła się. - Kawa bez papierosa. Po co to pić?

- Naprawdę powinnaś rzucić palenie. Skoro mnie się udało, to każdy może.

- Morris też tak mówi.

- Nie wiedziałem, że jesteście po imieniu.

- On nie jest taki zły, Graham.

- Jest ideologiem, co mnie denerwuje. Szpieg nie powinien wierzyć w nic. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Tak jak ty, Rebecca.

- Morris Payne nie jest szpiegiem, tylko dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej. To olbrzymia różnica. - Otworzyła notatnik. - Możemy zaczynać?

Seymour nigdy nie wątpił, że mianowanie Rebekki Manning na stanowisko w Waszyngtonie było mądrym posunięciem i tym bardziej w to nie wątpił, kiedy przez czterdzieści pięć minut omawiała wszystkie sprawy. Przesuwała się po programie gładko i pewnie. Korea Północna, Chiny, Iran, Irak, Afganistan, Syria. Globalna walka z ISIS i z Al-Kaidą. Wiedziała wszystko o polityce, a także o tajnych operacjach Amerykanów. Jako H/Waszyngton Rebecca Manning wiedziała znacznie więcej o potajemnych działaniach amerykańskich służb wywiadowczych niż większość członków Senatu. Jej umysł pracował w subtelny, wyrafinowany sposób; nie wyciągała pochopnych wniosków, nie miała skłonności do tworzenia hiperboli. Dla Rebekki świat nie był niebezpiecznym miejscem, coraz szybciej wyrywającym się spod kontroli, tylko

problemem, z którym mogą sobie poradzić ludzie o odpowiednich kompetencjach i wykszoleniu.

Ostatnim punktem programu była Rosja, zawsze zdradziecki temat. Nowy amerykański prezydent nie krył podziwu dla autorytarnego rosyjskiego przywódcy i wyrażał pragnienie poprawienia stosunków z Moskwą. Teraz znalazł się pod ostrzałem dochodzenia, które miało wykazać, czy Kreml dostarczał mu potajemnego wsparcia, dzięki któremu zwyciężył w wyborach demokratycznego przeciwnika. Seymour i MI6 doszli do wniosku, że tak było, i podobnie sądził poprzednik Morrisa Payne'a w CIA.

- Z oczywistych powodów - odrzekła Rebecca - Morris nie ma ochoty rozmawiać o wewnętrznych sprawach Ameryki. Interesuje go jedna i tylko jedna sprawa.

- Heathcliff?

Rebecca skinęła głową.

- W takim razie powinien zaprosić na pogawędkę do Waszyngtonu Gabriela Allona.

- To była wina Allona, takie jest twoje stanowisko? - Zapadła chwila ciszy. - Czy mogę mówić szczerze?

- Po to tu jesteśmy.

- Amerykanie tego nie kupią. Podobnie jak ty, od wielu lat blisko współpracowali z Allonem i wiedzą, że doskonale jest w stanie poradzić sobie z przejściem rosyjskiego agenta.

- Wydaje mi się, że mocno trzymasz palec na amerykańskim pulsie.

- To część mojej pracy, Graham.

- Czego powinienem się po nich spodziewać?

- Głębokiej troski - odrzekła Rebecca. Nie powiedziała nic więcej, bo nic więcej nie trzeba było mówić. Jeśli CIA podziela

przekonanie Gabriela, że MI6 zostało spenetrowane przez Rosjan, to dojdzie do katastrofy.

- Czy Morris oskarży mnie o to? - zapytał Seymour wprost.

- Niestety nie wiem. Ale on zwykle nie przebiera w słowach. Zauważyłam już zmianę temperatury w stosunkach z nimi. Wieje chłodem. Mnóstwo długich pauz i pustych spojrzeń. Musimy zmierzyć się z ich obawami wprost, w innym wypadku zaczną zachowywać klejnoty koronne dla siebie.

- A jeśli powiem, że podzielam ich troskę?

- A dzielasz? - zapytała Rebecca Manning.

Seymour powoli pił kawę.

- Musisz wiedzieć, że po zabójstwie Heathcliffa Amerykanie jeszcze raz zastanowili się, co poszło nie tak w sprawie Gribkova. Przyjrżeli się temu bardzo uważnie - dodała.

- Byliby głupi, gdyby tego nie zrobili. - Po chwili Seymour dodał: - My też.

- Czy wdrożyłeś już oficjalne dochodzenie?

- Rebecco, wiesz chyba, że nie mogę...

- A ja nie mogę wypełniać swoich obowiązków w Waszyngtonie, dopóki nie będę znała odpowiedzi na to pytanie. Moja pozycja jest nie do obrony i resztki zaufania, jakie Amerykanie jeszcze do mnie mają, wyparują w mgnieniu oka.

Nie myliła się.

- Do tej pory nie wdrożyłem oficjalnego dochodzenia - powiedział Seymour spokojnym tonem.

Był to majstersztyk biernej biurokratycznej mowy, w której chodzi o to, żeby nic nie powiedzieć. Nie uszło to uwagi Rebekki.

- A co robisz nieoficjalnie?

Seymour odczekał chwilę, zanim odrzekł:

- Niech ci wystarczy to, że zostały podjęte pewne kroki.

- Kroki?

Skinął głową.

- Czy masz już podejrzanego?

- Rebecco, doprawdy... - powiedział Seymour z przyganą.

- Graham, nie jestem pierwszą lepszą urzędniczką z za biurka, tylko twoją H/Waszyngton. I mam prawo wiedzieć, czy Vauxhall Cross sądzi, że w mojej placówce pracuje szpieg.

Seymour zawahał się, po czym powoli pokręcił głową. Na twarzy Rebekki odbiła się ulga.

- Co powiemy Amerykanom? - zapytała.

- Zupełnie nic. To zbyt niebezpieczne.

- A gdy Morris Payne poinformuje cię o swoich podejrzeniach, że wśród nas jest rosyjski szpieg?

- To przypomnę mu Aldricha Amesa i Roberta Hansena. A potem powiem, że się myli.

- On tego nie przyjmie.

- Nie będzie miał wyboru.

- Chyba że twoje nieoficjalne dochodzenie doprowadzi do wykrycia rosyjskiego kreta.

- Jakie dochodzenie? - zapytał Seymour. - Jakiego kreta?

Dzielnica Belvedere, Wiedeń

Ambasada Brytyjska w Wiedniu mieściła się przy Jauresgasse 12, niedaleko ogrodów Belvedere, w eleganckiej Trzeciej Dzielnicy. Po przeciwnej stronie ulicy byli Jordańczycy, przez ścianę Chińczycy, a Irańczycy przy sąsiedniej przecznicy, podobnie jak Rosjanie. W związku z tym Alistair Hughes, szef wiedeńskiego oddziału MI6, miał okazję niewinnie mijać dużą rezydenturę SWR kilka razy dziennie, pieszo lub w samochodzie z szoferem.

Mieszkał przy spokojnej uliczce, która nazywała się Barichgasse, w mieszkaniu wystarczająco dużym dla żony i dwóch synów, którzy przyjeżdżali z Londynu co najmniej raz w miesiącu. Wydziałowi Gospodarczemu udało się zdobyć krótkoterminowy wynajem umeblowanego mieszkania w budynku dokładnie naprzeciwko. Eli Lavon wprowadził się tu tego ranka, gdy Graham Seymour leciał do Waszyngtonu, a Christopher Keller następnego dnia. Współpracował już z Lavonem przy kilku operacjach, ostatnio w Maroku, mimo wszystko z trudem rozpoznał mężczyznę, który zdjął łańcuch z drzwi i szybko wciągnął go do środka.

- Jaka właściwie jest natura naszego związku? - zapytał Keller.

- Czy to nie jest oczywiste? - odparował Lavon.

Keller po raz pierwszy zobaczył Alistaira Hughesa o wpół do dziewiątej tego wieczoru, kiedy Hughes wyłonił się z samochodu ambasady. Dwie minuty później zobaczył go na

ekranie laptopa, kiedy wszedł do swojego mieszkania. Ekipa z Neviot włamała się po południu do mieszkania i ukryła we wszystkich pomieszczeniach kamery i mikrofony. Umieścili również podsłuch w telefonie stacjonarnym i sieci Wi-Fi, dzięki czemu Lavon i Keller mogli monitorować wszelką aktywność Hughesa w cyberprzestrzeni, łącznie z klawiszami, które ten naciskał. Regulamin MI6 zabraniał mu prowadzenia oficjalnych spraw z jakichkolwiek komputerów poza placówką i telefonów innych niż służbowe zabezpieczone blackberry. Mógł jednak zajmować się sprawami osobistymi w zagrożonej sieci za pomocą prywatnego urządzenia. Podobnie jak większość oficjalnych pracowników MI6, nosił przy sobie drugi telefon. Hughes miał iPhone'a.

Ten pierwszy wieczór, podobnie jak dziewięć następnych, spędził w sposób typowy dla mężczyzny w średnim wieku, który mieszka sam. Wracał do domu wieczorem o nieco różnych porach, co Lavon, który monitorował jego wejścia i wyjścia, składał na karb osobistego bezpieczeństwa i profesjonalnych umiejętności. Jadał mrożone posiłki podgrzewane w mikrofalówce, zwykle oglądając wiadomości BBC. Nie pił wina do kolacji – w gruncie rzeczy w ogóle nie zauważyli, żeby pił alkohol – i około dziesiątej zwykle dzwonił do żony i synów, którzy mieszkali w Shepherd's Bush w zachodnim Londynie. Żona miała na imię Melinda i pracowała w siedzibie głównej banku Barclays przy Canary Wharf. Chłopcy mieli czternaście i szesnaście lat i chodzili do St. Paul's, jednej z najdroższych szkół londyńskich. Zdawało się, że pieniądze nie są dla Hughesa problemem.

Problemem jednak była bezsenność. Pierwsze lekarstwo stanowiła nudna biografia Clementa Attlee, brytyjskiego

powojennego premiera z Partii Pracy, a gdy to nie działało, sięgał po fiolkę tabletek, która zawsze stała na stoliku przy łóżku. W apteczce w łazience stały jeszcze dwie takie buteleczki. Hughes zażywał je razem z poranną kawą. Był dobrze ubrany i zadbany, ale nie przesadnie. Rankiem zawsze wysyłał powitalne wiadomości chłopcom i Melindzie. Żadna z wiadomości ani mejli, które wysyłał czy odbierał z mieszkania, nie miała charakteru romantycznego czy seksualnego. Eli Lavon przekazywał numery oraz adresy wszystkich wychodzących i przychodzących połączeń na bulwar Króla Saula, który z kolei przekazywał je do Unit 8200, doskonałych izraelskich służb zajmujących się telekomunikacją i cyberinteligencją. Żaden z nich nie wydawał się podejrzany. Dla pewności Unit 8200 sprawdził również nazwiska, numery telefonów i adresy mejlowe w jego kontaktach. Te również były czyste.

Samochód przyjeżdżał po Hughesa każdego ranka około dziewiątej, czasami kilka minut wcześniej, czasami później, i zabierał go do ambasady. W tym momencie Hughes znikał z widoku na kilka godzin. Ze względu na ścisłe przestrzeganie procedur bezpieczeństwa wzdłuż całej Jauresgasse obserwatorzy Lavona nie mogli być tam obecni przez cały czas, nie było w pobliżu również żadnych parków, placów ani przestrzeni publicznych, gdzie doskonały obserwator mógłby pozostawać dowolnie długo. Ale to nie miało znaczenia, bo aplikacja lokalizacyjna iPhone'a, którego Hughes nosił z sobą w teczce, dawała im znać, kiedy stamtąd wychodził.

Jako oficjalny szef placówki w małym i w miarę przyjaznym kraju Alistair Hughes był po trosze szpiegiem, po trosze dyplomatą, co wymagało od niego wielu spotkań poza

ambasadą. Często odwiedzał rozmaite ministerstwa austriackie oraz sztab BVT i codziennie jadał lunch w najlepszych wiedeńskich restauracjach w towarzystwie szpiegów, dyplomatów, a czasami nawet dziennikarzy, włączając w to piękną reporterkę niemieckiej telewizji, która próbowała z niego wydusić informacje dotyczące roli Izraela w zamordowaniu Konstantina Kirowa. Eli Lavon wiedział o tym, bo jadł lunch przy sąsiednim stoliku w towarzystwie jednej ze swoich obserwatorek. Lavon był również obecny na dyplomatycznym przyjęciu w Kunsthistorisches Museum, gdzie Hughes minął się przelotnie z człowiekiem z Ambasady Rosji. Lavon zrobił z ukrycia zdjęcie i przesłał je na bulwar Króla Saula. Biuro nie potrafiło przypisać żadnego nazwiska do twarzy Rosjanina, podobnie jak izraelskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, jednak Graham Seymour zidentyfikował go bez problemu.

- Witalij Borodin - powiedział Gabrielowi w zabezpieczonej rozmowie między ich gabinetami. - Zastępca drugiego sekretarza. Żadnych związków z swr.

- Skąd wiesz?

- Bo Alistair zraportował to spotkanie w chwili, gdy wrócił na placówkę.

Tego wieczoru, a był to dziesiąty wieczór obserwacji, Hughes przebrnął przez zaledwie dwie strony biografii Clementa Attlee, po czym sięgnął po tabletki. Rankiem po wysłaniu wiadomości do żony i dzieci wziął po jednej tabletkę z buteleczek w apteczce i popił je kawą. Samochód z ambasady przyjechał o dziewiątej dwanaście, a o dziewiątej trzydzieści Keller wszedł do mieszkania Hughesa z pomocą jednego z artystów włamywaczy Lavona. Podeszedł prosto do buteleczki stojącej

przy łóżku. Nie było na niej żadnej etykiety ani oznaczeń, podobnie jak na fiolkach w łazience. Keller wziął próbkę z każdej, rozłożył je na blacie w łazience i sfotografował od góry i od dołu. Potem, już w punkcie obserwacyjnym po drugiej stronie ulicy, wrzucił zdjęcia tabletek do internetowej bazy danych identyfikującej leki.

- Teraz już wiemy, dlaczego to jedyny pracownik MI6, który nie pije - stwierdził Lavon. - Efekty uboczne by go zabiły.

Lavon przesłał aktualizację na bulwar Króla Saula, a Gabriel przekazał wiadomość Grahamowi Seymourowi w bezpiecznym połączeniu telefonicznym późnym popołudniem. Szef wiedeńskiej placówki MI6 cierpiał na psychozę maniakalno-depresyjną, walczył z lękiem i miał kłopoty ze snem. Jednak dotychczas żadne dowody nie wskazywały na to, by również był rosyjskim szpiegiem.

Obserwowali go jeszcze przez trzy dni i trzy noce, albo też - jak później określił to Eli Lavon, a Keller się z nim zgodził - pilnowali go. Taki wpływ wywarły trzy nieoznakowane buteleczki lekarstw. W jednej znajdował się ambien, w drugiej xanax, a w trzeciej lithobid, silny stabilizator nastroju. Nawet Lavon, profesjonalny podglądacz, który przez całe życie dokumentował sekretne życie innych ludzi, ich słabości i słabostki, prywatne niedyskrecje i niewierności, nie potrafił już myśleć o Alistairze jak o celu i potencjalnym rosyjskim szpiegu. Mieli się nim opiekować i go chronić, by nie doznał żadnej krzywdy. Powinni traktować go jak pacjenta.

Nie był pierwszym zawodowym agentem wywiadu, który cierpiał na chorobę psychiczną, ani ostatnim. Niektórzy wchodzili do gry już z zaburzeniami, innych do choroby

doprowadzała sama gra. Hughes jednak ukrywał swoje dolegliwości wyjątkowo dobrze. Keller i Lavon z trudem łączyli obraz oszołomionego ambieniem człowieka, każdego ranka niepewnie wstającego z łóżka, z gładkim profesjonalnym szpiegiem, który kilka minut później wyłaniał się z drzwi budynku i wyglądał jak archetyp brytyjskiego wyrafinowania i kompetencji. Mimo wszystko obserwatorzy zacieśnili orbitę, śledząc Hughesa przy codziennych spotkaniach. A gdy niemal wszedł pod tramwaj na Kärntner Ring, zaabsorbowany komórką, sam Eli Lavon pochwycił go za łokieć i po niemiecku poradził cicho, żeby był ostrożniejszy.

- Na pewno cię nie widział? - zapytał Gabriel w bezpiecznym połączeniu.

- Odwróciłem się, zanim podniosłem głowę znad komórki. Nie zdążyłem zauważyć mojej twarzy.

- Złamałeś zasadę czwartej ściany. - W głosie Gabriela brzmiała nagana. - Nie powinieneś tego robić.

- A co miałem zrobić? Patrzyć, jak wpada pod tramwaj?

Następnego dnia była środa, szara i ponura, ale na tyle ciepła, że z nisko wiszących chmur padał deszcz, a nie śnieg. Nastrój Hughesa odpowiadał pogodzie. Agent powoli podnosił się z łóżka, a gdy przełykał tabletki z apteczki, xanax i lithebit, robił to tak, jakby ktoś siłą wpychał mu je do gardła. Na ulicy zatrzymał się na chwilę, zanim wsiadł do samochodu ambasady, i podniósł wzrok w stronę okien mieszkania obserwacyjnego, ale poza tym dzień niczym nie różnił się od poprzednich dwunastu. Cały ranek Hughes spędził w ambasadzie, zjadł dobry lunch w towarzystwie urzędnika z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, wypił kawę w Café Sperl w towarzystwie reportera z dziennika „Telegraph”. Nie rysował

żadnych znaków kredą, nie chodził na długie spacery po wiedeńskich parkach ani odludnych laskach i nic nie wskazywało na to, by próbował się z kimś skontaktować. Krótko mówiąc, nie robił nic, co mogłoby sugerować, że jest w kontakcie z jakimś wrogim wywiadem.

Pozostał w ambasadzie dłużej niż zwykle i wrócił do mieszkania o dziewiątej piętnaście. Miał tylko czas, żeby podgrzać sobie w mikrofalówce curry z kurczaka i szybko zadzwonić do Shepherd's Bush przed wejściem do łóżka. Ale w łóżku sięgnął nie po książkę, lecz po laptopa, po czym zarezerwował lot i pokój w hotelu na dwie noce. Samolot linii SkyWork wylatywał z Wiednia o drugiej po południu w piątek i miał przylecieć do Berna o wpół do czwartej. Hotel Schweizerhof był jednym z najlepszych hoteli berneńskich. Hughes nie powiedział żonie o swoich planach podróży. Graham Seymour przyznał w bezpiecznej rozmowie telefonicznej z Gabrielem, że Hughes nie poinformował o tym również placówki wiedeńskiej ani Vauxhall Cross.

- Dlaczego? - zapytał Gabriel.

- To nie jest wymagane, jeśli podróż ma osobisty charakter.

- A może powinno być.

- Czy ty wiesz, gdzie są twoi szefowie placówek w każdej chwili przez cały dzień?

- Nie - przyznał Gabriel. - Ale żaden z moich nie szpieguje dla Rosjan.

Alistair Hughes tej nocy spał mocno dzięki dziesięciu miligramom ambienu, ale przy bulwarze Króla Saula światła paliły się do późna. Rankiem Michaił Abramow poleciał do Zurichu, a Jossi Gawisz i Rimona Stern do Genewy. Wszyscy

troje następnie skierowali się do Berna, gdzie czekali na nich Christopher Keller i kilku pracowników Neviotu z wiedeńskiego oddziału.

Pozostał tylko Gabriel. W piątek wstał wcześniej rano, jeszcze w ciemnościach, i cicho, żeby nie obudzić Chiary, przywdział strój niemieckiego biznesmena, Johanna Klempa. W sąsiednim pokoju Raphael nie obudził się, gdy lekko go pocałował, ale Irene drgnęła, otworzyła oczy i przeszyła go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Wyglądasz inaczej.
- Czasami muszę udawać kogoś innego.
- Znowu wyjeżdżasz?
- Tak - przyznał.
- Jak długo cię nie będzie?
- Niedługo - odrzekł bez przekonania.
- Gdzie jedziesz tym razem?

Zasady bezpieczeństwa operacyjnego nie pozwoliły mu odpowiedzieć. Pocałował Irene jeszcze raz i zszedł na parter, gdzie warkot samochodów kontrastował z ciszą w mieszkaniu przy ulicy Narkiss.

„Gdzie jedziesz tym razem?”. Do Szwajcarii, pomyślał. Dlaczego to musi być Szwajcaria?

Palisades, Waszyngton

Gdy samolot Gabriela wznosił się nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego, Eva Fernandes wycierała blat niedużego baru w Brussels Midi, popularnym belgijskim bistro przy MacArthur Boulevard w północno-zachodniej części Waszyngtonu. Ostatni wieczorni goście w końcu wyszli i wąska sala jadalna była pusta, jeśli nie liczyć Ramona, który rytmicznie przesuwiał odkurzaczem po wykładzinie, i Claudii, która nakrywała do stolików na jutrzejszy lunch. Oboje niedawno przyjechali z Hondurasu, Claudia legalnie, Ramon nie, i żadne nie mówiło dużo po angielsku. To samo odnosiło się do większości personelu kuchennego. Na szczęście Henri, urodzony w Belgii właściciel i szef kuchni, znał hiszpański wystarczająco, by przekazać, czego sobie życzy, podobnie jak Yvette, jego bezlitośnie skuteczna partnerka biznesowa i żona.

Yvette zarządzała codziennym funkcjonowaniem restauracji i zazdrośnie strzegła książki rezerwacji, ale to Eva Fernandes, zgrabna, uderzająco atrakcyjna blondynka była publiczną twarzą lokalu. Zamożna klientela składała się z wpływowych członków rządzącej elity Waszyngtonu, prawników, lobbystów, dziennikarzy, dyplomatów i intelektualistów z największych kuźni politycznych i intelektualnych miasta. W większości byli to demokraci o lewicowej orientacji. Można było znaleźć wśród nich globalistów, ekologów, osoby popierające prawo do kontroli urodzeń, nieograniczoną imigrację, powszechną opiekę zdrowotną, ścisłą kontrolę nad posiadaniem broni oraz

gwarantowany podstawowy dochód dla tych, którzy znajdują się na samym dole drabiny społecznej. Wszyscy oni uwielbiali Evę. Witła ich przy wejściu, uwalniała od płaszczy i wszelkich trosk, a gdy ich stoliki były zajęte, bo Yvette przyjęła zbyt wiele rezerwacji, Eva koła ich złość promiennym uśmiechem, kieliszkiem wina na koszt firmy oraz kilkoma miękkimi słowami z odrobiną dziwnego akcentu.

- Skąd pani pochodzi? - pytali, a ona mówiła, że pochodzi z Brazylii, co do pewnego stopnia było prawdą. A jeśli pytali o jej europejski wygląd, wyjaśniała, że jej dziadkowie wywodzili się z Niemiec, co absolutnie prawdą nie było.

Przyjechała do Ameryki przed siedmioma laty i zamieszkała najpierw w Miami, a potem przesuwiała się coraz dalej na północ w serii nierokujących zajęć i związków, aż w końcu dotarła do Waszyngtonu, który przez cały czas był jej celem. Znalazła pracę w Brussels Midi właściwie przypadkiem, gdy spotkała Yvette w Starbucksie po drugiej stronie ulicy. Miała zbyt dobre wykształcenie do tej pracy - dyplom z biologii molekularnej prestiżowego uniwersytetu - a płaca była nędzna. Dorabiała sobie, prowadząc trzy razy w tygodniu zajęcia w studiu jogi w Georgetown i dodatkowo otrzymywała wsparcie finansowe od przyjaciela, który uczył historii w Hunter College na Manhattanie. Te trzy źródła dochodu pozwalały jej na samowystarczalność. Mieszkała sama w małym lokaliku przy Reservoir Road, miała samochód kia optima i często podróżowała, zwykle do Kanady.

Ramon i Claudia wyszli o jedenastej piętnaście. Eva wzięła torebkę z szatni, włączyła alarm w restauracji i wyszła. Jej samochód był zaparkowany przy krawężniku. Mieszkanie znajdowało się o niecałą milę dalej, ale nigdy nie wracała

wieczorem do domu pieszo. Tej zimy przy MacArthur Boulevard zdarzyła się seria napadów, a tydzień wcześniej młodą kobietę wciągnięto do lasu przy Battery Kemble Park z nożem przy gardle i zgwałcono. Eva była pewna, że potrafiłaby sobie poradzić w przypadku napadu czy rabunku, ale taka sprawność niezupełnie pasowała do profilu hostessy w restauracji, a po godzinach instruktorki jogi. Nie chciała również ryzykować kontaktu z policją.

Pilotem otworzyła drzwi kii i szybko wsunęła się do środka. Torebkę starannie ułożyła na fotelu pasażera. Była cięższa niż zwykle, bo w środku znajdowało się błyszczące chromowane urządzenie elektroniczne mniej więcej wielkości przeciętnej książki w miękkiej okładce. Evie kazano włączyć urządzenie tego wieczoru tylko na piętnaście minut, od dziewiątej wieczorem, żeby agent Centrali w Moskwie mógł elektronicznie przekazać jej dokumenty. Zasięg urządzenia wynosił około trzydziestu metrów w każdym kierunku. Było możliwe, że agent przekazuje dokumenty z chodnika albo z przejeżdżającego w pobliżu samochodu, ale Eva w to wątpiła. Najprawdopodobniej wymiana zaszła w Brussels Midi. Ze względów bezpieczeństwa Eva nie znała tożsamości agenta, ale miała podejrzanego. Zauważała drobiazgi, na jakie większość ludzi nie zwraca uwagi. Od tego zależało jej przetrwanie.

MacArthur Boulevard był pusty i mokry po wieczornym deszczu. Eva ruszyła na wschód, ograniczając prędkość ze względu na kamery. Nieduży ceglany budynek, w którym mieszkała, wychodził na jezioro. Zaparkowała kię o jakieś trzydzieści metrów dalej i idąc po wilgotnym chodniku, sprawdzała stojące w pobliżu samochody. W większości je znała, ale jednego dotąd nie widziała - SUV-a z rejestracją

z Wirginii. Zapamiętała numer, powtórzyła go sobie - nie po angielsku ani nie po portugalsku, który był językiem jej rzekomego pochodzenia, ale po rosyjsku - i weszła do środka.

Jej skrzynka pocztowa w holu była pełna. Wrzuciła katalogi i inne śmieci do kosza, a kilka rachunków zniosła na górę do mieszkania. Tam, przy stole kuchennym, przy przyciemnionym świetle i zaciągniętych zasłonach, podłączyła chromowane urządzenie do laptopa i wpisała hasło złożone z dwudziestu siedmiu znaków do ramki, która pojawiła się na ekranie.

Wsunęła do gniazda nowego pendrive'a i postukała w touchpad. Pliki z urządzenia automatycznie się przeniosły. Zadaniem Ewy było zablokować pendrive'a i zaszyfrować jego zawartość. Jak zawsze, robiła to powoli i starannie. Na wszelki wypadek wyjęła pendrive'a z gniazda USB, jeszcze raz wsunęła do środka i kliknęła na ikonkę. Pojawiła się odmowa dostępu bez podania prawidłowego hasła złożonego z dwudziestu siedmiu znaków. Pendrive był zablokowany.

Rozłączyła chromowane urządzenie i schowała je tam, gdzie zawsze - pod kawałkiem wykładziny i luźną deską podłogi w garderobie przy sypialni. Pierwsza część zadania została wykonana - przejęła dane od agenta. Teraz trzeba je przekazać do Centrali Moskwa tak, by amerykańska NSA niczego nie odkryła. A to oznaczało, że musi przekazać pendrive'a kurierowi, który był następnym ogniwem łańcucha rozciągającego się od Waszyngtonu do Jasieniewa. W przeszłości Eva zostawiała pendrive'a pod zlewem w kuchni w pustym mieszkaniu w Montrealu, ale Centrala zlikwidowała to mieszkanie z powodów, którymi nie uznała za stosowne się z nią podzielić, i stworzyła nowy punkt kontaktowy.

Aby wyjaśnić częste podróże do Kanady, centrala stworzyła

jej legendę. Eva rzekomo miała ciotkę ze strony matki, która mieszkała w Dzielnicy Łacińskiej w Montrealu, cierpiała na niewydolność nerek i wymagała dializ. Najbliższymi wolnymi dniami Ewy były poniedziałek i wtorek, ale raporty agenta zawsze miały najwyższy priorytet. Piątek i sobota nie wchodziły w grę – Yvette wpadłaby w szal, gdyby Eva poprosiła o wolne w któryś z tych dni bez uprzedzenia, ale w niedzielę ruch był niewielki. Szczególnie w zimie Yvette mogła sama otwierać drzwi i odbierać telefony. Eva musiała tylko znaleźć kogoś, kto poprowadziłby za nią grupę jogi w niedzielę o dziewiątej rano. Z tym nie powinno być problemu. Emily, nowa dziewczyna, brała każde dodatkowe zatrudnienie. Tak wyglądało życie w kwitnącej gospodarce współczesnej Ameryki.

Eva usiadła przed laptopem i wysłała trzy krótkie mejle, jeden do Yvette, drugi do menedżera studia jogi, a trzeci do swojej nieistniejącej ciotki ze strony matki. Potem zarezerwowała bilet na lot United Airlines do Montrealu w niedzielę rano w klasie ekonomicznej oraz pokój w Marriotcie w centrum miasta na jedną noc. Uzyskała w ten sposób cenne mile i punkty. Kontroler z Centrali Moskwa zachęcał ją do uczestnictwa w programach premii dla często podróżujących, bo pomagało to obniżyć wysokie koszty utrzymania jej na Zachodzie.

W końcu, o wpół do pierwszej, wyłączyła komputer i wyczerpana padła na łóżko. Jej włosy pachniały jak Brussels Midi, ślimakami i łososiem z rusztu w sosie szafranowym, a także flamandzkim gulaszem wołowym duszonym w ciemnym piwie. Jak zawsze przez głowę przelatywały jej zwykłe wydarzenia z całego wieczoru. Ten prywatny przegląd był zupełnie mimowolnym efektem ubocznym nużącej pracy.

Jeszcze raz powtarzała każdą rozmowę i widziała każdą twarz przy każdym z dwudziestu dwóch stolików w Midi. Jedną grupę pamiętała wyraźniej niż pozostałe: Crawford, cztery osoby, ósma wieczorem. Posadziła ich przy stoliku numer siedem. O dziewiątej czekali na główne dania. Trzy osoby rozmawiały z ożywieniem. Czwarta wpatrywała się w telefon.

Wiedeń - Berno

Eli Lavon nie potrzebował dużo czasu, by zauważyć, że Alistair Hughes coś ukrywa. Na przykład ten drobiazg z torbą podróżną. Zostawił ją w mieszkaniu, choć wyjeżdżał do Berna wczesnym popołudniem. Dalej samochód, który zabrał go z ambasady do Café Central o wpół do jedenastej. Zwykle kierowca podczas spotkań Hughesa czekał w pobliżu, ale tym razem odjechał, ledwie Hughes zniknął w tej słynnej kawiarni. W środku spotkał się z człowiekiem, który wyglądał, jakby kupował ubrania u krawca obsługującego wyłącznie dyplomatów z Unii Europejskiej. Ze swojego miejsca po drugiej stronie zatłoczonej sali Eli Lavon nie był w stanie określić narodowości mężczyzny z całkowitą pewnością, ale odniósł wyraźne wrażenie, że jest to Francuz.

Hughes wyszedł z kawiarni kilka minut po jedenastej i poszedł pieszo do Burgring, gdzie złapał taksówkę – pierwszą, odkąd Biuro wzięło go pod obserwację. Taksówka zawiozła go do mieszkania i czekała przy krawężniku, gdy poszedł na górę po torbę. Lavon wiedział o tym, bo obserwował wszystko z fotela pasażera granatowego opla astry prowadzonego przez ostatniego członka jego zespołu, który pozostał jeszcze w Wiedniu. Jedenaście mil na lotnisko przebyli w rekordowym czasie, mijając po drodze taksówkę Hughesa, dzięki czemu Lavon zdążył jeszcze przejść odprawę na lot do Berna, zanim Hughes wszedł do terminalu. Anglik pojawił się ze służbowym blackberry przyciśniętym do ucha.

Młoda Austriaczka na stanowisku SkyWork najwyraźniej znała Hughesa, a on ją. Sprawnie przeszedł przez kontrolę paszportową oraz bezpieczeństwa i usiadł w spokojnym kącie w holu odlotów, gdzie wysłał i dostał kilka esemesów z prywatnego iPhone'a. Tak to w każdym razie wyglądało w oczach Lavona, który siedział wciśnięty między pijących w południe alkohol przy barze po drugiej stronie pomieszczenia i skubał spoconą etykietę austriackiego stiegla.

O dwunastej czterdzieści głośniki nad głowami obwieściły donośnie, że za chwilę zacznie się odprawa dla odlatujących do Berna. Lavon wypił już dość piwa, by zaspokoić ciekawość jakiegokolwiek agenta kontrolobserwacji swr, i podszedł do bramki, a w chwilę później Alistair Hughes podążył w tę samą stronę. Mieli lecieć saabem 2000, pięćdziesięciomiejscowym turboodrzutowcem. Lavon wsiadł pierwszy i upychał właśnie torbę podręczną pod stojącym z przodu fotelem, gdy Alistair Hughes pojawił się w kabinie.

Fotel obok niego został zajęty chwilę później przez mocno umalowaną kobietę, mniej więcej czterdziestopięcioletnią, atrakcyjną, w biznesowym stroju, która rozmawiała przez telefon w szwajcarskiej odmianie niemieckiego. Z nadmiaru ostrożności Lavon ukradkiem zrobił jej zdjęcie, a potem obserwował, gdy ona i Hughes zaczęli swobodnie rozmawiać. Pasażer obok Lavona nie należał do gadatliwych. Był to mężczyzna o bałkańskiej urodzie, Serb albo może Bułgar, który przed lotem wypił w barze trzy butelki lagera. Gdy samolot zanurzył się w nisko wiszących chmurach i wpadł w turbulencje, Lavon zastanawiał się, czy twarz tego mężczyzny z pięciodniowym zarostem będzie ostatnią twarzą, jaką zobaczy w życiu.

Chmury rozstąpiły się nad Salzburgiem, prezentując pasażerom olśniewający widok pokrytych śniegiem Alp, Lavon jednak dostrzegał tylko Alistaira Hughesa i atrakcyjną, mówiącą po niemiecku kobietę, która siedziała obok niego. Piła białe wino. Hughes jak zwykle miał przed sobą szklanę gazowanej wody mineralnej. Zawrocie silników odrzutowca sprawiało, że Lavon nie był w stanie usłyszeć ich rozmowy, ale nie wątpił, że kobieta jest zaintrygowana tym, co mówi przystojny światowy Anglik. Lavon nie widział w tym nic dziwnego; jako agent MI6 Alistair Hughes był wyszkolonym uwodzicielem. Jednak to, na co patrzył, mogło być nie tylko przypadkowym spotkaniem mężczyzny i kobiety w samolocie. Może Hughes i ta kobieta mieli już romans. A może ona była jego oficerem prowadzącym z SWR.

Po czterdziestu pięciu minutach lotu Hughes wyciągnął z teczki egzemplarz „Economista” i czytał go aż do chwili, gdy saab 2000 opadł na pas niewielkiego lotniska w Bernie. Anglik zamienił kilka ostatnich słów z kobietą, kiedy samolot kołował w stronę terminalu, ale gdy docierali na stanowisko, rozmawiał już przez prywatnego iPhone’a. Kobieta szła kilka kroków za nim, a Lavon kilka kroków za kobietą. On również rozmawiał przez telefon z Gabrielem.

- Miejsce cztery B - mówił Lavon cicho. - Kobieta, szwajcarska Niemka, około czterdziestki. Znajdź jej nazwisko na liście pasażerów i wrzuć do bazy danych, żebym mógł dzisiaj wieczorem zasnąć.

Budynek terminalu był wielkości typowego miejskiego lotniska, niski i szary, z wieżą kontrolną na jednym końcu. Kilku pasażerów zatrzymało się przy karuzeli z bagażem, ale większość poszła prosto do wyjścia, łącznie z Alistairem

Hughesem i jego towarzyszką. Przed lotniskiem kobieta wsiadła na fotel pasażera zabłoconego dużego volvo i pocałowała mężczyznę, który siedział za kierownicą, a potem dwoje małych dzieci z tyłu.

Po drugiej stronie ulicy czekał sznur taksówek. Hughes wsiadł do pierwszej, a Lavon do trzeciej. Berno znajdowało się kilka kilometrów na północny wschód. Szacowny hotel Schweizerhof stał przy Bahnhofplatz. Gdy taksówka Lavona mijiała wejście, zauważył, że Alistair Hughes opędza się od natrętnego chłopca hotelowego.

Kierowca Lavona zgodnie z prośbą wysadził go po przeciwnej stronie ruchliwego placu, ale jego prawdziwym miejscem przeznaczenia był hotel Savoy, który stał tuż za eleganckim rogiem, na deptaku o nazwie Neuengasse. Michaił Abramow pił kawę w holu. Gabriel i Christopher Keller czekali w pokoju na górze.

Na biurku stało kilka laptopów. Na jednym ekranie widniało zdjęcie recepcji w hotelu Schweizerhof zrobione z góry przez hotelowe kamery bezpieczeństwa. Alistair Hughes podawał recepcjoniście paszport - wymagano tego we wszystkich szwajcarskich hotelach. W przypadku Hughesa było to jednak zupełnie zbędne, pomyślał Lavon, bo wydawało się, że recepcjonista dobrze go zna.

Z kluczem do pokoju Hughes podszedł do wind. Zniknął z ekranu jednego komputera i pojawił się na następnym. Jeszcze dwie hotelowe kamery monitorowały jego drogę korytarzem czwartego piętra do drzwi apartamentu wychodzącego na wieże Starego Miasta. W pokoju jednak kamery zostały ukryte, a ich mocno zakodowany sygnał z łatwością przebył niewielką odległość od Schweizerhof do

Savoja. Razem były cztery kamery: dwie w saloniku, jedna w sypialni i jedna w łazience, a także mikrofony, łącznie z podsłuchem hotelowych telefonów. Dopóki Alistair Hughes bawił w Bernie, w mieście pozostającym poza granicami jego terytorium i w którym nie powinno go być, nie miał prawa do żadnej strefy nietykalności. W każdym razie w tej chwili Biuro miało go na widelcu.

Hughes wszedł do pokoju, rzucił płaszcz i walizkę na łóżko, a teczkę na biurko. Jego prywatny iPhone był na podglądzie w każdy możliwy sposób: połączenia głosowe, przeglądarka internetowa, wiadomości tekstowe, mejle, kamera i mikrofon. Hughes wysłał z niego pozdrowienia do żony i synów w Londynie, a potem zadzwonił ze służbowego blackberry.

Zgodnie z umową Gabriela z Grahamem Seymourem Biuro nie próbowało inwigilować tego urządzenia, toteż słyszeli tylko to, co mówił Hughes. Ton jego głosu był taki, jakby przełożony zwracał się do podwładnego. Powiedział, że spotkanie przy lunchu - w gruncie rzeczy nie jadł żadnego lunchu - trwało dłużej, niż się spodziewał, i dlatego wcześniej rozpoczął weekend. Dodał, że nie ma żadnych planów, chce tylko trochę poczytać i w razie kryzysu - mało prawdopodobnego ze względu na to, że jego terytorium stanowi Wiedeń - można będzie do niego zatelefonować lub zamejlować. Przez kilka sekund milczał, zapewne wtedy mówił jego podwładny. Potem powiedział:

- Wydaje się, że to może poczekać do poniedziałku - i rozłączył się.

Sprawdził godzinę. Była trzecia czterdzieści siedem. Zamknął blackberry, iPhone'a oraz paszport w sejfie i wsunął portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki. Potem popił dwie tabletki

środku przeciwbólowego dostarczoną przez hotel szwajcarską wodą mineralną i opuścił pokój.

Hotel Schweizerhof, Berno

Stateczny hotel Schweizerhof od dawna należał do ulubionych miejsc brytyjskich podróżników i szpiegów, po części dlatego, że codziennie po południu oferował herbatę w barze na dole. Alistair Hughes wyraźnie był tu stałym gościem. Hostessa powitała go ciepło i zaproponowała stolik pod reprodukcją portretu jakiegoś dawno nieżyjącego szwajcarskiego szlachcica. Hughes wybrał miejsce szpiega i usiadł twarzą do głównego wejścia, zasłaniając się płachtą „Financial Timesa”, którą to gazetę dostarczył mu Herr Müller, ponury portier.

W holu było sześć kamer bezpieczeństwa, ale ponieważ Alistair Hughes zostawił iPhone’a w pokoju, nic nie słyszeli. Gabriel wysłał szybko wiadomość do Jossiego i Rimony, którzy byli zameldowani w hotelu pod fałszywymi nazwiskami, i kazał im zejść na dół. Pojawili się po niecałych dziewięćdziesięciu sekundach i udając skłócone małżeństwo, usiedli przy stoliku za Hughesem. Nie było żadnej możliwości, by człowiek z MI6 rozpoznał w nich agentów Biura. Jossi i Rimona nie odgrywali żadnej roli w nieudanej próbie przejęcia Konstantina Kirowa poza tym, że zidentyfikowali Alistaira Hughesa jako potencjalne źródło zgubnego przecieku i nigdy w ciągu całej ich błyskotliwej kariery żadne z nich nie pracowało z Hughesem we wspólnej operacji Biura i MI6.

Następni goście pojawili się nie z głębi hotelu, lecz z ulicy – mężczyzna i kobieta tuż przed czterdziestką albo tuż po.

Wyglądali na mieszkańców Europy Środkowej albo Skandynawów. Obydwoje byli atrakcyjni i elegancko ubrani – mężczyzna w ciemny garnitur i jaskrawoniebieską koszulę, kobieta w zgrabny kostium ze spodniami, i obydwójce odznaczali się doskonałą kondycją fizyczną, szczególnie kobieta. Hostessa poprowadziła ich do stolika przy barze, ale mężczyzna zaprotestował i wskazał stolik, z którego widział zarówno wejście do hotelu, jak też szefa wiedeńskiej placówki MI6 pogrążonego w lekturze „Financial Timesa”. Zamówili drinki, a nie herbatę, i ani razu nie spojrzeli na swoje telefony. Mężczyzna siedział z prawą ręką opartą na kolanie i lewym przedramieniem na stoliku. Kobieta przez kilka minut poprawiała makijaż na nieskazitelnej twarzy.

- Jak sądzisz, kto to jest? – zapytał Gabriel.

- Borys i Natasza – mruknął Eli Lavon.

- Centrala Moskwa?

- Z pewnością.

- Możemy to sprawdzić?

- Skoro się upierasz.

Lavon pochwycił zbliżenia twarzy mężczyzny z kamery numer siedem. Kamera numer dwanaście dała mu najlepsze ujęcie kobiety. Skopiował obydwa obrazy do pliku i wysłał je bezpiecznym łączem do Tel Awiwu.

- Teraz zobaczymy, co się dzieje przed hotelem.

Przywołał obraz z kamery numer dwa zamontowanej nad wejściem do hotelu, z obiektywem skierowanym na ulicę, na łuki podcieni. Dwóch boyów hotelowych wyciągało drogą walizkę z bagażnika mercedesa klasy S. Za nimi na Bahnhofplatz dudnił popołudniowy ruch.

- Cofnij to – powiedział Gabriel. – Chcę zobaczyć, jak

przyjechali.

Eli Lavon cofnął wskaźnik czasu o pięć minut, do chwili, gdy Borys i Natasza weszli do baru, potem cofnął jeszcze o dwie minuty i nacisnął „play”. Kilka sekund później Borys i Natasza pojawili się w kadrze.

Lavon przycisnął pauzę.

- Szczęśliwa para - skomentował lodowato. - Przyszli do hotelu pieszo, żebyśmy nie mogli sprawdzić rejestracji samochodu.

Szybko przerzucił obraz na kamerę numer dziewięć, która miała najszersze pole widzenia na hotelowy bar. Pojawił się nowy klient, duży, dobrze ubrany mężczyzna z mocną szczęką i jasnymi przylizanymi włosami. Zażyczył sobie stolik od frontu i usiadł przodem do Alistaira Hughesa. Człowiek z MI6 obrzucił go wzrokiem znad „Financial Timesa” z obojętnym wyrazem twarzy i wrócił do czytania.

- Kto to? - zapytał Gabriel.

- Igor - odrzekł Lavon. - A Borys go asekuje z przodu i z tyłu.

- Przyjrzyjmy się uważniej.

I znowu ujęcie z kamery numer dwanaście okazało się najlepsze. Rysy twarzy mężczyzny zdecydowanie były słowiańskie. Lavon powiększył obraz i zrobił kilka zrzutów, które wysłał na bulwar Króla Saula jako priorytetowe.

- Jak on się tu dostał? - zapytał Gabriel.

Lavon przerzucił ujęcie na kamerę numer dwa pokazującą ulicę i cofnął na tyle, że zobaczyli, jak mężczyzna, którego nazwali Igozem, wysiada z audi A8. Samochód wciąż stał przed hotelem. Jeden człowiek siedział za kierownicą, drugi z tyłu.

- Zdaje się, że Igor nie lubi chodzić pieszo - stwierdził Lavon

- nawet jeśli chodzi o zachowanie anonimowości.

- A może powinien - odrzekł Keller. - Nie zaszkodziłoby mu zrzucić parę kilo.

W tej chwili błysnęło światełko bezpiecznego połączenia. Nadeszła wiadomość z Tel Awiwu.

- No i co? - zapytał Gabriel.

- Pomyliłem się - oświadczył Lavon. - On nie ma na imię Igor, tylko Dimitrij.

- To lepiej niż Igor. Nazwisko?

- Sokołow.

- A po ojcu?

- Antonowicz. Dimitrij Antonowicz Sokołow.

- Czym się Dimitrij zajmuje?

- Jest nikiem w stałej misji Federacji Rosyjskiej w Genewie.

- Ciekawe. A tak naprawdę co robi?

- Jest człowiekiem Centrali Moskwa.

Gabriel patrzył na ekran.

- Co człowiek Moskwy robi w barze hotelu Schweizerhof kilka metrów od szefa wiedeńskiej placówki MI6?

Lavon przesunął obraz na kamerę dziewięć z najszerszym kątem w całym arsenale.

- Nie wiem, ale zaraz się przekonamy.

Hotel Schweizerhof, Berno

Istnieją liczne metody, aby płatny lub zmuszony do współpracy agent pozyskany przez służby wywiadowcze mógł się skomunikować ze swoimi nadzorcami. Może zostawić zakodowaną wiadomość albo film w skrytce kontaktowej, może niespostrzeżenie przekazać materiały podczas wyreżyserowanego spotkania, które nazywa się „przelotny kontakt”, może wysłać wiadomość przez internet w zakodowanym mejlu, przez satelitę za pomocą miniaturowego przekaźnika albo zwykłą pocztą przy użyciu starego dobrego szyfru. Może nawet zostawić materiały w zupełnie zwyczajnych przedmiotach takich jak kamienie, kłody drewna czy monety. Wszystkie te metody mają swoje wady i żadna nie jest w stu procentach bezpieczna. A kiedy coś pójdzie nie tak, jak owej nocy w Wiedniu, gdy Konstantin Kirow próbował zdezerterować, zwykle najwyższą cenę płaci pozyskany agent, a nie jego oficer prowadzący.

Ale gdy obaj, pozyskany agent i jego prowadzący, są znanymi pracownikami swoich służb i gdy obydwaj mają dyplomatyczne paszporty, można skorzystać ze znacznie mniej niebezpiecznej metody komunikacji znanej jako przypadkowy kontakt. Może się to zdarzyć na koktajlu, na przyjęciu, w operze, w restauracji albo w holu luksusowego hotelu w sennym Bernie. Gra wstępna wymaga pewnej bezosobowej komunikacji, jak na przykład gazeta albo kolor krawata. A jeśli prowadzący ma na to ochotę, może na wszelki wypadek przyprowadzić z sobą parę

ochroniarzy. Bo nawet bar w szwajcarskim hotelu może być niebezpiecznym miejscem, gdy sekrety narodów przechodzą z rąk do rąk.

Przez następne pięć minut nikt się nie poruszył. Byli jak postacie na obrazie albo aktorzy na ciemnej scenie, pomyślał Gabriel, czekając na pierwszy snop światła, który ich ożywi. Poruszali się tylko obserwatorzy Eliego Lavona, ale oni znajdowali się na uboczu. Dwóch siedziało w skodzie zaparkowanej na Bahnhofplatz, a kolejna dwójka, mężczyzna i kobieta, schronili się w podcieniach. Obserwatorzy w samochodzie mieli pojechać za Dimitrijem Sokołowem, a ci z podcieni – zająć się Borysem i Nataszą.

Pozostawał tylko Alistair Hughes, który powinien teraz rozpoczynać wcześniejszy weekend w Wiedniu. Ale go tam nie było; bawił w Bernie w odległości kilku metrów od tajnego pracownika SWR. Możliwe, że ci dwaj skontaktowali się już przez urządzenie komunikacyjne krótkiego zasięgu. W zawodowym żargonie nazywało się to SRAC i działało jak coś w rodzaju prywatnej sieci Wi-Fi. Agent miał przekaźnik, a prowadzący odbiornik. Wystarczyło, że agent znalazł się w zasięgu, by jego wiadomość została bezpiecznie przesłana z jednego urządzenia na drugie. Można nawet tak ustawić system, że agent nie musi nic robić i obywa się bez kompromitującego przyciskania guzika. Ale agent nie mógł nosić tego urządzenia przy sobie do końca życia. W końcu musiał je wyjąć z kieszeni albo z walizki i podłączyć do ładowarki albo do komputera. A jeśli zrobił to w zasięgu kamery albo obserwatora, tym samym udowadniał, że jest szpiegiem.

Gabriel jednak wątpił, by Alistair Hughes miał przy sobie

urządzenie SRAC. Keller i Eli Lavon nie zauważyli niczego takiego w Wiedniu, gdzie Hughes pozostawał pod niemal nieustanną obserwacją fizyczną i elektroniczną. Co więcej, sens tego systemu polegał na tym, by unikać spotkania twarzą w twarz agenta i oficera prowadzącego. Nie, pomyślał Gabriel, w holu hotelu Schweizerhof dzieje się coś innego.

W końcu, o czwartej dwadzieścia cztery, Hughes poprosił o rachunek. Chwilę później Dimitrij Sokołow zrobił to samo. Potem Rosjanin podniósł swoje potężne ciało z krzesła i zapinając blezer, pokonał kilka metrów dzielących jego stolik od stolika, przy którym Alistair Hughes podpisywał rachunek.

Na Hughesa padł cień oficera swr. Podniósł wzrok i ze zmarszczonym czołem słuchał, jak Sokołow, niczym kelner opisujący specjalności lokalu, wygłasza przy jego stoliku krótką homilię. Wymienili kilka zdań. Hughes coś powiedział, Sokołow odpowiedział, Hughes znowu się odezwał. W końcu Rosjanin się uśmiechnął, wzruszył ciężkimi ramionami i usiadł. Anglik powoli złożył gazetę i położył ją na stole między nimi.

- Drań - szepnął Christopher Keller. - Wygląda na to, że miałaś rację. On szpieguje dla Rosjan.

Tak, pomyślał Gabriel, patrząc na ekran, właśnie tak to wygląda.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że rozmawiam z panem Alistairem Hughesem z Ambasady Brytyjskiej w Wiedniu. Spotkaliśmy się tam na przyjęciu w zeszłym roku. To było w jakimś pałacu, nie pamiętam, w którym. W Wiedniu jest tyle pałaców. Prawie równie wiele, co w Sankt Petersburgu.

To były słowa, które Dimitrij Antonowicz Sokołow wypowiedział przy stoliku Alistaira Hughesa, wiernie

zapamiętane przez Jossiego Gawisza i Rimonę Stern. Żadne z nich nie usłyszało, o czym rozmawiali później – ani krótkiej wymiany zdań, gdy Sokołow jeszcze stał, ani dłuższej, gdy już usiadł, bo obydwie te rozmowy były prowadzone znacznie cichszym głosem, stosowniejszym do zakonspirowanej sytuacji.

Ta druga rozmowa trwała dwie minuty i dwanaście sekund. Przez większość czasu Sokołow trzymał Hughesa za lewy nadgarstek i mówił coś z fałszywym uśmiechem. Hughes słuchał spokojnie, nie próbując cofnąć ręki.

Sokołow wreszcie puścił dłoń Hughesa, sięgnął za pazuchę i wyjął kopertę, którą wsunął w egzemplarz „Financial Timesa”. Potem podniósł się gwałtownie, skłonił krótko i wyszedł. Kamera numer dwa pokazała, jak wsiada na tylne siedzenie audi. Gabriel polecił ludziom Lavona, by za nim nie jechali.

W hotelu Borys i Natasza nadal siedzieli przy stoliku. Natasza mówiła coś z ożywieniem, ale Borys jej nie słuchał. Patrzył na Alistaira Hughesa, który z kolei wpatrywał się w gazetę. W końcu Anglik teatralnie spojrział na zegarek i podniósł się szybko, jakby zasiedział się w barze. Położył banknot na rachunku, a gazetę wraz ze schowaną w niej kopertą w ostatniej chwili zabrał z sobą.

Wyszedł z holu, pożegnał się z hostessą i ruszył do windy. Drzwi otworzyły się, ledwie nacisnął guzik. W windzie wyjął kopertę Dimitrija Sokołowa, rozchylił ją i zajrzał do środka. Jego twarz przez cały czas pozostawała nieruchoma – maska profesjonalnego szpiega.

Znów wsunął kopertę w gazetę i wyszedł na korytarz. W pokoju otworzył kopertę po raz drugi, wyjął zawartość i przyjrzał się jej, stojąc przy oknie wychodzącym na Stare Miasto i nieumyślnie zasłaniając własnymi plecami zawartość

koperty przed okiem obydwu ukrytych kamer.

Następnie poszedł do łazienki i zamknął drzwi. Ale tam też była kamera. Patrzyła na niego, kiedy moczył ręcznik i układał go pod drzwiami. Przykucnął przy szafce i spalił zawartość koperty Dimitrija Sokołowa. Kamera znów była ustawiona pod takim kątem, że Gabriel nie widział, co tam jest. Spojrzał na Kellera, który wpatrywał się w ekran ze złością.

- Dzisiaj o dziewiątej czterdzieści z Genewy wylatuje samolot British Airways. Ląduje na Heathrow o dziesiątej piętnaście. Przy odrobinie szczęścia możesz się znaleźć w domu Grahama na Eaton Square około jedenastej. Kto wie, może Helen znajdzie dla ciebie jakieś resztki z kolacji.

- Ja to mam szczęście. A co mu powiedzieć?

- To zależy tylko od ciebie. - Gabriel patrzył, jak Alistair Hughes, szef wiedeńskiej placówki MI6, pali ostatni dowód: kopertę ze śladami palców jego i Dimitrija Antonowicza Sokołowa. - Teraz to jest wasz problem.

Hotel Schweizerhof, Berno

Zawsze wiedział, że do tego dojdzie, że któregoś dnia go zdemaskują. Takiej tajemnicy nie da się zachować do końca życia. Prawdę mówiąc, był zdziwiony, że udało mu się ukrywać tak długo. Cztery lata i nikt go nie podejrzewał, nawet w Bagdadzie, gdzie spędził dziesięć okropnych miesięcy, szukając nieistniejącej broni masowego zniszczenia, która miała być pretekstem, by wciągnąć jego kraj w wyniszczającą wojnę. Chyba by oszalał w Bagdadzie, gdyby nie Rebecca. Często romansował, nawet zbyt często, ale Rebecce kochał. Wyprzedziła go w twardej rywalizacji o placówkę w Waszyngtonie i teraz, jako pierwsza kobieta w historii, zmierzała prostą drogą do gabinetu dyrektora generalnego Szóstki. Może mogłaby użyć swoich rosnących wpływów, by mu pomóc. Nie, pomyślał, nawet Rebecca nie może go już ocalić. Nie ma wyjścia, musi wszystko wyznać i mieć nadzieję, że Graham zechce zamieść jego nieuczciwość pod dywan.

Zabrał mokry ręcznik spod drzwi i wrzucił go do wanny. Ręcznik upadł jak martwe zwierzę. W powietrzu wisiała mgiełka dymu z jego spalonych kłamstw. Wychodząc z łazienki, szybko zamknął za sobą drzwi, żeby dym nie uruchomił alarmu przeciwpożarowego. Cóż to byłby za majstersztyk komizmu. Jakiż profesjonalizm!

Sądził, że pokój jest pod obserwacją, podobnie jak jego mieszkanie. Od kilku tygodni miał uporczywe wrażenie, że ktoś go śledzi. Spojrzał na zegarek. Był już spóźniony na spotkanie.

Pomimo okoliczności poczuł się winny. Zgodzili się poczekać na niego, ale teraz nie ma wyjścia, musi zrezygnować ze spotkania i jak najszybciej wyjechać z Berna.

Tego dnia nie odlatywał już żaden samolot do Wiednia, ale był nocny pociąg, który przybywał na miejsce o wpół do siódmej rano. Mógł spędzić resztę soboty w swoim gabinecie jak modelowy oddany pracownik. Tak jak Rebecca, pomyślał nagle. Nigdy nie brała wolnego. Dlatego wkrótce zostanie szefową. A co by się stało, gdyby zgodziła się za niego wyjść? Pociągnąłby ją za sobą w dół. Teraz był tylko plamą na jej skądinąd nieskazitelnym życiorysie, godną pożalowania niedyskrecją.

Wstukał kod do pokojowego sejfu - datę urodzin Melindy od tyłu, powtórzoną dwukrotnie - i wrzucił do teczki blackberry oraz iPhone'a. Telefony niewątpliwie były na podsłuchu. Pewnie teraz go widzą, nagrywają każde jego słowo i każdy zły uczynek. Cieszył się tylko, że zostawił telefony w pokoju. Zawsze tak robił, gdy schodził na herbatę w Schweizerhof. To było jego pół godziny prywatności i nie chciał, żeby przerywał mu telefon z domu albo jeszcze gorzej, z Vauxhall Cross.

Zatrzasnął teczkę i zapiął klamry. W korytarzu poczuł zapach perfum, których używała Rebecca, by zamaskować zapach tych przeklętych papierosów. Przycisnął kciukiem guzik windy i gdy kabina zatrzymała się przed nim, z ulgą zjechał na parter. Portier, Herr Müller, zauważył torbę na jego ramieniu i ze zmartwioną miną zapytał, czy jest jakiś problem z pokojem. Był problem, ale nie chodziło o pokój, tylko o dwóch pracowników swr, którzy obserwowali Hughesa z baru.

Wyminął ich bez jednego spojrzenia i wyszedł pod łuki podcieni. Zapadł już zmrok, a razem z nim nadszedł

nieoczekiwany śnieg. Padał ciężko na samochody pędzące przez Bahnhofplatz. Hughes obejrzał się przez ramię. Dwaj z SWR szli za nim, a jakby tego jeszcze było mało, w teczce był telefon. Dźwięk dzwonka powiedział mu, że to iPhone. Zapewne Melinda sprawdza, co u niego słychać. Znow będzie musiał kłamać.

Musi się pośpieszyć, jeśli ma zdążyć na pociąg. Przeszedł pod jednym z łuków podcieni i wyszedł na plac. Był już prawie po drugiej stronie, kiedy usłyszał silnik samochodu. Nie widział świateł, bo nie zostały włączone. Nie pamiętał też bólu pierwszego uderzenia ani upadku na ulicę ze złamanym kręgosłupem. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była pochylona nad nim twarz. Twarz Herr Müllera, portiera. A może Rebekki? Rebekki, którą kochał.

- Powiedz mi wszystko - szepnęła, gdy umierał. - Twoje sekrety będą u mnie bezpieczne.

Część druga

**RÓŻOWY GIN W HOTELU
NORMANDIE**

Berno

Wiadomość ukazała się krótko po północy na stronie internetowej „Berner Zeitung”, największej codziennej gazety szwajcarskiej stolicy. Oszczędna w treści, stwierdzała tylko, że brytyjski dyplomata, Alistair Hughes, został uderzony przez samochód i zginął na miejscu, gdy próbował przejść przez Bahnhofplatz w niedozwolonym miejscu w godzinie wieczornego szczytu. Samochód odjechał i dotychczas nie udało się go odnaleźć. Rzecznik berneńskiej Kantonspolizei zapewnił, że w sprawie ucieczki kierowcy z miejsca wypadku prowadzone jest dochodzenie.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych czekało do rana z wydaniem krótkiego oświadczenia, w którym stwierdzono, że Alistair Hughes był pracownikiem Ambasady Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej w Wiedniu. Co bardziej znający się na rzeczy reporterzy, ci, którzy potrafili czytać między wierszami oficjalnych oświadczeń wychodzących z Whitehall, zauważyli wymowne niejasności w tonie tego oświadczenia, sugerujące, że w sprawę zamieszana była lubiąca tajemnice organizacja mieszcząca się w okropnym kompleksie budynków nad rzeką, znanym jako Vauxhall Cross. Ci, którzy próbowali potwierdzić swoje podejrzenia, kontaktując się z niemającym prawie nic do roboty rzecznikiem prasowym MI6, natrafili na mur donośnego milczenia. Jeśli chodzi o rząd Jej Królewskiej Mości, Alistair Hughes był dyplomatą niższego rzędu, który zginął, gdy

zajmował się prywatnymi sprawami.

Jednak dziennikarze innych narodowości nie byli tak ograniczeni tradycją i drakońskim prawem dotyczącym działalności tajnych służb. Zaliczała się do nich wiedeńska korespondentka niemieckiej sieci telewizyjnej ZDF, która nie ukrywała, że jadła lunch z Alistairem Hughesem dziesięć dni przed jego śmiercią i w pełni zdawała sobie wówczas sprawę, że ten jest szefem placówki MI6. Inni dziennikarze poszli w jej ślady, w tym jeden z „Washington Post”, który twierdził, że wykorzystywał Hughesa jako źródło przy pisaniu artykułu dotyczącego braku broni masowego rażenia w Iraku. Londyńskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdementowało te pogłoski. Alistair Hughes był dyplomatą, stwierdził rzecznik prasowy, i żadne pobożne życzenia nie mogą zmienić tego faktu.

Jedynie w Szwajcarii nikogo na pozór nie obchodziło, czym zajmował się Alistair Hughes. Dla tamtejszej prasy Hughes był *di cheibe Usländer*, przeklętym cudzoziemcem, który nadal by żył, gdyby miał dość rozumu, by przestrzegać przepisów ruchu drogowego. Kantonspolizei spełniła prośbę Ambasady Brytyjskiej, która nie odnosiła się przychylnie do perspektywy drobiazgowego śledztwa. Policja poszukiwała pojazdu, który spowodował wypadek - na szczęście raczej był zarejestrowany w Niemczech, nie w Szwajcarii, ale Alistaira Hughesa zasadniczo zostawili w spokoju.

Jednak w Bernie przynajmniej jeden człowiek nie zaakceptował oficjalnej wersji tej historii. Jego dochodzenie było prywatne i w większej części niewidoczne nawet dla tych, którzy widzieli je na własne oczy. Prowadził je przede wszystkim w pokoju w hotelu Savoy, gdzie pozostawał ku

oburzeniu swojego premiera, a także żony, po tym, jak odesłał swoich podwładnych i kazał im szybko opuścić Szwajcarię. W hotelu uważano go za Johannes Klempa, niemieckiego obywatela z Monachium. Jednak jego prawdziwe nazwisko brzmiało Gabriel Allon.

Mógł świętować po cichu, ale to nie było w jego stylu. Mimo wszystko miał prawo odczuwać pewną prywatną satysfakcję. W końcu to on upierał się, że w MI6 działa rosyjski kret, i to on przekonał dyrektora generalnego MI6, że Alistair Hughes, szef wiedeńskiej placówki, jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym. To on zarządził inwigilację Hughesa i podążał za nim do Berna, gdzie Anglik spotkał się w barze hotelu Schweizerhof z Dimitrijem Sokołowem pracującym dla swr. Gabriel oglądał to spotkanie na własne oczy w towarzystwie kilku swoich najbardziej zaufanych pracowników. To się zdarzyło i nie można było temu zaprzeczyć. Dimitrij Sokołow przekazał Hughesowi kopertę, a Anglik ją przyjął. Na górze w pokoju spalił zawartość razem z kopertą, a cztery minuty i trzysta sekund później leżał martwy na Bahnhofplatz.

Część duszy Gabriela nie żałowała Hughesa, bo zdawało się, że zasłużył sobie na taki koniec. Ale dlaczego zginął? Było możliwe, że to tylko wypadek. Hughes po prostu wybiegł na ulicę prosto pod nadjeżdżający samochód. Możliwe, myślał Gabriel, ale bardzo mało prawdopodobne. Nie wierzył w wypadki; to on je prokurował, podobnie jak Rosjanie.

Ale jeśli śmierć Alistaira Hughesa nie była wypadkiem, tylko zamierzonym morderstwem, to dlaczego wydano taki rozkaz? Aby odpowiedzieć na to pytanie, Gabriel musiał najpierw ustalić, jaki był prawdziwy charakter spotkania, które obserwował i które nagrał w barze słynnego hotelu

Schweizerhof w Bernie.

W tym celu większą część następnych trzech dni spędził zgarbiony nad laptopem, w kółko oglądając to samo trzydziestominutowe nagranie. Przyjazd Alistaira Hughesa do hotelu Schweizerhof po spokojnym locie z Wiednia. Anglik w inwigilowanym pokoju okłamuje swoją placówkę co do tego, gdzie jest i jakie ma plany na weekend. Zamyka telefony w pokojowym sejfie przed zejściem do holu, pewnie po to, by nie można było ich użyć do podsłuchiwania jego spotkania z Dimitrijem Sokołowem z swr. Na szczęście albo na nieszczęście Gabriel nie miał filmu pokazującego śmierć Hughesa na Bahnhofplatz. Widok z kamery numer dwa systemu bezpieczeństwa Schweizerhof był zasłonięty przez łuki podcieni.

Pokojówki w Savoyu uważały Gabriela za pisarza i starały się zachowywać na korytarzu cicho. Pozwalał im wejść do pokoju każdego popołudnia, a sam wychodził na spacer po Starym Mieście, zawsze zabierając laptop w ładnej torbie na ramię. Gdyby ktoś próbował za nim iść, może zauważyłby, że dwukrotnie wemknął się do izraelskiej ambasady przy Alpenstrasse. Może zauważyłby również, że przez trzy kolejne popołudnia pił herbatę i jadł ciastka w holu największego rywala Savoya, hotelu Schweizerhof.

Pierwszego dnia siedział przy stoliku Herr Hughesa, drugiego Herr Sokołowa i w końcu trzeciego poprosił o stół, gdzie wcześniej siedzieli Borys i Natasza. Wybrał miejsce Borysa z widokiem na całą salę i starannie obejrzał każdy kąt oraz położenie poszczególnych kamer bezpieczeństwa. Nic tutaj, pomyślał, nie zdarzyło się przypadkiem, wszystko zaplanowano bardzo starannie.

Wrócił do swojego pokoju w Savoyu, wziął arkusz papieru hotelowego, położył go na szklanym blacie stolika do kawy, by nie zostawić wgnieceń, i nakreślił dwa możliwe scenariusze wyjaśniające, dlaczego Alistair Hughes zginął w Bernie.

W pierwszym scenariuszu spotkanie w barze, choć sprawiało wrażenie zupełnie przypadkowego, miało charakter zderzenia czołowego. Sokołow ostrzegł Hughesa, że jest podejrzewany i pod obserwacją, i że czeka go aresztowanie. Zaoferował Hughesowi koło ratunkowe w postaci koperty zawierającej instrukcje, jak przedostać się do Moskwy. Hughes zniszczył instrukcje po przeczytaniu i opuścił hotel, rozpoczynając podróż na wieczne wygnanie. Zapewne powiedziano mu, że gdzieś w pobliżu Bahnhofplatz czeka na niego samochód, który zabierze go na jakieś przyjazne lotnisko za dawną żelazną kurtyną, gdzie skorzysta z rosyjskiego paszportu i wsiądzie do samolotu. W pośpiechu, zdjęty paniką, próbował przejść przez plac wbrew zasadom ruchu i zginął, pozbawiając tym samym moskiewską centralę zdobyczy.

Ten scenariusz, myślał Gabriel, był zupełnie możliwy, ale miał jedną dużą lukę. Alistair Hughes pracował dla MI6, służby znanej z jakości i umiejętności personelu. Co więcej, jeśli Hughes również szpiegował dla Moskwy, to już od wielu lat stąpał po cienkiej linii. Nie wpadłby w panikę na myśl, że został ujawniony, tylko po cichu wtopiłby się w cień i zniknął. Z tego powodu Gabriel odrzucił ten scenariusz.

Drugie wyjaśnienie było takie, że Dimitrij Sokołow pojawił się w hotelu Schweizerhof z inną intencją, mianowicie żeby zabić kreta, zanim ten zostanie aresztowany i przesłuchany przez swoje służby, a zatem chciał odebrać MI6 możliwość oceny zdrady, jakiej dopuścił się kret. W tym scenariuszu Hughes był

martwy na długo przed przyjazdem do Berna, podobnie jak Konstantin Kirow był martwy, zanim przyjechał do Wiednia. Jeśli jednak zdał sobie sprawę ze swojego losu, mogło to wyjaśnić jego paniczną ucieczkę z hotelu. Narzędzie zbrodni czekało na placu i kierowca skorzystał z okazji. Sprawa zamknięta. Nie ma kreta.

Ten scenariusz podobał się Gabrielowi bardziej niż pierwszy, ale mimo wszystko budził wątpliwości. Hughes mógł jeszcze przez wiele lat dostarczać swr cennych informacji, siedząc w bezpiecznym moskiewskim mieszkaniu. Można również było go użyć jako cennego narzędzia propagandy, tak jak Edwarda Snowdena i szpiegów z Cambridge w czasach zimnej wojny – Burgessa, Macleana i Kima Philby'ego. Car bardzo lubił popisywać się sprawnością swoich szpiegów. Nie, pomyślał Gabriel, Rosjanie nie pozwoliliby, żeby zdobycz tak łatwo wymknęła im się z rąk.

Toteż późnym wieczorem, gdy hotel Savoy już spał, a po brukowanych uliczkach pod oknem Gabriela przemykały koty, przyszła mu do głowy jeszcze jedna możliwość – że to on sam jest winien śmierci Alistaira Hughesa. Z tego powodu niechętnie podniósł słuchawkę telefonu hotelowego i zadzwonił do Christopha Bittela.

23

Berno

Bittel zgodził się spotkać z Gabrielem o dziewiątej następnego ranka w kawiarni w pobliżu centrali NDB, szwajcarskiego wywiadu zagranicznego i agencji bezpieczeństwa wewnętrznego. Gabriel pojawił się dwadzieścia minut wcześniej, Bittel – jak nigdy – spóźnił się o dziesięć minut. Wysoki i łysy, wyglądał surowo jak kalwiński pastor i był blady jak człowiek, który nie ma czasu wychodzić na dwór. Gabriel spędził kiedyś kilka nieprzyjemnych godzin, siedząc naprzeciwko niego przy stole przesłuchań. Teraz byli kimś w rodzaju sojuszników. Centrala NDB zatrudniała niecałe trzysta osób i miała roczny budżet w wysokości tylko sześćdziesięciu milionów dolarów – mniej niż społeczność wywiadowcza w Stanach Zjednoczonych wydaje w ciągu jednego przeciętnego popołudnia. Biuro było zatem dla nich cennym wzmocnieniem.

- Miło tu – odezwał się Gabriel i powoli powiódł wzrokiem po wnętrzu smutnej kawiarni z popękany linoleum na podłodze, stolikami z płyty meblowej i wyblakłymi plakatami przedstawiającymi alpejskie pejzaże. Okolica była mieszaniną biurowców, niewielkich zakładów przemysłowych i sortowni odpadów. - Przychodzisz tu często czy tylko na specjalne okazje?

- Powiedziałeś, że nie chcesz się spotykać na utartych szlakach.

- Na jakich szlakach?

Bittel zmarszczył brwi.

- Od jak dawna jesteś w kraju?

Gabriel bardzo przekonująco udawał, że się zastanawia.

- Wydaje mi się, że od czwartku.

- Przyleciałeś samolotem?

Gabriel skinął głową.

- Z Zurychu?

- Z Genewy.

- Rutynowo przeglądamy listy pasażerskie wszystkich przylotów. - Bittel szefował Wydziałowi Antyterrorystycznemu NDB. Trzymanie niechcianych cudzoziemców z dala od kraju należało do jego obowiązków. - Jestem zupełnie pewien, że nie widziałem twojego nazwiska na żadnej liście.

- I nie bez przyczyny. - Spojrzenie Gabriela zatrzymało się na złożonej gazecie „Berner Zeitung”, która leżała na stole między nimi. Artykuł wiodący dotyczył aresztowania niedawnego imigranta z Maroka, który zamierzał przeprowadzić atak za pomocą ciężarówki i noża w imieniu Państwa Islamskiego. - *Mazeł tow*^[2], Bittel. Wygląda na to, że uratowałeś się w ostatniej chwili.

- Niezupełnie. Obserwowaliśmy go dwadzieścia cztery godziny na dobę, czekaliśmy tylko, aż wynajmie ciężarówkę, żeby przystąpić do działania.

- Jaki był jego cel?

- Limmatquai w Zurychu.

- A jaki był pierwotny powód do podejrzeń? - zapytał Gabriel.

- Skąd nadszedł sygnał?

- Znaleźliśmy jego nazwisko w jednym z komputerów, które zabraliśmy z tego osiedla w Maroku, gdzie zginął Saladyn. Jeden z partnerów dał nam to dwa dni po próbie ataku brudną

bombą w Londynie.

- Coś takiego.

Bittel się uśmiechnął.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować. To byłaby krwawa jatka.

- Cieszę się, że mogliśmy być pomocni.

Rozmawiali po cichu w *Hochdeutsch*, czyli literackiej niemczyźnie. Gdyby Bittel mówił niemieckim dialektem doliny, w której się wychował, Nidwalden, Gabriel potrzebowałby tłumacza.

Kelnerka przyjęła od nich zamówienie i gdy znów znaleźli się sami, Bittel zapytał:

- Czy to ty zabiłeś tego zamachowca w Londynie?

- Nie mów głupstw, Bittel. Na Boga, jestem przecież szefem wywiadu izraelskiego.

- A Saladyna?

- On nie żyje i tylko to ma znaczenie.

- Ale ideologia Isis żyje nadal i końcu udało jej się przeniknąć do Szwajcarii. - Bittel popatrzył na Gabriela z przyganą. - Dlatego przymknę oczy na to, że wyjechałeś do mojego kraju, nie informując o tym ndb, i w dodatku z fałszywym paszportem. Przypuszczam, że nie przyjechałeś na narty. W tym roku warunki są okropne.

Gabriel obrócił gazetę i postukał palcem w artykuł o śmierci brytyjskiego dyplomaty na Bahnhofplatz.

Bittel uniósł brwi.

- Paskudna robota.

- Podobno to był wypadek.

- Od kiedy wierzysz w to, co piszą gazety? - Bittel zniżył głos.

- Proszę, powiedz, że to nie ty go zabiłeś.

- Po co miałbym zabijać brytyjskiego dyplomate średniego

szczebla?

- On nie był dyplomatą. Był szefem placówki MI6 w Wiedniu.
- I często odwiedzał twój kraj.
- Podobnie jak ty - zauważył Bittel.
- Może przypadkiem wiesz, co mu się tak podobało w Bernie?
- Krążyły plotki, że widywał się tu z jakąś kobietą.
- A widywał się?
- Nie jesteśmy pewni.
- NDB nigdy tego nie sprawdziło?
- To nie w naszym stylu. To jest Szwajcaria. Prywatność jest naszą religią. - Kelnerka przyniosła kawę. - Miałeś mi powiedzieć - rzekł Bittel cicho - dlaczego szef wywiadu izraelskiego zajmuje się śmiercią pracownika MI6. Mogę tylko podejrzewać, że ma to coś wspólnego z tym Rosjaninem, którego zabiłeś w Wiedniu dwa tygodnie temu.
- Tamtego też nie zabiłem, Bittel.
- Austriacy są innego zdania. Prawdę mówiąc, prosili nas, żebyśmy cię aresztowali, gdybyś przypadkiem stanął na szwajcarskiej ziemi, a to oznacza, że w tej chwili jesteś w dość delikatnej sytuacji.
- Zaryzykuję.
- Dlaczego miałbyś się nagle zmienić? - Bittel wsypał cukier do kawy i powoli mieszał. - O czym to mówiłeś?
- Od jakiegoś czasu mieliśmy Hughesa pod obserwacją - wyznał Gabriel.
- Biuro?
- Razem z naszymi brytyjskimi partnerami. Przyjechaliśmy tu za nim z Wiednia w piątek po południu.
- Dzięki, że nas uprzedziłeś o tym przyjeździe.
- Nie chcieliśmy ci zawracać głowy.

- Ilu ludzi przywiozłeś do tego kraju?

Gabriel spojrział w sufit i zaczął odliczać na palcach.

- Mniejsza o to - mruknął Bittel. - To by wyjaśniało wszystkie te mikrofony i kamery, które wydlubaliśmy w pokoju hotelowym Hughesa. Zresztą były bardzo dobrej jakości, znacznie lepsze od naszych. Właśnie teraz moi technicy rozbierają je na czynniki pierwsze. - Bittel z namysłem odłożył łyżeczkę na stół.
- Pewnie zauważyłeś spotkanie Hughesa z tym Rosjaninem w barze.

- Dość trudno było nie zauważyć.

- On się nazywa...

- Dimitrij Sokołow - dokończył Gabriel. - Człowiek moskiewskiej Centrali w Genewie.

- Znacie się?

- Nie osobiście.

- Dimitrij nie zawsze gra zgodnie z zasadami.

- Nie ma żadnych zasad, Bittel. Nie tam, gdzie w grę wchodzi Rosjanie.

- W Genewie są, ale Dimitrij regularnie je łamie.

- W jaki sposób?

- Agresywna rekrutacja, mnóstwo brudnych sztuczek. Specjalizuje się w *kompromacie*. - Był to rosyjski termin oznaczający obciążające materiały, którymi uciszano przeciwników politycznych albo zmuszano ich do postępowania zgodnie z wolą Kremla. - A tak swoją drogą, wrócił już do Moskwy. Wyjechał dwa dni temu.

- Może wiesz dlaczego?

- Nigdy nie udało nam się złamać rosyjskich szyfrów, ale Onyx wychwycił gwałtowne nasilenie komunikacji między genewską rezydenturą a Centralą Moskwa w zeszły piątek

w nocy po śmierci Hughesa. - Onyx to szwajcarski system nasłuchu elektronicznego. - Bóg jeden wie, o czym rozmawiali.

- Gratuluję dobrze wykonanej roboty.
- Myślisz, że to Rosjanie zabili Hughesa?
- Powiedzmy po prostu, że są na górze mojej listy.
- A czy Hughes był na ich liście płac?
- Widziałeś nagranie z kamer bezpieczeństwa w hotelu?
- A ty widziałeś?

Gabriel nie odpowiedział.

- Po co Rosjanie mieliby zabijać własnego agenta? - spytał Bittel.

- Sam sobie zadaję to pytanie.

- I?

- Gdybym znał odpowiedź, to nie siedziałbym w tej dziurze i nie spowiadałbym ci się z grzechów.

- Powinieneś wiedzieć - powiedział Bittel po chwili - że Brytyjczycy nie są szczególnie zainteresowani dokładnym dochodzeniem. Ambasador i szef berneńskiej placówki wywierają na nas nacisk, żebyśmy je umorzyli.

- Pozwól, że przyłączę się do tego wniosku.

- I to wszystko? Tylko tyle ode mnie chcesz?

- Chcę odzyskać moje kamery i mikrofony. - Gabriel urwał na chwilę, po czym dodał: - I chcę, żebyś się dowiedział, dlaczego Alistair Hughes spędzał tak dużo czasu w twoim pięknym mieście.

Bittel wypił kawę jednym haustem.

- Gdzie się zatrzymałeś?

Gabriel powiedział prawdę.

- A reszta twojej ekipy?

- Już dawno wyjechali.

- Ochroniarze?

Gabriel potrząsnął głową.

- Jak mam się z tobą skontaktować, jeśli czegoś się dowiem?

Gabriel przesunął po stole wizytówkę.

- Numer jest na drugiej stronie. Zadzwoń ze swojego najbardziej bezpiecznego połączenia. I bądź ostrożny, Bittel. Rosjanie też mają podsłuch.

- Dlatego nie powinieneś być w Bernie bez ochrony. Na wszelki wypadek każę cię obserwować moim ludziami.

- Dzięki, Bittel, ale potrafię o siebie zadbać.

- Jestem pewien, że Alistair Hughes też tak uważał. Zrób coś dla mnie, Allon. Nie daj się zabić na moim terenie.

Gabriel wstał.

- Zrobię, co się da.

24

Berno

W południe Gabriel zauważył na brukowanej ulicy pod swoim oknem dwóch ochroniarzy. Nie rzucali się w oczy mniej więcej tak jak dwa płonące samochody. Nazwał ich w myślach Frick i Frack. To byli Szwajcarzy zbudowani jak woły, i nie należało z nimi igrzać.

Szli za nim przez galerie Kunstmuseum, a potem do kawiarni przy Kramgasse, gdzie zjadł lunch, i do izraelskiej ambasady przy Alpenstrasse, gdzie dowiedział się, że jego służby działają wystarczająco sprawnie, nawet gdy nie trzyma ręki na pulsie. W rodzinie też wszystko było w porządku i w głębi ducha sprawiło mu to radość. Nigdy nie czuł potrzeby, żeby być niezastąpionym.

Tego wieczoru, gdy pocił się nad laptopem w swoim pokoju w Savoyu, Fricka i Fracka zastąpił samochód z dwoma mundurowymi z berneńskiej Kantonspolizei. Pozostali tam aż do rana, a rankiem Frick i Frack znów wrócili. Gabriel zafundował im wesołą wędrowkę przez większość popołudnia, a raz, tylko po to, by sprawdzić, czy nie stracą czujności, zgubił ich, przechodząc przez most Nydeggbücke łączący starą część Berna z nową.

Wolny od obstawy, wypił popołudniową herbatę w Schweizerhof, siedząc na tym samym krześle, na którym siedział Alistair Hughes w ostatnich chwilach życia. Gabriel wyobrażał sobie Dimitrija Sokołowa siedzącego naprzeciwko niego. Dimitrija, który nie grał według zasad obowiązujących

w Genewie. Dimitrija, którego specjalnością był *kompromat*. Gabriel przypomniał sobie, jak Sokołow trzymał Alistaira Hughesa za przegub – prawa ręka Dimitrija, lewy nadgarstek Alistaira. Przypuszczał, że mogli sobie coś przekazać, pendrive’a albo zakodowaną wiadomość, ale wątpił w to. Oglądał nagranie przynajmniej sto razy. To była transakcja tylko w jedną stronę, od Dimitrija Sokołowa do Alistaira Hughesa. Koperta, którą Sokołow wsunął między strony „Financial Timesa”. Hughes spalił zawartość koperty na górze w pokoju. Może były tam instrukcje, jak przedostać się do Moskwy, a może coś innego. Cztery minuty i trzynaście sekund później Hughes już nie żył.

Kiedy Gabriel wrócił do Savoya, Frick i Frack lizali rany na ulicy. Tego wieczoru wszyscy wypili razem drinka w hotelowym barze. Frick naprawdę nazywał się Kurt i pochodził z Wassen, wioski w kantonie Uri zamieszkaną przez czterysta dusz. Frack miał na imię Matthias i był katolikiem z Fryburga, służył kiedyś w Gwardii Papieskiej. Gabriel uświadomił sobie, że spotkali się już kiedyś, gdy zajmował się konserwacją „Złożenia do grobu” Caravaggia w laboratoriach Muzeum Watykańskiego.

- Bittel do czegoś dochodzi – poinformował Matthias. - Mówi, że może będzie coś dla pana miał.

- Kiedy?

- Jutro po południu, może wcześniej.

- Im wcześniej, tym lepiej.

- Jeśli potrzebuje pan cudu, to trzeba było się udać do pańskiego przyjaciela, Ojca Świętego.

Gabriel się uśmiechnął.

- Bittel powiedział, co to takiego?

- Kobieta – odrzekł Matthias w głąb szklanki z piwem.

- W Bernie?
- W Münchenbuchsee. To jest...
- Małe miasteczko na północ stąd.
- Skąd pan zna Münchenbuchsee?
- Paul Klee się tam urodził.

Gabriel tej nocy nie spał. Rankiem poszedł prosto do Ambasady Izraela, a za nim dwóch mundurowych z berneńskiej Kantonspolizei. Spędził tam jeden z najdłuższych dni swojego życia, żywiąc się zeschniętymi wiedeńskimi ciasteczkami maślanymi, pozostałymi z dni, gdy szefował Uzi i wszystkie placówki miały pod ręką coś do przegryzienia na wypadek, gdyby wpadł bez zapowiedzi.

Do szóstej wieczorem nie nadeszła żadna wiadomość. Gabriel zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Bittela, ale doszedł do wniosku, że lepiej cierpliwie poczekać. Jego cierpliwość została nagrodzona o wpół do dziewiątej, kiedy Bittel wreszcie zadzwonił z bezpiecznej linii w sztabie ndb.

- Okazuje się, że plotki były prawdziwe. Miał tu kobietę.
- Jak ona się nazywa?
- Klara Brünner.
- Czym się zajmuje?
- Jest psychiatrą - odparł Bittel - w Privatklinik Schloss w Münchenbuchsee.

Privatklinik Schloss...

Tak, pomyślał Gabriel. To wyjaśnia wszystko.

Hampshire, Anglia

Zniszczenie doczesnych szczątków Alistaira Hughesa odbyło się w krematorium w południowym Londynie, pogrzeb na starym cmentarzu na wapiennych wzgórzach Hampshire. Uroczystość przy grobie była prywatna, przesiąknięta deszczem.

- Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem - recytował błąd jak papier ksiądz, gdy parasolki otwierały się w nagłej ulewie. - Ktokolwiek żyje i wierzy we mnie, żyć będzie wiecznie. - Dobre epitafium dla szpiega, pomyślał Graham Seymour.

Choć wstęp na uroczystość był tylko za zaproszeniami, zgromadził się imponujący tłum. Zjawiono się prawie całe Vauxhall Cross, a także większa część placówki wiedeńskiej. Amerykanie przysłali delegację z ambasady w Nine Elms, a z Waszyngtonu przyleciała Rebecca Manning i przywiozła osobiste pożegnanie od dyrektora CIA, Morrisa Payne'a.

Gdy uroczystość dobiegła końca, Seymour podszedł do Melindy Hughes, by złożyć jej kondolencje.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - zapytała. - Myślę, że musimy omówić kilka spraw.

Ruszyli między nagrobkami. Melinda wsparła się na ramieniu Seymoura, który trzymał rozłożony parasol. Opanowanie, jakim wykazała się przy grobie, gdy ścisnęła ręce dwóch chłopców, opuściło ją i zaczęła cicho płakać. Graham żałował, że nie potrafi znaleźć słów, by ją pocieszyć. Niestety nigdy nie był w tym dobry. Za swoją nieumiejętność okazania choćby śladu

szczerzej empatii obwiniął ojca, wielkiego Arthura Seymoura, legendę MI6. Przypominał sobie tylko jeden okres, kiedy okazywali sobie uczucie – długi pobyt w Bejrucie, gdy Seymour był jeszcze chłopcem. Ale nawet wtedy ojciec przeważnie myślał o czymś innym. To przez Philby'ego, największego z wszystkich zdrajców.

Philby...

Seymour zastanawiał się, dlaczego w takiej chwili zaczął myśleć o ojcu i o Kimie Philbym. Może dlatego, że szedł przez cmentarz, mając u boku żonę rosyjskiego szpiega. Człowieka podejrzewanego o szpiegostwo, upomniał siebie. Niczego jeszcze nie dowiedziono.

Melinda Hughes głośno wytarła nos.

- Jakie to amerykańskie z mojej strony. Alistair byłby oburzony, gdyby mnie teraz zobaczył.

Łzy zostawiły ślady w jej makijażu, mimo to była bardzo piękna. Odnosiła także sukcesy w pracy, pomyślał Seymour, w każdym razie w kategoriach finansowych powiodło jej się znacznie lepiej niż mężowi na rządowej pensji. Seymour mógł się tylko zastanawiać, dlaczego Alistair nieustannie ją zdradzał. Może zdrada przychodziła mu bez trudu, a może sądził, że takie są wymagania jego pracy, podobnie jak umiejętność ominięcia długich kolejek przy kontroli paszportowej po przylocie na lotnisko Heathrow.

- Czy myślisz, że on może? - zapytała nagle Melinda Hughes.

- Przepraszam?

- Zobaczyć nas. Czy myślisz, że on tam jest? - Wzniosła oczy w stronę szarego nieba. - Razem z Chrystusem, apostołami, aniołami i świętymi? A może zostało z niego tylko parę deko sproszkowanych kości w zimnej ziemi Hampshire?

- A którą odpowiedź byś wolała?

- Prawdę.

- Obawiam się, że nie potrafię ci nawet powiedzieć, o czym myśli rosyjski prezydent, więc tym bardziej nie jestem w stanie rozstrzygnąć kwestii życia wiecznego.

- Czy jesteś wierzący?

- Nie - przyznał Seymour.

- Ja też nie - powiedziała Melinda Hughes. - Ale w tej chwili chciałabym być. Czy tak się wszystko kończy? Czy naprawdę nie ma nic więcej?

- Masz dzieci Alistaira. Może żyjemy dalej w naszych dzieciach. - Seymour znów mimowolnie pomyślał o swoim ojcu i o Philbym, który przeglądał pocztę w barze w hotelu Normandii.

- *Jestem Kim. A ty jak się nazywasz?*

- *Graham.*

- *Graham i jak dalej?*

- *Seymour. Mój ojciec to...*

- *Wiem, kim jest twój ojciec. Wszyscy wiedzą. Napijesz się różowego ginu?*

- *Mam dwanaście lat.*

- *Nie martw się, to będzie nasza mała tajemnica.*

Szarpnięcie za ramię przywróciło Seymoura do teraźniejszości. Melinda trafiła obcasem w zagłębienie w ziemi i omal się nie przewróciła. Mówiła o Barclays, o tym, że teraz, gdy Alistair wrócił wreszcie do domu i został pochowany, chce znów pójść do pracy.

- Czy jest coś jeszcze, czego od nas potrzebujesz?

- Wszyscy byli dla mnie bardzo mili i pomocni. Alistair zawsze ich nie cierpiał.

- Nikt ich nie cierpi, ale obawiam się, że to część pracy.

- Zaproponowali mi dużą sumę pieniędzy.

- Masz do nich prawo.

- Ja nie chcę waszych pieniędzy. Chcę znać prawdę - powiedziała gwałtownie.

Dotarli do najdalszego krańca cmentarza. Większość żałobników już się rozproszyła, ale jeszcze kilka osób stało przy grobie, uśmiechając się niezręcznie i ściskając dłonie. Przy okazji pogrzebu kolegi próbowali nawiązać pożyteczne sojusze. Jeden z Amerykanów Rebekki Manning zapalał papierosa, który jakimś sposobem znalazł się w jej ustach. Udawała wielkie zainteresowanie tym, co mówił Amerykanin, ale wzrok utkwiała w Seymourze i pogrążonej w żałobie wdowie po Alistairze Hughesie.

- Czy naprawdę mam uwierzyć - mówiła Melinda Hughes - że doskonale wyszkolony pracownik MI6 zginął, przechodząc przez ulicę?

- To nie była ulica, tylko najbardziej ruchliwy plac w Bernie.

- Bahnhofplatz? - odrzekła lekceważąco. - To nie jest Trafalgar Square ani Piccadilly. I co on w ogóle robił w Bernie? Mówił mi, że zamierzał spędzić weekend w Wiedniu z dobrą książką. Clement Attlee. Wyobrażasz sobie? Ostatnią książką, jaką czytał mój mąż, była biografia Clementa Attlee.

- Nie ma w tym nic dziwnego, że szef placówki działał poza granicami kraju.

- Z pewnością szef placówki berneńskiej miałby inne zdanie na ten temat. Właściwie możemy go zapytać. - Melinda Hughes spojrzała w stronę grupki żałobników przy otwartym jeszcze

grobie męża. – Tam stoi.

Seymour nie odpowiedział.

– Nie jestem w tym wszystkim nowa, Graham. Byłam żoną pracownika służb przez prawie trzydzieści lat.

– W takim razie z pewnością rozumiesz, że są sprawy, o których nie mogę rozmawiać. Może kiedyś, ale nie teraz.

W jej spojrzeniu pojawiła się nagana.

– Rozczarowujesz mnie, Graham. Jakie to okropnie przewidywalne. Ukrywasz się za zasłoną tajemniczości. Alistair też zawsze tak robił. Za każdym razem, kiedy go pytałam o coś, o czym nie chciał mówić, słyszałam tę samą odpowiedź. „Przepraszam, kochanie, ale znasz zasady”.

– Obawiam się, że te zasady są prawdziwe. Bez nich nie moglibyśmy funkcjonować.

Ale Melinda Hughes już go nie słuchała. Patrzyła na Rebeccę Manning.

– Byli kiedyś kochankami. W Bagdadzie. Wiedziałaś o tym? Z jakiegoś powodu Alistair bardzo ją lubił. A teraz ona będzie następną szefową, a Alistair nie żyje.

– Mogę cię zapewnić, że następny dyrektor generalny nie został jeszcze wybrany.

– Wiesz, jak na szpiega to w ogóle nie potrafisz kłamać. Alistair był w tym znacznie lepszy. – Melinda zatrzymała się nagle i spojrzała na Seymoura spod parasola. – Powiedz mi coś, Graham. Co mój mąż tak naprawdę robił w Bernie? Czy miał związek z jakąś kobietą? Albo może szpiegował dla Rosjan?

Dotarli już do skraju parkingu. Amerykanie wsiadali hałaśliwie do wynajętego autobusu, jakby kończyli firmowy piknik. Seymour przekazał Melindę Hughes rodzinie, zniżył parasol i ruszył do limuzyny. Rebecca Manning stała przy

tylnych drzwiach, zapalając następnego papierosa.

- O co chodziło? - zapytała cicho.
- Miała kilka pytań dotyczących śmierci męża.
- Amerykanie też mają.
- To był wypadek.
- Naprawdę?

Seymour milczał.

- A ta druga sprawa? - zapytała Rebecca. - Ta, o której rozmawialiśmy w Waszyngtonie?

- Dochodzenie zostało zamknięte.
- I?

- Nic w tym nie było. - Seymour spojrzał na grób Alistaira Hughesa. - Sprawa umarła i została pogrzebana. Wracaj do Waszyngtonu i powiedz o tym każdemu, kto zechce słuchać. Niech znowu odkręcą kurek.

Rzuciła papierosa na mokrą ziemię i ruszyła w stronę czekającego samochodu.

- Rebecca?! - zawołał za nią Seymour.

Zatrzymała się i odwróciła. W półmroku przez siąpiący deszcz patrzył na jej twarz, jakby widział ją po raz pierwszy. Wyglądała jak ktoś, kogo znał bardzo dawno temu, w innym życiu.

- Czy to prawda o tobie i Alistairze? - zapytał.
- A co ci powiedziała Melinda?
- Że byliście kochankami w Bagdadzie.

Roześmiała się.

- Alistair i ja? Nie mów głupstw.

Seymour wsunął się na tył samochodu i przez zachlapane deszczem szyby patrzył, jak Rebecca odchodzi. Nawet jak na wygórowane standardy MI6, pomyślał, doskonale potrafiła kłamać.

Hampshire, Anglia

Esemes pojawił się na telefonie Grahama Seymoura, gdy zbliżał się do Crawley. Pochodził od Nigela Whitcombe'a, jego osobistego sekretarza o chłopięcym wyglądzie, który zajmował się również wszystkimi nieoficjalnymi sprawami.

- Zmiana planów - powiedział Seymour do kierowcy i kilka minut później pędzili już na południe drogą A23 w stronę Brighton. Stamtąd skręcili na zachód i jechali wzdłuż brzegu morza przez Shoreham, Worthing, Chichester i Portsmouth, aż w końcu dotarli do malutkiego Gosport.

Do starej fortecy z pustą fosą i murami z szarego kamienia prowadziła wąska droga, która przecinała aleję pola golfowego Gosport & Stokes Bay Golf Club. Samochód Seymoura minął zewnętrzny punkt kontrolny i przejechał przez bramę, która prowadziła na wewnętrzny dziedziniec, dawno temu przekształcony w parking dla wyższego personelu. Najdłużej pracującym tu członkiem był George Halliday, skarbnik. Stał wyprostowany jak struna w swoim kącie w zachodnim skrzydle.

- Dzień dobry panu. Co za miła niespodzianka. Szkoda, że Vauxhall Cross w żaden sposób nas nie uprzedził o pańskim przyjeździe.

- Mamy w tej chwili trochę zamieszania, George. Dzisiaj był pogrzeb.

- Tak, tak, oczywiście. Okropna sprawa. Pamiętam go, kiedy przyjechał tu na wstępne szkolenie oficerów wywiadu. Dobry człowiek. Inteligentny jak rzadko kto, prawda? Jak się czuje

jego żona?

- Na tyle dobrze, na ile można się spodziewać.

- Czy mam otworzyć pańskie pokoje?

- Raczej nie. Nie zostanę tu długo.

- Przypuszczam, że przyjechał pan zobaczyć się z naszym gościem. Ci z Cross nie uprzedzili nas również o jego przyjeździe. Pan Whitcombe podrzucił go na nasz próg i wziął nogi za pas.

- Porozmawiam z nim o tym - obiecał Seymour.

- Proszę to zrobić.

- A nasz gość? Gdzie on jest?

- Zamknąłem go w dawnym pokoju pana Marlowe'a.

Seymour wspiął się po kamiennych schodkach do mieszkalnej części zachodniego skrzydła. Pokój na końcu głównego korytarza mieścił jedno łóżko, biurko i prostą szafę. Gabriel stał przy otworze strzelniczym, który służył za okno, i patrzył na granitowoszare morze.

- Brakowało cię na pogrzebie - powiedział Seymour. - Stawiła się połowa CIA. Trzeba było przyjechać.

- To nie byłoby w porządku.

- Dlaczego?

Gabriel obrócił się i spojrzał na Seymoura po raz pierwszy.

- Bo to przeze mnie Alistair Hughes zginął. I z tego powodu jest mi niezmiernie przykro.

Seymour z namysłem zmarszczył brwi.

- Dwie godziny temu na cmentarzu, nie tak daleko stąd, Melinda Hughes zapytała mnie, czy jej mąż był rosyjskim szpiegiem.

- I co jej powiedziałaś?

- Nic.

- To dobrze. Bo Alistair Hughes nie był szpiegiem. Był pacjentem - odparł Gabriel. - Pacjentem Privatlinik Schloss.

Fort Monckton, Hampshire

Fortem Monckton oficjalnie zarządzało Ministerstwo Obrony. Pod niewiele mówiącą nazwą Ośrodka Szkolenia Wojskowego numer 1 nieoficjalnie kryła się główna szkoła szpiegów MI6. Większość nauki odbywała się w salach wykładowych i laboratoriach głównego skrzydła, ale za starymi murami mieściła się również strzelnica, lądowisko dla helikopterów, korty tenisowe, korty do squasha i boisko do krokieta. Cały teren patrolowali strażnicy z Ministerstwa Obrony, ale żaden z nich nie poszedł za Gabrielem i Grahamem Seymourem, którzy szli wzdłuż plaży – Gabriel w dżinsach i skórzanej kurtce, Seymour w pogrzebowym szarym garniturze, płaszczu i kaloszach, które George Halliday wygrzebał z magazynów.

- Privatklinik Schloss?

- Bardzo ekskluzywne i bardzo dyskretne miejsce – wyjaśnił Gabriel – zupełnie tak, jak sugeruje nazwa. Hughes widywał się tam z lekarką, doktor Klarą Brünner. Leczyła go na chorobę dwubiegunową i głęboką depresję, co wyjaśnia leki, które znaleźliśmy w jego mieszkaniu. Nie rejestrowała tych leków, żeby nikt się nie dowiedział. Przyjmowała go w ostatni piątek każdego miesiąca, po godzinach pracy. Odwiedzał klinikę pod przybranym nazwiskiem Richard Baker. Nic w tym nie ma niezwykłego. Privatklinik Schloss to właśnie tego rodzaju miejsce.

- Kto tak powiedział?

- Christoph Bittel z NDB.

- Można mu ufać?

- To ktoś w rodzaju naszego szwajcarskiego bankiera.

- Kto jeszcze wie?

- Rosjanie oczywiście. - Na polu golfowym dzielna czwórka graczy zatrzymała się na chwilę, gdy zerwał się mocny poryw wiatru, i popatrzyła na nich. - Wiedzą też, że Alistair nie poinformował swoich przełożonych w Londynie o chorobie, żeby nie narażać kariery. Moskiewska Centrala niewątpliwie rozważała wykorzystanie tej informacji, żeby nakłonić go do pracy dla nich. Ty czy ja właśnie to byśmy zrobili na ich miejscu. Ale nie to się zdarzyło.

- A co się zdarzyło?

- Trzymali tę informację w zanadrzu, aż w końcu Dimitrij Sokołow, znany człowiek Centrali Moskwa z zamiłowaniem do *kompromatu*, dał Hughesowi kopertę w barze hotelu Schweizerhof w Bernie. Gdybym miał zgadywać, w kopercie były zdjęcia Hughesa, kiedy wchodzi i wychodzi z kliniki. Dlatego przyjął kopertę, zamiast rzucić ją Dimitrijowi w twarz. I dlatego spanikowany próbował wyjechać z Berna. A tak w ogóle, Dimitrij wrócił już do Moskwy. Centrala ściągnęła go dwa dni po zamordowaniu Alistaira.

Dotarli już do bazy łodzi ratunkowych Gosport. Seymour przystanął.

- Czyli to wszystko była skomplikowana intryga, która miała nas przekonać, że Alistair jest szpiegiem?

Gabriel skinął głową.

- Po co? - zapytał Seymour.

- Władimir Władimirowicz Gribkow. Pamiętasz WuWu, prawda, Graham? WuWu chciał domek w Cotswolds i dziesięć milionów funtów w londyńskim banku. W zamian za to chciał ci

podać nazwisko rosyjskiego kreta umieszczonego na samym szczycie angloamerykańskich służb wywiadowczych.

- Coś kojarzę.

- Rosjanie dotarli do WuWu, zanim zdążył uciec - ciągnął Gabriel. - Ale z ich punktu widzenia było już za późno. Gribkow zdążył zawiadomić MI6 o krecie. Szkoda została wyrządzona. Moskwa miała dwa wyjścia. Mogli siedzieć beczynn timer, czekać i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, albo podjąć jakieś kroki, żeby chronić swoje inwestycje. Wybrali podjęcie kroków. Rosjanie - dodał Gabriel - nie wierzą w nadzieję.

Zeszli z plaży i ruszyli wąską drogą przecinającą zielone pola jak blizna. Gabriel szedł chodnikiem, Seymour, w kaloszach, trawiastym poboczem.

- A Konstantin Kirow? - zapytał. - Gdzie on tutaj pasuje?

- Żeby to wyjaśnić, muszę się posłużyć własnymi przypuszczeniami.

- Podobnie jak ze wszystkim. Co cię teraz powstrzymuje?

- Kirow - powiedział Gabriel, ignorując sceptycyzm Seymoura - to był prawdziwy skarb.

- A ten największy z sekretów, który rzekomo odkrył i przez to chciał zdezerterować?

- To był blef. Bardzo przekonujący blef - dodał Gabriel - ale mimo wszystko blef.

- Kto blefował, Moskwa?

- Oczywiście. Możliwe, że szepnęli mu do ucha coś, od czego zaczął się bać, ale pewnie nie było to konieczne. Heathcliff i tak już reagował nerwowo. Wystarczyło wysłać go gdzieś z jakimś poleceniem i sam wykonałby ruch.

- Chcieli, żeby zdezerterował?

- Nie. Chcieli, żeby próbował zdezerterować. To ogromna

różnica.

- Po co w ogóle pozwolili mu wyjechać z Rosji? Mogli przecież powiesić go za nogi i sekrety same wyleciałyby mu z kieszeni. Mogli strzelić mu w potylicę i byłoby po wszystkim.

- Bo najpierw chcieli go jeszcze wykorzystać. Potrzebowali tylko adresu bezpiecznego mieszkania, w którym miałem na niego czekać, ale to było najłatwiejsze. Lista osób, które znały ten adres, jest długa na kilometr i wśród tych nazwisk mamy nazwisko kreta. Kiedy Heathcliff przyjechał do Wiednia, zamachowiec już czekał, a w sąsiednim budynku była ekipa obserwacyjna z teleskopowym obiektywem.

- Przez cały czas cię słucham - mruknął Seymour niechętnie.

- Zabicie Heathcliffa pod moim oknem i rozpowszechnienie mojego zdjęcia w internecie przyniosło im jedną oczywistą korzyść. Sprawiało to wrażenie, jakbym to ja rozkazał zamordować agenta swr w samym środku Wiednia i przez to osłabić Biuro. Ale to nie był główny powód, dla którego to zrobili. Chcieli, żebym rozpoczął dochodzenie i zidentyfikował Alistaira Hughesa jako prawdopodobne źródło przecieku, a ja wpadłem w ich pułapkę.

- Ale dlaczego go zabili?

- Bo żywy był zbyt niebezpieczny dla całej operacji. Jej celem było to, żebyśmy zgubili trop prawdziwego kreta. W końcu nie ma potrzeby polować na kreta, jeśli kret już nie żyje.

Na końcu drogi czekała nieoznakowana furgonetka, a przed nią stało dwóch ludzi.

- Nie martw się - powiedział Seymour - to moi.

- Jesteś pewien?

Seymour odwrócił się, nie odpowiadając, i znów ruszył w kierunku stacji ratunkowej.

- Tamtego wieczoru, kiedy odwiedziłeś mnie w domu w Belgravii, zapytałem cię o nazwisko osoby, która ci powiedziała, że Alistair często podróżuje do Szwajcarii. Wtedy bardzo wymownie odmówiłeś mi odpowiedzi.

- To był Werner Schwarz - wyjaśnił Gabriel.

- Ten sam Werner Schwarz, który pracuje w austriackim BVT?

Gabriel skinął głową.

- Jakie stosunki was łączą?

- Płacimy mu pieniądze, a on daje nam informacje. Tak to działa w tym biznesie. - W ich stronę jechał rower, a na nim siedział mężczyzna o szkarłatnej twarzy. - Nie masz przy sobie broni?

- To też jeden z moich. - Rower ich wyminął. - Jak sądzisz, gdzie jest ten twój kret? W moich służbach?

- Niekoniecznie.

- Langley?

- Dlaczego nie? Albo może to ktoś z Białego Domu. Ktoś bliski prezydenta.

- A może sam prezydent.

- Trochę cię ponosi, Graham.

- Ale na tym właśnie polega niebezpieczeństwo, prawda? Na tym, że zaczniemy uganiać się za własnym ogonem i zapłaczymy w supeł. Jesteśmy na pustyni, otoczeni lustrami. Można je poustawiać tak, aby rzekome fakty potwierdziły dowolny wniosek. Przyznaję, że ułożyłeś ładny proces poszlakowy, ale jeśli jeden element runie, zawali się cała konstrukcja.

- Alistair Hughes nie był rosyjskim szpiegiem, tylko pacjentem Privatlinik Schloss w szwajcarskiej wiosce

Münchenbuchsee. I ktoś powiedział o tym Rosjanom.

- Kto?

- Gdybym miał zgadywać - stwierdził Gabriel - zrobił to kret. Prawdziwy gracz.

Wrócili już na plażę. W obu kierunkach była pusta. Seymour zszedł do brzegu. Drobne fale ochlapywały jego kalosze.

- Pewnie teraz powiesz mi, że zamierzasz zawiesić nasze stosunki, dopóki nie odkryjemy prawdziwego kreta.

- Nie mogę z tobą pracować, jeśli bezpośrednio łączy biegnie między Langley, Vauxhall Cross i Moskwą. W tej chwili zastanawiamy się nad celowością prowadzenia kilku operacji w Syrii i Iranie. Zakładamy - ciągnął Gabriel - że są już spalone.

- Możesz tak zakładać - zauważył Seymour znacząco. - Ale oficjalne stanowisko tajnych służb jest takie, że nie mamy ani nigdy nie mieliśmy w naszych szeregach rosyjskiego kreta. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Rozumiesz, co mówię?

- Tak - odparł Gabriel - sądzę, że rozumiem. Chciałbyś, żebym znalazł w twoich służbach kreta, którego nie ma.

Furgonetka stojąca na końcu drogi ruszyła i podjechała do niedużego samochodu zaparkowanego przy stacji ratowniczej. Seymour nie zwrócił na to uwagi. Patrzył na morze w stronę wyspy Wight.

- Mógłbym ci podać listę nazwisk - powiedział po chwili - ale byłaby długa i bezużyteczna. W każdym razie dopóki nie mamy argumentów, żeby przywiązać kogoś do krzesła i zrujnować mu karierę.

- Mam już listę - stwierdził Gabriel.

- Naprawdę? - zdziwił się Seymour. - I ile jest na niej nazwisk?

- Tylko jedno.

Las Wiedeński, Austria

Annały operacji, która nastąpiła – ani wtedy, ani nigdy później nie dostała kryptonimu – odnotowały, że pierwszy cios w poszukiwaniu kreta został zadany nie przez Gabriela, lecz przez jego pozbawionego szczęścia poprzednika, Uziego Navota. Stało się to o wpół do trzeciej tego samego popołudnia w tym samym drewnianym domku myśliwskim na skraju Lasu Wiedeńskiego, gdzie Navot jadł kolację mniej więcej trzy tygodnie wcześniej. Ta pozorna lekkomyślność nie była nieprzemyślana. Navot chciał, by Werner Schwarz sądził, że nie dzieje się nic niezwykłego. Ze względu na własne bezpieczeństwo chciał, żeby Rosjanie również tak myśleli.

Jednak przed przyjazdem do Wiednia Navot nie zostawił nic przypadkowi. Przyjechał nie ze Wschodu, z krajów dawno nieistniejącego Układu Warszawskiego, ale z Zachodu. Dotarł do Austrii przez Francję i północne Włochy. Nie podróżował sam, Michaił Abramow służył mu za towarzysza podróży i ochroniarza. W restauracji siedzieli oddzielnie, Navot przy swoim zwykłym stoliku, zarezerwowanym na nazwisko Laffont, Michaił przy oknie. Rozpięta marynarka ułatwiała dostęp do broni, którą nosił na lewym biodrze. Navot również był uzbrojony, miał przy sobie baraka sp-21. Od dawna już nie posługiwał się bronią i wątpił, czy potrafiłby w razie konieczności wystrzelić, nie zabijając przy tym siebie albo Michaiła. Gabriel miał rację, Navot z bronią nigdy nie stanowił zagrożenia. Ale łagodny ucisk kabury na krzyżu dodawał mu

pewności siebie.

- Butelka grüner veltliner? - zapytał korpulentny właściciel, a Navot z akcentem i manierą monsieur Laffonta, francuskiego pisarza podróżnika o bretońskich korzeniach, odrzekł:

- Za chwilę. Czekam na przyjaciela.

Minęło jeszcze dziesięć minut, Navot jednak nie przejmował się tym, bo przez cały czas otrzymywał informacje od obserwatorów. Werner utknął w korku przy wyjeździe z miasta. Nie było żadnych dowodów, by podejrzewać, że śledzi go ktoś ze służb, które go zatrudniały, ani ktokolwiek podlegający Centrali Moskwa.

W końcu przed oknem Michaiła zatrzymał się samochód i wysiadł z niego tylko jeden człowiek, Werner Schwarz. Kiedy wszedł do restauracji, właściciel energicznie uścisnął mu dłoń, jakby pompował wodę ze studni, i poprowadził do stolika, przy którym siedział Navot. Werner był wyraźnie rozczarowany, gdy nie zobaczył na stoliku wina, tylko nieduże ozdobne pudełko Demela, wiedeńskiego mistrza czekolady.

- Otwórz - polecił Navot.

- Tutaj?

- Dlaczego nie?

Werner Schwarz uchylił pokrywkę i zajrzał do środka. W pudełku nie było pieniędzy, tylko karteczka z wiadomością, którą Navot napisał po niemiecku. Werner Schwarz przeczytał i jego dłoń zadrżała.

- Może przed lunchem powinniśmy się przejść po lesie - powiedział Navot, podnosząc się. - To będzie dobre na apetyt.

Las Wiedeński, Austria

- To nieprawda, Uzi! Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

- Nie nazywaj mnie prawdziwym imieniem. Jestem monsieur Laffont, zapomniałeś? A może już mieszają ci się w głowie imiona wszystkich prowadzących?

Szli ścieżką po wydeptanym śniegu. Po prawej drzewa wspinały się po łagodnym wzgórzu, po lewej opadały w stronę niewielkiej doliny. Pomarańczowe słońce zniżało się już na niebie i świeciło im prosto w twarz. Michaił szedł jakieś dziesięć metrów za nimi. Płaszcz miał ciasno zapięty, co oznaczało, że przełożył pistolet z kabury na biodrze do kieszeni.

- Od jak dawna, Werner? Od jak dawna dla nich pracujesz?

- Uzi, naprawdę oprzytomnij i zacznij myśleć rozsądnie.

Navot zatrzymał się nagle i pochwycił Schwarza za łokieć. Schwarz skrzywił się z bólu. Pomimo mrozu pocił się.

- Co chcesz zrobić, Uzi? Chcesz mnie pobić?

- Zostawię to jemu. - Navot spojrzał w stronę Michaiła, który stał bez ruchu na ścieżce, a za nim ciągnął się jego długi cień.

- Zwłoki - parsknął Schwarz. - Jeden telefon i spędzi kilka lat w austriackim więzieniu za morderstwo. Ty też.

- Spróbuj, Werner. - Navot mocniej ścisnął jego łokieć. - Dzwon.

Werner Schwarz nie sięgnął po telefon. Navot jednym ruchem silnego nadgarstka pociągnął go ze ścieżki głębiej w las.

- Od jak dawna, Werner? - zapytał jeszcze raz.

- A co to za różnica?

- To może być bardzo wielka różnica. Prawdę mówiąc, od tego może zależeć, czy przeżyjesz i zobaczysz dziś wieczorem Lotte, czy też mój przyjaciel pośle ci kulkę w głowę.

- Rok. Może półtora.

- Spróbuj jeszcze raz, Werner.

- Cztery lata.

- Może pięć? Albo sześć?

- Powiedzmy, że pięć.

- Kto wykonał pierwszy ruch?

- Wiesz, jak to jest w tych sprawach. Trochę jak w uczuciach. Na koniec trudno jest sobie przypomnieć, kto się za kim uganiał.

- Spróbuj, Werner.

- Przez jakiś czas flirtowaliśmy, a potem wysłałem im bukiet kwiatów.

- Stokrotek?

- Orchidei. - Werner uśmiechnął się bezradnie. - Najlepsze, co mogłem dostać.

- Chciałeś wyrzucić dobre pierwsze wrażenie?

- To jest naprawdę ważne.

- Ile za to dostałeś?

- Tyle, że mogłem kupić coś ładnego dla Lotte.

- Kto cię prowadzi?

- Najpierw to był miejscowy chłopak z wiedeńskiej rezydentury.

- Ryzykowne.

- Właściwie nie. Wtedy pracowałem w kontrwywiadzie. Mogłem sobie pozwolić na okazjonalne kontakty.

- A teraz?

- Ktoś spoza miasta.

- Z sąsiedniego kraju?

- Z Niemiec.

- Berlińska rezydentura?

- Nieoficjalna przykrywka. Prywatna praktyka.

- Jak on się nazywa?

- Przedstawia się jako Siergiej Morozow. Pracuje w firmie konsultingowej we Frankfurcie. Jego klienci to niemieckie firmy, które chcą prowadzić interesy w Rosji, a zapewniam cię, że jest takich wiele. Siergiej przedstawia ich właściwym osobom w Moskwie i pilnuje, żeby wkładali pieniądze do właściwych kieszeni, łącznie z jego własną. Ta firma to kura, która znosi złote jajka. A pieniądze płyną bezpośrednio do skarbców Centrali Moskwa.

- On jest z SWR? Jesteś tego pewny?

- To człowiek Moskwy na sto procent.

Szli dalej. śnieg pod ich stopami był zlodowaciały i śliski.

- Czy Siergiej wydaje ci dyspozycje, czy sam zaczynasz jakieś działania? - zapytał Navot.

- Trochę tak, a trochę tak.

- Jakich metod używacie?

- Stara szkoła. Jeśli coś mam, zaciągam zasłony w oknie na górze w piątek. W następny wtorek odbieram pomyłkowy telefon. Zawsze chcą rozmawiać z kobietą, a imię, którego używają, to miejsce, w którym Siergiej chce się spotkać.

- Na przykład?

- Trudi.

- Trudi to gdzie?

- Linz.

- Jakie jeszcze?

- Sophie i Anna. Jedno i drugie w Niemczech.

- To wszystko?
 - Nie. Jeszcze Sabine. Sabine to mieszkanie w Strasburgu.
 - Jak wyjaśniasz te wszystkie podróże?
 - Kontakty to duża część mojej pracy.
 - Zgodziłbym się. - Skądś dochodziło szczekanie psa, niskie i głębokie. - A ja? - zapytał Navot. - Kiedy poinformowałeś Rosjan o znajomości ze mną?
 - Nigdy, Uzi. Przysięgam na życie Lotte, że nigdy nie powiedziałem.
 - Nie przysięgaj, Werner, bo to obraża moją inteligencję. Zdradź mi tylko, gdzie to się stało. Czy to była Trudi, Sophie, Anna?
- Werner Schwarz potrząsnął głową.
- To się zdarzyło, zanim Siergiej pojawił się na scenie, kiedy jeszcze byłem pod kontrolą wiedeńskiej rezydentury.
 - Ile za mnie dostałeś?
 - Niewiele.
 - To stały motyw w moim życiu - stwierdził Navot. - Przypuszczam, że Rosjanie wykorzystali tę sytuację?
 - Wykorzystali?
 - Wykorzystali cię, żeby szpiegować mnie. Wykorzystali cię, żebyś przekazywał mi fałszywe albo mylące informacje. Prawdę mówiąc, mam pełne prawo zakładać, że wszystko, co usłyszałem od ciebie przez ostatnich pięć lat, zostało wymyślone w Moskwie.
 - To nieprawda.
 - W takim razie dlaczego mi nie powiedziałeś, że Rosjanie się z tobą skontaktowali? Dlaczego nie dałeś mi możliwości, żebym to ja mógł szeptać kłamstwa do ich uszu? - Gdy Schwarz milczał, Navot sam odpowiedział na własne pytanie. - Bo

Siergiej Morozow zagroził, że cię zabije, jeśli tak zrobisz. – Po kolejnej chwili milczenia zapytał: – Nie zaprzeczysz, Werner?

Werner Schwarz potrząsnął głową.

– Rosjanie nie grają delikatnie.

– Ale i tak bardziej delikatnie niż my. – Navot przystanął i przytrzymał ramię Wenera Schwarza w żelaznym uścisku. – Ale wyjaśnij mi coś jeszcze. Gdzie Rosjanie ci powiedzieli, że zamierzają zabić w Wiedniu dezercera z swr? Czy to była Trudi? Anna?

– To była Sophie – przyznał Werner Schwarz. – To spotkanie odbyło się w Sophie.

– Szkoda – stwierdził Navot. – Zawsze lubiłem imię Sophie.

Las Wiedeński, Austria

Sophie to było bezpieczne mieszkanie we wschodnim Berlinie, w pobliżu Unter den Linden. Stary okropny budynek w sowieckim stylu miał kilka dziedzińców i mnóstwo wejść i wyjść. Mieszkała tam chuda jak patyk i biała jak mleko, mniej więcej trzydziestoletnia dziewczyna, która przedstawiała się imieniem Marguerite. Mieszkanie było całkiem duże. Zanim runął mur, należało do jakiegoś pułkownika Stasi. Prowadziły do niego dwa wejścia – główne drzwi z podestu schodów i drugie z kuchni, wychodzące na niemal nieużywane schody dla służby. Klasyczne staroświeckie budownictwo, pomyślał Uzi Navot, słuchając opisu Wernera Schwarza. Żaden człowiek wyszkolony przez Centralę Moskwa nigdy nie wszedłby do mieszkania, które nie miało wyjścia awaryjnego. Podobnie zresztą jak ludzie wyszkoleni przez Biuro.

- Których drzwi używałaś? – zapytał Navot.
- Frontowych.
- A Siergiej? Sądzę, że on lubi tylne wyjścia.
- Zawsze.
- A dziewczyna? Zostawała czy wychodziła?
- Zwykle przynosiła nam coś do jedzenia i picia, a potem znikwała. Ale nie tamtego dnia.
- A co robiła?
- Nie było jej.
- Na czyją prośbę odbyło się to spotkanie?
- Siergieja.

- Rutynowe?

- Awaryjne.

- Jak zostało umówione?

- Telefon w czwartek wieczorem. Pomyłka. „Czy zastałem pannę Sophie?”. Poleciałem do Berlina następnego dnia pod pretekstem, że muszę się skonsultować z naszymi niemieckimi partnerami w pilnej sprawie dotyczącej bezpieczeństwa. Spędziłem całe przedpołudnie w sztabie BfV i w drodze na lotnisko wpadłem do bezpiecznego mieszkania. Siergiej już tam był.

- Co było w tym takiego pilnego?

- Konstantin Kirow.

- Wymienił nazwisko Kirow?

- Oczywiście nie.

- A co dokładnie powiedział?

- Powiedział, że w najbliższych dniach w Wiedniu działalność służb wywiadowczych będzie bardzo natężona. Izraelczycy, Brytyjczycy, Rosjanie. Chciał, żeby moje służby w niczym nie przeszkadzały. Sugerował, że chodzi o dezentera.

- Dezentera z swr?

- Daj spokój, Uzi. A jakiego by innego?

- Czy wspominał, że rosyjski zamachowiec ma zamiar rozwalić mózg dezenterowi?

- Niezupełnie, ale przyznał, że Allon wpadnie do miasta świętować i że będzie w bezpiecznym mieszkaniu.

- Czy znał adres?

- Druga Dzielnica, w pobliżu Karmeliterplatz. Powiedział, że będzie trochę nieprzyjemnie. Chciał, żebyśmy poszli śladem narzuconym przez Moskwę i obwinili o wszystko Izraelczyków.

- I nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym wspomnieć?

- Skończyłbym jak ten Kirow.

- Nadal możesz tak skończyć. - Słońce opadło już kilka stopni nad horyzont i przeświecało przez drzewa. Navot sądził, że mają jeszcze najwyżej dwadzieścia minut światła dziennego. - A jeśli Siergiej Morozow okłamywał cię, Werner? Jeśli zamierzali zabić mojego szefa?

- Oficjalnie Austria nie uroniłaby nawet łzy.

Navot kilka razy zacisnął i rozprostował palce, a potem powoli policzył do dziesięciu, ale to na nic się nie zdało. Cios dosięgnął Wenera Schwarza w miękkie podbrzusze, tam, gdzie nie zostaje żaden ślad i dłoń zagłębia się tak bardzo, że Navot przez chwilę zastanawiał się, czy jego agent wstanie jeszcze na nogi.

- Ale to nie wszystko, co Siergiej ci powiedział, tak? - zapytał, patrząc na Schwarza, który krztusił się i wił u jego stóp. - Był pewny, że skontaktuję się z tobą po zabójstwie Kirowa.

Werner Schwarz nie odpowiedział, bo nie zdołał.

- Czy mam mówić dalej, Werner? A może ty chciałbyś dokończyć tę historię i opowiedzieć mi, jak Siergiej kazał ci dać mi do zrozumienia, że szef wiedeńskiej placówki MI6 miał dziewczynę w Szwajcarii. Zresztą ją też zabili - skłamał Navot. - Podejrzewam, że ty będziesz następny. Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze żyjesz.

Navot sięgnął w dół i bez wysiłku podciągnął tłustego Austriaka na nogi.

- Więc to prawda? - wydyszał Werner Schwarz. - Naprawdę była jakaś dziewczyna?

Navot położył rękę na środku pleców Wenera Schwarza i pchnął go tak, że tamten zatoczył się na ścieżce. Resztki słońca świeciły teraz za ich plecami. Michaił prowadził ich

przez zapadający zmrok.

- O co im chodzi? - zapytał Schwarz. - W co oni grają?

- Nie mamy pojęcia - skłamał Navot. - Ale ty nam pomożesz się dowiedzieć. W innym przypadku powiemy twojemu szefowi oraz ministrowi, że pracowałeś dla Centrali Moskwa. Zanim skończymy mówić, cały świat uwierzy, że to ty prowadziłeś samochód, który zabił Alistaira Hughesa w Bernie.

- Tak mnie traktujesz, Uzi? Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Na twoim miejscu uważałbym na siebie. Masz jedną szansę, żeby ocalić życie: znów pracować dla mnie. Wyłącznie dla mnie - dodał Navot. - Żadnych więcej podwójnych i potrójnych gier.

Cienie już zniknęły i drzewa były niemal niewidoczne. Michaił wyglądał jak niewyraźna czarna kreska.

- Wiem, że to już nic nie zmieni - powiedział Werner Schwarz - ale chciałbym...

- Masz rację - przerwał mu Navot. - To już nic nie zmieni.

- Potrzebuję trochę pieniędzy, żeby przetrwać.

- Uważaj, Werner. Śnieg jest śliski, a dokoła jest ciemno.

Andaluzja, Hiszpania

Tego samego popołudnia w białym jak kość miasteczku w górach Andaluzji stara kobieta znana pod lekceważącymi określeniami *la loca* i *la roja* siedziała przy biurku w niszy pod schodami i opisywała chwile, gdy po raz pierwszy zobaczyła mężczyznę, który na zawsze miał zmienić jej życie. Szkic, który z niesmakiem wrzuciła do kominka, pełen był dźwięków skrzypiec, bicia serc i nabrzmiewających piersi. Teraz przeszła na oszczędny dziennikarski styl, podkreślając czas, datę i miejsce - w pół do drugiej, chłodne zimowe popołudnie w początkach 1962 roku, bar na brzegu morza w hotelu St. Georges w Bejrucie. Pił wódkę z sokiem warzywnym i przeglądał pocztę. Był przystojny, choć nieco zniszczony, tuż po pięćdziesiątce, z niebieskimi oczami w pomarszczonej twarzy. Okropnie się zacinał, co bardzo jej się podobało. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata i była zdeklarowaną komunistką, do tego bardzo piękną. Powiedziała, jak się nazywa, i on też się przedstawił, ale jego nazwisko już знаła. Był chyba najślynniejszym albo najbardziej niesławnym korespondentem w Bejrucie.

- Dla jakiej gazety pani pisze? - zapytał.
- Dla każdej, która zechce mnie drukować.
- Jest pani dobra?
- Tak sądzę, ale wydawcy w Paryżu nie są tego pewni.
- Może mógłbym jakoś pomóc. Znam sporo ważnych ludzi na Bliskim Wschodzie.

- Tak słyszałam.

Uśmiechnął się ciepło.

- Proszę usiąść i wypić ze mną d-d-drinka.

- Trochę wcześniej na drinka, prawda?

- Nonsens. Robią tu ogniste martini. Nauczyłem ich.

I tak właśnie, pisała, to wszystko się zaczęło - od drinka w barze St. Georges, potem następnego, a potem nieuniknionego trzeciego, a później już nie była w stanie utrzymać się na nogach, nie mówiąc o tym, że miałyby iść. Szarmancko zaproponował, że odprowadzi ją do mieszkania, gdzie kochali się po raz pierwszy. Opisując ten akt, znów uciekła się do prostej reporterskiej prozy, bo jej wspomnienia przyćmiewał alkohol. Przypomniła sobie tylko, że był ogromnie czuły i dość sprawny. Znów się kochali następnego popołudnia i jeszcze następnego. Właśnie wtedy, gdy zimny śródziemnomorski wiatr łomotał okiennicami, zdobyła się na odwagę i zapytała go, czy cokolwiek z tego, co mówiono o nim w Anglii w latach pięćdziesiątych, było prawdą.

- A czy wyglądam n-na człowieka, który mógłby to z-z-zrobić?

- Prawdę mówiąc nie.

- To było amerykańskie polowanie na czarownice. Amerykanie to najgorsiludzie na świecie, a Izraelczycy tuż za nimi.

Jej myśli wybiegały przed ruchy ołówka i ręka zaczęła się już męczyć. Zerknęła na plastikowy zegarek i ze zdziwieniem odkryła, że jest prawie szósta. Pisała przez całe popołudnie. Nie jadła lunchu i była bardzo głodna, a w domu nie miała nic, bo tego dnia nie poszła również do supermarketu. Uznała, że wieczór w miasteczku dobrze jej zrobi. W jednym z kościołów kwartet z Madrytu miał grać Vivaldiego - nic oszałamiającego,

ale może być przyjemną odmianą od telewizji. Do wioski docierali turyści, ale pod względem kulturalnym przypominała pustynię. Były inne miejsca w Andaluzji, gdzie wolałyby się osiedlić po rozwodzie, na przykład Sewilla, ale towarzysz Ławrow wybrał białą jak kość wioskę w górach.

- Nikt cię tu nigdy nie znajdzie - powiedział. Przez „nikt” miał na myśli jej dziecko.

Na zewnątrz było zimno i wiatr się nasilał. Osiemdziesiąt siedem kroków dalej, przy promenadzie obok skalistego zbocza zrębu, stała furgonetka. Wyglądała, jakby ktoś ją tam porzucił. Kręte uliczki miasteczka pachniały jedzeniem, w oknach niewielkich domków paliło się ciepłe światło. Weszła do jedynej restauracji przy calle San Juan, gdzie wciąż traktowano ją z szacunkiem, i poprowadzono ją do podrzędnego stolika. Zamówiła szklaneczkę sherry i wybór tapas, a potem otworzyła książkę w miękkiej okładce, którą przyniosła z sobą dla ochrony. „I cóż my wiemy o zdrajcach albo o tym, dlaczego Judasz zrobił to, co zrobił...”. Rzeczywiście, cóż wiemy, pomyślała. Udało mu się zwieść wszystkich, nawet ją, kobietę, z którą dzielił najbardziej intymny z ludzkich aktów. Okłamywał ją ciałem i ustami, a jednak kiedy poprosił o to, co kochała najbardziej, oddała mu to. I to była jej kara - stała się starą kobietą, nad którą się litowano i która budziła wstręt, siedzącą samotnie w kawiarni na cudzej ziemi. Gdyby tylko nie spotkali się tamtego popołudnia w barze St. Georges w Bejrucie, gdyby odmówiła tamtego drinka i potem następnego, i potem nieuniknionego trzeciego. Gdyby tylko...

Przyniesiono jej sherry, bladą manzanillę, i chwilę później jedzenie. Odłożyła książkę i zauważyła mężczyznę, który przyglądał jej się otwarcie, siedząc przy końcu baru. Potem

zauważyła parę przy pobliskim stoliku i natychmiast zrozumiała, dlaczego przy promenadzie, o osiemdziesiąt siedem kroków od jej willi, stała zaparkowana furgonetka. Jak niewiele zmieniły się ich metody.

Jadła powoli, choćby po to, by ich ukarać, a potem wyszła z restauracji i pośpieszyła do kościoła na recital. Był kiepski, a publiczność nieliczna. Para z restauracji siedziała cztery ławki za nią, męczyzna po przeciwnej stronie nawy. Podszedł do niej po koncercie, gdy szła przez plac między drzewami pomarańczowymi.

- Podobało się pani? - zapytał sztywną hiszpańszczyzną.

- Burżuazyjna sieczka.

Jego uśmiech był z tego gatunku, który zwykle rezerwuje się dla dzieci i głupich staruszek.

- Wciąż toczy pani tę samą starą wojnę? Wymachuje tę samą starą flagą? Tak w ogóle, jestem señor Karpow. Przysyła mnie nasz wspólny przyjaciel. Pozwoli pani, że odprowadzę panią do domu.

- Właśnie tak wpadłam w to bagno.

- Najmocniej przepraszam?

- Mniejsza o to.

Ruszyła mroczną ulicą, a Rosjanin obok niej. Próbował ubrać się tak, by się nie odróżniać od wieśniaków, ale niezupełnie mu się udało. Buty miał zbyt dobrze wyczyszczone, a płaszcz zbyt elegancki. Przypomniła sobie dawne czasy, kiedy można było rozpoznać agenta rosyjskiego wywiadu po kiepskiej jakości garniturze i okropnych butach. Tak jak towarzysz Ławrow, przypomniała sobie, tego dnia, kiedy przywiózł jej list od słynnego angielskiego dziennikarza, którego poznała w Bejrucie. Ale ten był inny. Karpow z całą pewnością był

nowym Rosjaninem.

- Pana hiszpański jest okropny - oznajmiła. - Skąd pan jest?

- Z madryckiej rezydentury.

- W takim razie Hiszpania nie ma powodów, żeby się obawiać SWR.

- Ostrzegano mnie, że ma pani ostry język.

- Przed czym jeszcze pana ostrzegano?

Milczał.

- Minęło już dużo czasu - zauważyła. - Zaczynałam myśleć, że Centrala nigdy więcej się do mnie nie odezwie.

- Z pewnością zauważa pani pieniądze na koncie w banku.

- Pierwszego dnia każdego miesiąca, nigdy nawet dnia spóźnienia.

- Inni nie mają tyle szczęścia.

- Mało kto oddał tak wiele - odparowała. Ich kroki odbijały się echem w martwej ciszy wąskiej uliczki, podobnie jak kroki dwóch wspierających agentów, którzy podążali kilka kroków za nimi. - Spodziewałam się, że ma pan dla mnie coś innego niż pieniądze.

- Prawdę mówiąc, mam. - Wyjął kopertę z kieszeni eleganckiego płaszcza i przytrzymał ją między dwoma palcami.

- Mogę na to spojrzeć?

- Nie tutaj. - Znów wsunął list do kieszeni. - Nasi wspólni przyjaciele chcieliby przedstawić pani bardzo hojną ofertę.

- Doprawdy?

- Wakacje w Rosji. Wszystkie koszty pokryte.

- W samym środku zimy? Jak mogłabym się temu oprzeć?

- Sankt Petersburg jest piękny o tej porze roku.

- Ja wciąż używam nazwy Leningrad.

- Tak jak moi dziadkowie - odrzekł. - Znaleźliśmy mieszkanie

z widokiem na morze i Pałac Zimowy. Mogę zapewnić, że niczego nie będzie pani brakowało.

- Wolę Moskwę niż Leningrad. Leningrad to miasto z importu. Moskwa to prawdziwa Rosja.

- W takim razie znajdziemy pani coś w pobliżu Kremla.

- Przepraszam, ale nie jestem zainteresowana. To już nie jest moja Rosja. Teraz to jest pańska Rosja.

- To ta sama Rosja.

- Staliście się wszystkim, przeciwko czemu walczyliśmy! - parsknęła. - Wszystkim, czym pogardzaliśmy. Mój Boże, on pewnie przewraca się w tym swoim grobie.

- Kto?

Widocznie Karpow nie wiedział, dlaczego dostawała dość znaczącą sumę dziesięciu tysięcy euro na konto bankowe pierwszego dnia każdego miesiąca, bez opóźnienia.

- Dlaczego teraz? - zapytała. - Dlaczego chcą mnie ściągnąć do Moskwy po tych wszystkich latach?

- Moje informacje na ten temat są ograniczone.

- Podobnie jak pana hiszpański. - Przyjął tę zniewagę w milczeniu. - Dziwię się, że w ogóle zawracał sobie pan głowę, żeby się fatygować. Kiedyś wsadzilibyście mnie na statek towarowy i zabrali do Moskwy wbrew mojej woli.

- Nasze metody się zmieniły.

- Bardzo w to wątpię. - Dotarli już na skraj miasteczka. Dostrzegła swoją willę na krawędzi turni. Zostawiła światła włączone, żeby znaleźć drogę w ciemnościach. - Jak się miewa towarzysz Ławrow? - zapytała nagle. - Wciąż jest wśród żywych?

- To pytanie przekracza moje kompetencje.

- A Modin? Chyba już nie żyje?

- Nie wiem.

- Nie sędę, żeby pan wiedział. To był wielki człowiek, prawdziwy profesjonalista. - Obrzuciła go z góry na dół pogardliwym spojrzeniem. Towarzysz Karpow, nowy Rosjanin. - Sędę, że ma pan coś, co należy do mnie.

- Właściwie to należy do Centrali. - Znów wyciągnął kopertę z kieszeni i tym razem jej podał. - Może pani to przeczytać, ale nie może pani tego zatrzymać.

Poszła z kopertą kilka kroków dalej i otworzyła ją w świetle żelaznej lampy. W środku znajdowała się pojedyncza kartka papieru zapisana na maszynie sztywną francuszczyzną. Przestała czytać po kilku liniijkach. Słowa były fałszywe. Chłodno oddała mu list i ruszyła samotnie przez mrok, licząc kroki i myśląc o nim. Tak czy owak, z własnej woli czy siłą, wkrótce wyjedzie do Rosji, w to nie wątpiła. Może to mimo wszystko nie będzie takie okropne. Leningrad naprawdę jest całkiem ładny, a w Moskwie mogłaby pójść na jego grób. „Czy wypije pani ze mną d-d-drinka...” Gdyby tylko powiedziała „nie”. Gdyby...

Frankfurt - Tel Awiw - Paryż

Firma Globaltek Consulting zajmowała dwa piętra nowoczesnego przeszklonego biurowca przy Mainzer Landstrasse we Frankfurcie. Na wymuskaniej stronie internetowej oferowała wszelkiego rodzaju usługi, których większość zupełnie nie interesowała jej klientów. Firmy wynajmowały Globaltek z jednego powodu: by uzyskać dostęp do Kremla, a przez to do lukratywnego rosyjskiego rynku. Wszyscy starsi doradcy Globalteku byli Rosjanami, podobnie jak większość personelu administracyjnego i wspierającego. Siergiej Morozow figurował tam jako doradca do spraw rosyjskiego sektora bankowego. Jego CV mówiło o elitarnym rosyjskim wykształceniu i karierze w biznesie, ale nie wspominało ani słowem, że był pułkownikiem SWR.

Planowanie jego dezercji do Państwa Izrael rozpoczęło się kilka minut po tym, jak Uzi Navot wrócił z Wiednia na bulwar Króla Saula. Nie miała to być typowa dezercja ze wszystkimi rytuałami uwodzenia i propozycją bezpiecznej przystani oraz nowej tożsamości, tylko awaryjna, w dużym stopniu wymuszona. Co więcej, musiała zostać przeprowadzona w taki sposób, by Moskwa nie podejrzewała, że Siergiej Morozow znalazł się w rękach przeciwnika. Wszyscy tajni agenci wywiadu, bez względu na to, jakiemu krajowi służyli, utrzymywali regularny kontakt z oficerami prowadzącymi ze sztabu. Była to podstawowa zasada operacyjna w tym fachu. Gdyby Siergiej Morozow nie zameldował się w porę więcej niż

raz, Centrala automatycznie przyjęłaby jedno z trzech założeń: że zdezerterował, że został porwany albo że został zabity. Tylko przy trzecim scenariuszu – śmierci Siergieja Morozowa – SWR byłaby przekonana, że jej sekrety są bezpieczne.

- Więc zamierzasz zabić jeszcze jednego Rosjanina? – zapytał premier. – Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Tylko chwilowo – odrzekł Gabriel – i tylko w przekonaniu jego kontrolerów z Centrali Moskwa.

Było już późno, kilka minut po dziesiątej wieczorem, i gabinet premiera pogrążył się w półmroku.

- Oni nie są głupi – stwierdził. – W końcu się domyślą, że on żyje, ma się świetnie i jest w twoich rękach.

- W końcu tak będzie – zgodził się Gabriel.

- Ile czasu trzeba na to?

- Trzy, cztery dni, najwyżej tydzień.

- I co potem?

- To zależy, ile tajemnic mieści się w jego głowie.

Premier przez chwilę patrzył na Gabriela w milczeniu. Na ścianie za jego biurkiem Theodor Herzl na portrecie robił to samo.

- Rosjanie nie przyjmą tego spokojnie. Przeprowadzą odwet.

- A czy może się zdarzyć coś gorszego?

- Mogą się zdarzyć o wiele gorsze rzeczy. Szczególnie jeśli skupią się na tobie.

- Próbowali mnie zabić. Nawet kilka razy.

- Za którymś razem może im się udać. – Premier wziął do ręki pojedynczą kartkę, którą Gabriel przyniósł z bulwaru Króla Saula. – Tu jest wiele cennych zasobów. Nie zamierzam pozwolić, żeby to trwało w nieskończoność.

- Nie będzie tyle trwało. Jestem pewien, że kiedy uda mi się

zaciśnięć ręce na szyi Siergieja Morozowa, bardzo szybko będzie po wszystkim.

- Jak szybko?

Gabriel wzruszył ramionami.

- Trzy, cztery dni. Najwyżej tydzień.

Premier podpisał autoryzację i przesunął ją po blacie biurka.

- Pamiętaj o jedenastym przykazaniu Szamrona - powiedział.

- Nie daj się złapać.

Następnego dnia był czwartek. Prawie na całym świecie był to zwykły czwartek z zupełnie przeciętną dawką zabójstw, zamieszek i ludzkiego nieszczęścia, ale na bulwarze Króla Saula od tej pory wszyscy mówili o tym dniu jako o czarnym czwartku. Bo właśnie w czwartek Biuro zaczęło się przygotowywać do wojny. Premier jasno dał do zrozumienia, że Gabriel działa w pożyczonym czasie, a on postanowił nie tracić z niego ani minuty. Zarządził, że w piątek za tydzień w oknie wiedeńskiego mieszkania zostaną zaciągnięte zasłony, a w najbliższy po tym wieczór wtorkowy w tym samym mieszkaniu zadzwoni telefon i dzwoniący zapyta o jedną z czterech kobiet, Trudi, Annę, Sophie albo Sabine. Trudi to był Linz, Anna - Monachium, Sophie - Berlin, a Sabine Strasburg, stolica francuskiej Alzacji. Biuro nie będzie miało nic do powiedzenia w wyborze miejsca. To Siergiej Morozow powinien zdecydować, gdzie zechce urządzić swoją imprezę. Lub też, jak Gabriel stwierdził chłodno, imprezę pożegnalną.

Trudi, Anna, Sophie, Sabine: cztery bezpieczne mieszkania, cztery miasta. Gabriel nakazał Jakowowi Rossmanowi, swojemu szefowi operacji specjalnych, zaplanować porwanie Siergieja Morozowa z każdej z tych czterech lokalizacji.

- Absolutnie wykluczone. Naprawdę, Gabriel, to po prostu niemożliwe. I tak już brakuje nam sił i środków na ściganie Siergieja po Frankfurcie i obserwację Wenera Schwarza w Wiedniu. Obserwatorzy dwoją się i troją, składają się jak syczoryki.

Następnie Jakow zrobił dokładnie to, o co Gabriel go prosił, choć ze względów operacyjnych wyraźnie powiedział, że jego wybranym miejscem byłaby Sabine.

- Jest urocza. To dziewczyna z naszych marzeń. Przyjazny kraj, mnóstwo dziur, w których można się zaszyć. Daj mi Sabine, a ja ci dam Siergieja Morozowa ładnie zapakowanego i obwiązanego kokardką.

- Wolałbym go dostać posiniaczonego i zakrwawionego.

- To też mogę zrobić. Ale daj mi Sabine. I nie zapomnij o ciele
- dodał Jakow przez ramię, wymykając się z gabinetu Gabriela.
- Potrzebne nam ciało, inaczej Rosjanie nie uwierzą w żadne nasze słowo.

Po czarnym czwartku nastąpił czarny piątek, a po czarnym piątku czarny weekend. Kiedy słońce zaszło w czarny poniedziałek, bulwar Króla Saula toczył wojnę sam z sobą. Wydziały Bankowy i Tożsamości otwarcie ogłosiły bunt, Wydział Podróży i Administracji knuł potajemnie zamach stanu, a Jakow i Eli Lavon prawie się nie odzywali. Uzi Navot musiał przyjąć na siebie rolę arbitra i negocjatora, bo Gabriel przeważnie opowiadał się po jednej ze stron.

Przyczyna jego czarnego nastroju nie była żadną tajemnicą. Napędzał go Iwan. Iwan Borysowicz Charkow, międzynarodowy handlarz bronią, przyjaciel rosyjskiego prezydenta i osobisty czarny charakter w świecie Gabriela. Iwan zabrał dziecko z łona Chiary i w zamarzniętym brzozowym lesie pod Moskwą

przyłożył jej pistolet do głowy. „Patrz, jak twoja żona umiera, Allon...” Takiego widoku nigdy się nie zapomina i z pewnością nigdy nie wybacza. Iwan był strzałem ostrzegawczym, którego reszta świata nie usłyszała, dowodem na to, że Rosja znów wraca do starych dobrych wzorców.

W środę tego okropnego tygodnia Gabriel wymknął się z bulwaru Króla Saula i konwojem pojechał przez Zachodni Brzeg do Ammanu, gdzie spotkał się z Faridem Barakatem, anglofilem i szefem wywiadu jordańskiego. Po godzinie rozmowy o niczym uprzejmie poprosił o pozwolenie na użycie jednego z licznych odrzutowców Gulfstream należących do króla przy operacji związanej z pewnym dżentelmenem rosyjskiego pochodzenia. Barakat natychmiast się zgodził, bo nienawidził Rosjan niemal równie mocno jak Gabriel. Rzeźnik z Damaszku i jego rosyjscy poplecznicy wpędzili przez granicę do Jordanu kilkaset tysięcy uchodźców syryjskich i Farid Barakat bardzo chciał odwdzińczyć mu się za tę przysługę.

- Ale mam nadzieję, że nie narobisz bałaganu w kabinie, bo wtedy do końca życia będę o tym słuchał. Jego wysokość ma słabość do swoich samolotów i motocykli.

Gabriel użył samolotu, by polecieć do Londynu, gdzie poinformował Grahama Seymoura o bieżących przygotowaniach do operacji, a potem do Paryża, gdzie przeprowadził krótką rozmowę z Paulem Rousseau przewodzącym Grupie Alfa, elitarnej jednostce antyterrorystycznej DGSI. Jej oficerowie byli doskonale wyszkoleni w sztuce stwarzania złudzeń, a Paul Rousseau był ich bezdyskusyjnym przywódcą i gwiazdą przewodnią. Gabriel spotkał się z nim w bezpiecznym mieszkaniu w Dwudziestej Dzielnicy i przez większość czasu opędzał się od dymu z fajki

Rousseau.

- Nie udało mi się znaleźć idealnego sobowtóra - powiedział Francuz, podając Gabrielowi zdjęcie - ale ten powinien się nadać.

- Narodowość?

- Policji nie udało się tego ustalić.

- Od jak dawna...

- Od czterech miesięcy - odrzekł Rousseau. - Trochę już dojrzał, ale jeszcze nie śmierdzi.

- Ogień załatwi sprawę. I pamiętaj - dodał Gabriel - nie śpiesz się z dochodzeniem. W takiej sytuacji nie należy działać pochopnie.

Było piątkowe przedpołudnie. Tego samego dnia w wiedeńskim mieszkaniu zasłona została zaciągnięta. W następny wtorek wieczorem w tym samym mieszkaniu odezwał się telefon i dzwoniący zapytał o kobietę, która tam nie mieszkała. Następnego ranka ludzie Gabriela wsiedli do samolotów zmierzających do pięciu różnych europejskich miast, wszyscy jednak mieli w końcu dotrzeć do tego samego celu. Do Sabine, dziewczyny z ich marzeń.

Tenleytown, Waszyngton

Następnego ranka Rebecca Manning obudziła się gwałtownie. Miała jakiś nieprzyjemny sen, ale jak zwykle nie pamiętała, o co chodziło. Niebo za oknem w sypialni było szare jak szmata do podłogi. Sprawdziła godzinę na prywatnym iPhone. Szósta piętnaście, jedenasta piętnaście w Vauxhall Cross. Różnica czasu oznaczała, że jej dzień zwykle zaczynał się wcześniej. Prawdę mówiąc, rzadko zdarzało jej się spać tak długo.

Wstała, narzuciła na ramiona szlafrok dla ochrony przed chłodem i zeszła do kuchni, gdzie czekając, aż kawa się zaparzy, wypaliła pierwszego papierosa tego dnia. Dom, który wynajmowała, stał przy Warren Street w dzielnicy północno-zachodniego Waszyngtonu znanej jako Tenleytown. Odziedziczyła go po urzędniku konsularnym, który mieszkał tu z żoną i dwójką małych dzieci. Dom był niewielki, rozmiaru mniej więcej typowego angielskiego domku, z dziwaczną fasadą w stylu Tudorów nad gankiem. Przy końcu chodnika z kamiennych płyt stała żeliwna latarnia, a po drugiej stronie ulicy znajdował się publiczny park. Lampa płonęła słabo, niemal niewidocznie w szarym świetle poranka. Rebecca włączyła ją poprzedniego wieczoru i zapomniała wyłączyć przed pójściem do łóżka.

Wypiła z miseczki kawę ze spienionym mlekiem i przejrzała nagłówki na iPhone. Nic już nie pisano o śmierci Alistaira. Wiadomości z Ameryki były takie jak zawsze: cięcia budżetowe,

kolejna strzelanina w szkole, moralne oburzenie z powodu potajemnego romansu prezydenta z gwiazdą filmową. Podobnie jak większość pracowników MI6 służących w Waszyngtonie, Rebecca nauczyła się szanować profesjonalizm i nieograniczone możliwości techniczne amerykańskich służb wywiadowczych, nawet jeśli nie zawsze zgadzała się z priorytetami politycznymi, którymi te służby się kierowały. Jednak mniejszym szacunkiem darzyła amerykańską kulturę i politykę. Uważała, że to nieokrzesany i prostacki kraj, nieustannie czołgający się od kryzysu do kryzysu i wyraźnie nieświadomy faktu, że jego władza maleje. Powojenny system bezpieczeństwa światowego i instytucje ekonomiczne, które Ameryka budowała z takim mozołem, kruszyły się w posadach i wkrótce miały zniknąć z powierzchni ziemi, a razem z nimi *pax Americana*. MI6 przygotowywało już plany działania w postamerykańskim świecie. Rebecca też.

Zaniosła kawę na górę do sypialni, wyciągnęła ciepły dres i buty do biegania marki Nike. Choć każdy dzień miała wypełniony po brzegi, biegała pilnie. Nie widziała w tym sprzeczności, spodziewała się tylko, że jedno będzie przeciwdziałać skutkom drugiego. Zeszła na parter, wsunęła iPhone'a, klucz do domu i banknot dziesięciodolarowy do kieszeni spodni i zasunęła ją na suwak. Wychodząc z domu, zgasła lampę przy chodniku.

Zza chmur zaczęło wyglądać słońce. Bez przekonania wykonała kilka ćwiczeń rozciągających pod osłoną ganku, spoglądając na spokojną ulicę. Według umowy między wywiadem brytyjskim a amerykańskim FBI nie powinno za nią chodzić ani obserwować jej domu, mimo to zawsze sprawdzała, czy Amerykanie dotrzymują słowa. Nie było to trudne, bo na tej

ulicze obserwator nie miałby gdzie się ukryć. Od czasu do czasu przejeżdżali tędy ludzie zmierzający do miasta do pracy, ale nie parkował tu nikt oprócz mieszkańców, gości i pomocy domowych. Rebecca miała w głowie szczegółową listę samochodów i tablic rejestracyjnych. Zawsze była dobra w grach pamięciowych, szczególnie takich, w których występowały liczby.

Ruszyła niezbyt szybko przez Warner Street, a potem skręciła w Czterdziestą Drugą i biegła nią aż do Nebraska Avenue. Jak zawsze zwolniła, mijając dom na rogu - duży dwupiętrowy postkolonialny budynek z brązowej cegły z białymi stiukami, czarnymi okiennicami i dziwną dobudówką po południowej stronie.

Ta dobudówka pojawiła się dopiero w 1949 roku, kiedy bardzo szanowany pracownik MI6, człowiek, który pomógł zbudować wywiadowczą potęgę Ameryki podczas drugiej wojny światowej, wprowadził się do tego domu z przewlekle chorą żoną i małym dzieckiem. Dom wkrótce stał się popularnym miejscem spotkań waszyngtońskiej elity intelektualnej. Sekrety przepływały tu równie swobodnie jak martini oraz wino i w końcu trafiały do Centrali w Moskwie. W ciepły późnowiosenny wieczór 1951 roku wielce szanowany pracownik MI6 wyjął mały szpadel z szopy w ogrodzie na tyłach domu. Potem wyciągnął miniaturową kamerę KGB i zapas rosyjskich filmów ze schowka w suterenie, ukrył jedno i drugie w metalowym pojemniku i pojechał w głąb Marylandu, gdzie zakopał dowody swojej zdrady płytko w ziemi.

„Nad rzeką w pobliżu Swainson Island, pod wielkim platanem. Pewnie nadal tam leży, jeśli poszukasz...”.

Rebecca biegła dalej wzdłuż Nebraska Avenue, obok

Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, dokoła Ward Circle i przez kampus American University. Tylne wejście do rozległego kompleksu Ambasady Rosji razem z ogromną rezydenturą SWR i stałą obserwacją FBI znajdowało się przy Tunlaw Road w Glover Park. Skierowała się na południe, w stronę Georgetown. Ulice West Village były jeszcze spokojne, ale ruch z godziny szczytu wylewał się już z Key Bridge na M Street.

Słońce świeciło teraz jasno. Rebecca weszła do Dean & De Luca i zamówiła café latte. Wyniosła ją na zewnątrz na brukowaną alejkę ciągnącą się od M Street do C&O Canal. Usiadła obok trzech kobiet ubranych podobnie jak ona w sportowe stroje. Po drugiej stronie M Street znajdowało się studio jogi, trzydzieści jeden kroków od stolika, przy którym teraz siedziała Rebecca, dokładnie trzydzieści jeden metrów. Zajęcia, na które wybierały się trzy młode kobiety, rozpoczynały się o siódmej czterdzieści pięć i prowadziła je Brazylijka Eva Fernandes, jasnowłosa uderzająco atrakcyjna kobieta, która właśnie w tej chwili szła przez oświetlony słońcem chodnik z torbą sportową na ramieniu.

Rebecca wyjęła iPhone'a i sprawdziła godzinę. Siódma dwadzieścia trzy. Przez kilka następnych minut piła kawę i przeglądała prywatne mejle oraz wiadomości, próbując jednocześnie odciąć się od rozmowy prowadzonej przez trzy kobiety przy sąsiednim stoliku. Są nieznośni, pomyślała, ci rozpieszczeni millenialsi ze swoimi matami do jogi, w dizajnerskich legginsach, z pogardą odnoszący się do takich pojęć jak ciężka praca i rywalizacja. Żałowała, że nie wzięła z sobą papierosów. Jedno pociągnięcie wystarczyłoby, by te trzy kobiety rozproszyły się jak spłoszone przepiórki.

Była siódma trzydzieści sześć. Rebecca wysłała jeszcze jedną wiadomość i znów wsunęła telefon do kieszeni. Drgnęła, gdy zadzwonił w kilka sekund później. To był Andrew Crawford, młodszy urzędnik z placówki.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nic. Wyszłam tylko pobiegać.

- Obawiam się, że będziesz musiała przerwać trening. Nasz przyjaciel z Wirginii chciałby z tobą porozmawiać.

- Możesz mówić jaśniej?

- NSA przechwyciła sygnał AQAP. - To oznaczało Al-Kaidę na Półwyspie Arabskim. - Wygląda na to, że chcą wrócić do gry i mają na oku Londyn.

- O której chce się ze mną spotkać?

- Dziesięć minut temu.

Rebecca cicho zaklęła.

- Gdzie jesteś?

- W Georgetown.

- Nie ruszaj się stamtąd. Przyślę po ciebie samochód.

Wyłączyła telefon i patrzyła na trzy młode kobiety, które przepływały na drugą stronę ulicy. Kurek znów został odkręcony, chmury się rozproszyły. Pomyślała o domu przy Nebraska Avenue i o tym człowieku, wielce szanowanym pracowniku MI6, który zakopał kamerę na prowincji w Marylandzie. „Pewnie nadal tam leży, jeśli zechcesz poszukać...”. Może któregoś dnia właśnie to zrobi.

Strasburg, Francja

Niemcy zostawili niezatarty ślad na architekturze Strasburga, najczęściej podbijanego miasta na zachodnim brzegu Renu, mimo to Sabine miała wyraźnie francuski wygląd. Stała na rogu rue de Berne i rue de Soleure, o śródziemnomorskim wyglądzie, opalona, z szerokimi balkonami i białymi aluminiowymi żaluzjami. Na parterze mieścił się sklepik z tureckimi kebabami i pusty salon fryzjerski dla mężczyzn, którego właściciel każdego dnia spędzał wiele godzin, beczynnie wyglądając na ulicę. Między jednym a drugim znajdowało się wejście dla lokatorów. Guziki domofonu umiejscowiono po prawej stronie. Przy mieszkaniu 5B była malutka karteczka z nazwiskiem Bergier.

Budynek po przeciwnej stronie ulicy nosił swoją niemieckość bez kompleksów. Gabriel pojawił się tam bez ochroniarzy o czwartej piętnaście. W mieszkaniu 3A przez cały czas panowała noc. Zastłony były szczelnie zaciągnięte, a światła przyćmione. Eli Lavon siedział zgarbiony nad włączonym laptopem, podobnie jak tamtego wieczoru w Wiedniu, ale teraz za jego ramieniem stał Jakow Rossman i wskazywał coś na ekranie niczym sommelier doradzający niezdecydowanemu klientowi wino. Michaił i Keller z pistoletami w wyciągniętych rękach obracali się na pięcie jak baletnice, w milczeniu zataczając łuk w stronę drzwi kuchni.

- Błagam, powiedz im, żeby już przestali - odezwał się Jakow.
- Rozpraszają nas. Poza tym przecież nie po raz pierwszy

w życiu sprawdzają pomieszczenia.

Gabriel patrzył, jak Michaił i Keller powtarzają całe ćwiczenie ponownie, a potem opuścił wzrok na ekran komputera. Migające niebieskie światełko przesuwało się na południe między Heidelbergiem a Karlsruhe, po niemieckiej stronie granicy.

- To Siergiej?

- Dwóch moich chłopaków - wyjaśnił Lavon. - Siergiej jest kilkaset metrów przed nimi. Wyjechał z Frankfurtu jakieś czterdzieści minut temu bez ochrony, SWR ani niemieckiej. Jest czysty.

- Konstantin Kirow też był czysty - zauważył Gabriel ponuro.

- A co z Wernerem?

- O świcie wsiadł do ekspresu z Wiednia do Paryża i przed dziesiątą był w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Zjadł roboczy lunch z francuskimi kolegami, razem z niejakim Paulem Rousseau z Grupy Alfa. Potem zaczął narzekać na migrenę i powiedział, że pójdzie do hotelu odpocząć. Tymczasem poszedł na Gare de l'Est i wsiadł do pociągu do Strasburga o drugiej pięćdziesiąt pięć. Będzie tutaj o czwartej czterdzieści. Z dworca kolejowego idzie się tu najwyżej dziesięć minut.

Gabriel postukał w migające niebieskie światełko, które teraz przemierzało niemieckie miasteczko Ettlingen.

- A Siergiej?

- Jeśli skieruje się najprostszą drogą do mieszkania, to będzie tu o czwartej dwadzieścia. O ile nas nie oszuka...

Drugi komputer pokazywał ujęcie z kamery na budynek nazywany Sabine. Gabriel wskazał na postać stojącą w drzwiach męskiego salonu fryzjerskiego.

- A co z nim?

- Jakow uważa, że powinniśmy go zabić - odparł Lavon. - Ja miałem nadzieję znaleźć jakieś inne, łagodniejsze rozwiązanie.

- Rozwiązaniem - stwierdził Gabriel - jest klient.

- Przez cały dzień miał tylko dwóch - oznajmił Jakow.

- W takim razie znajdziemy mu trzeciego.

- Kogo?

Gabriel potargał zmierzwiłone włosy Lavona.

- Ja jestem teraz trochę zajęty.

- Może Doron?

- To jeden z moich najlepszych specjalistów od obserwacji ulic. I ma fioła na punkcie swoich włosów.

Gabriel pochylił się i nacisnął kilka klawiszy laptopa, a potem patrzył, jak Michaił i Keller bezgłośnie znikają za drzwiami.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Eli Lavon.

- Ja? Na litość boską, jestem przecież szefem wywiadu Izraela!

- Tak - zgodził się Lavon, patrząc na zbliżające się niebieskie światełko. - Powiedz to Saladynowi.

Mrugające niebieskie światełko dotarło do Strasburga o czwartej piętnaście i na rozkaz Gabriela obserwatorzy przerwali pracę. Co innego podążać za draniem z SWR przez setki mil po autostradzie, a co innego śledzić go na spokojnych uliczkach starego franko-germańskiego miasta nad Renem. Poza tym Gabriel wiedział, dokąd człowiek z SWR zmierza: do budynku określanego kryptonimem Sabine, po przeciwnej stronie rue de Berne. Do budynku, w którym na parterze mieściły się dwa zakłady, turecki kebab, gdzie dwóch byłych członków elitarnych jednostek wojskowych, Izraelczyk

i Brytyjczyk, jedli teraz spóźniony lunch, oraz salon fryzjerstwa męskiego, do którego właśnie wszedł trzeci klient tego dnia.

Człowiek z SWR najpierw przejechał obok tego budynku o czwartej dwadzieścia pięć i po raz drugi o czwartej trzydzieści jeden. W końcu o czwartej trzydzieści pięć zaparkował swoje bmw bezpośrednio pod oknami posterunku dowodzenia i przeszedł przez ulicę. Znow go ujrzeli o czwartej trzydzieści dziewięć, kiedy stanął na balkonie mieszkania 5B. W kąciку ust miał niezapalonego papierosa, a w prawej ręce coś, co wyglądało na pudełko zapalek. Papieros był sygnałem. Zapalenie go oznaczało, że okolica jest czysta. Niezapalony papieros sygnalizował odwołanie akcji. Stara szkoła od początku do końca, pomyślał Gabriel. Moskiewskie zasady...

O czwartej czterdzieści pociąg przyjechał na Gare de Strasbourg i dziesięć minut później austriacki tajniak, który powinien leczyć migrenę w paryskim hotelu, przeszedł przed oknem tureckiej jadłodajni. Podniósł głowę w stronę balkonu na czwartym piętrze, gdzie papieros człowieka SWR jarzył się jak światło statku, podszedł do drzwi budynku i nacisnął guzik domofonu przy numerze 5B. Pięć kondygnacji wyżej człowiek z SWR niedbale wyrzucił papierosa na ulicę i zniknął za drzwiami balkonowymi.

- Ruscie się! - powiedział Jakow Rossman do mikrofonu miniaturowego radia i dwóch byłych żołnierzy z jednostek elitarnych, siedzących w tureckiej kawiarni, jednocześnie podniosło się na nogi. Bez wyraźnego pośpiechu podeszli do drzwi dla lokatorów, które przytrzymał im Austriak. Drzwi zamknęły się i wszyscy trzej zniknęli z widoku.

W tej chwili, z sobie tylko wiadomych powodów, Eli Lavon zaczął nagrywać obraz z kamery skierowanej na zewnątrz.

Ostateczny plik przed edycją liczył pięć minut i osiemnaście sekund nagrania i podobnie jak wideo z kamery bezpieczeństwa z hotelu Schweizerhof miał zostać obejrzany na bulwarze Króla Saula, w każdym razie przez tych, którzy zajmowali odpowiednio wysoką pozycję i prawo dostępu do informacji.

Akcja zaczyna się wraz z pojawieniem się furgonetki forda, z której wysiada dwóch mężczyzn i swobodnym krokiem wchodzi do budynku. Znow się pojawiają cztery minuty później i każdy z nich niesie jeden koniec długiego i wyraźnie ciężkiego brezentowego worka, w którym znajduje się agent wywiadu rosyjskiego. Wkładają worek do bagażówki i samochód odjeżdża akurat w chwili, gdy dwóch byłych żołnierzy jednostek elitarnych, Izraelczyk i Brytyjczyk, opuszcza budynek. Przechodzą przez ulicę i wsiadają do bmw. Silnik ożywa, światła zapalają się, samochód skręca w rue de Soleure i znika.

To, co się zdarzyło później, nie zostało nagrane, bo Gabriel na to nie pozwolił. Domagał się, by wyłączyć kamerę, zanim wyjdzie jeszcze raz na cichą rue de Berne. Tam wskoczył na fotel pasażera przejeżdżającego citroëna, który tylko zwolnił, ale nie zatrzymał się. Za kierownicą siedział Christian Bouchard, asystent i silna prawa ręka Paula Rousseau. Wyglądał jak jeden z tych bohaterów francuskich filmów, którzy wiecznie mają romanse z kobietami, a po akcie miłosnym zapalają papierosa.

- Jakieś problemy? - zapytał Bouchard.

- Ból pleców mnie zabija - odrzekł Gabriel. - Poza tym wszystko w porządku.

Lotnisko znajdowało się na południowy zachód od miasta, a za nim rozciągały się pola. Gdy Gabriel i Christian Bouchard

dotarli na miejsce, ford transit stał przy ogonie odrzutowca Gulfstream, którego właścicielem był jordański monarcha. Gabriel wspiął się po trapie i wszedł do kabiny. Brezentowy worek leżał na podłodze. Rozsunął zamek błyskawiczny i ujrzał czerwoną obrzmiałą twarz, zaklejoną wzmocnianą srebrną taśmą. Oczy Rosjanina były zamknięte i miały tak pozostać aż do końca lotu. A może nawet trochę dłużej, pomyślał Gabriel, zależnie od tego, jak szybki jest metabolizm Rosjanina. Generalnie Rosjanie znosili środki usypiające równie dobrze jak wódkę.

Gabriel zasunął suwak i usiadł na fotelu. Rosjanie nie są głupi, pomyślał. W końcu dojdą, co tu się właściwie wydarzyło. Sądził, że ma trzy do czterech dni, by znaleźć kreta na szczycie połączonej siatki wywiadów anglo-amerykańskich. Najwyżej tydzień.

Górna Galilea, Izrael

Po całym Izraelu rozsiane są ośrodki przesłuchań. Niektóre znajdują się w zamkniętych strefach na pustyni Negew, inne są niezauważalnie poutykane w środku miast, a jeden znajduje się tuż przy bezimiennej drodze łączącej Rosz Pinę, jedną z najstarszych żydowskich osad w Izraelu, z górską wioską Amuka. Droga, która tam prowadzi, jest kamienista i pylista, dostępna tylko dla dżipów i SUV-ów. Ośrodek otacza ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym i budka wartownicza strzeżona przez młodych osiłków w kamizelkach khaki. Za płotem znajduje się grupa bungalowów i jeden budynek z przerdzewiałego metalu, w którym trzymani są więźniowie. Strażnikom nie wolno ujawniać, gdzie pracują, nawet żonom czy rodzicom. To miejsce jest zupełnie czarne, nie ma tu światła ani barw.

Siergiej Morozow nic o tym wszystkim nie wiedział. Właściwie w ogóle nic nie wiedział. Nie miał pojęcia, gdzie się znalazł, która jest godzina i kim są porywacze. Zdawał sobie tylko sprawę z tego, że jest mu bardzo zimno, że ma na głowie kaptur i przywiązany jest pónagi do metalowego krzesła, a dokoła gra niebezpiecznie głośna muzyka. To był „Anioł śmierci” thrashmetalowej grupy Slayer. Nawet strażnicy, twardzi i zahartowani, trochę mu współczuli.

Za radą Jakowa Rossmana, który miał duże doświadczenie w przesłuchaniach, Gabriel zgodził się, by faza stresu i izolacji potrwała trzydzieści sześć godzin, choć wolałby zacząć

przesłuchanie szybciej. Czas działał przeciwko nim. Francuskie media donosiły o wypadku drogowym w pobliżu Strasburga. Faktów było niewiele. Bmw rozbiło się i spaliło, znaleziono jedno zwęglone ciało, dotychczas niezidentyfikowane, tak w każdym razie twierdziły francuskie władze. Zdawało się, że Centrala w Moskwie doskonale zna tożsamość ofiary, a w każdym razie tak sądzili, bo dwóch ludzi z berlińskiej rezydentury złożyło wizytę w mieszkaniu Siergieja Morozowa we Frankfurcie w wieczór po jego zniknięciu. Gabriel wiedział o tym, bo mieszkanie było pod obserwacją Biura. Obawiał się, że następnym przystankiem SWR będzie ostatni znany kontakt Siergieja Morozowa, wyższy urzędnik austriackich służb bezpieczeństwa, niejaki Werner Schwarz. Z tego powodu Werner Schwarz również pozostawał pod obserwacją Biura.

Była dwunasta siedemnaście w dzień - czas odnotowano starannie w rejestrze - kiedy thrashmetalowa muzyka wreszcie ucichła. Strażnicy rozwiązali ręce i nogi Siergieja Morozowa i poprowadzili go pod prysznic, gdzie pozwolono mu się umyć, nie zdejmując z głowy kaptura. Następnie ubrano go w niebiesko-biały dres i poprowadzono z opaską na oczach do budynku przesłuchań, gdzie przywiązano go do kolejnego krzesła. Po następnych pięciu minutach zdjęto mu kaptur z głowy i opaskę z oczu. Rosjanin zamrugał kilkakrotnie, gdy jego wzrok przyzwyczajał się do nagłego światła. Potem skurczył się ze strachu i zaczął szaleńczo szarpać więzy.

- Ostrożnie, Siergiej, bo sobie coś uszkodzisz - odezwał się Gabriel spokojnie. - Poza tym nie musisz się niczego obawiać. Witaj w Izraelu. Tak, przyjmujemy twoją propozycję dezercji. Chcielibyśmy rozpocząć przesłuchanie najszybciej, jak to możliwe. Im wcześniej zaczniemy, tym prędzej będziesz mógł

zacząć nowe życie. Znaleźliśmy ci ładne miejsce na pustyni Negew. Twoi przyjaciele z Moskwy nigdy cię tam nie znajdą.

Gabriel powiedział to wszystko po niemiecku. Morozow, gdy już przestał się rzucać, odpowiedział w tym samym języku:

- Nie ujdzie ci to na sucho, Allon.

- Przyjęcie dezercerującego agenta SWR? Przez cały czas to robię. Tak wygląda ta gra.

- Ja nie składałem żadnej propozycji dezercji. Porwaliście mnie. - Rosjanin popatrzył na cztery pozbawione okien ściany pokoju przesłuchań, dwóch strażników stojących po jego lewej stronie i na Michaiła po prawej. W końcu spojrzał na Gabriela i zapytał: - Naprawdę jestem w Izraelu?

- A gdzie miałbyś być?

- Myślałem raczej, że jestem w rękach Brytyjczyków.

- Nie miałeś tyle szczęścia. Ale tak czy owak, MI6 bardzo chętnie zamieni z tobą parę słów. Zresztą trudno im się dziwić. W końcu zabiłeś szefa ich wiedeńskiej placówki.

- Alistaira Hughesa? W gazetach pisali, że to był wypadek.

- Radziłbym ci wybrać inną drogę - odrzekł Gabriel.

- A jaką?

- Lepsza byłaby współpraca. Powiedz nam to, czego chcemy się dowiedzieć, a potraktujemy cię lepiej, niż na to zasługujesz.

- A jeśli odmówię?

Gabriel popatrzył na Michaiła.

- Poznajesz go, Siergiej?

- Nie. - Morozow nie umiał kłamać. - Nigdy się nie spotkaliśmy.

- Nie o to pytałem. Pytałem, czy go rozpoznajesz. Był tamtej nocy w Wiedniu. Zamachowiec strzelił do niego cztery razy, ale jakimś cudem wszystkie cztery kule go ominęły. Poradził sobie

niedużo lepiej, jeśli chodzi o Kirowa. Konstantin dostał dwa pociski prosto w twarz, więc na pogrzebie nie można było utworzyć trumny. Jeśli nie zaczniesz gadać, to ja i moi współpracownicy odwdzięczymy ci się tym samym. Och, nie zrobimy tego własnymi rękami. Podarujemy cię w prezencie naszym przyjaciołom za granicą syryjską. Bardzo ucierpieli z rąk Rzeźnika z Damaszku i jego rosyjskich dobroczyńców, toteż niczego nie pragną bardziej, niż dostać w ręce prawdziwego agenta SWR.

W pomieszczeniu zaległa ciężka cisza. W końcu Siergiej Morozow powiedział:

- Nie miałem nic wspólnego z Kirowem.

- Oczywiście, że miałeś, Siergiej. Ostrzegłeś Wenera Schwarza kilka dni przed zamachem, że w Wiedniu będzie nieprzyjemnie z powodu dezertera z SWR. Potem kazałeś Wenerowi podążać za wskazówkami z Kremla i rzucić podejrzenie na nasze służby.

- On już jest martwy. Ty też, Allon.

Gabriel mówił dalej, jakby go nie słyszał.

- Polecieś również Wenerowi rozpuścić plotki dotyczące prywatnego życia Alistaira Hughesa, które miały dotrzeć do uszu mojego zastępcy. Coś o częstych podróżach za granicę do Szwajcarii. Zrobiłeś to, bo chciałeś nas przekonać, że Alistair jest przez was opłacany. Celem tej operacji była ochrona prawdziwego szpiega, kreta ze szczytu brytyjskich i amerykańskich służb wywiadowczych.

- Kreta? - zdziwił się Morozow. - Za dużo się naczytałeś książek szpiegowskich, Allon. Nie ma żadnego kreta. Pozyskaliśmy Alistaira. Wiem o tym, bo byłem jego oficerem prowadzącym. Był mój już od lat.

Gabriel tylko się uśmiechnął.

- Dobrze zagrane, Siergiej. Podziwiam twoją lojalność, ale tutaj nie ma to żadnej wartości. Jediną walutą, jaką przyjmujemy, jest prawda. I tylko prawda może nas powstrzymać przed przekazaniem cię naszym przyjaciołom z Syrii.

- Powiedziałem prawdę.

- Spróbuj jeszcze raz.

Morozow starał się zachować obojętną twarz.

- Skoro wiecie tak dużo - rzekł po chwili - to po co jestem wam potrzebny?

- Żeby wypełnić puste miejsca. W zamian zostaniesz dobrze wynagrodzony i będziesz mógł spędzić resztę życia w naszym pięknym kraju.

- W jakimś miłym miejscu na pustyni Negew?

- Osobiście je wybrałem.

- Wolałbym zaryzykować i spróbować za granicą w Syrii.

- Radziłbym ci wybrać inną drogę - powiedział Gabriel.

- Przykro mi - odrzekł Rosjanin - ale nie masz tyle szczęścia.

Śmigłowiec Black Hawk przeleciał nad wzgórzami Golan w kierunku wschodnim i wszedł w syryjską przestrzeń powietrzną nad wioską Kwdana. Celem tego lotu było Dżasim, niewielkie miasteczko w prowincji Dara w południowej Syrii, przejęte przez bojowników rebelianckiej Armii Wolna Syria. Pod rządami Gabriela Biuro nawiązało bliskie stosunki z tą niedżihadystyczną opozycją syryjską i do Izraela sprowadzono na leczenie kilka tysięcy Syryjczyków. W niektórych częściach prowincji Dara, nawet jeśli nigdzie indziej w arabskim świecie, Gabriel Allon był postacią szanowaną.

Helikopter nie dotknął syryjskiej ziemi - to nie budziło wątpliwości. Dwaj strażnicy na pokładzie twierdzili, że Michaił przywiązał linkę do kajdanek Siergieja Morozowa i zawiesił go nad obozem zbuntowanej armii. Michaił jednak temu zaprzeczył. Owszem, groził, że opuści Siergieja nad głowy tłumu, ale tego nie zrobił. Po jednym spojrzeniu na rozjuszony tłum Rosjanin błagał - tak, właśnie błagał - by zabrać go z powrotem do Izraela.

Jakkolwiek się to odbyło, pułkownik Siergiej Morozow stał się innym człowiekiem po powrocie do pokoju przesłuchań. Najpierw przeprosił za to, że był tak nieugięty, a potem oznajmił, że z największą przyjemnością wypełni wszelkie polecenia Biura w zamian za bezpieczne schronienie i rozsądne wynagrodzenie finansowe. Przyznał jednak, że nie wybrałby w pierwszej kolejności Izraela jako stałego miejsca zamieszkania. Nie był antysemitą, ale miał swoje zdanie na temat Bliskiego Wschodu oraz losu Palestyńczyków i nie chciał żyć wśród ludzi, których uważał za kolonizatorów i gnębieli.

- Daj nam kilka miesięcy - powiedział Gabriel. - Jeśli nie zmienisz zdania, skontaktuję się z jednym z naszych przyjaciół.

- Nie wiedziałem, że masz przyjaciół.

- Jednego albo dwóch - odrzekł Gabriel.

Zabrali go do jednego z bungalowów i pozwolili mu się przespać. Kiedy wreszcie się obudził, była prawie dziesiąta wieczorem. Dali mu czyste ubranie, tym razem porządne, a nie kolejny dres, i podali kolację składającą się z ciepłego barszczu i kotleta dewolaj. O północy, wypoczętego i nakarmionego, znów zaprowadzono go do pokoju przesłuchań, gdzie czekał Gabriel, a przed nim stał otwarty laptop.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Siergiej Morozow.
- Nie pytam o nazwisko w pracy, tylko o prawdziwe.
- To było tak dawno, że już chyba nie pamiętam.
- Spróbuj sobie przypomnieć - poradził mu Gabriel. - Mamy mnóstwo czasu.

Co absolutnie nie było prawdą. Czas działał przeciwko nim. Mieli trzy albo cztery dni na znalezienie kreta, pomyślał Gabriel. Najwyżej tydzień.

Górna Galilea, Izrael

Naprawdę nazywał się Aleksander Jurczenko, ale porzucił to nazwisko przed wieloma laty, gdy po raz pierwszy wysłano go na placówkę zagraniczną, i od tamtej pory nikt, nawet jego anielskiej dobroci matka, nie nazywał go inaczej niż Siergiej. Była maszynistką na Łubiance, a później osobistą sekretarką przewodniczącego KGB Jurija Andropowa, który w końcu zastąpił Leonida Breżniewa w roli przywódcy konającego Związku Radzieckiego. Ojciec Siergieja również służył dawnemu porządkowi. Błyskotliwy ekonomista i teoretyk marksizmu, pracował dla Gosplanu, który tworzył plany pięcioletnie dla centralnie sterowanej gospodarki Związku Radzieckiego. Były to orwellowskie dokumenty pełne pobożnych życzeń i często ustanawiające cele produkcyjne w kategoriach wagowych, a nie w ilości wytworzonych produktów. Pod koniec kariery ojciec Siergieja stracił wiarę w komunizm i w moskiewskim mieszkaniu rodziny nad jego biurkiem zawisł oprawiony w ramki zachodni rysunek satyryczny przedstawiający grupę ponurych robotników fabrycznych stojących dokoła jednego gwoźdźca wielkości radzieckiego pocisku raketowego.

- Gratulacje, towarzysze! - mówi dumny dyrektor fabryki. - Wykonaliśmy plan na obecną pięciolatkę.

Rodzice Siergieja w żadnym razie nie należeli do elity partyjnej, członków nomenklatury, którzy przemykali przez zatłoczoną Moskwę po wyznaczonych pasach na tylnych

kanapach limuzyn marki ZiŁ, niemniej byli członkami partii i jako tacy prowadzili życie nieporównanie lepsze niż zwykli Rosjanie. Ich mieszkanie było większe niż przeciętne, i mieli je wyłącznie dla siebie. Siergiej uczęszczał do szkół zarezerwowanych dla dzieci członków partii, a w wieku osiemnastu lat przyjęto go do Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, najbardziej prestiżowej uczelni Związku Radzieckiego. Studiował tam nauki polityczne i język niemiecki. Wielu jego kolegów z uczelni zasiliło szeregi służb dyplomatycznych Związku Radzieckiego, lecz nie Siergiej. Jego matka, osobista sekretarka legendy KGB, miała inny pomysł.

Instytut Czerwonego Sztandaru był akademią KGB. Składał się z czterech odrębnych placówek rozrzuconych po różnych punktach Moskwy. Główna jego część znajdowała się w Czełobitiewie, na północ od obwodnicy. Siergiej wstąpił do instytutu w 1985 roku. Jednym z jego kolegów z roku był syn generała KGB, ale nie pierwszego lepszego generała, tylko szefa Pierwszego Dyrektoriatu - Wydziału Wywiadu Zagranicznego KGB, ogromnie potężnego człowieka.

- Jego syn jako dziecko był potwornie rozpuszczony, wychowany za granicą i oswojony z kulturą Zachodu. Miał niebieskie džinsy oraz płyty Rolling Stonesów i uważał się za kogoś znacznie lepszego niż my wszyscy. Okazało się jednak, że nie był szczególnie bystry. Po skończeniu akademii wysłano go do Piątego Wydziału Głównego, który zajmował się bezpieczeństwem wewnętrznym. Dzięki ojcu po upadku komunizmu poradził sobie nie najgorzej. Założył bank, a potem zdywersyfikował działalność na rozmaite branże, łącznie z międzynarodowym handlem bronią. Może o nim słyście.

Nazywa się...

- Iwan Charkow.

Siergiej Morozow się uśmiechnął.

- Twój stary przyjaciel.

Ponieważ Siergiej Morozow wstąpił do Instytutu Czerwonego Sztandaru po skończeniu uniwersytetu, jego studia trwały trzy lata. Po ukończeniu Instytutu przydzielono go do Pierwszego Wydziału Głównego i umieszczono w Centrali Moskwa w Dziale Operacji Niemieckich. Sztab tego wydziału mieścił się w lesie w Jasieniewie. Rok później umieszczono go w rezydenturze w Berlinie Wschodnim, gdzie był świadkiem upadku muru berlińskiego i wiedział doskonale, że w następnej kolejności rozleci się Związek Radziecki. Koniec nadszedł w grudniu 1991 roku.

- Byłem w Jasieniewie, kiedy z Kremla zdjęto sierp i młot. Wszyscy się upiliśmy i nie trzeźwiliśmy przez większą część następnej dekady.

W epoce postsowieckiej KGB rozwiązano, zmieniono nazwę, zreorganizowano i jeszcze raz zmieniono nazwę. W końcu podstawowe części dawnej organizacji podzielono na dwie nowe służby, FSB i SWR. FSB zajmowało się bezpieczeństwem wewnętrznym oraz kontrwywiadem i przejęło dawną siedzibę KGB przy placu Łubianka. Swr stało się nową służbą wywiadu zagranicznego Rosji z siedzibą w Jasieniewie. Zasadniczo był to dawny Pierwszy Główny Wydział KGB z nową nazwą. Stany Zjednoczone, rzekomy rosyjski sojusznik, pozostały największą obsesją SWR, chociaż oficjalnie SWR nazywało Amerykę „głównym celem”, a nie „głównym wrogiem”. Do kompletu innymi ważnymi celami były NATO i Wielka Brytania.

- A Izrael? - zapytał Gabriel.

- Nigdy nie zaprzętailiśmy sobie wami głowy. To znaczy, dopóki nie zaczęliście walczyć z Iwanem.

- A ty? - zapytał Gabriel. - Jak Siergiej Morozow poradził sobie w nowym porządku świata?

Pozostał w Berlinie, gdzie utworzył zakulisową sieć agentów, którzy przez następne lata śledzili każdy ruch zjednoczonych Niemiec. Potem wysłano go do Helsinek, gdzie pod nowym nazwiskiem służył jako zastępca rezydenta. Po raz pierwszy został pełnoprawnym rezydentem w 2004 roku w Hadze, a potem w 2009 w Ottawie, która była ważną placówką ze względu na bliskość Stanów Zjednoczonych. Niestety, wpakował się w kłopoty - „dziewczyna i kanadyjski minister obrony, woda pod mostem” - i Kanadyjczycy poradzili mu, by po cichu zniknął, zanim wybuchnie skandal i rozpocznie się wojna dyplomatyczna. Przez dwa lata plątał się po Centrali Moskwa, zmienił nazwisko i twarz, a potem wrócił do Niemiec jako Siergiej Morozow, rosyjski specjalista od bankowości zatrudniony przez Globaltek Consulting.

- Niemieckie służby nie miały o niczym pojęcia. Nikt mnie nie pamiętał z czasów, kiedy byłem w Berlinie Wschodnim.

- Czy Globaltek rzeczywiście zajmuje się konsultingiem?

- Całkiem sporo. I muszę powiedzieć, że jesteśmy w tym dobrzy. Ale przede wszystkim funkcjonujemy jako rezydentura w samym sercu niemieckiej społeczności biznesowej, a ja jestem rezydentem.

- Już nie - powiedział Gabriel. - Teraz jesteś dezenterem, ale proszę, mów dalej.

- Globaltek - ciągnął Siergiej Morozow - służył dwóm celom. Jego głównym zadaniem było wyszukiwanie potencjalnych osób, które można by pozyskać jako agentów oraz żeby wykraść

niemieckie technologie przemysłowe, których Rosja desperacko potrzebowała. W tym celu Globaltek prowadził liczne operacje oparte na *kompromacie* przeciwko ważnym niemieckim biznesmenom. Większość z tych operacji opierała się na nielegalnych płatnościach albo na seksie. Kobiety, chłopcy, zwierzęta. – Wzruszył ramionami. – Niemcy, Allon, nie mają żadnych zahamowań.

- A drugi cel?

- Zajmujemy się wrażliwymi zdobyczami.

- Pozyskanymi agentami, którzy wymagają specjalnej troski, bo gdyby zostali ujawnieni, Kreml miałby problemy. – Gabriel urwał, po czym dodał: – Takimi jak Werner Schwarz.

- Zgadza się. Jednak według wszelkich obiektywnych wskaźników działalność Globalteku była wielkim sukcesem.

Dlatego Siergiej Morozow zdziwił się, kiedy w niezwykle ciepłe październikowe popołudnie znalazł w zaszyfrowanej skrzynce mejlowej wiadomość.

- Co to była za wiadomość?

- Wezwanie do Moskwy.

- Z pewnością często jeździłeś do ojczyzny na konsultacje – stwierdził Gabriel.

- Oczywiście, ale to było co innego.

- Co zrobiłeś?

Siergiej Morozow zrobił to, co zrobiłby każdy agent SWR w podobnych okolicznościach. Uporządkował wszystkie swoje sprawy i napisał pożegnalny list do swojej anielskiej dobroci matki. Rankiem, pewien, że wkrótce będzie martwy, wsiadł do samolotu Aeroflotu zmierzającego do Moskwy.

Górna Galilea, Izrael

- Byłeś chyba w Moskwie?
- Kilka razy - przyznał Gabriel.
- Podoba ci się Moskwa?
- Nie.
- A Łubianka? - dopytywał Siergiej Morozow.

Gabriel wspomniał o tym, o czym dobrze wiedzieli wszyscy agenci wywiadu rosyjskiego w pewnym wieku i randze: że został kiedyś aresztowany w Moskwie i brutalnie przesłuchiwany w podziemiach Łubianki.

- Ale chyba nie byłeś w Jasieniewie? - zapytał Siergiej Morozow.

- Nie, nie byłem.
- Szkoda. Mogłoby ci się tam spodobać.
- Wątpię.
- W tych czasach prawie każdego wpuściliby na Łubiankę - ciągnął Rosjanin. - To coś w rodzaju atrakcji turystycznej. Ale Jasieniewo jest wyjątkowe. Jasieniewo to...

- Moskiewska Centrala.

Morozow się uśmiechnął.

- Czy mógłbym dostać kartkę papieru i coś do pisania?
- Po co?
- Chciałbym narysować plan tego miejsca, żebyś lepiej mógł sobie wyobrazić to, o czym chcę opowiedzieć.
- Mam bardzo dobrą wyobraźnię.
- Tak słyszałem.

- Jasieniewo - mówił Siergiej Morozow - to zamknięty świat, świat przywilejów i władzy otoczony kilometrami drutu kolczastego i przez cały czas patrolowany przez strażników z psami tresowanymi do ataku. Główny budynek ma kształt olbrzymiego krzyża. O jakieś półtora kilometra na zachód, ukryta w gęstym lesie, mieści się kolonia dwudziestu dacz zarezerwowanych dla wyższych oficerów. Jedna z dacz jest nieco oddalona i opatrzona niedużą tabliczką z napisem Wewnętrzbałtycki Komitet Badawczy. Nawet jak na standardy SWR jest to idiotyczna nazwa.

Właśnie do tej daczy zaprowadzono Siergieja Morozowa z uzbrojoną eskortą. Wewnątrz, otoczony tysiącami książek i stertami starych zakurzonych teczek - na niektórych widniała pieczętka NKWD, poprzednika KGB - czekał na niego mężczyzna.

- Opisz go, proszę.
- Zwycięzca konkursu na sobowtóra Włodzimierza Lenina.
- Wiek?
- Na tyle stary, żeby pamiętać Stalina i lęk przed nim.
- Nazwisko?
- Powiedzmy, że nazywał się Sasza.
- Sasza i jak dalej?
- Sasza Nieważne Co Dalej. Sasza to duch. Stan umysłu.
- Spotkałeś kiedyś wcześniej ten stan umysłu?
- Nie, nigdy nie dostąpiłem zaszczytu bycia przedstawionym wielkiemu Saszy, ale już od lat słyszałem o nim pogłoski.
- Pogłoski?
- Luźne pogłoski. Wiesz, jak to jest ze szpiegami, Allon. Uwielbiają plotkować.
- I co mówili o Saszy?

- Że zdobył tylko jednego agenta i że ten agent to było dzieło całego jego życia. Że pomagała mu przy tym legendarna postać z naszej branży.

- Kim była ta legendarna postać?

- Plotkarze tego nie mówili.

Gabriel miał ochotę przycisnąć Morozowa, ale nie zrobił tego. Już dawno się przekonał, że jeśli chodzi o przesłuchanie informatora, czasami lepiej siedzieć spokojnie i zdać się na czas. Toteż odsunął na razie na bok kwestię tożsamości owej legendarnej postaci i zapytał o datę.

- Mówiłem ci już, że to był październik.

- Ostatni październik?

- Poprzedni, rok temu.

- Zaproponował ci herbatę?

- Nie.

- Czarny chleb i wódkę?

- Sasza uważa wódkę za rosyjską chorobę.

- Jak długo trwało to spotkanie?

- Spotkania z Saszą nigdy nie trwają krótko.

- Jaki był jego temat?

- Tematem był zdrajca, Konstantin Kirow.

Gabriel przewrócił kartkę swojego notesu obojętnie, jakby nie zdziwiła go informacja, że cenna zdobycz Biura, źródło z SWR, było spalone już ponad rok temu.

- Dlaczego ktoś taki jak Sasza miałby interesować się Kirowem? - zapytał, trzymając długopis nad czystą stroną. - Był nikim.

- Nie dla Saszy. Zdrada Kirowa była dla Saszy wielką sposobnością.

- Sposobnością do czego?

- Do ochrony swojego agenta.
 - A jakie były powody tego złowieszczego wezwania?
 - Sasza chciał, żebym z nim współpracował.
 - Musiałeś się poczuć zaszczycony.
 - Ogromnie.
 - Jak sądzisz, dlaczego wybrał właśnie ciebie?
 - Wiedział, że moja matka pracowała dla Andropowa.
- Z punktu widzenia Saszy byłem kimś, komu można zaufać.
- Zaufać w jakiej sprawie?
 - W sprawie Alistaira Hughesa.

Teczka moskiewskiej Centrali dotycząca szefa wiedeńskiej placówki MI6 była bardzo nudna. Wynikało z niej, że Alistair Hughes pozostawał lojalny wobec swoich służb i kraju, nie miał żadnych słabości ani odchyłeń seksualnych i że kilkakrotnie próbowano go zwerbować, ale bezskutecznie. Jedną z propozycji, które odrzucił, przedstawiono mu jeszcze kiedy studiował w Oksfordzie. Moskiewska Centrala zakładała, że Hughes zrobi karierę w wywiadzie brytyjskim.

Do tej nędznej treści Sasza dołożył własną teczkę z prywatnymi portretami żony i dwóch synów Hughesa. Znalazły się tam również szczegóły dotyczące jego seksualnych preferencji, które były dość specyficzne, oraz zdrowia psychicznego, które nie wyglądało dobrze. Hughes cierpiał na chorobę dwubiegunową i ostre ataki lęku. Jego stan pogorszył się podczas pobytu w Bagdadzie. Miał nadzieję, że stanowisko w Wiedniu, w porównaniu z poprzednim bardzo nudne, pomoże mu odzyskać równowagę. Widywał się z wybitną specjalistką z Privatklinik Schloss w sąsiedniej Szwajcarii i ukrywał ten fakt przed przełożonymi z Vauxhall Cross.

- Przed żoną też - dodał Siergiej Morozow.
- Jakie było źródło tych materiałów?
- Teczka nie podawała źródła. Sasza też nie.
- Kiedy została założona?
- Sasza nie datował swoich prywatnych teczek.

Gabriel poprosił, by Morozow spróbował odgadnąć.

- Powiedziałbym, że może w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy Hughes pracował w MI6 od jakichś dziesięciu lat. W tamtym czasie był na placówce w Berlinie. Byłem jednym z agentów, którzy próbowali go zwerbować.

- Więc znałeś wcześniej Alistaira.
- Byliśmy po imieniu.
- Kiedy zacząłeś go obserwować w Wiedniu?

- Operacja obserwacji została wdrożona w połowie listopada. Sasza przeglądał wszystkie szczegóły, łącznie z markami samochodów i ubraniami, które mieli na sobie tajniacy.

- Jak dokładna była ta obserwacja?
- Była totalna, z wyjątkiem samej placówki MI6. Swr już od lat próbowało ją zinfiltrować, ale bezskutecznie.

- Szczegóły proszę - rzekł Gabriel.

- Mieliśmy dwa mieszkania przy Barichgasse, jedno po każdej stronie ulicy. W jego mieszkaniu wszędzie były kamery i mikrofony. Przejęliśmy również jego sieć Wi-Fi. Każdego dowolnego dnia mieliśmy do dyspozycji od dwudziestu do trzydziestu tajnych obserwatorów. Przyjeżdżali z Budapesztu promem po Dunaju, przebrani za jednodniowych turystów. Kiedy Alistair jadł lunch z dyplomatą albo innym człowiekiem z wywiadu, siedzieliśmy przy sąsiednim stoliku. A kiedy zatrzymywał się gdzieś na kawę albo drinka, my też zamawialiśmy kawę albo drinka. I były jeszcze dziewczyny,

które przyprowadzał do swojego mieszkania.

- Również twoje dziewczyny?

- Dwie - przyznał Siergiej Morozow.

- A co z podróżami do Berna?

- To samo, tylko w innym mieście. Lecieliśmy z nim samolotem, meldowaliśmy się w Schweizerhof, chodziliśmy na wizyty do kliniki Münchenbuchsee. To było dziesięć minut taksówką. Alistair nigdy nie brał samochodu z hotelu, zawsze z postoju, i nigdy dwa razy z rzędu z tego samego postoju. A kiedy po wizycie wracał do Berna, wysiadał w jakimś innym miejscu, nigdy przed wejściem do hotelu.

- Nie chciał, żeby personel wiedział, gdzie się wybierał?

- Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział.

- A kiedy nie był w klinice?

- Tu właśnie popełnił błąd - odrzekł Siergiej Morozow. - Nasz przyjaciel Alistair był nieco przewidywalny.

- W jaki sposób?

- Z Wiednia do Berna jest tylko jeden lot dziennie, SkyWork około drugiej po południu. Jeśli lot nie był opóźniony, co zdarzało się rzadko, Alistair zjawiał się w hotelu najpóźniej o czwartej.

- To znaczy, że miał do dyspozycji ponad półtorej godziny do wizyty.

- No właśnie. Zawsze spędzał ten czas w taki sam sposób.

- Schodził na herbatę do baru w holu.

- Ten sam stolik, ta sama pora, zawsze ostatni piątek miesiąca. Z wyjątkiem grudnia - dodał Siergiej Morozow - bo spędził święta z rodziną w Wielkiej Brytanii i na Bahamach. Wrócił do obowiązków trzy dni po Nowym Roku, a tydzień później, w środę późnym wieczorem wezwano go do placówki,

żeby przyjął pilny poufny telegram z Vauxhall Cross.

I tym sposobem znowu wrócili do tematu zdrajcy Kirowa i jego zabójstwa w śnieżną wiedeńską noc.

Górna Galilea, Izrael

W normalnych okolicznościach Kirow zostałby aresztowany i przesłuchiwany przez całe dni, tygodnie, a może nawet miesiące, dopóki nie wycisnęliby z niego ostatniego sekretu, dopóki nie byłby zbyt wyczerpany i oszalały z bólu, by odpowiedzieć spójnie choćby na najprostsze pytanie. Potem być może pobiliby go ostatni raz i zabrali do celi bez okien w podziemiach więzienia Lefortowo z betonowymi ścianami i odpływem w podłodze, by łatwo było sprzątnąć. Tam zmuszono by go, by ukląkł i rosyjskim sposobem przyłożono by mu do potylicy pistolet dużego kalibru. Padłby jeden strzał, kula wyszłaby przez twarz i ciało nie nadawałoby się do tego, by wyprawić porządny pogrzeb. Zresztą nie miałby pogrzebu. Wrzucono by go do nieoznakowanego dołu wykopanego w rosyjskiej ziemi i pośpiesznie pogrzebano. Nawet matka nie wiedziałaby, gdzie jest jego grób.

Ale to nie były normalne okoliczności, tylko okoliczności stworzone przez Saszę, który zajął się zdrajcą Kirowem z niezwykłą starannością. Wysyłał go na rozmaite misje bez obserwatora, doskonale wiedząc, że podczas niektórych misji Kirow spotykał się ze swoimi mocodawcami z Izraela, ale Sasza tego właśnie chciał. W tym celu upewnił się, że materiały, do których Kirow miał dostęp, były wystarczająco dobrej jakości, by jego izraelscy mocodawcy i anglo-amerykańscy partnerzy nie nabrali podejrzeń. W branżowym żargonie nazywało się to fałszywe złoto. Błyszcząco i się skrzyło, ale nie miało żadnej

wartości strategicznej ani operacyjnej.

W końcu Sasza wysłał zdrajcę Kirowa z misją, chcąc doprowadzić do podjęcia przez niego decyzji o dezercji. Pozornie było to zupełnie rutynowe zadanie. Zdrajca Kirow miał wyczyścić skrzynkę kontaktową w Montrealu i przywieźć zawartość do Moskwy. Skrzynka kontaktowa znajdowała się w mieszkaniu używanym przez brazylijską obywatelkę, która na stałe mieszkała w Ziemi Obiecanej, czyli w Stanach Zjednoczonych. Kobieta jednak nie była Brazylijką, lecz rosyjską nielegalną emigrantką, głęboko zakamuflowaną w Waszyngtonie.

- I co tam robiła?

- Sasza nie wyjawiał mi szczegółów.

- A gdybyś spróbował odgadnąć?

- Powiedziałbym, że obsługiwała kreta.

- Bo oficerowie z miejscowej rezydentury są pod nieustanną obserwacją FBI i przez to nie mogą prowadzić agenta pozyskanego na bardzo wysokim szczeblu.

- To trudne - stwierdził Siergiej Morozow - ale nie niemożliwe.

- Czy Sasza podał ci kiedyś nazwisko tej nielegalnej imigrantki rosyjskiej, która działa w Waszyngtonie?

- Sasza? Nie bądź głupi.

- A wyjawiał, czym ona się tam zajmuje?

- Nie.

Gabriel zapytał, co znalazł w mieszkaniu.

- Pendrive'a - odrzekł Siergiej Morozow. - Był schowany pod zlewem w kuchni. Sam go tam włożyłem.

- I co zawierał?

- Falsyfikaty.

- Jakie falsyfikaty?

- Dokumentów o najwyższej klauzuli poufności.

- Amerykańskich?

- Tak.

- CIA?

- Również NSA. - Morozow skinął głową. - Sasza kazał mi zostawić pendrive'a niezabezpieczonego, żeby Kirow mógł obejrzeć zawartość.

- A skąd wiedzieliście, że ją obejrzy?

- Żaden kurier SWR nie przewozi niezabezpieczonego i niezaszyfrowanego pendrive'a przez granice. Zawsze sprawdzają, żeby nie ryzykować.

- A gdyby nie wrócił do Moskwy? - zapytał Gabriel. - Gdyby wszedł prosto w nasze ramiona?

- Podczas tej misji wyjątkowo był obserwowany. Gdyby próbował przejść na drugą stronę, wróciłby do Rosji w trumnie. Ale to nie było konieczne, bo zdrajca Kirow sam przyjechał do Moskwy i stanął przed bolesnym dylematem. Dokumenty, które widział, okazały się zbyt niebezpieczne, by podzielić się nimi z izraelskimi mocodawcami. Gdyby Moskwa dowiedziała się o przecieku, Kirow natychmiast stałby się głównym podejrzanym. Toteż dezercja była jedyną możliwością.

Pozostała część planu Saszy rozwijała się zgodnie z planem. Zdrajca Kirow pojechał do Budapesztu, a stamtąd do Wiednia, gdzie Gabriel Allon, szef wywiadu Izraela i nieprzejednany wróg Federacji Rosyjskiej, czekał na niego w bezpiecznym mieszkaniu. Cekał na niego również zamachowiec, jeden z najlepszych ludzi Centrali. Jedyną fałszywą nutą tego wieczoru była jego śmierć na Brünnerstrasse. Gdyby nie to, cały spektakl przebiegłby bezbłędnie. Zdrajcę Kirowa spotkała

nędzna śmierć, na jaką zresztą sobie zasłużył, a wroga, czyli Allona, czekało dochodzenie, krok po kroku kontrolowane ukrytą ręką Saszy, które miało doprowadzić do zidentyfikowania Alistaira Hughesa jako kreta Moskwy działającego wewnątrz wywiadu brytyjskiego.

- Skąd wiedziałeś, że obraliśmy go za cel? - zapytał Gabriel.

- Widzieliśmy, jak Eli Lavon i twój przyjaciel Christopher Keller wprowadzają się do mieszkania obserwacyjnego przy Barichgasse. Obserwatorzy widzieli, jak twoi ludzie chodzili za Alistairem po całym Wiedniu. Na rozkaz Saszy odchudziliśmy nasze siły, żeby zminimalizować ryzyko wykrycia.

- Ale nie w Bernie - zauważył Gabriel. - Tej pary, którą wysłaliście do Schweizerhof, trudno było nie zauważyć. Dimitrija Sokołowa też.

- To protegowany Saszy.

- Sądzę, że Sasza wybrał go celowo, żeby nie było pomyłki.

- On mocno błyszczy w towarzyskich kręgach Genewy.

- Co było w kopercie?

- Ty mi powiedz.

- Zdjęcia przedstawiające Alistaira Hughesa w chwili, gdy wchodził i wychodził z Privatlinik Schloss.

- *Kompromat.*

- Pewnie nie było szansy, żeby Alistair wyjechał z Berna żywy.

- Absolutnie żadnej. Ale nawet my byliśmy zdziwieni, kiedy tak gwałtownie wybiegł z hotelu.

- Kto prowadził samochód?

Siergiej Morozow wahał się przez chwilę.

- Ja.

- A gdyby Alistair nie dał wam tak doskonałej sposobności, żeby go zabić?

- Był jeszcze samolot.

- Samolot?

- Powrotny lot do Wiednia. Obserwując Alistaira, wymyśliliśmy sposób, żeby wnieść bombę na pokład. Lotnisko w Bernie niezbyt przypomina Heathrow albo Ben Guriona.

- Zabilibyście tylu niewinnych ludzi po to tylko, żeby zginął jeden człowiek?

- Nie można przyrzadzić omletu...

- Wątpię, żeby cywilizowany świat patrzył na to w ten sposób - stwierdził Gabriel. - Zwłaszcza gdyby to usłyszeli z ust wyższego oficera KGB.

- Teraz nazywamy się SWR. Poza tym mieliśmy umowę.

- Mieliśmy. Miałeś powiedzieć mi wszystko w zamian za życie. Niestety, nie dotrzymałeś tej umowy.

Siergiej Morozow zdobył się na uśmiech.

- Nazwisko kreta? Tego chcesz?

Gabriel uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Czy naprawdę sądzisz - odezwał się Morozow pobłaźliwie - że wielki Sasza powierzył mi taką tajemnicę? Tylko niewielka grupka oficerów w Moskwie zna tożsamość kreta.

- A ta kobieta? - zapytał Gabriel. - Nielegalna imigrantka, która udaje obywatelkę brazylijską?

- Możesz być pewien, że ona i kret nigdy nie spotkali się twarzą w twarz.

Gabriel zapytał o adres mieszkania kontaktowego w Montrealu. Siergiej Morozow odparł, że ta informacja jest już nieaktualna. Sasza zlikwidował to mieszkanie i zorganizował nowy adres.

- Gdzie?

Morozow milczał.

- Czy chciałbyś, żeby technicy odtworzyli tę część rozmowy, gdzie przyznajesz, że zabiłeś szefa wiedeńskiej placówki MI6?

- Skrytka kontaktowa - powiedział Siergiej Morozow - mieści się przy rue Saint-Denis pod numerem sześć, osiem, dwa, dwa.

- To mieszkanie czy dom?

- Ani jedno, ani drugie. Skrzynką kontaktową jest ford explorer, ciemnoszary. Imigrantka zostawia pendrive'a w skrytce na rękawiczki, a jeden z kurierów Saszy przywozi go do Moskwy.

- Stara szkoła - zauważył Gabriel.

- Sasza woli stare metody.

Gabriel się uśmiechnął.

- To mnie z nim łączy.

Górna Galilea, Izrael

Pozostała do załatwienia jeszcze jedna sprawa. Chodziło o pytanie, którego wiele godzin wcześniej Gabriel postanowił nie zadawać. Powtarzał sobie, że to nic poważnego, kwestia kosmetyczna, odrobina kurzu, którą należy zmieść na szufelkę, zanim Siergiej Morozow dostanie pozwolenie, by przespać się kilka godzin. To było kłamstwo, które Gabriel sobie powtarzał, jego wewnętrzna legenda.

W gruncie rzeczy jednak przez całą długą noc o niczym innym nie myślał. Talent mistrza przesłuchań polega na umiejętności zachowania jednego niezadanego pytania w rezerwie, jednocześnie sondując wszelkie inne sprawy. Podczas tego procesu Gabriel dogrzebał się sterty bardzo cennych informacji, przy czym jedną z cenniejszych okazała się lokalizacja skrzynki kontaktowej w Montrealu używanej przez nielegalną rosyjską imigrantkę działającą w Waszyngtonie. Rosyjską imigrantkę, której głównym zadaniem była obsługa wieloletniego agenta działającego na szczytach anglo-amerykańskich służb wywiadowczych, jedynej zdobyczy Saszy i dzieła jego życia. W branżowym żargonie, kreta.

Już sama informacja o skrzynce kontaktowej warta była kosztów i ryzyka związanego z porwaniem Siergieja Morozowa. Ale kim jest ta legendarna postać, która pomogła Saszy stworzyć kreta? Gabriel znów zadał to pytanie, jakby dopiero teraz sobie je przypomniał, gdy już zbierał się do odejścia.

- Mówiłem ci, Allon, że plotki nigdy tego nie wyjaśniały.

- Słyszałem, co mówiłeś, Siergiej. Ale kto to był? Jeden człowiek czy dwóch? A może grupa oficerów? A może kobieta?

- Po długiej przerwie dodał: - Czy to chociaż był Rosjanin?

I teraz, może zbyt wyczerpany, by kłamać, a może dlatego, że wiedział, że to nie miałyby sensu, Siergiej Morozow powiedział prawdę.

- Nie, Allon, to nie był Rosjanin. Miał prorosyjskie sympatie, owszem. Patrzył na historię jak Rosjanin, z pewnością. Ale pozostał do szpiku kości Anglikiem, nawet kiedy zamieszkał z nami. Jadał angielską musztardę i marmoladę, pił szkocką whisky całymi beczkami, a później nabożnie sprawdzał wyniki krykieta w „Timesie”.

Ponieważ te słowa zostały wypowiedziane po niemiecku, dwóch strażników stojących za plecami Gabriela nie zareagowało. Nie zareagował również Michaił rozparty leniwie po prawej stronie Siergieja Morozowa. Wyglądał, jakby to on spędził całą noc na przesłuchaniu. Gabriel też nie zareagował, ale jego ręce zaczęły zbierać notatki wolniej.

- Sasza ci to powiedział? - zapytał cicho, żeby nie zakłócić atmosfery.

- Nie, nie Sasza. - Siergiej Morozow energicznie potrząsnął głową. - To było w jednej z jego teczek.

- W której?

- W starej.

- Z czasów, kiedy KGB było jeszcze znane jako NKWD?

- A jednak mnie słuchałeś.

- Słyszałem każde słowo.

- Sasza któregoś wieczoru zostawił ją na biurku.

- I zajrzałeś do środka?

- To było złamanie zasad Saszy, ale tak, zajrzałem, kiedy

poszedł do głównego budynku, żeby porozmawiać z szefem.

- A co by było, gdyby cię zobaczył?

- Uznałby mnie za szpiega.

- I kazałby cię zastrzelić - domyślił się Gabriel.

- Sasza? On sam by mnie zastrzelił.

- Dlaczego zaryzykowałeś?

- Nie mogłem się oprzeć. Takie teczki to jak święte teksty naszej religii. Tora - dodał ze względu na Gabriela. - Nawet człowiek taki jak ja, człowiek, którego matka pracowała dla Andropowa, rzadko ogląda takie dokumenty.

- I co zobaczyłeś, kiedy otworzyłeś tę teczkę?

- Nazwisko.

- Jego nazwisko?

- Nie - odrzekł Siergiej Morozow. - Nazwisko brzmiało Otto. To był kryptonim agenta NKWD. Teczka dotyczyła spotkania z Ottonem w Regent's Park w Londynie.

- Kiedy?

- W czerwcu - odrzekł Siergiej Morozow. - W czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku.

Otto, Regent's Park, czerwiec 1934... To zapewne najślynniejsze i najistotniejsze spotkanie w całej historii szpiegostwa.

- Widziałeś prawdziwą teczkę? - zapytał Gabriel.

- To było jak czytanie dziesięciu przykazań w oryginale. Byłem tak podniecony, że prawie nie widziałem liter.

- Czy były tam jeszcze jakieś inne raporty?

- Tak, wiele innych raportów, łącznie z kilkoma napisanymi łamanym rosyjskim przez legendarnego pomocnika Saszy, człowieka, który był Rosjaninem ze względu na poglądy, lecz Anglikiem do szpiku kości. Jeden z tych raportów dotyczył

kobiety, którą poznał w Bejrucie, gdzie od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku przez kilka lat pracował jako dziennikarz.

- Kim ona była?
- Też dziennikarką. A do tego oddaną komunistką.
- Jaka była natura ich znajomości?
- Niezawodowa, jeśli o to pytasz.
- Była jego kochanką?
- Jedną z wielu. Ale ona była wyjątkowa.
- Dlaczego?
- Urodziła dziecko.

Pytania Gabriela przypominające serię z karabinu maszynowego wyrwały Michaiła z drzemki.

- Jak się nazywała ta kobieta?
- W raporcie nie podano nazwiska.
- Narodowość?
- Nie.
- A co z dzieckiem? Czy to był chłopiec, czy dziewczynka?
- Proszę, Allon, wystarczy już na jedną noc. Daj mi się przespać, a rano zaczniemy od nowa.

Ale nastał już ranek, a właściwie przedpołudnie i nie było czasu na sen. Gabriel przycisnął mocniej i Siergiej Morozow, nieprzytomny ze zmęczenia, opisał zawartość ostatniego raportu, jaki odważył się przeczytać tamtej nocy, zanim wielki Sasza wrócił do daczy.

- To była prywatna opinia napisana przez Anglika na początku lat siedemdziesiątych, w której przewidywał upadek komunizmu.

- To herezja - wtrącił Gabriel.
- Żaden obywatel radziecki, nawet mój ojciec, nigdy by się

nie ośmielił napisać czegoś podobnego.

- Anglikowi wolno było mówić rzeczy, których innym nie było wolno?

- Nie publicznie, ale w swoim gronie mógł mówić wszystko, co chciał.

- Dlaczego napisał taki dokument?

- Obawiał się, że jeśli komunizm upadnie, Związek Radziecki nie będzie już gwiazdą przewodnią dla ludzi z Zachodu, którzy uważają, że kapitalizm jest niesprawiedliwy.

- Pożyteczni idioci.

- Przyznaję, że w tym wypadku towarzysz Lenin powinien był dobierać słowa ostrożniej.

Anglik, ciągnął Morozow, z pewnością nie uważał siebie za pożytecznego idiotę ani nawet za zdrajcę. Przede wszystkim uważał się za oficera KGB i obawiał się, że jeśli komunizm upadnie w tym jedynym kraju, w którym został wprowadzony, niewielu ludzi Zachodu zajmujących wysokie stanowiska w swoich społeczeństwach podąży jego ścieżką i zechce potajemnie sprzymierzyć się z Moskwą, a przez to KGB nie będzie miało wyboru i będzie musiało polegać na współpracownikach zmuszonych do tego szantażem bądź płatnych. Ale jeśli KGB chciało mieć wiernego agenta, który spenetrowałby serce wywiadu zachodniego, kreta, który doszedłby do wpływowej pozycji i szpiegował ze względu na nakazy sumienia, a nie dla pieniędzy, to musi stworzyć takiego agenta od samego początku.

- I na tym - tłumaczył Morozow - polegało przedsięwzięcie Saszy. Chciał stworzyć idealnego szpiega z pomocą największego zdrajcy ze wszystkich. Dlatego Konstantin Kirow w Wiedniu otrzymał najwyższy wymiar kary. I dlatego Alistair

Hughes, którego jedynym przestępstwem była choroba psychiczna, został zamordowany na Bahnhofplatz w Bernie.

„Było dziecko...”.

Tak, pomyślał Gabriel. To wyjaśnia wszystko.

Wormwood Cottage, Dartmoor

Wormwood Cottage stał na wzniesieniu pośród wrzosowisk. Zbudowany był z dewońskiego kamienia, który ściemniał z biegiem czasu. Za nim, na drugim krańcu podwórza, stała przebudowana stodoła, w której mieściły się biura i mieszkania personelu. Gdy nie było tu nikogo, wszystkiego pilnował samotnie dozorca o nazwisku Parish. Ale gdy przybywali goście – w słowniku tego miejsca mówiło się o nich „spółka” – liczba personelu wzrastała nawet do dziesięciu osób łącznie z ochroniarzami. Wiele zależało od tego, kim był gość i przed kim się ukrywał. Przyjacielowi pozwalano opuścić to miejsce, ale dla człowieka, który miał wielu wrogów, dla ściganego, Wormwood Cottage mógł się stać najbardziej bezpiecznym domem MI6 w całej Wielkiej Brytanii.

Mężczyzna, który pojawił się w domku wcześniej następnego popołudnia, należał do tej drugiej kategorii, chociaż Parisha uprzedzono o jego przyjeździe zaledwie kilka minut wcześniej. Wiadomość nie nadeszła zwykłymi kanałami z Vauxhall Cross, ale od Nigela Whitcombe’a, osobistego asystenta szefa i człowieka do wszystkiego. Whitcombe zdobywał doświadczenie w Piątce, a w oczach Parisha był to grzech nie do odkupienia.

- Jak długo on ma tu zostać tym razem? - zapytał Parish sucho.

- To się okaże - odparł Whitcombe przez zakodowaną linię telefoniczną.

- Ilu ludzi z nim będzie?

- Jest sam.

- Ochrona?

- Nie ma.

- A co zrobimy, jeśli zechce swoim zwyczajem przejść się po wrzosowisku? Wie pan chyba, że on lubi spacerować. Kiedy był tu ostatnim razem, przeszedł pół drogi do Penzance, nikomu nic nie mówiąc.

- Połóż mu pistolet obok kaloszy. On potrafi o siebie zadbać.

- Będzie miał jakichś gości?

- Tylko jednego.

- Nazwisko?

- Trzecia litera alfabetu.

- O której mam się go spodziewać?

- Nie wiadomo.

- A nasza spółka?

- Wyjrzyj przez okno.

Parish zobaczył nieoznakowaną furgonetkę, która trzęsąc się, pokonywała koleiny drogi dojazdowej. Zatrzymała się na wysypanym żwirem podwórzu i z tyłu wysiadła jedna postać. Niewiele ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, zielone oczy, krótkie ciemne włosy posiwiałe na skroniach. Parish widział go po raz ostatni tego wieczoru, gdy powszechnie szanowany „Telegraph” doniósł o jego śmierci. W gruncie rzeczy to Parish przyniósł temu człowiekowi wydruk artykułu ze strony internetowej gazety. Spółce nie wolno było używać telefonów ani komputerów. Takie tu obowiązywały zasady.

- Parish! - zawołał zielonooki mężczyzna zadziwiająco pogodnym tonem. - Miałem nadzieję, że cię tu zastanę.

- Tu na wrzosowiskach wiele się nie zmienia.

- I Bogu dzięki. - Gość oddał mu swoją komórkę, zanim Parish zdążył poprosić. - Zajmiesz się nią dobrze, prawda? Nie chciałbym, żeby wpadła w czyjeś ręce.

Po tych słowach zielonooki mężczyzna nieoczekiwanie się uśmiechnął i wszedł do domku, jakby wracał do siebie po długiej nieobecności. Kiedy Parish znów go zobaczył, szedł w stronę wrzosowisk z kołnierzem kurtki podniesionym aż do uszu, przygarbiony, jakby niósł na barkach ciężar całego świata. O co chodzi o tym razem? Sądząc po historii tego człowieka, może chodzić o wszystko. Coś w jego przygnębionej sylwetce powiedziało Parishowi, że Wormwood Cottage znów stanie się sceną wielkiego przedsięwzięcia. Chociaż Parish o tym nie wiedział, miał całkowitą rację.

Poszedł ścieżką otoczoną żywopłotami do wioski Postbridge, która składała się z kilku farm położonych przy skrzyżowaniu dwóch dróg. Stamtąd skręcił na zachód w stronę bladego słońca, które zniżało się nad horyzontem. Z odrobiną rozbawienia zastanawiał się, czy podąża drogą, którą wyznaczył mu Sasza. A może legendarny pomocnik Saszy? Anglik, który nabożnie śledził wyniki krykieta w „Timesie”, nawet gdy dopuścił się już ostatecznej zdrady. Anglik, który pomógł Saszy przygotować i wprowadzić kreta w samo serce wywiadu zachodniego, motywowanego osobistym oddaniem. Anglik przez jakiś czas mieszkał w dawnym Bejrucie, w tym Bejrucie, gdzie przechadzając się po Corniche, słyszało się francuski. Poznał tam młodą kobietę, która urodziła mu dziecko. Znajdźmy kobietę, pomyślał Gabriel, a być może znajdziemy również dziecko.

Ale jak? Kobieta nie miała nazwiska i nie wiadomo było, skąd

pochodziła. W każdym razie brakowało tych informacji w raportach, które Siergiej Morozow widział owego wieczoru w prywatnej dacy Saszy, ale ktoś przecież musiał wiedzieć o tym romansie. Może ktoś związany z bejrucką placówką MI6, która wówczas była bardzo ważnym miejscem nasłuchu na Bliskim Wschodzie. Ktoś, kto znał Anglika. Ktoś, czyja kariera ucierpiała wskutek jego zdrady. Ktoś, czyj syn był teraz dyrektorem generalnym MI6 i miał dostęp do starych akt bez wzbudzania podejrzeń. Jest możliwe - zaledwie możliwe, upomniał się Gabriel - że w końcu znalazł się o krok przed wielkim Saszą.

Przy Two Bridges skręcił na północ i przez jakiś czas szedł drogą, a potem przeskoczył przez kamienny płot i ruszył pod górę przez wrzosowisko. Na horyzoncie widział samotny pojazd, limuzynę, która mknęła przez pusty krajobraz. Zszedł ze wzgórza po przeciwnej stronie i w zapadającym zmroku odnalazł zagajnik, który doprowadził go do drzwi Wormwood Cottage. Drzwi ustąpiły pod dotknięciem dłoni. W środku panna Coventry, kucharka i gospodyni, stała przy piecu nad kilkoma bulgoczącymi garnkami. Jej obfitą talię otaczał fartuch.

Graham Seymour słuchał w bawialni wiadomości płynących ze starego bakelitowego radia. Gabriel wszedł i nastawił głośność prawie na maksimum, a potem opowiedział Seymourowi o przedsięwzięciu życia Saszy. Wyjaśnił, że Sasza nie pracował sam. Pomagał mu Anglik. Była też kobieta, i ta kobieta urodziła dziecko. Dziecko zdrady. Dziecko Kima Philby'ego...

Wormwood Cottage, Dartmoor

Urodził się pierwszego dnia 1912 roku w prowincji Pendżab w Indiach Brytyjskich. Jego pełne nazwisko brzmiało Harold Adrian Russell Philby, ale jego ojciec, krewki dyplomata, podróżnik, orientalista i przechrzta na islam, St. John Philby, nazywał go Kim po Kimballu O'Harze, bohaterze powieści Rudyarda Kiplinga o rywalizacji anglo-rosyjskiej z intrygą osadzoną na subkontynencie indyjskim. Fikcyjną postać Kiplinga i młodego Kima Philby'ego łączyło nie tylko imię. Philby również potrafił udawać Hindusa.

Wrócił do Anglii w wieku dwunastu lat, by zacząć naukę w prestiżowej Westminster School, a jesienią 1929 roku, tuż przed wielkim kryzysem, wstąpił do Trinity College w Cambridge. Tam, podobnie jak wielu młodych uprzywilejowanych Anglików z jego pokolenia, zaraził się bakcylem komunizmu. Ukończył ekonomię z wynikiem dobrym i otrzymał nagrodę Trinity College w wysokości czternastu funtów, za które kupił dzieła zebrane Karola Marksa.

Przed opuszczeniem Cambridge w 1933 roku wyznał Maurice'owi Dobbowi, marksistowskiemu ekonomistcie i przywódcy komórki komunistycznej w Cambridge, że chce poświęcić życie partii. Dobb umówił go na spotkanie z agentem Kominternu w Paryżu, który używał nazwiska Gibarti, a Gibarti z kolei skontaktował go z komunistycznym podziemiem w Wiedniu, który jesienią 1933 roku był miastem obleżonym. Philby brał udział w krwawych zamieszkach ulicznych między

austriacką lewicą a faszystowskim reżimem kanclerza Engelberta Dollfussa. Zakochał się również w Alice „Litzi” Kohlmann, młodej rozwódce żydowskiej i oddanej komunistce powiązanej z sowieckim wywiadem. Philby wziął z nią ślub w wiedeńskim ratuszu w lutym 1934 roku i zabrał ją do Londynu, który był jego następnym przystankiem na drodze do zdrady.

Bowiem to właśnie w Londynie, w ciepły czerwcowy dzień, na ławce w Regent’s Park Kim Philby poznał uroczego naukowca o kędzierzawych włosach, który pochodził z Europy Wschodniej i używał imienia Otto. W istocie nazywał się Arnold Deutsch i był łowcą talentów oraz rekruterem działającym w Wielkiej Brytanii z ramienia NKWD. Z czasem Philby opowiedział Ottonowi o dwóch przyjaciółach z Cambridge, którzy podzielali jego poglądy polityczne, Guyu Burgessie i Donaldzie Macleanie. Burgess później podał Ottonowi nazwisko znanego historyka sztuki, Anthony’ego Blunta. Piątym był John Cairncross, błyskotliwy matematyk. Philby, Burgess, Maclean, Blunt, Cairncross: piątka z Cambridge. Aby lepiej chronić ich anonimowość, Centrala w Moskwie określała ich mianem „wspaniałej piątki”.

Stosując się do sugestii Ottona, Philby publicznie prezentował się jako sympatyk nazistów i zajął się dziennikarstwem, najpierw w Londynie, a potem w Hiszpanii, gdzie w 1936 roku wybuchła wojna domowa i nacjoniści generała Franco ścierali się z republikanami o promoskiewskiej orientacji. Philby pisał o wojnie z punktu widzenia nacjonalistów. Wysyłał przemyślane materiały do kilku londyńskich gazet, łącznie z „Timesem”, i jednocześnie gromadził cenne informacje z pola bitwy dla swoich

mocodawców w Moskwie. W sylwestra 1937 roku, podczas krwawej bitwy pod Teruel, pocisk upadł obok samochodu, w którym Philby jadł czekoladki i pił brandy. Trzech innych pasażerów samochodu zginęło na miejscu, ale Philby został tylko lekko ranny w głowę. Generał Franco osobiście odznaczył go czerwonym Krzyżem Zasługi Wojskowej za wspieranie sprawy nacjonalistów. Philby, choć nienawidził faszyzmu, do końca życia zachował ten medal.

Jego małżeństwo z Litzi Kohlmann nie przetrwało pozornej konwersji na prawicowego polityka. żyli w separacji, ale nie wzięli rozwodu, a Litzi przeprowadziła się do Paryża. Philby zaczął pracować w redakcji „Timesa” i w 1940 roku był jednym z kilku dziennikarzy wybranych, by towarzyszyć skazanej na porażkę misji Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego do Francji. Po porażce misji, wracając do Londynu pociągiem, znalazł się w jednym przedziale z Hester Harriet Marsden-Smedley, doświadczoną korespondentką wojenną „Sunday Express”, która miała wielu przyjaciół i liczne kontakty w brytyjskich tajnych służbach. Długo rozmawiali o przyszłości Philby’ego. Wielkiej Brytanii groziła niemiecka inwazja i Philby sądził, że nie ma wyboru i musi wstąpić do wojska.

- Możesz zrobić o wiele więcej, żeby pokonać Hitlera - powiedziała Marsden-Smedley. - Coś wymyślimy.

Minęło niewiele czasu, a właściwie zaledwie kilka dni, i odezwało się do niego MI6. Philby odbył tam dwie rozmowy, a MI5 po cichu sprawdzało jego pochodzenie. Służby bezpieczeństwa postawiły na jego teczce stempel „Nie znaleziono przeciwwskazań”, choć w Cambridge był zdeklarowanym komunistą i przez sześć lat pracował jako szpieg dla Moskwy. Został przyjęty.

Jego nowa kariera zaczęła się bez fanfar. Przez dwa tygodnie siedział w pustym pokoiku w sztabie MI6 przy Broadway 54 i nie robił zupełnie nic oprócz tego, że chodził na zakrapiane lunche z Guyem Burgessem, kolegą szpiegiem z Cambridge. Ale latem 1941 roku Philby był już szefem niezmiernie ważnego Wydziału Iberyjskiego w Sekcji V, wydziale kontrwywiadu MI6. Z za bezpiecznego biurka atakował z zapalem dużą sieć wywiadowczą Niemiec w neutralnej Hiszpanii i Portugalii. Wykradał także wszystkie sekrety, jakie tylko wpadły mu w ręce, i przekazywał je w pękatyh aktówkach swoim mocodawcom z sowieckiej ambasady w Londynie. Pozostali członkowie kręgu szpiegów z Cambridge – Burgess, Maclean, Blunt i Cairncross, wszyscy umieszczeni na pozycjach istotnych dla losów wojny, robili to samo.

Najjaśniej jednak świeciła gwiazda Philby'ego. Sekcja V mieściła się nie przy Broadwayu, lecz w dużym wiktoriańskim domu o nazwie Glenalmond w wiosce St. Albans. Philby mieszkał w pobliskim domku z Aileen Furse, która wcześniej pracowała jako sklepowy detektyw w Marks & Spencer i cierpiała na poważną depresję. Między 1941 a 1944 rokiem urodziła mu troje dzieci. Zaufani koledzy z Sekcji V, którzy w każdą niedzielę zbierali się w domku Philby'ego, byliby zszokowani, gdyby się dowiedzieli, że ta para nie miała ślubu. Dla Philby'ego małżeństwo z Aileen nie wchodziło w grę, bo wciąż nie rozwiódł się z Litzi Kohlmann. Oszukiwał nawet w życiu osobistym.

Pod koniec wojny dla wszystkich z MI6 było już oczywiste, że Philby'ego czeka wielka kariera. Ale w jego imponującym *résumé* ziała wielka dziura: spędził wojnę, walcząc z za biurka i nigdy nie pojawił się na polu bitwy. Szef MI6, Stewart

Menzies, próbował wypełnić tę lukę, mianując Philby'ego szefem placówki w Stambule. Przed wyjazdem do Turcji Philby uporządkował swoje sprawy w kraju, biorąc po cichu rozwód z Litzi i ślub z Aileen. Zostali mężem i żoną 25 września 1946 roku podczas cywilnej uroczystości w Chelsea, w obecności garstki bliskich przyjaciół. Psychicznie niestabilna panna młoda była w siódmym miesiącu ciąży z czwartym dzieckiem.

W Turcji Philby umieścił rodzinę w willi nad Bosforem i zaczął rekrutować siatkę antykomunistycznych emigrantów, których można było umieścić w Związku Radzieckim. Następnie wydał własną siatkę Moskwie, używając jako pośrednika starego przyjaciela Guya Burgessa. Tymczasem sytuacja domowa Philby'ego się popsuła. Aileen była przekonana, że mąż ma romans z sekretarką. Z rozpaczy wstrzyknęła sobie własny mocz i ciężko zachorowała. Philby wysłał ją na leczenie do prywatnej kliniki w Szwajcarii.

Jego chaotyczne życie osobiste nie miało jednak wpływu na karierę w MI6. Wznosił się jak meteoryt i jesienią 1949 roku wysłano go do Waszyngtonu na stanowisko szefa placówki. Wewnątrz szybko rosnącej sieci służb wywiadowczych Ameryki Philby był szanowany i podziwiany za intelekt i zabójczy urok. Jego najbliższym zaufanym współpracownikiem stał się James Jesus Angleton, legendarny szef kontrwywiadu CIA, z którym Philby zaprzyjaźnił się w Londynie podczas wojny. Ci dwaj regularnie spotykali się na lunchu w Harvey's Restaurant przy Connecticut Avenue, gdzie wypijali ogromne ilości alkoholu i wymieniali się sekretami, które Philby następnie przekazywał do Moskwy. Jego przestronny dom przy Nebraska Avenue był popularną meliną dla amerykańskich szpiegów, takich jak Allen Dulles, Frank Wisner i Walter Bedell Smith. Przyjęcia

u Philby'ego stały się legendarne ze względu na ilość alkoholu, który lał się strumieniami. Sytuacja znacznie się pogorszyła, kiedy Guy Burgess, wyjątkowy pijak, został przeniesiony do Ambasady Brytyjskiej w Waszyngtonie i zamieszkał w suterenie domu Philby'ego.

Ale złote życie Philby'ego w Waszyngtonie wkrótce się skończyło. Venona to był kryptonim jednego z najtajniejszych amerykańskich programów z czasów zimnej wojny. Moskwa nie wiedziała, że amerykańscy kryptoanalitycy złamali rzekomo niepodatny na złamanie sowiecki szyfr i powoli odczytywali tysiące depeesz przekazywanych między 1940 a 1948 rokiem. Depesze ujawniły obecność około dwustu sowieckich szpiegów w rządzie Stanów Zjednoczonych. Ujawniły również istnienie sieci wpływowych szpiegów w Wielkiej Brytanii. Jeden z nich miał kryptonim Homer, inny Stanley. Philby wiedział to, czego nie uświadamiali sobie amerykańscy łamacze szyfrów: Homer to był Donald Maclean, a pod pseudonimem Stanley krył się szpieg, który obecnie służył jako szef placówki MI6 w Waszyngtonie. Stanleyem był sam Philby.

W kwietniu 1951 roku grupa Venona bez żadnych wątpliwości połączyła kryptonim Homer z Donaldem Macleanem. Philby wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim odkryją prawdziwą tożsamość agenta działającego jako Stanley. Pętla zaczęła się zaciskać. Philby wysłał Guya Burgessa do Londynu, by ten przekazał instrukcje Macleanowi i kazał mu uciekać do Związku Radzieckiego. Choć Philby ostrzegał, by tego nie robił, Burgess również uciekł z pomocą osadzonego w Londynie agenta wywiadu sowieckiego, który nazywał się Jurij Modin. Kiedy wiadomość o ich dezercji dotarła do Waszyngtonu, Philby na pozór zachował spokój, choć w głębi duszy był przerażony

myślą, że przeszłość zaczyna go doganiać. Tego wieczoru zakopał dostarczoną przez Sowietów miniaturową kamerę i filmy w płytkim grobie na prowincji w Marylandzie. Potem wrócił do domu i czekał na nieuniknione wezwanie z Londynu.

Nadeszło kilka dni później w postaci ręcznie napisanej notatki, a zaraz potem przyszedł telegram wzywający Philby'ego do Londynu na rozmowę dotyczącą zniknięcia jego dwóch przyjaciół z Cambridge. Pierwsze przesłuchanie odbyło się w Leconfield House, siedzibie MI5. Potem nastąpiło wiele następnych. W żadnej z nich Philby nie przyznał się, że to on ostrzegł Macleana o grożącym mu aresztowaniu ani że to on był „tym trzecim” w szpiegowskim kręgu z Cambridge, chociaż MI5 najwyraźniej nie wątpiła w jego winę. MI6 nie miała pewności, ale pod presją Amerykanów szef Menzies musiał rozstać się ze swoją najjaśniejszą gwiazdą. Zasoby finansowe Philby'ego szybko topniały, choć dostał hojną odprawę. Przyjął pracę w małej firmie importowo-eksportowej, a Aileen zaczęła pracować w kuchni w pewnym domu przy Eaton Square. W ich małżeństwie pojawiło się tak wiele napięć, że Philby często spędzał noc w namiocie w ogrodzie.

Stopniowo jednak mgła podejrzeń zaczęła się rozpraszać i po ostatnim bardzo swobodnym w tonie przesłuchaniu w październiku 1955 roku MI6 oczyściła Kima Philby'ego z podejrzeń o szpiegowanie dla Związku Radzieckiego. MI5 zareagowała na to wściekłością, podobnie jak J. Edgar Hoover, zażarcie antykomunistyczny dyrektor FBI, który zorganizował publikację sensacyjnego artykułu w „New York Sunday News”, w którym oskarżono Philby'ego, że to on jest „tym trzecim”. Wybuchł publiczny skandal. W parlamencie przerzucano się oskarżeniami, reporterzy chodzili za Philbym krok w krok. Kres

tej awanturze położył Minister Spraw Zagranicznych, Harold Macmillan. 7 listopada 1955 roku w przemówieniu w parlamencie oświadczył: „Nie mam żadnych powodów, aby sądzić, że pan Philby kiedykolwiek zdradził interesy swojego kraju”. Następnego dnia Philby zorganizował konferencję prasową w salonie mieszkania swojej matki przy Draycott Gardens i podczas uderzającego spektaklu, w którym użył całego swego czaru, by zwieść zgromadzonych, również oświadczył, że jest niewinny. Burza minęła. Kim Philby został oficjalnie oczyszczony z zarzutów.

A to oznaczało, że mógł kontynuować swą karierę. Oficjalny powrót do obowiązków nie był jeszcze możliwy, ale Nicolas Elliott, najbliższy przyjaciel Philby'ego w MI6, załatwił mu pracę w Bejrucie w roli wolnego strzelca, niezależnego dziennikarza, który pisał dla „Observera” i „Economista”. Ta placówka pozwoliła mu trochę szpiegować na boku. Uwolniony od ciężaru pięciorga dzieci i chorej żony, którą z ulgą zostawił na ponurym londyńskim przedmieściu Crowborough, Kim Philby przyjechał do Paryża Bliskiego Wschodu 6 września 1956 roku i skierował się do baru w hotelu St. Georges. Następnego dnia spotkał się z pracownikiem bejruckiej placówki MI6. Pracownik ten nazywał się Arthur Seymour.

Wormwood Cottage, Dartmoor

- Znałeś go?

- Kima Philby'ego? - zapytał Graham Seymour. - Nie jestem pewien, czy ktoś naprawdę go znał. Ale poznaliśmy się. To on dał mi pierwszego w życiu drinka. Ojciec o mało mnie za to nie zabił. Jego też.

- Twój ojciec był wrogiem alkoholu?

- Naturalnie, że nie. Ale nie znosił Kima.

Siedzieli przy stoliku w kącie kuchni, przy oknie wychodzącym na wrzosowisko. Okno było czarne z powodu zmroku i zachlapane deszczem. Między nimi leżały resztki stuprocentowo angielskiej kolacji panny Coventry. Na prośbę Seymoura wyszła wcześniej, zostawiając sprzątanie superszpiegom. Byli sami w domku. Niezupełnie sami, pomyślał Gabriel. Był z nimi Philby.

- Czym on cię napoił?

- Różowym ginem. - Na twarzy Seymoura pojawił się cień uśmiechu. - W barze hotelu Normandie. Używał go jako swojego biura. Przychodził koło południa, żeby przeczytać pocztę i wypić parę drinków z powodu kaca. Tam właśnie Rosjanie znów nawiązali z nim kontakt. Oficer KGB o nazwisku Pietuchow podszedł i dał mu wizytówkę. Spotkali się następnego popołudnia w mieszkaniu Philby'ego i ustalili metody komunikacji. Gdyby Philby znalazł coś, czym chciał się podzielić z Moskwą, miał stanąć na balkonie swojego mieszkania w środę wieczorem z gazetą w ręku. Spotykał się

z Pietuchowem w odległej restauracji w ormiańskiej dzielnicy, która nazywała się Vrej.

- O ile pamiętam, miał jeszcze jedną żonę - powiedział Gabriel. - Tym razem dla odmiany Amerykankę.

- Nazywała się Eleanor Brewer. Philby ukradł ją Pope'owi Brewerowi, korespondentowi „New York Timesa”. Piła prawie tak samo jak Philby. Wzięli ślub niedługo po tym, gdy Aileen znaleziono martwą w domu w Crowborough. Philby szalał ze szczęścia, kiedy się o tym dowiedział. Mój ojciec nigdy mu tego nie wybaczył.

- Twój ojciec pracował z Philbym?

- Ojciec naprawdę nie chciał mieć z nim do czynienia. - Seymour potrząsnął głową. - Poznał Kima podczas wojny i nigdy nie zwiódł go jego słynny urok. Nie wierzył również w jego niewinność w sprawie „tego trzeciego”, wręcz przeciwnie. Uważał, że Philby od początku do końca jest winny, był wściekły, kiedy się dowiedział, że Kim dostał odprawę i wysłano go do Bejrutu. Nie on jeden. Kilku wyższych urzędników w Londynie podzielało zdanie ojca. Naciskali, żeby miał Philby'ego na oku.

- I zrobił to?

- Na ile zdołał. Był tak samo wstrząśnięty jak wszyscy, kiedy Philby zniknął.

- To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim - powiedział Gabriel.

- W styczniu - uzupełnił Seymour.

- Przypomnij mi okoliczności, w jakich to się stało. O Tycjanie i Caravaggiu mogę mówić obudzony w środku nocy, ale Kim Philby nieco wykracza poza mój obszar kompetencji.

Seymour starannie napełnił swój kieliszek claretem.

- Nie udawaj głupiego. Twoje podkrążone oczy mówią mi, że dowiedziałeś się wszystkiego o Philbym podczas lotu z Tel Awiwu. Wiesz równie dobrze jak ja, co się zdarzyło.

- George Blake został aresztowany za szpiegowanie dla Sowietów.

- I skazany na czterdzieści dwa lata więzienia.

- Potem był ten rosyjski dezenter, który powiedział brytyjskiemu wywiadowi o tak zwanym Kręgu Pięciu agentów, którzy poznali się na studiach.

- Nazwisko tego dezentera brzmiało Anatolij Golicyn - dodał Seymour.

- I nie zapominajmy o starej przyjaciółce Philby'ego z Cambridge - dodał Gabriel. - O tej, która nagle przypomniała sobie, że w latach trzydziestych próbował zwerbować ją na rosyjskiego szpiega.

- Któż mógłby zapomnieć o Florze Solomon?

- Philby zaczął się niebezpiecznie wymykać spod kontroli. W imprezowych kręgach Bejrutu nie było niczym niezwykłym zobaczyć, jak nieprzytomny leży na podłodze w mieszkaniu gospodarza. Jego upadek nie uszedł uwagi Moskwy. KGB doskonale zdawało sobie sprawę, że jest coraz bardziej zagrożony. Jurij Modin prowadzący piątkę z Cambridge przyjechał do Bejrutu, by ostrzec Philby'ego, że zostanie aresztowany, jeśli wróci do Wielkiej Brytanii. Okazało się, że kłopoty dopadły Philby'ego w postaci jego najbliższego przyjaciela, Nicholasa Elliotta.

Teraz Seymour podjął wątek.

- Spotkali się w pewnym mieszkaniu w chrześcijańskiej dzielnicy o czwartej po południu dwunastego stycznia. W pokoju założono podsłuch. Mój ojciec siedział w sąsiednim

pomieszczeniu przy magnetofonie. Philby pojawił się z zabandażowaną głową i podbitymi oczami. W sylwestra kilka razy przewrócił się pijany i miał szczęście, że przeżył. Elliott bezmyślnie otworzył okna, żeby wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza, a przy tym wpuścił również hałas z ulicy. Większość nagrania jest niezrozumiała.

- Słyszałeś to nagranie?

Seymour powoli skinął głową.

- Skorzystałem z przywileju mojego stanowiska i niedługo po tym, jak zostałem szefem, przesłuchałem te taśmy. Philby wyparł się wszystkiego. Ale kiedy wrócił do tego mieszkania następnego popołudnia, zaproponował, że wyzna część prawdy w zamian za gwarancję nietykalności. Elliott i Philby spotkali się jeszcze kilka razy, w tym raz przy kolacji w Chez Temporel, jednej z najdroższych restauracji w Bejrucie. Potem Elliott opuścił Bejrut, nie zabezpieczając Philby'ego. Philby uciekł w nocy dwudziestego trzeciego stycznia dzięki pomocy Pietuchowa, swojego kontaktu z KGB. Po kilku dniach był już w Moskwie.

- Jak na to zareagował twój ojciec?

- Oczywiście był wściekły, przede wszystkim na Nicholasa Elliotta. Uważał, że Elliott zaważył sprawę, nie zamykając gdzieś Philby'ego. Potem doszedł do wniosku, że to nie było zaniedbanie, bo Elliott i jego przyjaciele z Londynu chcieli, żeby Philby uciekł.

- W ten sposób mogli uniknąć kolejnego publicznego spektaklu.

Seymour nagle zmienił temat.

- Jak dużo wiesz o życiu w Philby'ego w Moskwie?

- Rosjanie umieścili go w wygodnym mieszkaniu w pobliżu

Patriarszych Prudów. Czytał stare wydania „Timesa”, które przesyłano mu pocztą, słuchał wiadomości BBC World Service i pił dużo whisky Johnnie Walker Red Label, prawie zawsze do nieprzytomności. Eleanor Brewster mieszkała przez jakiś czas razem z nim, ale małżeństwo rozpadło się, gdy się dowiedziała, że miał romans z żoną Donalda Macleana. Później Philby ożenił się po raz czwarty z Rosjanką o imieniu Rufina i właściwie był z nią nieszczęśliwy.

- A jego związki z KGB?

- Przez jakiś czas trzymali go na odległość. Uważali, że za łatwo udało mu się uciec z Bejrutu i byli przekonani, że może być potrójnym agentem. Stopniowo zaczęli mu dawać jakieś nieduże projekty, żeby miał się czym zająć, na przykład pomagał w szkoleniu rekrutów w Instytucie Czerwonego Sztandaru KGB. - Gabriel urwał na chwilę, po czym dodał: - I tu właśnie na scenie pojawia się Sasza.

- Tak, Sasza widmo.

- Słyszałeś kiedyś to imię?

- Nie, i nie bez powodu - odrzekł Seymour. - Sasza istnieje tylko w wyobraźni Siergieja Morozowa. Opowiedział ci bajkę o zdradzie i oszustwie, a ty połknąłeś przynętę.

- Po co miałby mnie okłamywać?

- Oczywiście po to, żebyś go nie zabił.

- Nigdy nie groziłem, że go zabiję. Groziłem tylko, że przekażę go w ręce syryjskiej opozycji.

- To nie ma żadnego znaczenia - odrzekł Seymour.

- A ta kobieta? - zapytał Gabriel. - Ta komunistka, którą Philby poznał w Bejrucie? Kobieta, która urodziła mu dziecko? Czy ją również Siergiej Morozow sobie wymyślił?

Seymour udawał, że się zastanawia.

- I co mam powiedzieć premierowi i szacownym członkom Połączonego Komitetu Wywiadu? Mam im powiedzieć, że Kim Philby wstał z grobu, żeby po raz kolejny wywołać skandal? Że wychował swoje nieślubne dziecko na rosyjskiego agenta?

- Na razie nic im nie musisz mówić.

- Nie martw się, nic nie powiem.

Zapadło milczenie, w którym słychać było tylko dudnienie deszczu o szyby.

- Ale gdyby udało mi się ją znaleźć? - zapytał Gabriel w końcu. - Wtedy byś w to uwierzył?

- Kochanka Philby'ego z Bejrutu? Zakładasz, że była tylko jedna? Kim Philby był najbardziej niewiernym człowiekiem w historii świata. Wierz mi, wiem coś o tym.

- Twój ojciec też o tym wiedział - powiedział Gabriel cicho.

- Mój ojciec nie żyje już od prawie dwudziestu lat. Nie możemy go zapytać.

- Może możemy.

- Jak?

- Starzy szpiegowie nie giną, Graham. Żyją wiecznie.

- Gdzie?

Gabriel się uśmiechnął.

- W swoich teczkach.

Slough, Berkshire

Zarządzanie teczkami w służbach wywiadowczych to bardzo poważna sprawa. Dostęp do informacji musi być ograniczony do tych osób, które rzeczywiście go potrzebują, należy też starannie rejestrować wszystkich, którzy widzieli konkretną teczkę, oraz to, kiedy do niej zaglądali. W MI6 zajmuje się tym Rejestr Centralny. Aktualne teczki znajdują się w Vauxhall Cross, w miejscu, gdzie jest do nich łatwy dostęp, ale większość instytucjonalnej pamięci MI6 przechowuje się w magazynie w Slough, nieopodal lotniska Heathrow. Magazyn jest strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę i monitorowany przez kamery, ale późnym deszczowym wieczorem w pewien wtorek na warcie stał tylko jeden archiwista o nazwisku Robinson. Robinson, podobnie jak Parish, dozorca w Wormwood Cottage, pracował tu od lat. Miał pociągłą twarz, cienki wąsik i używał do włosów brylantyny, od której pachniał cały korytarz. Popatrzył na Nigela Whitcombe'a i jego prośbę na piśmie chłodnym wzrokiem.

- Wszystkie? - zapytał w końcu.

Whitcombe uśmiechnął się dobrotliwie. Miał umysł zawodowego przestępcy i twarz wiejskiego proboszcza. To była niebezpieczna kombinacja.

- Wszystko, co zostawił po sobie jeden agent przez siedem lat? To bez precedensu.

- Proszę popatrzeć na to nazwisko. - Whitcombe postukał w nie czubkiem palca na wypadek, gdyby Robinson, który był

ślepy jak nietoperz, nie zauważył.

Seymour, Arthur...

- Tak, widziałem, ale tego nie da się zrobić. Musi być kontrasygnata od szefa archiwum.

- Prerogatywa szefa. Również jego prawo z racji urodzenia.

- W takim razie może szef powinien o to poprosić.

Tym razem uśmiech Whitcombe'a nie był już tak dobrotliwy.

- Ale on właśnie o to prosi, Robinson. Możesz mnie uważać za osobistego posłańca.

Robinson przymrużonymi oczami wpatrywał się w nazwisko na kawałku papieru.

- Arthur był jednym z największych. Fachowiec nad fachowców. Znałem go. No, nie byliśmy przyjaciółmi. Ja nie grałem w tej lidze. Ale znaleźmy się.

Whitcombe nie był zdziwiony. Ten stary piernik zapewne znał również Philby'ego. Podczas wojny Rejestr Centralny mieścił się w St. Albans, po sąsiedzku z Sekcją V, w której pracował Philby. Głównym archiwistą był światowej klasy pijak, niejaki William Woodfield. Philby wlewał w niego różowy gin w barze King Harry, by uzyskać swobodny dostęp do teczek. Nocami kopiował zawartość ręcznie przy kuchennym stole i przekazywał swoim radzieckim mocodawcom.

Philby...

Na samą myśl o tym zdradzieckim łajdaku twarz Whitcombe'a zaczerwieniła się ze złości. A może to przez brylantynę Robinsona. Od tego zapachu kręciło mu się w głowie.

Robinson spojrział na zegar na ścianie. Była dziesiąta pięćdziesiąt trzy.

- To trochę potrwa.

- Jak długo?

- Dwa do trzech dni.
- Przykro mi, stary, ale potrzebuję tego na dziś wieczór.
- Chyba nie mówisz poważnie! Są porozrzucane po całym budynku. Muszę znaleźć wszystkie odnośniki, żeby niczego nie przegapić.

- I nie przegap - ostrzegł go Whitcombe. - Szef zażyczył sobie wszystkich teczek swojego ojca z tego okresu. Wszystkie to znaczą wszystkie.

- Przydałoby się, gdybyś mi podał nazwę konkretnej operacji albo obiektu.

Rzeczywiście by się przydało, pomyślał Whitcombe. Właściwie gdyby podał nazwisko Philby, H.A.R., to Robinson znalazłby wszystkie istotne dokumenty w ciągu kilku minut. Ale szef chciał, by poszukiwanie teczek było jak najszersze i wydawało się niewinne, żeby żadne pogłoski nie dotarły do niewłaściwych uszu w Vauxhall Cross.

- Może mógłbym pomóc - zasugerował.

- Nawet o tym nie myśl - obruszył się Robinson. - W korytarzu jest pokój dla personelu. Możesz tam poczekać.

Z tymi słowami zniknął z karteczką w ręce w mrokach wielkiego magazynu. Whitcombe popatrzył za nim i popadł w przygnębienie. To miejsce przypominało mu sklep IKEA w Wembley, gdzie pośpiesznie kupował sprzęty do wyposażenia mieszkania. Poszedł korytarzem do pokoju dla personelu i zaparzył sobie filiżankę darjeeling. Herbata była okropna. Jeszcze gorsza niż okropna, pomyślał, przygotowując się na długie czekanie. Nie miała w ogóle smaku.

Archiwiści zmieniali się o szóstą. O tej porze pracę zaczynała młoda gniewna dama o nazwisku Applewhite, absolutnie

odporną na wątpliwy urok Whitcombe'a i nieustraszoną wobec jego zawołanych gróźb. W rezultacie poczuł ulgę, kiedy o wpół do piątej Robinson wsunął głowę do pokoju dla personelu i obwieścił, że zamówienie jest skompletowane.

Teczki znajdowały się w ośmiu pudłach oznaczonych zwykłymi ostrzeżeniami dotyczącymi poufności i właściwego obchodzenia się z zawartością oraz ostrzeżeń, by nie wynosić ich poza budynek. Whitcombe natychmiast pogwałcił regulamin, ładując je do bagażnika pięciodrzwiowego forda. Jak mógł się spodziewać, oburzony Robinson zagroził, że obudzi szefa archiwum, ale Whitcombe znów wyszedł z tej potyczki górą, twierdząc, że teczki, o które chodzi, nie mają absolutnie żadnego znaczenia dla bezpieczeństwa kraju. Co więcej, przeznaczone były do prywatnego użytku szefa. A szef nie będzie przecież czytał ich w pełnym przeciągów magazynie w Slough. Nie wspomniał, że szef zaszył się w chatce na skraju wrzosowiska Dartmoor. To nie była sprawa Robinsona.

Whitcombe cieszył się zasłużoną reputacją kierowcy z ciężką nogą. Dotarł do Andover o wpół do szóstej i przejechał przez wapienny płaskowyż Cranborne Chase jeszcze przed wschodem słońca. Zatrzymał się na kawę i kanapkę z bekonem na stacji Esso w Sparkford, przetrwał oberwanie chmury w Taunton i o ósmej wjechał na podjazd przy Wormwood Cottage. Ze swojego okna Parish widział, jak wyładowuje pudła z bagażnika, a pomagał mu w tym nie kto inny jak sam „C” oraz osławiony szef wywiadu izraelskiego, który wydawał się zmagać z bólem krzyża. Wielkie przedsięwzięcie zostało rozpoczęte. Tego jednego Parish był pewny.

Wormwood Cottage, Dartmoor

Teczki, razem wzięte, były swego rodzaju tajemną podróżą po Bliskim Wschodzie w latach 1956-1963, w czasie, kiedy Imperium Brytyjskie padało, Ameryka zyskiwała na znaczeniu, Rosjanie posuwali się naprzód, młode państwo Izrael prężyło muskuły, a Arabowie flirtowali z różnymi skazanymi na porażkę -izmami - panarabizmem, arabskim nacjonalizmem, arabskim socjalizmem - które w końcu miały doprowadzić do powstania islamizmu, dżihadyzmu i obecnego bałaganu.

Arthur Seymour jako najważniejszy szpieg MI6 w tym regionie we wszystkich tych sprawach grał pierwsze skrzypce. Oficjalnie zatrudniony w placówce bejruckiej, w praktyce tylko wieszał tam kapelusz. Działał na całym Bliskim Wschodzie, a jego przełożeni znajdowali się w Londynie. Nieustannie podróżował: śniadanie w Bejrucie, kolacja w Damaszku, następnego ranka Bagdad. Często bywał u prezydenta Egiptu Nassera i u władców dynastii saudyjskiej. Był nawet mile widziany w Tel Awiwie, choć Biuro sądziło, że nie odnosi się szczególnie życzliwie do ciężkiego losu Izraela. Arthur Seymour miał osobisty uraz do państwa żydowskiego. Był w hotelu Króla Dawida 22 lipca 1946 roku, kiedy bomba podłożona tam przez ekstremistę Irguna zabiła dziewięćdziesiąt jeden osób, w tym dwudziestu ośmiu obywateli brytyjskich.

Biorąc pod uwagę zakres działalności Seymoura, Kim Philby był dla niego czymś w rodzaju hobby. Arthur pisał raporty dla Londynu, delikatnie mówiąc, nieregularnie. Przesyłał je

bezpośrednio do Dicka White'a, największego wroga Philby'ego z MI5, który tuż przed przybyciem Kima do Bejrutu został mianowany szefem MI6. W depe szach Seymour określał Philby'ego kryptonimem Romeo, co nadawało ich korespondencji nieco komiczny wydźwięk.

„Spotkałem Romea na Corniche w ostatnią środę – napisał we wrześniu 1956 roku. – Był w doskonałej formie i w dobrym humorze. Rozmawialiśmy nie pamiętam o czym, bo Romeowi jakoś udało się nie powiedzieć zupełnie nic”. Do następnej wiadomości minęły trzy tygodnie. „Byłem na pikniku z Romeem w górach pod Bejrutem. Upił się do nieprzytomności. Potem w następnym miesiącu Romeo upił się do nieprzytomności na przyjęciu w domu Amerykanina, Milesa Copelanda. Nie mam pojęcia, jak udaje mu się funkcjonować jako korespondent. Jeśli dalej tak pójdzie, obawiałbym się o jego zdrowie”.

Gabriel i Graham Seymour podzielili między siebie zawartość ośmiu pudeł. Gabriel pracował przy składanym stoliku w saloniku, a Seymour w kuchni. Widzieli się nawzajem przez otwarte drzwi, ale rzadko na siebie patrzyli. Obydwaj czytali tak szybko, jak się dało. Nawet jeśli Seymour wątpił w istnienie tej kobiety, to był zdeterminowany znaleźć ją jako pierwszy.

Ale to Gabriel pierwszy natknął się na wzmiankę o skomplikowanym życiu uczuciowym Philby'ego. „Widziano Romea w kawiarni Shaky Floor z żoną ważnego amerykańskiego korespondenta prasowego. Romans może zaszkodzić brytyjskim interesom”. Tym ważnym amerykańskim korespondentem był Sam Pope Brewer z „New York Timesa”. Potem nastąpiły kolejne raporty. „Wiem z wiarygodnego źródła, że Romea i Amerykankę łączy intymny związek. Jej mąż nic o tym nie wie, bo wyjechał w długą reporterską podróż. Może

ktos powinien zainterweniowac, zanim bedzie za pozno". Ale Seymour wkrótce się przekonał, że już było za późno. „Wiem z dobrego źródła, że Romeo oświadczył amerykańskiemu korespondentowi, że zamierza poślubić jego żonę. Amerykanin najwyraźniej przyjął tę wiadomość całkiem dobrze i powiedział Philby'emu: »Wydaje się, że to najlepsze możliwe rozwiązanie. Co sądzisz o sytuacji w Iraku?«”.

Wewnętrzna polityka placówki MI6 w Bejrucie zmieniła się radykalnie w początku lat sześćdziesiątych, kiedy Nicolas Elliott, najbliższy przyjaciel Philby'ego, został szefem placówki. Sytuacja Kima poprawiła się z dnia na dzień, podczas gdy Arthur Seymour, o którym wiadano, że wątpi w uczciwość Philby'ego, naraz popadł w niełaskę. Nie miało to jednak znaczenia, bo przez cały czas przekazywał wiadomości potajemnym kanałem Dickowi White'owi w Londynie i na każdym kroku kopał pod Philbym dołki.

„Miałem okazję przejrzeć informacje, które Romeo zdobył dla placówki w Bejrucie. Są równie wątpliwe jak jego reportaże dla gazet. Obawiam się, że szef placówki nie widzi tego z powodu przyjaźni z Romeem. Są nierozłączni”.

Elliott jednak wyjechał z Bejrutu w październiku 1962 roku. Wrócił do Londynu i został kontrolerem do spraw Afryki Północnej. Philby, który i tak już pił strasznie, zaczął pić koszmarnie dużo.

„Wczoraj wieczorem musieli wynieść Romea z przyjęcia - napisał Arthur Seymour 14 października. - To doprawdy odrażające”. Trzy dni później Romeo, przesycony alkoholem, upił się jedną whisky. Potem, 27 października: „Romeo rzucił czymś w żonę. To było niezmiernie żenujące dla wszystkich, którzy musieli na to patrzeć. Obawiam się, że jego małżeństwo

rozpada się na naszych oczach. Wiem z wiarygodnego źródła, że żona Romea jest przekonana, że ma on romans”.

Gabriel poczuł łaskotanie w koniuszkach palców. „Żona Romea jest przekonana, że mąż ma romans...”. Podniósł się, zaniósł depezę do kuchni i położył przed Grahamem Seymourem.

- Ona istnieje - szepnął i wrócił do saloniku. Wielkie przedsięwzięcie wychodziło na prostą.

Gabrielowi zostało jeszcze jedno pudło, Seymourowi półtora. Niestety, teczki nie były uporządkowane. Gabriel przeszkakiwał z jednego roku do drugiego, z jednego miejsca do następnego, od kryzysu do kryzysu, bez ładu i składu. Co więcej, zwyczaj Arthura Seymoura, który dodawał krótkie postscripta do depeż, oznaczał, że każdą z nich należało przeczytać w całości. Czasami nastęczało to trudności. W jednej z depeż Gabriel znalazł wzmiankę o operacji Damokles, tajnej akcji Biura mającej na celu zabójstwo nazistowskiego naukowca, który pomagał Nasserowi produkować rakiety w dobrze ukrytym miejscu znanym jako Factory 333. Była tam również niejasna aluzja do Ariego Szamrona. „Jeden z agentów izraelskich - pisał Seymour - to bardzo nieprzyjemna postać. Walczył dla Palmachu podczas wojny o niepodległość. Chodzą pogłoski, że brał udział w operacji dotyczącej Eichmanna w Argentynie. Kiedy chodzi, niemal słycać szcęk łańcuchów”.

Ale to Graham Seymour znalazł następną wzmiankę o kochance Kima Philby'ego w dawno zapomnianych teczkach ojca. Wskazówka zawarta była w depeży datowanej 3 listopada 1962. Seymour położył ją triumfalnie przed Gabrielem jak student, któremu właśnie udało się udowodnić niemożliwe.

Istotna informacja została zapisana w postscriptum. Gabriel przeczytał ją dwukrotnie, a potem jeszcze raz.

„Usłyszałem ze źródła, które uważam za wiarygodne, że ten romans trwa już od dłuższego czasu, może nawet od roku...”

Gabriel położył telegram na pierwszym, w którym natknęli się wzmiankę o romansie, i znów zagłębił się w papierach, ale kolejną wskazówkę ponownie znalazł Graham Seymour.

- To wiadomość od Dicka White'a do mojego ojca! - zawołał przez otwarte drzwi. - White wysłał ją czwartego listopada, zaraz następnego dnia.

- I co napisał?

- Obawia się, że ta kobieta może być agentką prowadzącą Philby'ego z ramienia KGB. Kazał ojcu sprawdzić, kim ona jest.

- Twój ojciec szczególnie się z tym nie śpieszył - odpowiedział Gabriel chwilę później.

- O czym ty mówisz?

- Wysłał odpowiedź dopiero dwudziestego drugiego listopada.

- I co napisał?

- Dowiedział się z wiarygodnego źródła, że ta kobieta jest młodą dziennikarką.

- Niezwiązaną z żadną gazetą - dodał Seymour chwilę później.

- Co tam masz?

- Depeszę z szóstego grudnia.

- Z wiarygodnego źródła?

- Od Richarda Beestona - odparł Seymour. - To brytyjski dziennikarz.

- Czy jest jakieś nazwisko?

Z kuchni odpowiedziało mu milczenie. Byli coraz bliżej rozwiązania, ale teczki już się kończyły. Arthur Seymour, choć

nie wiedział o tym, miał coraz mniej czasu. Do końca pierwszego tygodnia grudnia 1962 roku nie poznał tożsamości kochanki Philby'ego. Po upływie nieco więcej niż miesiąca Philby zniknął.

- Mam jeszcze jedną - powiedział Seymour. - Ta dziewczyna jest Francuzką.

- Kto tak twierdzi?

- Źródło, które w przeszłości okazało się wiarygodne. To źródło twierdzi również, że widują się w mieszkaniu tej kobiety, nie w mieszkaniu Philby'ego.

- Jaka data?

- Dziewiętnasty.

- Grudnia czy stycznia?

- Grudnia.

Gabrielowi została jeszcze kupka dokumentów wysoka na mniej więcej dwa centymetry. Kolejny ślad odkrył w depeszy z datą 28 grudnia. „Widziano ich razem w barze hotelu St. Georges. Romeo udawał, że poprawia coś, co ona napisała. Ewidentnie była to tylko przykrywka dla romantycznego spotkania”. I jeszcze dwa dni później: „Słyszano, jak w hotelu Normandie wygłaszała marksistowskie poglądy. Nic dziwnego, że Romeo uważa ją za atrakcyjną”.

A potem zupełnie nagle grudzień przeszedł w styczeń i dziewczyna została zapomniana. Nicolas Elliott wrócił do Bejrutu, by przesłuchać Philby'ego i wyciągnąć z niego wiadomości oraz obietnicę współpracy, a Arthur Seymour bardzo się obawiał, że Philby ucieknie. Jego lęki urzeczywistniły się w nocy dwudziestego trzeciego: „Romea nigdzie nie ma. Obawiam się, że uciekł”.

To była ostatnia depesza w stercie Gabriela, ale Graham

Seymour miał w kuchni jeszcze kilka. Gabriel usiadł po przeciwnej stronie stołu i patrzył, jak strugi deszczu spływają po szybach, a wiatr rysuje dziwne wzory na uśpionym dotąd wrzosowisku. Nie słyhać było nic oprócz szelestu papieru. Seymour czytał irytująco powoli, przesuwając czubkiem palca po każdej stronie, zanim odłożył ją i sięgnął po następną.

- Graham, proszę...

- Cicho bądź.

Chwilę później Seymour przesunął po stole pojedynczy arkusz. Gabriel aż bał się na niego spojrzeć. Widział, jak Kim Philby idzie przez wrzosowisko, trzymając za rękę dziecko.

- Co to jest? - zapytał w końcu.

- Coś w rodzaju raportu podsumowującego akcję. Napisany w połowie lutego, kiedy Philby był już w Moskwie.

- Czy jest tam jakieś nazwisko?

- Sam zobacz.

Gabriel popatrzył na dokument.

„Ta kobieta nazywa się Charlotte Bettencourt. Choć rzeczywiście ma lewicowe poglądy, z pewnością nie jest agentką moskiewską. Nie zalecam żadnych dalszych działań...”.

Gabriel gwałtownie podniósł głowę.

- Mój Boże! Znaleźliśmy ją!

- To jeszcze nie wszystko. Przeczytaj postscriptum.

Gabriel znów opuścił wzrok.

„Wiem z wiarygodnego źródła, że mademoiselle Bettencourt jest w kilkumiesięcznej ciąży. Czy Philby nie ma sumienia?”.

Nie, pomyślał Gabriel. Philby nie miał sumienia.

Dartmoor - Londyn

Jedyny komputer w Wormwood Cottage podłączony do zewnętrznego świata stał na biurku Parisha. Gabriel skorzystał z niego i poszukał w internecie Charlotte Bettencourt. Znalazł kilkanaście kobiet o tym nazwisku i imieniu, głównie młodych i robiących karierę, w tym dziewięć we Francji. Żadna nie była dziennikarką i żadna nie była w odpowiednim wieku. A kiedy dla porządku dodał w oknie wyszukiwarki nazwisko Kim Philby, otrzymał czternaście tysięcy bezwartościowych wyników, co w języku internetu oznaczało, że należy szukać gdzie indziej.

I właśnie to zrobił. Nie z Wormwood Cottage, ale z zabezpieczonego przed podsłuchem pokoju w Ambasadzie Izraela w Londynie. Pojawił się tam wczesnym wieczorem po szaleńczej jeździe z Devonu fordem Nigela Whitcombe'a i zadzwonił do Paula Rousseau, szefa Grupy Alfa w Paryżu. Okazało się, że Rousseau siedział jeszcze przy biurku. Francja była w stanie gotowości, bowiem liczne informacje wskazywały na zagrożenie ze strony ISIS. Gabriel pokornie wyjawiał swoją prośbę.

- Bettencourt, Charlotte.
- Data urodzenia? - zapytał Rousseau z ciężkim westchnieniem.
- Około tysiąc dziewięćset czterdziestego.
- I mówisz, że była dziennikarką?
- Coś w tym rodzaju.
- To znaczy tak czy nie? - zapytał Rousseau niecierpliwie.

Gabriel wyjaśnił, że pracowała w Bejrucie jako wolny strzelec na początku lat sześćdziesiątych i że według wszelkich przesłanek miała lewicowe poglądy.

- Podobnie jak wszyscy na początku lat sześćdziesiątych.

- Czy to możliwe, żeby stare dst założyło jej teczkę?

- Możliwe - przyznał Rousseau. - Zakładali tecki wszystkim o promoskiewskich sympatiach. Poszukam jej nazwiska w bazach.

- Ale po cichu - ostrzegł Gabriel i rozłączył się. Przez następne trzy godziny siedział sam w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu w suterenie ambasady i próbował zastanowić się nad wszystkimi powodami, z których poszukiwania Rousseau mogły się okazać bezowocne. Może Arthur Seymour się pomylił i Charlotte Bettencourt to nie było prawdziwe imię i nazwisko. Może po urodzeniu dziecka Philby'ego kobieta zmieniła nazwisko i żyła w ukryciu. Może uciekła do Moskwy i nadal tam mieszka. Może wielki Sasza ją zabił, tak jak Konstantina Kirowa i Alistaira Hughesa.

Cokolwiek zdarzyło się z tą kobietą, było to bardzo dawno temu. Minęło również mnóstwo czasu od chwili, kiedy Gabriel spał. W pewnym momencie położył głowę na stole i zapadł w drzemkę. Drgnął, gdy odezwał się telefon. Zegarek wskazywał wpół do dwunastej - nie wiedział, czy przed południem, czy w nocy. Wygłuszone pomieszczenie było światem, w którym słońce nie wschodziło ani nie zachodziło. Szybko sięgnął po słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

- Wyjechała z Bejrutu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym i wróciła do Paryża - powiedział Paul Rousseau. - Była niewiele znaczącą postacią w demonstracjach sześćdziesiątego ósmego. Potem dst przestało się nią interesować.

- Czy ona nadal żyje?

- Na to wygląda.

Serce Gabriela na chwilę zatrzymało się w piersi.

- To znaczy tak czy nie?

- Wciąż otrzymuje emeryturę państwową. Czeki wysyłane są na adres w Hiszpanii.

- Nie masz przypadkiem tego adresu?

Paul przypadkiem miał ten adres. Charlotte Bettencourt, matka nieślubnego dziecka Kima Philby'ego, mieszkała przy paseo de la Fuente w miasteczku Zahara w Hiszpanii.

Zahara, Hiszpania

Kilka minut po drugiej następnego popołudnia Charlotte Bettencourt zauważyła, że obserwuje ją dwóch mężczyzn: jeden wysoki i chudy, drugi trochę niższy i mocniej zbudowany. Kim byłby z niej dumny, że potrafiła ich zauważyć, ale prawdę mówiąc, zaledwie nie próbowali się ukrywać – prawie tak, jakby chcieli, żeby ich dostrzegła. Dwóch Rosjan wysłanych tutaj, by ją porwać albo zabić, nie zachowywałoby się w taki sposób. Dlatego nie bała się, przeciwnie, czekała na chwilę, kiedy wreszcie przestaną udawać i przedstawią się, a do tej pory zamierzała o nich myśleć jako o Rosenkrantzu i Guildensternie, dwóch przeciętnych mieszkańcach Ziemi, którzy funkcjonowali jak jeden organizm.

Po raz pierwszy zobaczyła ich wcześniej przed południem, gdy szli promenadą. Po raz drugi na calle San Juan, gdzie siedzieli pod parasolem przy jednej z kawiarni i każdy patrzył w komórkę. Na pozór nie zwracali na nią uwagi. A teraz znów tu byli. Charlotte jadła lunch między drzewami pomarańczowymi w barze Mirador, a ci dwaj szli po płytach chodnika na placu w stronę kościoła Santa María de la Mesa. Nie wyglądali na pobożnych chrześcijan, szczególnie ten wyższy, o jaśniejszej skórze. Może potrzebowali rozgrzeszenia. To chyba by im się przydało.

Weszli po schodkach kościoła – jeden, dwa, trzy, cztery – i zniknęli w środku. Charlotte znów sięgnęła po długopis i próbowała wrócić do pracy, ale na próżno. Widok tych dwóch

zakłócił przepływ słów. Opisywała popołudnie we wrześniu 1962 roku, kiedy Kim upił się, zamiast się z nią kochać, i wpadł w nieutuloną rozpacz. Jackie, ulubiony lisek, spadł z tarasu jego mieszkania i się zabił. Charlotte była jednak przekonana, że dręczy go coś innego i prosiła, żeby się jej zwierzył.

- T-ty b-byś tego nie zrozumiała - wyjąkał, pociągając drinka i kryjąc oczy za grzywą potarganych włosów. - Wszystko, co zrobiłem, robiłem w z-zgodzie z sumieniem. - Powinna w tamtej chwili odgadnąć, że Kim naprawdę był sowieckim szpiegiem, „tym trzecim”, zdrajcą. Nie pogardzałaby nim za to; w gruncie rzeczy przeciwnie, kochałaby go jeszcze bardziej.

Wrzuciła długopis i notes do słomkowej torby i dopiła wino. W kawiarni siedział tylko jeszcze jeden klient, drobny mężczyzna o cienkich włosach i zupełnie nieokreślonej twarzy. Pogoda była idealna, ciepło w słońcu, chłodno w cieniu drzew pomarańczowych. Charlotte miała na sobie bluzę z polaru i džinsy ze znieawidzoną gumką w pasie. To była chyba najgorsza rzecz w starzeniu się, ten brzuch, który musiała przez cały dzień nosić z sobą, podobnie jak wspomnienia Kima. Z trudem przywołała w pamięci smukłe jędrne ciało, które pochłaniał każdego popołudnia, zanim wrócił do domu, do Eleanor na wieczorną kłótnię. Uwielbiał jej ciało, nawet gdy brzuch zaczął już być widoczny.

- Czy myślisz, że to b-będzie chłopiec czy dziewczynka? - zapytał, gładząc ją delikatnie po skórze. Ale to nie miało znaczenia. Dwa tygodnie później już go nie było.

Człowiek o cienkich włosach wpatrywał się w gazetę. Biedak, pomyślała Charlotte. Jest sam na świecie, podobnie jak ona. Miała ochotę nawiązać z nim rozmowę, ale tamci dwaj już wychodzili z kościoła na rozgrzany plac. W milczeniu minęli jej

stolik i poszli w dół stromą calle Machenga.

Charlotte zapłaciła rachunek i ruszyła w tę samą stronę. Nie starała się iść za nimi, po prostu tędy prowadziła najkrótsza droga do małego marketu El Castillo. W środku znów ich zobaczyła. Ten, którego nazwała Rosenkrantzem, ten wyższy, wpatrywał się w opakowanie mleka, jakby szukał daty ważności. Charlotte po raz pierwszy poczuła ukłucie lęku. Może się pomyliła. Może to jednak są ludzie z SWR przysłani tutaj, by ją porwać. Teraz, gdy miała okazję przyjrzeć się im z bliska, wydawało jej się, że Rosenkrantz trochę wygląda na Rosjanina.

Szybko wrzuciła kilka rzeczy do koszyka, podała pieniądze biuściastej dziewczynie z gołym brzuchem i zbyt mocnym makijażem.

- *La loca* - syknęła dziewczyna z pogardą, gdy Charlotte wychodziła na ulicę, niosąc w rękach plastikowe torby. I tam zobaczyła Guildensterna. Stał oparty o drzewo pomarańczowe i uśmiechał się.

- Bonjour, madame Bettencourt - powiedział życzliwie i ostrożnie przybliżył się o krok do niej. - Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale chciałbym z panią porozmawiać gdzieś na osobności.

Oczy miał bardzo niebieskie, tak jak Kim.

- O czym chciałby pan porozmawiać? - zapytała.

- Sprawa, o której chciałbym pomówić, jest dość delikatnej natury.

Charlotte uśmiechnęła się z goryczą.

- Kiedy słyszałam te słowa po raz ostatni... - Człowiek o cienkich włosach schodził ze wzgórza w ich stronę. Nie podejrzewała go wcześniej. Musiał chyba być wyższej rangi.

Zatrzymała wzrok na tym, którego nazywała Guildensternem

i który miał oczy niebieskie jak Kim.

- Czy jest pan z francuskiego rządu?

- Broń Boże, nie.

- W takim razie skąd?

- Pracuję dla brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Więc jest pan szpiegiem. - Spojrzała na człowieka o cienkich włosach. - A on?

- To mój współpracownik.

- Nie wygląda mi na Brytyjczyka.

- Nie jest Brytyjczykiem.

- A Rosenkrantz?

- Kto?

- Och, mniejsza o to. - Usłyszała we własnym głosie rezygnację. Wreszcie jest po wszystkim. - Jak mnie, na litość boską, znaleźliście?

Zdawało się, że jej pytanie zdziwiło Anglika.

- To długa historia, pani Bettencourt.

- Z pewnością tak. - Torby stawały się coraz cięższe. - Czy mam jakieś kłopoty?

- Nie sądzę.

- Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam w zgodzie z sumieniem. - Przez chwilę nie była pewna, czy to Kim mówi, czy ona. - A co z moim... - Gwałtownie ugryzła się w język.

- Z kim, madame Bettencourt?

Jeszcze nie teraz, pomyślała. Lepiej zachować coś w rezerwie na wypadek, gdyby musiała kupić sobie wolność. Nie ufała temu człowiekowi i nie powinna mu ufać. Brytyjczycy są największymi kłamcami, jakich stworzył Bóg. To jedno wiedziała na pewno.

Ten wysoki i blady stał teraz obok niej. Łagodnie wyjął plastikowe torby z jej palców i wrzucił je do bagażnika renault, a potem szybko wsunął się za kierownicę. Ten z cienkimi włosami usiadł z przodu, a Charlotte i ten z niebieskimi oczami z tyłu. Gdy samochód ruszył, pomyślała o książkach wypełniających półkę we wnęce pod schodami i o starej wiktoriańskiej kasetce pod biurkiem. W środku leżał notatnik oprawiony w skórę, tak stary, że pachniał tylko kurzem. Długie zakrapiane lunche w St. Georges i Normandie, pikniki na wzgórzach, popołudnia w zaciszu jej mieszkania, kiedy był bezbronny. I osiem pożółkłych zdjęć dziecka, ostatnie zrobione jesienią 1984 roku na Jesus Lane w Cambridge.

Zahara - Sewilla

Samochód przejechał obok willi, nie zwalniając. Malutkie podwórko było puste, zdawało jej się jednak, że dostrzegła ruch w jednym z okien. Szakale, pomyślała. Rozgrzebują kości. To się w końcu zdarzyło. Jej życie chybotąło się na skraju turni i w końcu spadło i roztrzaskało się o dno doliny. To prawda, że nikt jej do niczego nie zmuszał, ale na dłuższą metę to Kim pociągnął ją w dół. Charlotte nie była pierwsza; Kim pozostawiał po sobie wiele ludzkich szczątków. Znowu pomyślała o wiktoriańskiej kasetce pod biurkiem. Oni wiedzą, pomyślała. Może nie wszystko, ale wiedzą.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Niedaleko - odrzekł niebieskooki Anglik.

W tej chwili jej zegarek Seiko zapiszczał.

- Tabletki! - zawołała. - Nie mogę nigdzie jechać bez tabletek. Proszę zawrócić.

- Proszę się nie martwić, madame Bettencourt. - Wyciągnął bursztynową buteleczkę z kieszeni marynarki. - Te?

- Te drugie.

Podał jej drugą fiolkę. Wytrząsnęła tabletkę na dłoń i połknęła, nie popijając. To chyba zrobiło na nim wrażenie. Domu nie było już widać. Charlotte zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze go zobaczy. Już dawno nie oddalała się od niego bardziej niż na odległość spaceru. Kiedy była młodsza, zjeżdżała Hiszpanię wzdłuż i wszerz samochodem. Pieniądze towarzysza Ławrowa pozwalały jej na takie życie. Ale teraz nie mogła już

prowadzić i jej świat się skurczył. Owszem, mogłaby podróżować autobusem, ale ta perspektywa jej nie pociągała – wszyscy ci spoceni proletariusze, ich kanapki z czosnkiem i wyjące dzieci. Charlotte była socjalistką, a nawet komunistką, ale jej oddanie sprawie rewolucji nie obejmowało kwestii publicznego transportu.

Dolina pozieleniała po zimowych deszczach. Rosenkrantz prowadził tylko lewą ręką. Prawą wystukiwał nerwowy rytm na desce rozdzielczej. Charlotte to denerwowało.

- Czy on zawsze tak robi? - zapytała Anglika, ale ten tylko się uśmiechnął.

Zbliżali się do zjazdu na A375. Na znaku drogowym, który mignął za oknem, napisane było: Sewilla. Rosenkrantz zjechał, nie zwalniając ani nie włączając kierunkowskazu. Podobnie zrobił samochód jadący przed nimi, zauważyła Charlotte, a także ten za nimi.

- Jak długo jeszcze? - zapytała.

- Jakies półtorej godziny - odparł Anglik.

- Może trochę krócej, kiedy on prowadzi. - Z dezaprobatą uniosła brwi i spojrzała na Rosenkrantza.

Anglik obejrzał się przez ramię.

- Czy nadal jadą za nami? - zapytała.

- Kto?

Wiedziała, że nie należy pytać po raz drugi. Po tabletkce ogarnęła ją senność. Samochód unosił się i opadał, jadąc po wzgórzach, ciepłe słońce ogrzewało jej policzek. Oparła głowę o zagłówek i przymknęła oczy. Po części chyba nie mogła się już doczekać. Od bardzo dawna nie była w Sewilli.

Obudziła się i zobaczyła przed sobą La Giralde,

przekształconą w minaret dzwonnice katedry sewilskiej wznoszącą się nad Barrio de Santa Cruz, starą dzielnicą żydowską. Zatrzymali się w wąskiej bocznej uliczce przy amerykańskiej kawiarni. Zmarszczyła czoło, patrząc na wszechobecny biało-zielony szyld.

- One są wszędzie - powiedział Anglik, gdy zauważył jej reakcję.

- Nie w Zaharze. Mamy mentalność górskiej wioski.

Anglik uśmiechnął się, jakby ten sposób myślenia był mu znajomy.

- Obawiam się, że dalej nie możemy podjechać. Czy może pani kawałek przejść?

- Czy mogę? - Charlotte miała ochotę powiedzieć mu, że codziennie przechodzi ze dwa kilometry. Mogła mu nawet powiedzieć, ile dokładnie kroków robi dziennie, ale nie chciała, by uznał ją za wariatkę. - Tak, mogę - odrzekła. - Zawsze lubiłam chodzić po Sewilli.

Niski mężczyzna o potarganych włosach stał teraz przy drzwiach, uważny niczym lokaj. Charlotte wzięła go za rękę. Była mocna i sucha, jakby przez większość czasu przekopywał przesuszoną ziemię.

- A moje zakupy? - zapytała. - Zepsują się, jeśli zostawicie je w bagażniku.

Niski mężczyzna popatrzył na nią w milczeniu. Zauważyła, że jest typem milczącego obserwatora. Anglik wskazał ręką w stronę La Giraldy i powiedział:

- Tędy, proszę.

Ta życzliwość zaczęła ją denerwować niemal równie mocno jak postukiwanie palcami jego przyjaciela. Wszystkie uśmiechy na świecie nie mogły ukryć tego, że była więźniem. Pomyślała,

że jeśli jeszcze raz usłyszy słowo „proszę”, to zademonstruje mu swój legendarny temperament, którego obawiał się nawet Kim.

Szli wąskimi alejkami, zagłębiając się w dzielnicę, aż dotarli do mauretańskiej bramy, za którą znajdował się dziedziniec otoczony arkadami, ocieniony i przesycony zapachem drzew pomarańczowych. Czekał tam na nich mężczyzna wpatrzony w bulgoczącą fontannę. Gwałtownie podniósł głowę, jakby zdziwiony jej przybyciem, i popatrzył na nią z nieskrywaną ciekawością. Charlotte również na niego patrzyła, bo od razu go rozpoznała. Zdradziły go oczy. To był Izraelczyk, którego obwiniano za śmierć tego rosyjskiego agenta w Wiedniu.

- Tak myślałam, że to będzie pan - odezwała się po chwili.

Uśmiechnął się szeroko.

- Czy powiedziałam coś zabawnego?

- Podobnych słów użył Kim Philby, kiedy Nicholas Elliott przyjechał do Bejrutu i oskarżył go szpiegostwo.

- Wiem - odrzekła Charlotte. - Kim mi o tym opowiadał.

Sewilla

Pokój, do którego Gabriel wprowadził Charlotte Bettencourt, był ponury, wyłożony boazerią i obwieszony licznymi obrazami o podejrzanej proveniencji, pociemniałymi za sprawą czasu i zaniedbania. Oprawne w skórę wydania wielkich dzieł spoczywały na ciężkich drewnianych półkach, a na siedemnastowiecznym kredensie stał złożony zegar wskazujący błędną godzinę. Jedna rzecz wydawała się tu nie na miejscu: na niskim stole pośrodku pokoju spoczywała stara drewniana wiktoriańska kasetka ze spłowiałą i popękaną politurą.

Charlotte Bettencourt jeszcze jej nie zauważyła; na razie rozglądała się po otoczeniu z wyraźną dezaprobatą. A może, pomyślał Gabriel, to wewnątrz wydawało jej się znajome. Jej nazwisko i postawa sugerowały arystokratyczne pochodzenie. Mimo podeszłego wieku była wyprostowana jak tancerka. Wyobrazil sobie jej twarz, gdy miała mniej więcej dwadzieścia cztery lata i pojechała do Bejrutu, by zająć się dziennikarstwem. Tam z powodów, których Gabriel nie potrafił na razie przeniknąć, zadawała się z ludźmi takimi jak Kim Philby. Miłość była jednym możliwym wytłumaczeniem tego przyciągania, a drugim – polityka. A może chodzi o połączenie jednego i drugiego? To mogłoby uczynić ją rzeczywiście godną przeciwniczką.

- Czy to pański? – zapytała.
- Przepraszam?
- Ten dom.

- Niestety - odrzekł Gabriel - często muszę polegać na życzliwości obcych.

- To nas z sobą łączy.

Gabriel wbrew sobie musiał się uśmiechnąć.

- A kto jest właścicielem?

- Przyjaciel przyjaciela.

- Żyd?

Gabriel obojętnie wzruszył ramionami.

- Ten pański przyjaciel najwyraźniej jest bogaty.

- Nie tak bogaty jak kiedyś.

- Jaka szkoda. - Spojrzała na złożony zegar, a potem odwróciła się i uważnie przyjrzała Gabrielowi. - Jest pan niższy, niż sądziłam.

- Pani też.

- Ja jestem stara.

- To też nas łączy.

Tym razem to Charlotte Bettencourt uśmiechnęła się, ale uśmiech szybko przygasł, gdy w końcu zauważyła kasetkę.

- Nie mieliście prawa włamywać się do mojego domu i zabierać moich rzeczy. Z drugiej strony sądzę, że moje przestępstwa są znacznie większego kalibru. A teraz chyba ktoś inny zapłaci za to cenę.

Nie odpowiedział; nie ośmielił się. Charlotte Bettencourt patrzyła na Christophera Kellera, który porównywał godzinę na własnym zegarku ręcznym z zegarem na kredensie.

- Pański przyjaciel powiedział, że jest Brytyjczykiem. Czy to prawda?

- Obawiam się, że tak.

- Dlaczego interesuje się pan tą sprawą? Z czyjego polecenia jest pan tutaj?

- W tej sprawie - odrzekł Gabriel kategorycznie - służby wywiadowcze brytyjskie i izraelskie współdziałają z sobą.

- Kim przewróciłby się w grobie.

Gabriel znów wybrał milczenie. Było to znacznie lepsze wyjście niż wyznać Charlotte Bettencourt, gdzie ma opinie Kima Philby'ego na temat Państwa Izrael. Charlotte wciąż patrzyła na Kellera z lekkim rozbawieniem.

- Pański przyjaciel też nie chciał mi powiedzieć, jak udało wam się mnie znaleźć. Może pan mi to powie.

Gabriel uznał, że ten sekret może wyjawić. To było tak dawno temu.

- Znaleźliśmy pani nazwisko w starej teczce MI6.

- Z Bejrutu?

- Tak.

- Kim zapewniał mnie, że nikt o nas nie wie.

- W tej sprawie również się mylił - odrzekł Gabriel chłodno.

- Kto to był? Kto się o nas dowiedział?

- On się nazywał Arthur Seymour.

Uśmiechnęła się przekornie.

- Kim go nie znosił.

- To uczucie było odwzajemnione. - Gabriel miał wrażenie, że rozmawia z postacią z historycznej dioramy. - Arthur Seymour podejrzewał, że Philby od samego początku był sowieckim szpiegiem. Jego przełożeni w Londynie sądzili, że pani również może być szpiegiem.

- Nie. Byłam po prostu młodą kobietą o jasno określonych przekonaniach, której łatwo było zaimponować. - Jej spojrzenie zatrzymało się na drewnianej kasetce. - Ale o tym już wiecie, prawda? Wiecie wszystko.

- Nie wszystko - przyznał Gabriel.

- Czy będę miała jakieś kłopoty prawne?
 - Jest pani obywatelką francuską w zaawansowanym wieku, która mieszka w Hiszpanii.
 - Pieniądze przeszły z ręki do ręki.
 - Prawie zawsze tak jest.
 - Nie w przypadku Kima. Przyjmował trochę pieniędzy, tyle ile trzeba na przeżycie, gdy tego potrzebował. Ale w tym, co robił, motywowała go wiara w komunizm. Podzielałam tę wiarę. Podobnie jak wielu pańskich współwyznawców, panie Allon.
 - Zostałem wychowany w tej wierze.
 - Czy ją pan zachował?
 - To inna rozmowa na inny dzień.
- Znów popatrzyła na kasetkę.
- A co z moim...
 - Obawiam się, że nie mogę dać pani żadnych gwarancji - stwierdził Gabriel.
 - Czy zostanę aresztowana? Czy będzie dochodzenie? Kolejny skandal?
 - Ta decyzja należy do szefa MI6, nie do mnie.
 - To syn Arthura Seymoura, prawda?
 - Tak - odrzekł Gabriel ze zdziwieniem. - To jego syn.
 - Proszę, kto by pomyślał. Wie pan, spotkałam go kiedyś.
 - Arthura Seymoura?
 - Nie, jego syna. To było w barze w hotelu Normandie. Kim bywał złośliwy i chciał mu kupić różowy gin. Jestem pewna, że on tego nie pamięta. Był jeszcze chłopcem. No i to wydarzyło się tak dawno temu. - Uśmiechnęła się z żalem. - Ale za daleko wybiegamy. Może powinniśmy zacząć od początku, panie Allon. Żeby mógł pan lepiej zrozumieć, dlaczego to się zdarzyło.
 - Tak - zgodził się Gabriel. - Chyba powinniśmy tak zrobić.

Sewilla

Wszystko zaczęło się w małej wiosce w pobliżu Nantes w dolinie Loary w zachodniej Francji. Bettencourtowie byli starą rodziną, zasobną w ziemię i dobra materialne. Charlotte pamiętała jeszcze widok niemieckich żołnierzy na uliczkach wioski i uprzejmego kapitana Wehrmachtu, którego zakwaterowano w domku należącym do rodziny. Ojciec Charlotte traktował niemieckich okupantów z szacunkiem – w opinii niektórych mieszkańców wioski zbyt wielkim – a po wojnie szeptano, że był kolaborantem. Komuniści w tym departamencie byli bardzo silni. Dzieci z klasy pracującej bezlitośnie drwiły z małej Charlotte i któregoś dnia próbowały obciąć jej włosy. Może by im się udało, gdyby nie monsignor Jean-Marc, który zainterweniował w jej imieniu. Wiele lat później komisja historyczna oskarżyła również monsignora, przyjaciela rodziny Bettencourtów, o kolaborację.

W 1956 roku Charlotte wyjechała do Paryża, żeby studiować literaturę francuską na Sorbonie. Była to jesień pełna doniosłych politycznych wydarzeń. W końcu października wojska izraelskie, brytyjskie i francuskie próbowały przejąć kontrolę nad Kanałem Sueskim od prezydenta Egiptu Nassera. Na początku listopada sowieckie czołgi wjechały do Budapesztu, by stłumić powstanie węgierskie. Charlotte przy obu tych okazjach sympatyzowała z Moskwą, bowiem już wtedy była zagorzałą komunistką.

Opuściła Sorbonę w 1960 roku i przez następne półtora roku

pisała recenzje i komentarze polityczne dla niedużego pisma literackiego. Znudzona, poprosiła ojca o pieniądze na wyjazd do Bejrutu, bo chciała zostać korespondentką zagraniczną. Ojca zmęczyło polityczne zaangażowanie córki – wówczas już prawie z sobą nie rozmawiali – i z największą radością się jej pozbył. Przyjechała do Libanu w styczniu 1962 roku, wynajęła mieszkanie w pobliżu Uniwersytetu Amerykańskiego i zaczęła pisać artykuły dla kilku lewicowych tytułów francuskich, za które prawie nic jej nie płacono. Ale to nie miało znaczenia, bo żyła z pieniędzy rodziny. Mimo to pragnęła zostawić swój ślad jako prawdziwa dziennikarka. Często szukała rady w dużej społeczności korespondentów zagranicznych, łącznie z tym, który pił przy barze w hotelu Normandie.

- Philby – powiedział Gabriel.

- Kim – poprawiła go Charlotte. – Dla mnie zawsze będzie Kimem.

Siedziała na brzeżku tapicerowanego fotela z rękami złożonymi na kolanach i stopami ustawionymi równo na podłodze. Eli Lavon siedział obok niej i pustym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń jak człowiek na peronie kolejowym, który czeka na opóźniony pociąg. Michaił wyglądał, jakby mierzył się spojrzeniem z postacią na jednym z pociemniałych obrazów, kiepskiej kopii El Greca. Keller, udając obojętność, otworzył mechanizm pozłacanego zegara i grzebał w trybikach.

- Była pani w nim zakochana? – zapytał Gabriel, powoli przechadzając się po pokoju.

- W Kimie? Bardzo.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że nie był moim ojcem.

- Wiedziała pani, że jest sowieckim szpiegiem?

- Niech pan nie mówi głupstw. Kim nigdy nie powierzyłby mi swoich sekretów.

- Ale na pewno musiała pani coś podejrzewać.

- Zapytałam go o to raz i nie pytałam nigdy więcej. Ale było oczywiste, że on bardzo cierpi. Kiedy się kochaliśmy, potem zawsze śniły mu się okropne koszmary. Jego picie... Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak pił.

- Kiedy odkryła pani, że jest pani w ciąży?

- Na początku listopada. Powiedziała mu dopiero w końcu grudnia.

- Jak zareagował?

- Omal nie zabił nas obojga. Prowadził akurat samochód - wyjaśniła. - Kobieta nie powinna nigdy mówić kochankowi, że jest w ciąży, kiedy on siedzi za kierownicą, szczególnie jeśli do tego jeszcze jest pijany.

- Był zły?

- Udawał, że jest zły, ale myślę, że chyba złamałam mu serce. Może pan mówić o Kimie, co pan chce, ale uwielbiał swoje dzieci. Pewnie pomyślał, że nigdy nie zobaczy tego, które nosiłam.

- Pewnie tak - zauważył Gabriel. - Czy wysunęła pani wobec niego jakieś żądania?

- Wobec Kima Philby'ego? Nie zwracałam sobie tym głowy. Jego finanse były w okropnym stanie. Nie mógł się ze mną ożenić czy mnie wspierać. Wiedziałałam, że jeśli urodzę to dziecko, będę musiała sama się nim zająć.

Urodziny Philby'ego przypadły w dzień Nowego Roku. Były pięćdziesiąte pierwsze. Charlotte miała nadzieję, że spędzi z nim chociaż kilka minut, on jednak zadzwonił i powiedział, że nie może do niej przyjść. Poprzedniego wieczoru przewrócił się

dwa razy, rozbił sobie głowę i miał podbite oczy. Powoływał się na okropny wygląd jako pretekst, by nie widywać się z nią przez kolejne dwa tygodnie. Prawdziwym powodem było to, stwierdziła Charlotte, że do Bejrutu przyjechał Nicholas Elliott.

- Kiedy zobaczyła się z nim pani znowu?

- Dwudziestego trzeciego.

- Tego dnia, kiedy uciekł z Bejrutu.

Skinęła głową.

- Przyszedł do mnie późnym popołudniem. Wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Lał deszcz i był zupełnie przemoczony. Powiedział, że może zostać tylko kilka minut. Miał się spotkać z Eleanor na kolacji w domu pierwszego sekretarza Ambasady Brytyjskiej. Próbowałam go zaciągnąć do łóżka, ale odepchnął mnie i poprosił o drinka. Powiedział, że Nicholas oskarżył go szpiegowanie dla Sowieców.

- A on zaprzeczył?

- Nie - odparła Charlotte z naciskiem. - Nie zaprzeczył.

- Jak dużo pani powiedział?

- Znacznie więcej niż powinien. A potem dał mi kopertę.

- Co w niej było?

- Pieniądze.

- Na dziecko?

Powoli skinęła głową.

- Czy mówił, skąd wziął te pieniądze?

- Nie. Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że wziął je od Pietuchowa, swojego kontaktu z KGB w Bejrucie. Kim wyjechał później tego wieczoru na pokładzie radzieckiego statku towarowego Dołmatowa. Nigdy więcej go nie widziałam.

- Nigdy?

- Nie, monsieur Allon. Nigdy.

Kiedy rozeszła się wiadomość o dezercji Philby'ego, Charlotte przez jakiś czas zastanawiała się nad napisaniem o nim artykułu z osobistego punktu widzenia.

- Kim Philby, jakiego znałam i kochałam. Tego rodzaju bzdury.

Zamiast tego napisała kilka artykułów, w którym nie było nawet wzmianki o ich związku i czekała, aż dziecko się urodzi. Urodziła je w bejruckim szpitalu, sama, późną wiosną 1963 roku.

- I nie powiedziała pani o tym rodzinie?

- Wtedy nie.

- A Ambasadzie Francuskiej?

- Złożyłam odpowiednie deklaracje i wydano mi paszport.

- Zakładam, że był również akt urodzenia.

- Oczywiście.

- Kogo wpisała pani jako ojca dziecka?

- Philby'ego - odrzekła nieco defensywnym tonem. - Harolda Adriana Russella.

- A nazwisko dziecka?

- Bettencourt.

- A imię? - naciskał Gabriel. - Pierwsze imię.

Charlotte Bettencourt patrzyła na drewnianą kasetkę.

- Zna pan już imię dziecka, monsieur Allon. Proszę, niech pan mnie nie zmusza do kolejnej zdrady.

Gabriel nie zrobił tego. Ani wtedy, ani nigdy.

- Wróciła pani do Francji w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym - odpowiedział.

- W zimie.

- I dokąd pani pojechała?

Odrzekła, że pojechała do wioski w pobliżu Nantes w dolinie Loary w zachodniej Francji.

- Rodzice musieli być zdziwieni.
- Łagodnie mówiąc. Ojciec mnie odesłał, oświadczył, że mam nigdy nie wracać.
- Czy powiedziała pani rodzicom, kim jest ojciec dziecka?
- Gdybym to zrobiła, tylko pogorszyłabym sytuację.
- Czy powiedziała pani komukolwiek?
- Nie, nikomu. Nigdy.
- A co z aktem urodzenia?
- Zgubiłam go.
- Jakie to wygodne.
- Owszem.
- Co naprawdę się z nim stało?

Spojrzała na drewnianą szkatułkę i odwróciła wzrok. Na dziedzińcu trzech strażników w narastającym zmroku wyglądało jak posągi. Eli Lavon wciąż czekał na swój pociąg, ale Keller i Michaił patrzyli teraz na Charlotte Bettencourt jak zaczarowani. Zegar całkiem stanął. Gabriel miał wrażenie, że jego serce również się zatrzymało.

- I dokąd pojechała pani potem? - zapytał.

Wróciła do Paryża, tym razem z małym dzieckiem. Zamieszkała w pokoju na strychu w Dzielnicy Łacińskiej. Ojciec obciął jej finansowanie i Charlotte teraz tylko na tyle mogła sobie pozwolić. Matka przy każdej wizycie dawała jej kilka franków, ale ojciec nie chciał przyjąć istnienia dziecka do wiadomości. Wydawało się, że Kim też. Ale dziecko z każdym mijającym rokiem stawało się coraz bardziej do niego podobne. Te same niebieskie oczy, ten sam lok na czole. Nawet nieco się zacinało, ale to minęło, gdy skończyło osiem lat. Charlotte porzuciła dziennikarstwo i poświęciła się partii i rewolucji.

Nie miała pieniędzy, ale niewiele potrzebowała. Mieszkała

w Paryżu i całe to wspaniałe miasto należało do niej. Ona i dziecko mieli głupią zabawę: liczyli kroki między ulubionymi miejscami. Ile kroków jest z Luwru do Notre Dame? Ile od Łuku Triumfalnego do placu Zgody? Od wieży Eiffla do placu Inwalidów?

Osiemdziesiąt siedem kroków dzieliło ich mieszkanie na strychu od podwórza, a kolejne trzydzieści osiem prowadziło do drzwi wychodzących na rue Saint-Jacques. I tam właśnie w ciepły letni dzień 1974 roku, kiedy większość paryżan mądrze wyjechała z miasta, czekał pewien mężczyzna.

- Jaki to był dzień? - zapytał Gabriel.

- Sierpniowy - odparła Charlotte. - Dzień po rezygnacji Nixona.

- To znaczy, że dziesiąty.

- Skoro pan tak mówi.

- Nazwisko tego człowieka?

- Wtedy przedstawił się jako towarzysz Ławrow.

- A kiedy indziej?

- Sasza - odpowiedziała. - Używał imienia Sasza.

Sewilla

- Był chudy, jakby wyszedł z gułagu - ciągnęła Charlotte - i blady jak woskowa świeca. Do czaszki przyklejonych miał kilka kosmyków cienkich brudnych włosów. Wysokie czoło nadawało mu inteligentny wygląd. Oczy były małe, o zaczerwienionych obwódkach, zęby szare i nierówne. Nosił tweedową marynarkę, zbyt ciężką na upalną pogodę, i niegdyś białą, a teraz poszarzałą koszulę, jakby zbyt wiele razy prano ją w kuchennym zlewie. Broda domagała się przycięcia.

- Broda?

- Miał małą bródkę. - Przesunęła kciukiem i palcem wskazującym od górnej wargi do podbródka.

- Jak Lenin? - zapytał Gabriel.

- Młodszy Lenin. Lenin na wygnaniu. Lenin w Londynie.

- I co sprowadziło go do Paryża?

- Powiedział, że ma list.

- Od Philby'ego?

- Nie wymienił tego nazwiska. Powiedział, że ma list od mężczyzny, którego znałam w Bejrucie. Od słynnego dziennikarza angielskiego. - Zniżyła głos, nadając mu męskie brzmienie, i dodała mocny rosyjski akcent. - „Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności? Sprawa, o której chcę pomówić, jest bardzo delikatnej natury”. Zasugerowałam bistro po drugiej stronie ulicy - teraz już mówiła swoim normalnym głosem - ale on uznał, że lepsze będzie moje mieszkanie. Wyjaśniłam, że jest bardzo skromne, ale odpowiedział, że o tym

wie.

- A to znaczy, że obserwował panią przez jakiś czas.
- On pochodził z pańskiego świata, nie z mojego.
- A ten list?

Był napisany na maszynie - zupełnie nie w stylu Kima - i niepodpisany. Mimo to wiedziała, że słowa pochodzą od niego. Przepraszał, że oszukał ją w Bejrucie i pisał, że chciałby odnowić znajomość. W ramach tej odnowy chciał zobaczyć dziecko. Z oczywistych powodów, pisał, to spotkanie nie może się odbyć we Francji.

- Chciał, żeby przyjechała pani do Moskwy?
- Nie ja. Tylko dziecko.
- I zgodziła się pani?
- Tak.
- Dlaczego?

Milczała.

- Bo wciąż go pani kochała? - zasugerował Gabriel.
- Kima? Wtedy nie, już nie. Ale wciąż kochałam idee Kima.
- I co to były za idee?
- Oddanie rewolucji. - Po chwili dodała: - Poświęcenie.
- Nie wspomniała pani o zdradzie.

Zignorowała te słowa i wyjaśniła, że Sasza razem z dzieckiem wyjechał z Paryża jeszcze tego samego wieczoru, pociągiem do Niemiec. Samochodem przekroczyli granicę Niemiec Wschodnich, dotarli do Warszawy i stamtąd polecili do Moskwy, dziecko na fałszywym rosyjskim paszporcie. Mieszkanie Philby'ego mieściło się przy placu Puszkina, było ukryte w wąskiej uliczce w pobliżu starego kościoła między ulicą Twerską a Patriarszymi Prudami. Mieszkał tam z Rufiną, rosyjską żoną.

- Czwartą - dodała Charlotte Bettencourt jadownicie.
- Jak długo...
- Trzy dni.
- Przypuszczam, że była kolejna wizyta.
- Na Boże Narodzenie tego samego roku.
- Znowu w Moskwie?
- Dziesięć dni. - Skinęła głową.
- A następna wizyta?
- Następnego lata. Miesiąc.
- Miesiąc to bardzo dużo czasu.
- Przyznaję, że to było dla mnie trudne.
- A potem?
- Sasza znowu przyjechał do mnie do Paryża.

Spotkali się na ławce w parku, podobnie jak Philby z Ottonem czterdzieści lat wcześniej. Tym razem nie był to Regent's Park, tylko ogród Tuileries. Sasza powiedział, że moskiewska Centrala rozkazała mu rozpocząć historyczne przedsięwzięcie na rzecz międzynarodowego pokoju. Kim miał być jego partnerem w tym przedsięwzięciu. Życzeniem Saszy i Kima było, żeby Charlotte również do nich dołączyła.

- Jaka miała być pani rola w tym przedsięwzięciu?
- Krótkie małżeństwo. I olbrzymie poświęcenie.
- Kto był szczęśliwym panem młodym?
- Anglik, dobrze ustosunkowany, z rodziny, która też wierzyła w pokój.
- Przez co pani mówi, że był agentem KGB.
- Nigdy mi nie wyjaśniono jego dokładnych relacji z Moskwą. Jego ojciec znał Kima w Cambridge. Był bardzo radykalny i bardzo homoseksualny. Ale to nie miało znaczenia, nie

chodziło przecież o prawdziwe małżeństwo.

- Gdzie wzięliście ślub?

- W Anglii.

- W kościele?

- Cywilny.

- Czy pani rodzina była obecna?

- Oczywiście, że nie.

- Jak długo trwał ten związek?

- Dwa lata. Nie byliśmy sobie przeznaczeni, monsieur Allon.

To nie Bóg nas złączył, tylko Centrala Moskwa.

- A co było powodem rozwodu?

- Zdrada.

- Jakież to adekwatne.

- Rzekomo zostałam przyłapana na gorącym uczynku z jednym z najbliższych przyjaciół męża. Wybuchł wielki skandal. Drugą przyczyną było to, że za dużo piłam, przez co nie nadawałam się na matkę. Ze względu na dobro dziecka zgodziłam się zrezygnować z opieki nad nim.

Nastąpił długi i bolesny okres rozdzielania, żeby dziecko mogło stać się angielskie do szpiku kości. Charlotte przez jakiś czas mieszkała w Paryżu, a potem, na żądanie Centrali, przeniosła się do *pueblo blanco* w górach Andaluzji, gdzie nikt nie miał jej znaleźć. Na początku dostawała listy, ale wkrótce przestały nadchodzić. Sasza twierdził, że listy utrudniają adaptację.

Od czasu do czasu Charlotte otrzymywała niejasne, nijakie wiadomości, na przykład takie jak ta, która nadeszła w 1981 roku i dotyczyła przyjęcia na elitarny uniwersytet brytyjski. Nie poinformowano jej, jaki to był uniwersytet, ale Charlotte wystarczająco dobrze znała przeszłość Kima, by się domyślić.

Nie informując o tym Saszy, wróciła do Anglii w 1984 roku i pojechała do Cambridge. I tam, na Jesus Lane, zobaczyła swoje dziecko zdrady, dziecko Philby'ego, jak szło w cieniu rzucanym przez wysokie mury z czerwonej cegły, z niesfornym lokiem opadającym na niebieskie oko. Niespostrzeżenie zrobiła zdjęcie.

- To był ostatni raz, kiedy... - zawiesiła głos.

- A po Cambridge?

Poinformowano ją, że przedsięwzięcie się powiodło. Nie poinformowano jej, który to był wydział wywiadu brytyjskiego, przypuszczała jednak, że MI6. Kim, stwierdziła, nigdy nie zgodziłby się na MI5 po tym, jak MI5 bezlitośnie dążyło do jego ujawnienia.

- I przez wszystkie te lata nie miała pani żadnego kontaktu?

- Od czasu do czasu dostaję list, kilka pustych linijek, z pewnością napisanych w Moskwie. Nie ma tam informacji o pracy ani o życiu osobistym, nic, co mogłabym wykorzystać, żeby...

- Żeby odnaleźć dziecko, które pani porzuciła? - Ta uwaga ją zaboliała. - Przepraszam, pani Bettencourt, ale nie rozumiem, jak...

- W porządku, monsieur Allon. Nie rozumie pan.

- Może mogłaby pani mi to wyjaśnić.

- To były inne czasy. Świat wyglądał inaczej. Oni byli inni.

- Kto?

- Rosjanie. Z naszego punktu widzenia Moskwa była centrum wszechświata. Mieli zmienić świat, a naszą powinnością było im pomóc.

- Pomóc KGB? To były potwory - stwierdził Gabriel. - I nadal są.

Odpowiedziało mu milczenie. Zapytał, kiedy po raz ostatni dostała list.

- Jakies dwa tygodnie temu.

Gabriel starannie ukrył poruszenie.

- Jak go pani dostarczono?

- Przekazał mi go pewien prostak o nazwisku Karpow, z madryckiej rezydentury. Poinformował mnie również, że Centrala chciałaby mnie zaprosić na długie wakacje w Rosji.

- Dlaczego teraz? - zapytał Gabriel.

- Pewnie wie pan to lepiej niż ja, monsieur Allon.

- Dziwi mnie, że nie kazali pani wyjechać już dawno.

- To była część mojej pierwotnej umowy z Kimem i Saszą. Nie chciałam mieszkać w Związku Radzieckim.

- Może to jednak nie była taka marksistowska utopia.

Charlotte Bettencourt przyjęła naganę w pokornym milczeniu. Dokoła nich Sewilla zaczynała ożywać. Słysząc było muzykę i szcęk naczyń z barów i kawiarni na pobliskiej plaży. Wieczorna bryza poruszyła powietrzem na dziedzińcu, wnosząc do pokoju zapach kwiatów pomarańczy i zupełnie nieoczekiwany śmiech młodej kobiety. Charlotte Bettencourt z wyczekiwaniem przechyliła głowę, nasłuchując, a gdy śmiech ucichł, spojrzała na wiktoriańską kasetkę na stole.

- To był prezent od Kima - powiedziała po chwili. - Znalazł ją w sklepiku w chrześcijańskiej dzielnicy Bejrutu. Bardzo odpowiednie, nie sądzi pan? Bardzo w stylu Kima. Dał mi pudełko, w którym mogłam zamknąć swoje sekrety.

- Również jego sekrety - stwierdził Gabriel. Podniósł pokrywę i wyjął ze środka plik kopert przewiązanych wypłowiałą fioletową wstążką. - Sporo tego.

- W ciągu dwóch pierwszych tygodni naszego romansu

czasami dostawałam dwa listy dziennie.

Gabriel znów sięgnął do pudełka i tym razem wyjął pojedynczą kartkę – akt urodzenia wystawiony w szpitalu Saint George w Bejrucie, najstarszym szpitalu w Libanie, z datą 26 maja 1963 roku. Wskazał imię dziecka.

- Czy to imię zostało później zmienione?

- Nie. Okazało się, że było wystarczająco angielskie.

- Podobnie jak pani imię. - Gabriel znów sięgnął do skarbca tajemnic Kima Philby'ego i tym razem wybrał brytyjski akt małżeństwa z kwietnia 1977 roku. - Ślub wiosną. Musiał być uroczy.

- To był bardzo skromny ślub.

Gabriel wskazał nazwisko pana młodego.

- Sądzę, że przyjęła pani to nazwisko.

- Na jakiś czas – odrzekła. - Po rozwodzie znów stałam się Charlotte Bettencourt.

- Ale nie...

- To nie miałyby sensu – przerwała mu. - W końcu to małżeństwo zostało zawarte tylko po to, żeby uzyskać nazwisko i pochodzenie, które otworzyłyby drzwi elitarnego uniwersytetu, a z czasem służb wywiadowczych.

Gabriel położył akt ślubu obok aktu urodzenia i miłosnych listów Philby'ego. Potem po raz ostatni sięgnął do pudełka i wyjął odbitkę zdjęcia z października 1984 roku. Nawet on dostrzegął podobieństwo – niewątpliwie do Philby'ego, lecz również do Charlotte Bettencourt.

- Zrobiła pani zdjęcie i odeszła? – zapytał. - Nic pani nie powiedziała?

- A co miałam powiedzieć?

- Mogła pani błagać o wybaczenie. Mogła pani to wszystko

przerwać.

- Dlaczego miałabym tak zrobić po tym wszystkim, co poświęciłam wcześniej? Niech pan nie zapomina, że zimna wojna trwała w najlepsze. W Białym Domu był ten kowboj Reagan. Amerykanie pompowali pociski nuklearne w Europę Zachodnią.

- I z tego powodu - spytał Gabriel zimno - wyrzekła się pani własnej córki?

- Nie należała tylko do mnie, była również dzieckiem Kima. Ja byłam tylko salonową bojowniczką, ale ona nie. Ona była prawdziwa. Miała zdradę we krwi.

- Podobnie jak pani, madame Bettencourt.

- Wszystko, co zrobiłam, robiłam ze względu na głos sumienia.

- Pani nie ma sumienia. Philby też go nie miał.

- Kim - poprawiła go. - Dla mnie on zawsze będzie Kimem.

Patrzyła na zdjęcie - nie z wyrazem cierpienia, zauważył Gabriel, lecz dumy.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego pani to zrobiła?

- Czy jest odpowiedź, którą uznałby pan za wystarczającą?

- Nie.

- W takim razie, monsieur Allon, lepiej zostawmy to przeszłości.

- Tak - zgodził się Gabriel. - Chyba powinniśmy tak zrobić.

Część trzecia

NAD RZEKĄ

Sewilla - Londyn

Następnego ranka było kilka lotów z Sewilli do Londynu, ale Gabriel i Christopher Keller pojechali samochodem do Lizbony, zakładając, że Centrala Moskwa będzie sprawdzać listy pasażerów w samolotach wylatujących z Hiszpanii. Keller zapłacił za bilety kartą kredytową wystawioną na Petera Marlowe'a. Tego nazwiska używał jako pracownik MI6. Nie poinformował Vauxhall Cross, że wraca na brytyjską ziemię, a Gabriel również nie alarmował swojej placówki. Nie miał bagażu, tylko walizeczkę stworzoną w Biurze. W ukrytej przegródce znajdowały się trzy przedmioty zabrane z wiktoriańskiej kasetki, którą Kim Philby podarował Charlotte Bettencourt na dwudzieste piąte urodziny: akt urodzenia, akt ślubu oraz zdjęcie zrobione w Cambridge na Jesus Lane bez wiedzy fotografowanej osoby. Na smartfonie Gabriela były fotografie pozostałych przedmiotów z pudełka: głupich listów miłosnych, notatników, początków wspomnień, wiele prywatnych zdjęć Philby'ego zrobionych w bejruckim mieszkaniu Charlotte Bettencourt. Sama madame Bettencourt pozostała w domu w Sewilli pod ochroną Biura.

Samolot wylądował na Heathrow kilka minut po dziesiątej. Gabriel i Keller przeszli przez kontrolę paszportową osobno i znów się spotkali pośród chaosu sali przylotów. Służbowe blackberry Kellera zapiszczało kilka sekund później.

- Odkryli nas.
- Od kogo ta wiadomość?

- Od Nigela Whitcombe'a. Widocznie obserwował moją kartę kredytową. Chce nas podrzucić do miasta.

- Podziękuj mu, ale powiedz, że nie.

Keller ze zmarszczonym czołem popatrzył na kolejkę na postoju taksówek.

- A co by to zaszkodziło?

- To zależy, czy Rosjanie obserwowali Nigela od Vauxhall Cross.

- Już tu jest.

Keller ruchem głowy wskazał pięciodrzwiowego forda, który czekał przy drzwiach terminalu, błyskając światłami. Gabriel niechętnie wyszedł za nim z terminalu i usiadł z tyłu. Po chwili pędzili M40 w stronę centrum Londynu. Whitcombe napotkał spojrzenie Gabriela w lusterku wstecznym.

- Szef kazał mi was zabrać do bezpiecznego domu w Stockwell.

- Wykluczone. Zabierz nas na Bayswater Road.

- To nie jest najbezpieczniejsze z bezpiecznych mieszkań.

- Wasze też nie - mruknął Gabriel pod nosem. Chmury były niskie i ciężkie; jeszcze się porządnie nie rozjaśniło. - Jak długo szef zamierza kazać mi czekać?

- Do południa ma spotkanie z Połączonym Komitetem Wywiadów. Potem wybiera się na Downing Street na prywatny lunch z premierem.

Gabriel zaklął cicho.

- Czy mam mu powiedzieć, żeby odwołał ten lunch?

- Nie. Ważne, żeby nic nie zmieniał w normalnym rozkładzie zajęć.

- To nie brzmi dobrze.

- Bo nie jest dobrze - odparł Gabriel. - Nie mogłoby być

gorzej.

To prawda, że bezpieczne mieszkanie Biura przy Bayswater Road przestało być zupełnie bezpieczne. Gabriel używał go tak często, że Wydział Gospodarczy nazywał je jego londyńską garsonierą. Ostatnio był tu pół roku wcześniej, tej nocy, gdy razem z Kellerem wrócili do Londynu po zabiciu Saladyna w Maroku. Wówczas w bezpiecznym mieszkaniu czekała na niego Chiara. Zjedli razem kolację o północy, Gabriel przespał się kilka godzin, a rankiem za barierą bezpieczeństwa przy Downing Street obaj z Kellerem zabili terrorystę ISIS uzbrojonego w radiologiczne urządzenie rozpraszające, brudną bombę. Razem oszczędzili Wielkiej Brytanii upokorzenia, a teraz przywozili upokorzenie na próg tego kraju.

Wydział Gospodarczy zostawił kilka starych produktów w spiżarni oraz berettę, kaliber 9 mm, z orzechową kolbą w szafie sypialni. Gabriel podgrzał puszkę minestrone, a tymczasem Keller obserwował przez okno sypialni ruch uliczny oraz człowieka, który niejasno przypominał Rosjanina i siedział na ławce w Hyde Parku. Odszedł stamtąd o wpół do pierwszej i jego miejsce zajęła kobieta. Keller wsunął naładowany magazynek do beretty i umieścił w komorze pierwszy nabój. Gabriel usłyszał ten dźwięk, wsunął głowę do pokoju i pytająco uniósł brwi.

- Może Nigel miał rację - powiedział Keller. - Może powinniśmy pójść do jednego z naszych bezpiecznych mieszkań.

- MI6 nie ma już żadnych bezpiecznych mieszkań.

- W takim razie chodźmy gdzie indziej. Tu zaczynam się bać.

- Dlaczego?

- Przez nią. - Keller wskazał na park.

Gabriel podszedł do okna.

- Na imię ma Awiwa. To jedna z naszych.

- Kiedy skontaktowałeś się z placówką?

- Nie kontaktowałem się. Widocznie bulwar Króla Saula zawiadomił ich, że przyjeżdżam.

- Miejmy nadzieję, że Rosjanie tego nie słyszeli.

Dwadzieścia minut później kobieta opuściła ławkę i jej miejsce zajął ten sam mężczyzna co poprzednio.

- To Nir - powiedział Gabriel. - Pierwszy ochroniarz ambasadora.

Keller sprawdził godzinę. Dochodziła pierwsza.

- Jak długo trwa lunch premiera z szefem wywiadu?

- To zależy, o czym rozmawiają.

- A gdyby szef wywiadu wyznał premierowi, że jego służby są zupełnie zinfiltrowane przez Rosjan? - Keller powoli potrząsnął głową. - Będziemy musieli odbudować MI6 od początku. To będzie skandal, który wyciszy wszystkie inne.

Gabriel milczał.

- Czy myślisz, że on to przetrwa? - zapytał Keller.

- Graham? To pewnie zależy, jak do tego podejzie.

- Areszt i proces będą paskudne.

- A jaki ma wybór?

Keller milczał. Wpatrywał się w swój telefon.

- Graham wyszedł z Downing Street. Jedzie tutaj. - Podniósł wzrok znad telefonu. - A właściwie już tu jest.

Gabriel patrzył na zbliżającą się limuzynę marki jaguar.

- Szybko się uwinął.

- Pewnie nie zjadł deseru.

Samochód zatrzymał się przy wejściu do budynku. Z ponurą

miną wysiadł z niego Graham Seymour.

- Wygląda, jakby szedł na pogrzeb - zauważył Keller.
- Kolejny pogrzeb - dodał Gabriel.
- Zastanawiałaś się już, jak mu to powiesz?
- Nie muszę mu mówić ani słowa.

Gabriel otworzył walizeczkę i wyjął trzy przedmioty z ukrytej przegródki: akt urodzenia, akt ślubu i zdjęcie zrobione na Jesus Lane w Cambridge bez wiedzy osoby fotografowanej. Niedobrze, pomyślał. Nie mogłoby być gorzej.

Bayswater Road, Londyn

Akt urodzenia został wydany przez szpital Saint George w Bejrucie 26 maja 1963 roku. Matka nazywała się Charlotte Bettencourt, a ojciec Harold Adrian Russell Philby. Dziewczynka ważyła przy urodzeniu niecałe trzy i pół kilograma, nadano jej imię Rebecca. Otrzymała nazwisko matki, a nie ojca, bo był wówczas żonaty z inną kobietą, ale dostała nowe, gdy Charlotte Bettencourt wyszła za Roberta Manninga podczas uroczystości cywilnej w Londynie 2 listopada 1976 roku. Szybkie sprawdzenie archiwum przyjęć na uniwersytecie Cambridge potwierdziło, że Rebecca Manning wstąpiła do Trinity College jesienią 1981 roku. A sprawdzenie rejestrów imigracyjnych Wielkiej Brytanii podobnie potwierdziło, że Charlotte Bettencourt wjechała do kraju w 1984 roku. Podczas krótkiego pobytu zrobiła z ukrycia zdjęcie Rebecce Manning, która szła przez Jesus Lane, i to zdjęcie przekazała Allonowi w domu w Sewilli. To dowodziło bez cienia wątpliwości, że szefowa waszyngtońskiej placówki MI6 była nieślubnym dzieckiem największego szpiega w historii i wieloletnią agentką rosyjską. W branżowym żargonie była kretem.

- Chyba że znajdziesz inne wyjaśnienie - powiedział Gabriel.
- Na przykład jakie?
- że MI6 wiedziało o niej od początku. Że przewerbowowałaś ją i rozgrywałaś przeciwko Centrali Moskwa. Że jest największą podwójną agentką w historii.
- Gdyby to tylko była prawda... - Seymour wpatrywał się

w zdjęcie niemal z niedowierzaniem.

- Czy to ona? - zapytał Gabriel.

- Nigdy jej nie spotkałeś przy jakiejś zawodowej okazji?

- Nigdy nie miałem przyjemności.

- To ona - stwierdził Seymour po chwili. - Oczywiście młodsza, ale to z całą pewnością Rebecca Manning.

Dopiero teraz po raz pierwszy wymienił jej nazwisko.

- Czy kiedykolwiek...

- Podejrzywałem, że jest rosyjskim szpiegiem? Nieślubną córką Kima Philby'ego?

Gabriel milczał.

- W takich chwilach - ciągnął Seymour - sporządza się w głowie listę nazwisk, tak jak wtedy, kiedy podejrzewa się żonę o niewierność. Czy to ten? A może tamten?

- A co z nią? - Gabriel wskazał zdjęcie ruchem głowy.

- To ja mianowałem Rebecę na szefową placówki w Waszyngtonie. Nie muszę chyba mówić, że nie miałem żadnych wątpliwości co do jej lojalności.

Keller patrzył na Bayswater Road, jakby zupełnie nie zauważał dwóch wielkich szpiegów siedzących naprzeciwko siebie przy laminowanym stoliku.

- Na pewno - powiedział Gabriel - musiałeś dokładnie przejrzeć jej teczkę, zanim mianowałeś ją na to stanowisko.

- Oczywiście.

- I nic przeciwko niej nie znalazłeś?

- Jejteczka osobista jest bez zarzutu.

- A dzieciństwo? Urodziła się w Bejrucie, matka była obywatelką francuską, a potem zniknęła z jej życia, kiedy Rebecca była jeszcze dzieckiem.

- Ale Robert Manning pochodził z odpowiedniej rodziny.

- Dlatego właśnie Philby go wybrał - wtrącił Gabriel.
 - Wykładowcy z Cambridge mieli o niej doskonałą opinię.
 - Philby ich również wybrał. Wiedział, za jakie sznurki pociągnąć, żeby Rebecca dostała pracę w MI6. Kiedyś sam to robił. - Gabriel wziął do ręki akt urodzenia. - I twoi weryfikatorzy nie zauważyli nigdy, że nazwisko jej matki pojawiała się w depe szach twojego ojca z Bejrutu? - Wyrecytował z pamięci odpowiedni fragment. - „Nazwisko tej innej kobiety brzmi Charlotte Bettencourt. Wiarygodne źródło twierdzi, że mademoiselle Bettencourt jest w kilkumiesięcznej ciąży”.
 - Najwyraźniej weryfikatorzy nie skojarzyli jednego z drugim
 - stwierdził Seymour.
 - Wystarczy proste badanie krwi.
 - Nie potrzebuję badania krwi. - Seymour patrzył na fotografię Rebekki Manning w Cambridge. - To ta sama twarz, którą jako chłopiec widziałem w barze hotelu Normandie.
 - A tak swoją drogą, jej matka cię pamięta.
 - Naprawdę?
 - Pamięta też twojego ojca.
- Seymour rzucił fotografię na stolik.
- Gdzie ona teraz jest? Nadal w Sewilli?
- Gabriel skinął głową.
- Poleciałem, żeby tam została, dopóki nie wsadzisz Rebekki do aresztu. Ale na twoim miejscu działałbym szybko. Rosjanie zauważą, że już nie ma jej w Zaharze.
 - Mam aresztować Rebecę Manning? - zapytał Seymour. - Z jakiego powodu? Bo jest nieślubną córką Kima Philby'ego?
 - Graham, ona jest rosyjskim kretem. Wymyśl jakiś pretekst, żeby ją ściągnąć do Londynu. Coś, co nie wzbudzi jej podejrzeń.

I zatrzymaj ją w chwili, kiedy wysiądzie z samolotu na Heathrow.

- Czy Rebecca kiedykolwiek rzeczywiście szpiegowała dla Rosjan?

- Oczywiście.

- Muszę mieć dowód - oznajmił Seymour. - Bez tego mam tylko smutną historyjkę o dziecku, któremu KGB wyprało mózg, żeby dokończyło dzieła ojca zdrajcy.

- Przeczytałbym taką książkę.

- Niestety, wielu innych również by ją chętnie przeczytało. - Seymour zamilkł, po czym dodał: - Reputacja służb wywiadowczych zostanie zrujnowana.

Zapadło milczenie. Tym razem przerwał je Gabriel.

- Zarządź całodobową inwigilację, Graham. Obserwacja fizyczna, komórka, internet. W domu i w biurze. W końcu na czymś się potknie.

- Zapominasz, kim był jej ojciec.

- To ja się do tego dokopałem.

- To cudowne dziecko - bronił się Seymour. - Philby nigdy się nie wsypał i ona też tego nie zrobi.

- Jestem pewien, że obaj z Christopherem coś wymyślicie. - Gabriel rzucił akt urodzenia na fotografię. - Muszę jechać na lotnisko. W domu czekają na mnie pilne sprawy.

Seymour zdobył się na uśmiech.

- I ani trochę cię nie kusi?

- Żeby co?

- Żeby dokończyć to, co zacząłeś.

- Poczekam, aż zrobią o tym film. Poza tym nie mam dobrych przeczuć co do tego, jak to się skończy. - Gabriel podniósł się powoli. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, muszę zamknąć to

mieszkanie. Wydział Gospodarczy będzie miał pretensje, jeśli cię tu zostawię.

Seymour nie ruszył się z miejsca. Patrzył na zegarek.

- Nie zdążysz już na El Al o wpół do czwartej. Może posiedzisz tu jeszcze kilka minut i powiesz mi, co byś zrobił na moim miejscu?

- Żeby co uzyskać?

- Żeby złapać córkę Kima Philby'ego na gorącym uczynku.

- To jest najłatwiejsze. Musisz tylko złapać szpiega, żeby złapać szpiega.

- Jak?

- Za pomocą forda explorera - odparł Gabriel. - Który stoi na rue Saint-Denis w Montrealu.

Seymour się uśmiechnął.

- Słucham cię uważnie. Mów dalej.

Ulica Narkiss, Jerozolima

Była prawie północ, kiedy konwój Gabriela skręcił w ulicę Narkiss. Przed jego domem stała opancerzona limuzyna, a na górze w kuchni paliło się przyćmione światło. Ari Szamron siedział sam przy małym stoliku do kawy, ubrany jak zwykle w wyprasowane spodnie khaki, białą koszulę i skórzaną kurtkę lotniczą z małym rozdarciem na lewym ramieniu. Na stole przed nim leżała nieotwarta paczka tureckich papierosów i stara zapalniczka Zippo. Laska z drzewa oliwnego stała oparta o krzesło naprzeciwko.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś? - zapytał Gabriel.

- Twoja żona. Dzieci już spały, kiedy przyszedłem. - Szamron popatrzył na Gabriela przez brzydkie okulary w stalowych oprawkach. - Brzmi to znajomo?

Gabriel zignorował pytanie.

- Skąd wiedziałeś, że wieczorem wracam?

- Mam wysoko postawione źródło. - Po chwili dodał: - Kreta.

- Tylko jednego?

Szamron uśmiechnął się półgębkiem.

- Dziwię się, że nie czekałeś na Ben Gurionie.

- Nie chciałem się narzucać.

- Odkąd to jesteś taki delikatny?

Uśmiech Szamrona poszerzył się, pogłębiły się zmarszczki w jego starej twarzy. Od jego ostatniej kadencji jako szefa minęło już wiele lat, ale wciąż włączał się w sprawy Biura, jakby to było jego królestwo feudalne. Lata na emeryturze

upływały mu niespokojnie i – podobnie jak w przypadku Kima Philby’ego – przeważnie niezbyt szczęśliwe. Spędzał czas, naprawiając stare radiodbiorniki w warsztacie przy przypominającym fortecę domu w Tyberiadzie na brzegu Jeziora Galilejskiego. Wieczory rezerwował dla Gabriela.

- Mój kret mówi, że ostatnio dużo podróżowałeś.

- Naprawdę tak mówił?

- Nigdy nie zakładaj z góry płci kreta – upomniał go Szamron.

- Kobiety są równie zdolne do zdrady jak mężczyźni.

- Zapamiętam. Co jeszcze kret ci mówi?

- Kret obawia się, że to, co się zaczęło jako szlachetna próba oczyszczenia nazwiska po katastrofie w Wiedniu, przekształciło się w coś w rodzaju obsesji. Kret jest przekonany, że zaniedbujesz obowiązki zawodowe i rodzinę w czasie, kiedy jedno i drugie bardzo cię potrzebuje.

- Kret się myli – stwierdził Gabriel.

- Kret ma nieograniczony dostęp do informacji – odparował Szamron.

- Czy to premier?

Szamron zmarszczył brwi.

- Chyba nie słuchałeś, kiedy mówiłem, że mój kret jest bardzo wysoko postawiony.

- W takim razie to musi być moja żona – stwierdził Gabriel. – To by wyjaśniało, dlaczego nie odważyłeś się zapalić papierosa. Porozmawialiście sobie wieczorem długo i serdecznie, a zanim poszła do łóżka, odczytała ci manifest dotyczący palenia w domu.

- Obawiam się że twoje stanowisko nie pozwala ci poznać prawdziwej tożsamości kreta.

- Rozumiem. W takim razie proszę, powiedz kretowi, że

operacja dobiega już końca i życie niedługo wróci do normy, cokolwiek to znaczy w rodzinie Allonów.

Gabriel wyjął z szafki dwa kieliszki i otworzył butelkę czerwonego wina ze wzgórz Judei.

- Wolałbym kawę - skrzywił się Szamron.

- A ja bym wolał być w łóżku obok żony. Tymczasem wypiję z tobą kieliszek wina, a potem radośnie odeślę cię w ciemną noc.

- Bardzo w to wątpię.

Szamron ujął kieliszek drżącą dłonią pokrytą niebieskimi żyłkami i plamami wątrobowymi. Wyglądała, jakby pożyczył ją od kogoś dwa razy większego od siebie. Wielkie i silne dłonie stanowiły jeden z powodów, dla których wybrano go do operacji Eichmann. Nawet teraz, gdy pojawiał się gdzieś w publicznym miejscu, podchodzili do niego starzejący się ludzie, którzy przetrwali wojnę, tylko po to, żeby dotknąć rąk, które zacisnęły się na szyi tego potwora.

- Czy to prawda? - zapytał.

- Że wolałbym być teraz z żoną, a nie z tobą?

- Że poszukiwanie kreta dobiega końca.

- Jeśli o mnie chodzi, już się skończyło. Mój przyjaciel Graham Seymour chciał, żebym został i obejrzał ostatni akt.

- Ja bym ci radził wybrać inną drogę - zasugerował Szamron z naciskiem.

Gabriel się uśmiechnął.

- Widzę, że obejrzałeś przesłuchanie Siergieja Morozowa.

- Z wielkim zainteresowaniem. Najbardziej podobała mi się ta część o brytyjskim dezercerze, który pracował z sobowtórem Lenina, żeby umieścić kreta w samym sercu brytyjskiego wywiadu. - Szamron zniżył głos. - Sądzę, że nic z tego nie jest

prawdą.

- To wszystko jest prawdą.

- Udało ci się ją znaleźć?

- Tę inną kobietę?

Szamron skinął głową, Gabriel odpowiedział mu tym samym.

- Gdzie?

- W aktach ojca Grahama Seymoura. Na początku lat sześćdziesiątych pracował w Bejrucie.

- Pamiętam - odparł Szamron. - To musiała być ciekawa lektura.

- Zwłaszcza te części, które dotyczyły ciebie.

Szamron wyciągnął rękę w stronę paczki papierosów, ale ją zatrzymał.

- A dziecko?

Gabriel oderwał kartkę z notatnika leżącego na blacie i napisał na niej nazwisko oraz stanowisko Rebekki Manning w MI6. Szamron przeczytał tekst z powagą.

- To ta sama robota, co...

- Tak - powiedział Gabriel. - Dokładnie ta sama robota.

Szamron oddał mu karteczkę i przesunął po stoliku zapalniczkę.

- Chyba powinieneś to spalić.

Gabriel podszedł do zlewu i przytknął płomień zapalniczki do rogu kartki.

- A ostatni akt? - zapytał Szamron. - Pewnie odbędzie się w Waszyngtonie.

Gabriel wrzucił zwęglony papier do zlewu, ale milczał.

- A co z Amerykanami? Uwzględniłeś ich w swoim scenariuszu? Och, nie - dodał pośpiesznie Szamron, odpowiadając na własne pytanie - nie zrobiłeś tego przecież.

W końcu Amerykanie nie mają o niczym pojęcia.

Gabriel odkręcił kran i starannie splukał popiół, a potem znowu usiadł i przesunął zapalniczkę po stole.

- Mów, Ari. Twojemu kretowi nic nie powiem.

Szamron rozerwał celofan na paczce papierosów.

- Graham pewnie chce mieć dowód, że ona rzeczywiście szpieguje dla Rosjan.

- Ma trochę racji.

- I chce, żebyś ty przeprowadził tę operację, bo nie może ufać nikomu z własnych służb.

- To też jest usprawiedliwione - stwierdził Gabriel.

- O ile się nie mylę, a nie mylę się prawie nigdy, pewnie jęczałeś, że nie chcesz brać w tym udziału, a potem potulnie się zgodziłeś.

- To też brzmi znajomo.

- Właściwie cię nie winię. Burgess, Maclean, Philby, Aldrich Ames... to wszystko blednie w porównaniu z tą sprawą.

- Nie dlatego to robię.

- Oczywiście. Niech Bóg broni, żebyś kiedykolwiek miał czerpać przyjemność ze swoich osiągnięć. Po co psuć piękny życiorys? - Szamron wystukał papierosa z paczki. - Ale popadam w dygresje. Miałeś mi powiedzieć, dlaczego ryzykujesz rozwścieczenie najbliższego sojusznika Izraela, prowadząc nielegalną operację w Waszyngtonie.

- Graham obiecał, że będę miał pełny dostęp do informacji, kiedy ona już znajdzie się pod ich kuratelą.

- Doprawdy? - Szamron wsunął papierosa do ust i zapalił. - Wiesz, Gabrielu, jest tylko jedna rzecz gorsza od posiadania szpiega we własnych służbach.

- Co to jest?

- Złapanie go. - Szamron z trzaskiem zamknął zapalniczkę. - Ale to jest najłatwiejsza część. Wystarczy namierzyć sposób komunikacji z Centralą w Moskwie i nakłonić ją do działania. Twój przyjaciel Siergiej Morozow powiedział ci wszystko, co powinieneś wiedzieć. Z przyjemnością pokażę ci istotną część tego przesłuchania.

- Słuchałem go na żywo.

- Będziesz musiał wymyślić, co powiesz Amerykanom - ciągnął Szamron. - Coś, co by wyjaśniało obecność twojego personelu. Spotkanie w placówce powinno wystarczyć. Oczywiście nie uwierzą w ani jedno twoje słowo, a to znaczy, że będziesz musiał działać bardzo ostrożnie.

- Taki mam zamiar.

- Skąd będziesz prowadził tę operację?

- Z Chesapeake Street.

- Narodowy dramat.

- Ale doskonale nadaje się do moich potrzeb.

- Szkoda, że mnie tam nie będzie - powiedział Szamron z żalem - ale plątałbym się tylko pod nogami. Stałem się przedmiotem, który wszyscy ostrożnie obchodzą dokoła, odwracając przy tym wzrok.

- To już jest nas takich dwóch.

Zapadło pełne zrozumienia milczenie. Gabriel pił wino, a Szamron mechanicznie wypalił papierosa do samego końca, jakby się obawiał, że Gabriel nie pozwoli mu zapalić następnego.

- Na początku lat sześćdziesiątych miałem okazję regularnie odwiedzać Bejrut - odezwał się w końcu. - Był taki mały bar zaraz za rogiem dawnej Ambasady Brytyjskiej, Jack's czy Joe's, już nie pamiętam, jak się nazywał. MI6 traktowało go jak swój

klub. Wpadałem tam czasem, żeby posłuchać, o czym rozmawiają. I kogóż to zobaczyłem pewnego popołudnia, kiedy upijał się do nieprzytomności?

- Rozmawiałeś z nim?

- Kusilo mnie, ale po prostu siedziałem przy sąsiednim stoliku i starałem się na niego nie gapić.

- I co sobie myślałeś?

- Jako człowiek, który kocha swój kraj i naród, w żaden sposób nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego zrobił to, co zrobił. Ale podziwiałem go z zawodowego punktu widzenia. - Szamron powoli zgniótł papierosa. - Czytałeś kiedyś jego książkę? Tę, którą napisał w Moskwie po dezercji?

- Po co miałbym tracić czas? Tam nie ma ani słowa prawdy.

- Ale niektóre rzeczy są fascynujące. Wiedziałeś na przykład, że zakopał kamerę i filmy, które dostał od Rosjan, gdzieś w Marylandzie, kiedy się dowiedział, że Burgess i Maclean zdezerterowali? Nigdy tego nie znaleziono. Chyba nikomu nie powiedział, gdzie to było.

- Powiedział dwóm osobom - odrzekł Gabriel.

- Naprawdę? Komu?

Gabriel uśmiechnął się i nalał sobie kolejny kieliszek wina.

- Myślałem, że miałeś wypić tylko jeden.

- Wypiłem. Ale do czego mam się śpieszyć?

Zapalniczka Szamrona znów błysnęła.

- Więc gdzie to jest?

- Co?

- Kamera i filmy.

Gabriel się uśmiechnął.

- Może byś zapytał swojego kreta?

Rue Saint-Denis, Montreal

Trzy oddzielne wydarzenia, pozornie z sobą niezwiązane, zapowiadały, że poszukiwanie rosyjskiego kreta weszło w ostateczną i decydującą fazę. Do pierwszego doszło w czasami francuskim, a czasami niemieckim mieście Strasburg, gdzie francuskie władze przekazały zwęglone ludzkie szczątki przedstawicielowi rosyjskiego rządu. Uważano, że są to szczątki rosyjskiego konsultanta biznesowego z Frankfurtu, chociaż nimi nie były. Przejął je przedstawiciel rosyjskiego rządu, a tak naprawdę agent SWR. Ci, którzy byli przy tym obecni, określali atmosferę jako wyraźnie chłodną. Całą operację przeprowadzono na mokrej od deszczu płycie lotniska w Strasburgu i nie zanosilo się, by sprawa miała się na tym zakończyć.

Drugie wydarzenie zaszło tego samego ranka w *pueblo blanco* Zahary na południu Hiszpanii, gdzie starsza Francuzka, znana jako *la loca* albo *la roja* ze względu na zabarwienie jej przekonań politycznych, wróciła do swojej willi po krótkiej wizycie w Sewilli. Tym razem jednak nie była sama. Razem z nią przyjechało dwoje innych ludzi - mniej więcej trzydziestopięcioletnia kobieta, która mówiła po francusku, oraz przysadzisty mężczyzna, który chyba nie mówił w żadnym języku. Zamieszkali w jej domu. Jeszcze dwóch zameldowało się w hotelu na promenadzie, oddalonym od willi o sto czternaście kroków. Wczesnym popołudniem widziano, jak kobieta kłóci się ze sklepikarzem przy calle San Juan. Zjadła lunch wśród drzew

pomarańczowych w barze Mirador, a potem odwiedziła ojca Diego w kościele Santa María de la Mesa. Ojciec Diego udzielił jej błogosławieństwa, a może było to rozgrzeszenie, i odesłał do domu.

Ostatnie z tych wydarzeń zaszło nie w Europie Zachodniej, lecz w Montrealu, gdzie o dziesiątej piętnaście rano miejscowego czasu starsza Francuzka wdała się w krótką sprzeczkę z dziewczyną przy kasie w supermarkecie El Castillo. W tej samej chwili Eli Lavon wysiadł z taksówki przy rue Saint-Dominique. Przeszedł kilka przecznic, zatrzymując się od czasu do czasu, i wniósł swój bagaż do domu przy rue Saint-Denis. Była to duża miejska posiadłość, która, podobnie jak większość innych w sąsiedztwie, została przekształcona na mniejsze mieszkania. Od chodnika do mieszkania na piętrze wiódł jeden bieg schodów. To mieszkanie Wydział Gospodarczy z mocno okrojonym budżetem podnajęło na okres trzech miesięcy.

Drzwi otworzyły się z dziwnym trzaskiem, jakby złamana została jakaś pieczęć, i Lavon wsunął się do środka. Popatrzył posępnie na poplamione, przypalone papierosami meble, a potem rozsunął cienkie firanki i wyjrzał na zewnątrz. Mniej więcej po przeciwnej stronie ulicy, pod kątem około czterdziestu pięciu stopni w prawo, znajdował się skrawek pustego asfaltu, gdzie, jeśli bogowie wywiadu zechcą się do nich uśmiechnąć, wkrótce pojawi się ciemnoszary ford explorer.

Jeśli bogowie wywiadu zechcą się do nich uśmiechnąć...

Lavon puścił firanki. Jeszcze jedno bezpieczne mieszkanie, jeszcze jedno miasto, jeszcze jedna obserwacja. Jak długo to potrwa tym razem? Wielkie przedsięwzięcie zmieniło się w wielkie czekanie.

Christopher Keller pojawił się w południe, a Michaił Abramow kilka minut przed pierwszą. Miał z sobą duży nylonowy worek sportowy, na którym widniała nazwa popularnego producenta sprzętu narciarskiego. W środku była kamera zamontowana na statywie z teleobiektywem i noktowizorem, mikrofon macierzowy dalekiego zasięgu, przekaźniki, dwa pistolety jericho, kaliber 9 mm, a także dwa laptopy z bezpiecznym połączeniem z bulwarem Króla Saula. Keller nie miał żadnych operacyjnych rekwizytów oprócz służbowego blackberry, którego Gabriel wyraźnie zabronił mu używać. Rebecca Manning pracowała w MI6 podczas krytycznego okresu przejściowego z technologii analogowej na cyfrową i niewątpliwie dała swój pierwszy telefon komórkowy Rosjanom do analizy, i podobnie wszystkie telefony później. W końcu MI6 będzie musiało napisać od początku całe oprogramowanie, na razie jednak, aby podtrzymać iluzję, że wszystko jest normalnie, agenci MI6 na całym świecie rozmawiali i przesyłali wiadomości z telefonów złamanych przez Rosjan. Ale nie Keller. Jedynie Keller zniknął.

Jego zadaniem teraz było siedzieć w zapchlonym mieszkaniu w Montrealu w towarzystwie dwóch Izraelczyków i pilnować kilku metrów asfaltu po drugiej stronie rue Saint-Denis. Zakładali, że Rosjanie również obserwują to miejsce, może nie przez cały czas, ale na tyle często, by mieć pewność, że jest bezpieczne. Toteż trzech agentów weteranów nie czekało beczynn timer, aż pojawi się ciemnoszary ford explorer. Obserwowali również nowych sąsiadów, a także licznych przechodniów, którzy pojawiali się pod oknem. Za pomocą mikrofonu wyłapywali strzępki rozmów i szukali jakiegokolwiek śladu żargonu operacyjnego albo rosyjskiego akcentu.

Fotografowali tych, którzy pojawiali się zbyt regularnie albo kręcili się tu zbyt długo, i przesyłali zdjęcia do analizy na bulwar Króla Saula. Żadna z tych analiz jednak nie przyniosła pozytywnych rezultatów, co dawało trzem agentom weteranom cenne uczucie spokoju.

Monitorowali również ruch samochodowy, szczególnie nocą, kiedy pojazdów było niewiele. Czwartej nocy ta sama czterodrzwiowa honda civic z 2016 roku ze zwykłą kanadyjską rejestracją pojawiła się trzykrotnie między północą a pierwszą w nocy. Dwa razy przejechała od lewej do prawej, czyli z południowego wschodu na północny zachód, ale za trzecim razem nadjechała z przeciwnego kierunku, i to znacznie wolniej. Michaiłowi udało się zrobić przyzwoite zdjęcie kierowcy teleobiektywem i przesłać je Gabrielowi, który siedział na bulwarze Króla Saula. Gabriel z kolei odesłał je do szefa swojego wydziału w Ottawie, który zidentyfikował człowieka za kierownicą jako agenta SWR usadowionego w rosyjskim konsulacie w Montrealu. Najwyraźniej wokół skrzynki kontaktowej zaczynało się coś dziać.

Jak to często bywa, obserwacja niechcący ujawniła sekretne życie ludzi, którzy - to nie ich wina - zamieszkali w pobliżu obserwowanego miejsca. Przystojny muzyk jazzowy, który mieszkał po przeciwnej stronie ulicy, każdego popołudnia przez godzinę przyjmował wizytę mężatki. Jego sąsiad odludek, żywił się lazanią z mikrofalówki i ograniczał swoje zajęcia do przeglądania pornografii w internecie. Był również około trzydziestoletni mężczyzna, który przez całe wieczory oglądał na ekranie laptopa sceny egzekucji. Michaił odwiedził jego mieszkanie pod nieobecność właściciela i odkrył całe sterty dżihadystycznej propagandy, szkice przedstawiające schemat

prymitywnej bomby, a na ścianie w sypialni czarną flagę ISIS. Znalazł również tunezyjski paszport, sfotografował go i wysłał zdjęcie na bulwar Króla Saula.

Teraz Gabriel miał operacyjny dylemat. Jego obowiązkiem było powiadomić Kanadyjczyków oraz Amerykanów o potencjalnej groźbie umiejscowionej przy rue Saint-Denis w Montrealu. Gdyby jednak to zrobił, uruchomiłby łańcuch zdarzeń, które niemal na pewno zmusiłyby Rosjan do przeniesienia skrzynki kontaktowej w inne miejsce. Toteż niechętnie postanowił, że zachowa na razie tę wiadomość dla siebie, do czasu, gdy będzie mógł przekazać ją sojusznikom, nie powodując żadnych szkód. Był pewien, że sytuacja jest pod kontrolą. Trzech spośród najbardziej doświadczonych agentów antyterrorystycznych na świecie siedziało w bezpiecznym mieszkaniu po drugiej stronie ulicy.

Na szczęście ta podwójna warta nie trwała długo, bo trzy noce później honda civic wróciła. Minęła bezpieczne mieszkanie od lewej do prawej, z południowego wschodu na północny zachód, o drugiej trzydziści cztery w nocy, gdy Keller trzymał samotną wartę za cienką firanką. Po raz drugi przejechała w tym samym kierunku o drugiej czterdziści siedem, ale wówczas przy oknie stali już Eli Lavon i Michaił. Po raz trzeci nadjechała o trzeciej jedenaście, od prawej do lewej, i teraz kierowca był widoczny w teleobiektywie. Okazało się, że to ten sam agent SWR z rosyjskiego konsulatu w Montrealu.

Zobaczyli go ponownie po upływie dwóch i pół godziny. Tym razem nie prowadził hondy civic, lecz ciemnoszarego forda explorera z kanadyjską rejestracją. Zatrzymał się na wolnym miejscu przy krawężniku, zgasił światło i wyłączył silnik. Przez obiektyw kamery Keller widział, jak otwiera i zamyka skrytkę.

Potem wysiadł, zamknął drzwi pilotem i odszedł – od prawej do lewej, z północnego zachodu na południowy wschód, z telefonem przy uchu. Michaił namierzał go mikrofonem dalekiego zasięgu.

- Co mówi? – zapytał Keller.

- Jeśli się zamkniesz, to może usłyszę.

Keller powoli policzył do pięciu.

- No i?

Michaił odpowiedział mu po rosyjsku.

- Co to znaczy?

- To znaczy – odezwał się Eli Lavon – że wszyscy niedługo pojedziemy do Waszyngtonu.

Rosjanin skręcił za najbliższy róg i zniknął. Michaił wysłał błyskawiczną wiadomość na bulwar Króla Saula, pobudzając do działania cały personel Biura i aktywując zasoby w punktach bezpieczeństwa na linii do Waszyngtonu. Keller patrzył na jedno z okien w budynku po przeciwnej stronie ulicy, rozjaśnione słabym blaskiem dochodzącym z ekranu komputera.

- Jest coś, czym powinniśmy się zająć, nim znikniemy.

- To może nie być dobry pomysł – ostrzegł Lavon.

- Może – przyznał Keller. – Możliwe też, już od dawna nie miałem lepszego pomysłu.

Montreal - Waszyngton

O ósmej piętnaście tego ranka Eva Fernandes piła kawę w swoim pokoju w Sheratonie przy bulwarze René-Lévesque w centrum Montrealu. Podczas poprzedniej wizyty zatrzymała się nieco dalej przy tej samej ulicy, w hotelu Queen Elizabeth, który podobał jej się bardziej, ale Sasza kazał jej zmieniać rutynę, kiedy odwiedzała nieistniejącą chorą ciotkę. Poleciał jej również ograniczenie wydatków. Pozwoliła sobie tylko na zamówienie kawy do pokoju. Sasza pochodził z innej epoki, z czasów wojny, głodu i komunistycznej surowości. Nie tolerował tego, by jego nielegalni imigranci żyli jak oligarchowie, chyba że tego wymagała ich legenda. Eva spodziewała się, że następna informacja z Centrali będzie zawierała reprimendę za rozrzutność.

Była już po prysznicu, walizkę miała spakowaną, ubranie na ten dzień czekało schludnie rozłożone na łóżku. Do torebki włożyła pilota do forda explorera oraz pendrive'a z materiałami, które dostała od kreta Saszy podczas ostatniego zdalnego przekazu na M Street w Waszyngtonie o siódmej trzydziści sześć w chłodny, lecz słoneczny poranek.

Eva była wówczas w studiu jogi i przygotowywała się do zajęć o siódmej czterdziści pięć, a kreta dostrzegła po drugiej stronie ulicy, w Dean & DeLuca, w otoczeniu kilku uczestniczek zajęć. Rozpoznała kreta, bo widziała tę kobietę już kilkakrotnie przy okazji innych przekazów oraz w Brussels Midi, gdzie często jadała kolację, zwykle w towarzystwie brytyjskich

dyplomatów. Eva nawet zamieniła z nią kiedyś kilka słów w sprawie rezerwacji zrobionej na nazwisko kogoś innego. Kobieta była pewna siebie i zdystansowana oraz niewątpliwie inteligentna. Eva przypuszczała, że należy do wyższego personelu waszyngtońskiej placówki, a może nawet tam szefuje. Gdyby ta kobieta została kiedyś aresztowana, Evę zapewne czekałby ten sam los. Jako nielegalna imigrantka nie miałyby ochrony dyplomatycznej. Mogła zostać oskarżona i skazana na długoletnie więzienie. Myśl o kilku latach spędzonych w zamknięciu w klatce, w miejscu takim jak Kentucky czy Kansas, zupełnie jej nie pociągała. Już dawno przysięgła sobie, że nigdy nie pozwoli, by do tego doszło.

O dziewiątej ubrała się i zeszła do holu, by się wymeldować. Zostawiła walizkę tragarzowi i przeszła kawałek wzdłuż bulwaru do wejścia do olbrzymiego labiryntu galerii handlowych, restauracji i przybytków kultury ukrytych pod centrum Montrealu. Było to idealne miejsce na „pranie chemiczne”, szczególnie wcześniej we wtorek rano, kiedy jeszcze nie było tłumu. Eva zabrała się do tego starannie, tak jak uczyli ją najpierw wykładowcy z Instytutu Czerwonego Sztandaru, a potem sam Sasza. Ostrzegał ją, że zadowolenie z siebie jest największym wrogiem imigranta. Nie wolno nabrać przekonania, że jest się niewidzialnym dla przeciwnika. Eva była najbardziej istotnym ogniwem łańcucha, który rozciągał się od kreta do Centrali w Moskwie. Gdyby popełniła choć jeden błąd, kret byłby stracony i całe przedsięwzięcie Saszy obróciłoby się w proch.

Mając to w pamięci, Eva spędziła następne dwie godziny, wędrując po La Ville Souterraine. Dwie godziny, bo Sasza nie pozwalał, by to trwało choćby minutę krócej. Szedł za nią

jedynie mężczyzna, mniej więcej pięćdziesięcioletni. Nie był jednak zawodowcem, tylko stalkerem. Atrakcyjna powierzchowność przyciągała, niestety, niepożądaną uwagę i głodne spojrzenia wyposzczonych seksualnie mężczyzn. Czasami trudno było odróżnić pożądanie od prawdziwej obserwacji. Czterokrotnie się zdarzyło, że Eva wycofała się z połączenia z kretem, bo wydawało jej się, że ktoś ją śledzi. Sasza jej za to nie ganił, przeciwnie, gratulował czujności.

Pięć minut po jedenastej była już pewna, że nikt jej nie obserwuje. Wróciła na bulwar i zatrzymała taksówkę, która zawiozła ją do kościoła Notre-Dame-de-la-Défense. Tam przez pięć minut udawała pogrążoną w cichej modlitwie, a potem wyszła na rue Saint-Denis. Ford explorer stał tam, gdzie zwykle, zaparkowany przy ulicy przed domem numer 6822. Eva otworzyła drzwi pilotem i usiadła za kierownicą.

Silnik zapalił natychmiast. Odjechała od krawężnika, a potem kilkakrotnie ostro skręciła w prawo, sprawdzając, czy nikt za nią nie jedzie. Nie zobaczyła nic podejrzanego, więc zaparkowała przy rue Saint-André i włożyła pendrive'a do schowka na rękawiczki. Potem wysiadła, zatrzasnęła drzwi i odeszła. Nikt jej nie śledził.

Zatrzymała następną taksówkę, tym razem na Avenue Christophe-Colomb, i poprosiła kierowcę, by zawiózł ją do Sheratona. Tam wzięła walizkę i tą samą taksówką pojechała na lotnisko. Jako stała rezydentka Stanów Zjednoczonych przeszła przez amerykańską kontrolę paszportową i ruszyła w stronę wejścia do rękawa. Odprawa na jej lot rozpoczęła się o czasie, o jedenastej piętnaście. Eva jak zawsze wykupiła miejsce z przodu, by popatrzeć na innych pasażerów, którzy mijali ją w drodze do foteli. Zainteresował ją tylko jeden – wysoki

mężczyzna o bardzo jasnej skórze i jasnoszarych oczach, jak u wilka, całkiem przystojny. Podejrzewała, że był Rosjaninem. Albo może eks-Rosjaninem, pomyślała, tak jak ona sama.

Wysoki mężczyzna o jasnej skórze siedział kilka rzędów za nią. Zobaczyła go znowu już po wylądowaniu w Waszyngtonie, kiedy szedł za nią do terminalu. Jej czterodrzwiowa kia była na krótkoterminowym parkingu, gdzie zostawiła ją poprzedniego popołudnia. Przejechała przez Key Bridge nad Potomakiem do Waszyngtonu i skręciła w stronę Palisades. Równie o czwartej zatrzymała się przed Brussels Midi. Yvette paliła papierosa przy barze, Ramon i Claudia nakrywali do stołu w części restauracyjnej. Telefon zadzwonił, gdy wieszła kurtkę.

- Brussels Midi.

- Chciałbym zarezerwować na wieczór stół dla dwóch osób.

Męski głos, arogancki, z angielskim akcentem. Eva poczuła, że zbliżają się kłopoty. Miała ochotę przerwać połączenie, ale nie zrobiła tego.

- Przepraszam, powiedział pan, że dla dwóch osób?

- Tak - westchnął mężczyzna z irytacją.

Postanowiła podręczyć go jeszcze trochę.

- A o której chciałby pan nas odwiedzić?

- Chciałbym - parsknął - o siódmej.

- Obawiam się, że nie mogę obiecać panu stolika na siódmą.

Ale mam wolny stół o ósmej.

- Czy to dobry stół?

- Mamy wyłącznie dobre stoły, proszę pana.

- Biorę go.

- Doskonale. Poproszę nazwisko.

Państwo Bartholomew, którzy przybyli o ósmej, rozproszyli

nudę wtorkowego wieczoru. Pojawili się dwadzieścia minut wcześniej i na widok kilku pustych stolików wpadli we wściekłość. Łysiejący, dobrze ubrany pan Bartholomew krzyczał i wymachiwał rękami. Jego żona była zaokrągloną kobietą w typie rubensowskim o włosach w kolorze mokrego piasku. Typ, który rozgrzewa się powoli, pomyślała Eva. Przesadziła ich z zarezerwowanego wcześniej stolika numer cztery do szczęśliwego trzynastego, tego, przy którym nad głową wiało z wentylacji. Nie zdziwiła się, gdy poprosili o zmianę. Zaproponowała im stolik tuż przy drzwiach kuchni. Pan Bartholomew nie wytrzymał.

- Nie ma pani niczego innego?
- Może chcieliby państwo usiąść na zewnątrz.
- Tam nie ma żadnych stolików.

Eva się uśmiechnęła.

Od tej chwili było już tylko coraz gorzej. Wino okazało się za ciepłe, zupa za zimna, małże wołały o pomstę do nieba, a *cassoulet* zakrawało na zbrodnię kulinarną. Wieczór jednak zakończył się pozytywną nutą, bowiem żona pana Bartholomew podeszła do Ewy, by przeprosić.

- Niestety, Simon miał ostatnio dużo stresów w pracy. - Mówiła po angielsku z akcentem, którego Eva nie potrafiła rozpoznać. - Jestem Vanessa. - Wyciągnęła rękę i dodała takim tonem, jakby wyznawała tajemnicę: - Vanessa Bartholomew.

- Eva Fernandes.
- Czy mogę zapytać, skąd pani pochodzi?
- Z Brazylii.
- Och - odrzekła kobieta z lekkim zdziwieniem. - Nigdy bym nie zgadła.
- Moi rodzice urodzili się w Europie.

- A gdzie?
- W Niemczech.
- Moi też - powiedziała kobieta.

Pozostała część wieczoru przebiegła bez zakłóceń. Ostatni goście wyszli o wpół do jedenastej, a kilka minut po jedenastej Eva zamknęła drzwi. Gdy wracała do domu przez MacArthur Boulevard, jechał za nią jakiś samochód, ale zanim dotarła nad jezioro, już go nie było. Zaparkowała jakieś sto metrów od swojego niedużego budynku z czerwonej cegły i idąc do drzwi, sprawdzała po drodze rejestracje stojących na ulicy samochodów. Sięgnęła do domofonu i uświadomiła sobie, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę, którego widziała w samolocie, tego wysokiego o oczach wilka. Jego jasna skóra lśniła w ciemnościach. Przestraszona Eva cofnęła się o krok.

- Nie bój się, Evo - powiedział cicho po rosyjsku. - Nic ci nie zrobię.

Podejrzewając pułapkę, odpowiedziała po angielsku.

- Przepraszam, ale nie mówię...
- Proszę, daj spokój - przerwał jej. - To nie jest bezpieczne, żebyśmy rozmawiali na ulicy.
- Kto cię przysłał? I mów po angielsku, ty idioto.
- Przysłał mnie Sasza. - Jego angielszczyzna była lepsza niż jej, miał tylko lekki obcy akcent.
- Sasza? Dlaczego Sasza miałby cię przysłać?
- Bo jesteś w poważnym niebezpieczeństwie.

Eva zawahała się, po czym wstukała właściwy kod. Mężczyzna o wilczych oczach otworzył drzwi i wszedł za nią do środka.

Idąc na górę, sięgnęła do torebki po klucze i natychmiast poczuła na nadgarstku mocny uścisk dłoni mężczyzny.

- Masz przy sobie broń? - zapytał cicho, znów po rosyjsku.

Zatrzymała się i spiorunowała go wzrokiem, po czym przypomniała mu, że wcześniej tego dnia obydwójce lecieli cywilnym samolotem z Kanady do Stanów Zjednoczonych.

- Mogłaś mieć broń w samochodzie - zauważył.

- Mam ją na górze.

Puścił jej rękę. Wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. Mężczyzna szybko je zatrzasnął, a potem zamknął na zasuwę i łańcuch. Gdy sięgnęła do wyłącznika światła, przytrzymał jej rękę. Podeszedł do okna i wyjrzał zza skraju żaluzji na MacArthur Boulevard.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Mam na imię Alex.

- Alex? Ale zmyłka! To cud, że żaden z naszych przeciwników nigdy cię nie rozszyfrował.

Puścił żaluzje i obrócił się twarzą do niej.

- Powiedziałeś, że masz wiadomość od Saszy.

- Mam wiadomość, ale nie od Saszy - odrzekł.

Dopiero teraz zauważyła pistolet w jego prawej ręce. Na lufę został założony tłumik. To nie była broń, jaką agent nosi przy sobie dla ochrony, tylko taka, którą wymierza się *wysszą miarę*, najwyższy wymiar kary. Ale dlaczego Centrala postanowiła ją zabić? Przecież nie zrobiła niczego złego.

Cofnęła się powoli, czując, że nogi ma jak z galarety.

- Proszę. To musi być pomyłka. Zrobiłam wszystko, o co Sasza prosił.

- Właśnie dlatego tu jestem - odparł człowiek, który przedstawił się jako Alex.

Może chodzi o jakąś wendetę wewnątrz Centrali, pomyślała. Może Sasza w końcu wypadł z łask.

- Tylko nie w twarz - poprosiła. - Nie chcę, żeby moja matka...

- Nie jestem tu po to, żeby cię skrzywdzić, Evo. Chcę ci przedstawić hojną propozycję.

Przystanęła.

- Propozycję? Jaką propozycję?

- Taką, dzięki której nie spędzisz następnych kilku lat w amerykańskim więzieniu.

- Jesteś z FBI?

- Na twoje szczęście nie.

Foxhall, Waszyngton

Rzuciła się na niego, i to całkiem sprawnie, ruchem wyćwiczonym na szkoleniach w Instytucie Czerwonego Sztandaru – łokcie, kopniaki, mocne ciosy pięścią oraz kolanem w stronę krocza. Gdyby to uderzenie sięgnęło celu, mogłoby przesądzić walkę na jej korzyść. Michaił nie miał wyjścia, musiał zareagować. Zrobił to jak zawodowiec, starając się jednak nie uszkodzić gładkiej, nieskazitelnej rosyjskiej twarzy Ewy Fernandes. Walka skończyła się tym, że siedział na niej okrakiem, przyciskając jej ręce do podłogi. Musiał przyznać, że nie okazywała strachu, tylko złość. Nie próbowała krzyczeć. Nielegalni imigranci, pomyślał Michaił, wiedzą, że nie należy wzywać sąsiadów na pomoc.

- Nie martw się – powiedział, zlizując krew z kącika ust. – Powiem Saszy, że nie poddałaś się bez walki.

Potem spokojnie wyjaśnił, że budynek jest otoczony i nawet gdyby udało jej się uciec z mieszkania, co było mało prawdopodobne, to nie dotarłaby daleko. Zawarli rozejm. Eva wyciągnęła butelkę rosyjskiej wódki z zamrażarki. To była jedyna rosyjska rzecz w całym mieszkaniu oprócz sekretnego urządzenia do kontaktów z SWR oraz makarowa. Wyjęła jedno i drugie ze skrytki pod deskami podłogi w garderobie sypialni i położyła na stole kuchennym. Pistolet oddała Michaiłowi. Mówił do niej tylko po rosyjsku. Wyjaśniła, że już ponad dziesięć lat nie mówiła w ojczystym języku. Skradziono jej ten język, kiedy rozpoczęła program szkolenia nielegalnych

imigrantów w Instytucie Czerwonego Sztandaru. Gdy tam przybyła, знаła już trochę portugalski. Jej ojciec był dyplomata. Najpierw pracował dla Związku Radzieckiego, potem dla Federacji Rosyjskiej, a dzieciństwo spędziła w Lizbonie.

- Zdasz sobie chyba sprawę - powiedział Michaił - że nie masz żadnej dyplomatycznej ochrony.

- Wtłaczano nam to do głowy od pierwszego dnia szkolenia.

- I co kazali ci zrobić, gdybyś została złapana?

- Nic nie mówić i czekać.

- Na co?

- Aż Centrala dokona wymiany. Obiecali, że nigdy nie zostawią nas na lodzie.

- Ja bym na to nie liczył. Zwłaszcza kiedy Amerykanie odkryją, że obsługiwałaś największego szpiega od czasów zimnej wojny.

- Rebeccę Manning.

- Znasz jej nazwisko?

- Domyśliłam się kilka miesięcy temu.

- Co było na tym pendrivie, który zostawiłaś w skrytce forda explorera?

- Widziałeś to?

- Z mieszkania po drugiej stronie ulicy. Mamy niezłe nagranie.

Eva skubała nerwowo lakier na paznokciu. A jednak ta kobieta ma ludzkie odruchy, pomyślał Michaił.

- Zapewniono mnie, że skrytka jest czysta.

- Czy Moskwa również ci to obiecała?

Eva wypła wódkę i natychmiast znów sobie nalęła. Szklanka Michaiła była nietknięta.

- Nie pijesz?

- Wódka - oświadczył - to rosyjska choroba.
- Sasza też tak mówił.

Siedzieli przy stole w kuchni. Między nimi stała butelka wódki i szklanki oraz rekwizyty, które Eva dostała od SWR. Główne urządzenie miało wielkość i kształt książki w miękkiej okładce. Było zbudowane solidnie, w obudowie z gładkiego metalu. Na boku widniały trzy przełączniki, dioda sygnalizacyjna i dwa porty USB. Obudowa została odlana z metalu. To urządzenie nie było przeznaczone do otwierania.

Eva wypła duszkiem następną szklanę wódki.

- Uspokój się - powiedział Michaił. - Wolałbym, żebyś zachowała przytomność umysłu.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

- Na przykład co?

- Jak Rebecca daje ci znać, że ma materiały do przekazania?

- Zostawia zapaloną lampę na końcu ścieżki przy domu.

- Gdzie się odbywa przekazanie?

- Obecnie mamy cztery takie miejsca.

- Jakie są procedury awaryjne? Jakie sygnały?

- Dzięki Saszy mogę ci to wszystko powiedzieć w środku nocy przez sen. I jeszcze więcej. - Eva znów sięgnęła po butelkę, ale Michaił odsunął szklanę na bok. - Skoro wiesz, kim jest kret, to do czego ja ci jestem potrzebna? - zapytała.

Michaił milczał.

- A jeśli zgodzę się współpracować?

- Chyba już to ustaliliśmy.

- Nie pójdę do więzienia?

Michaił potrząsnął głową. Żadnego więzienia.

- A co się ze mną stanie?

- Sądzę, że wrócisz do Rosji.

- Po tym, jak pomogłam ci złapać kreta Saszy? Przez kilka miesięcy będą mnie przesłuchiwać w więzieniu Lefortowo, a potem... - Złożyła dłoń w kształt pistoletu i dotknęła czubkiem palca do potylicy.

- *Wysszaja miera* - stwierdził Michaił.

Opuściła rękę i sięgnęła po szklankę.

- Wolałabym zostać tutaj, w Ameryce.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo nie jesteśmy Amerykanami.

- Jesteście Brytyjczykami?

- Niektórzy z nas.

- Więc pojedę do Anglii.

- A może do Izraela - zasugerował.

Jej twarz sposepniała.

- Tam nie jest tak źle.

- Słyszałam, że tam jest dużo Rosjan.

- Z dnia na dzień coraz więcej - zgodził się Michaił.

Przy stole znajdowało się nieduże okno. MacArthur Boulevard był spokojny i wilgotny. Christopher Keller siedział w samochodzie zaparkowanym na skraju jeziora w towarzystwie dwóch ochroniarzy z ambasady. W drugim samochodzie kurier z placówki czekał na rozkaz Michaiła, by wejść na górę i zabrać urządzenie komunikacyjne SWR.

Eva dopiła swoją wódkę i teraz piła ze szklanki Michaiła.

- Jutro rano mam zajęcia.

- Jakie zajęcia?

Wyjaśniła.

- O której?

- O dziesiątej.

- Zarezerwuj dla mnie miejsce.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Masz w planie odbiór czegoś od Rebekki?

- Dopiero odebrałam przekaz. Pewnie nie odezwie się przez następny tydzień albo dwa.

- Przeciwnie - stwierdził Michaił. - Odezwie się znacznie wcześniej, niż przypuszczasz.

- Kiedy?

- Sądzę, że jutro wieczorem.

- A kiedy już odbiorę to, co ma?

- Puf - powiedział Michaił.

Eva uniosła szklanę.

- Za jeszcze jeden wieczór w Brussels Midi. Nie uwierzyłbyś, jakich gości miałam dzisiaj.

- Państwo Bartholomew. Dwie osoby, ósma wieczór.

- Skąd wiesz?

Michaił wziął do ręki gładkie metalowe urządzenie.

- Może mi pokażesz, jak to działa.

- To jest bardzo łatwe.

Michaił przesunął jeden z przełączników.

- Tak?

- Nie, ty idioto. Tak.

Forest Hills, Waszyngton

Forest Hills to bogata enklawa domów w stylu kolonialnym, neogotyckim i federalnym, mieszcząca się na północno-wschodnich krańcach Waszyngtonu między Connecticut Avenue a Rock Creek. Ale dom przy Chesapeake Street niezbyt przypominał swoich statecznych sąsiadów. Postmodernistyczna szara kostka posadowiona na wzgórzu porośniętym liściastymi krzewami bardziej przypominała stanowisko artyleryjskie niż budynek mieszkalny. Wysoki ceglany mur i potężna żelazna brama przydawały mu dodatkowo atmosfery wojowniczości.

Właścicielem tego paskudztwa było Państwo Izrael, a nieszczęsnym lokatorem - izraelski ambasador w Stanach Zjednoczonych. Aktualny emisariusz, ojciec wielu dzieci, zrezygnował z oficjalnej rezydencji i zamieszkał w zamożnej dzielnicy przy polu golfowym w Marylandzie. Pusty dom przy Chesapeake Street powoli zaczynał się rozsypywać, a przez to doskonale się nadawał na stanowisko dowodzenia dużej grupy operacyjnej. Bowiem Gabriel uważał, że nieprzyjazne warunki sprzyjają jedności.

Rozsypujący się stary dom był jednopoziomowy. Jego centrum stanowił duży otwarty salon. Po jednej stronie znajdowały się kuchnia i jadalnia, a po drugiej kilka sypialni. Gabriel urządził sobie biuro w wygodnym gabinecie. Jossi i Rimona, w Brussels Midi znani jako Simon i Vanessa Bartholomew, pracowali przy składanym stole tuż za jego drzwiami, razem z Elim Lavonem i Jakowem Rossmanem. Ilan, geniusz komputerowy, urządził

sobie prywatną wyspę po drugiej stronie pokoju. Ściany zostały zawieszane wielkimi mapami Waszyngtonu i przedmieść. Była nawet zwijana biała tablica do osobistego użytku Gabriela, na której zapisał eleganckim hebrajskim pismem słowa jedenastego przykazania Szamrona: „Nie daj się złapać...”.

Gabriel skorzystał z sugestii Szamrona i użył rutynowego spotkania jako pretekstu, by wyjaśnić obecność swojego zespołu w Waszyngtonie. Nie poinformował jednak Amerykanów o tym spotkaniu bezpośrednio, tylko wielokrotnie wspominał o nim w niezabezpieczonych rozmowach telefonicznych oraz mejlach i w ten sposób powiadomił ich o swoim przyjeździe. NSA i Langley zrozumiały odpowiednio te sygnały. Wieloletni zastępca dyrektora do spraw operacyjnych CIA, Adrian Carter, przysłał Gabrielowi mejla kilka minut po tym, jak ten pojawił się na lotnisku Dulles, pytając, czy miałyby czas spotkać się na drinka. Gabriel odpowiedział, że spróbuje wcisnąć spotkanie z Carterem w swój napięty program, ale nie byłby zbyt wielkim optymistą. Gdy Carter zapytał sarkastycznie, kim jest ta szczęściara, Gabriel omal nie wsiadł natychmiast do samolotu powrotnego.

Dom przy Chesapeake Street był na nasłuchu NSA zawsze, gdy przebywał tu ambasador, toteż Gabriel i jego ekipa zakładali, że NSA podsłuchuje ich również teraz. Gdy byli w domu, prowadzili nieszkodliwe rozmowy w tle – w żargonie nazywało się to „mówienie do ścian” – ale wszystkie operacyjnie wrażliwe informacje zapisywane były na białej tablicy, przekazywane gestami albo w rozmowach prowadzonych półgłosem w ogrodzie. Do jednej z takich rozmów doszło krótko po drugiej w nocy, kiedy kurier przywiózł do rezydencji urządzenie komunikacyjne SWR zabrane od Evy

Fernandes oraz operacyjne instrukcje Michaiła. Gabriel wręczył urządzenie Ilanowi, który przyjął je z taką miną, jakby był to wczorajszy „Washington Post”, a nie klejnot koronny SWR.

Do czwartej rano Ilanowi nie udało się złamać zakodowanej zapory urządzenia. Gabriel, który patrzył na niego niespokojnie jak rodzic na dziecko podczas recitalu, uznał, że lepiej wykorzysta ten czas, jeśli zdrzemnie się kilka godzin. Wyciągnął się na kanapie w gabinecie i kołysany do snu przez odgłosy gałęzi drzew uderzających o zewnętrzne ściany domu, zapadł w sen bez snów. Obudził się i zobaczył majaczącą nad sobą bladą twarz Ilana. Ilan był cybernetycznym odpowiednikiem Mozarta. Pierwszy kod komputerowy napisał w wieku pięciu lat, jako haker zaczął działać w wieku lat ośmiu, po raz pierwszy wziął udział w tajnej operacji skierowanej przeciwko irańskiemu programowi nuklearnemu, gdy miał dwadzieścia jeden lat. Pracował z Amerykanami nad kodem złośliwego wirusa, który nazywał się Olympic Games, a który reszta świata знаła jako Stuxnet. Ilan rzadko wychodził na świeże powietrze.

- Czy jest jakiś problem? - zapytał Gabriel.
- Absolutnie żadnych problemów, szefie.
- W takim razie dlaczego wydajesz się zmartwiony?
- Nie jestem zmartwiony.
- Chyba nie złamałeś tego kodu, co?
- Niech pan przyjdzie i zobaczy.

Gabriel opuścił nogi na podłogę i ruszył za Ilanem do jego stołu. Stał tam laptop, iPhone i urządzenie SRAC.

- Rosyjska agentka powiedziała Michaiłowi, że zasięg wynosi trzydzieści metrów. Naprawdę prawie trzydzieści pięć. Sprawdziłem. - Podał Gabrielowi iPhone'a. Na ekranie

wyświetlana była lista dostępnych sieci, a nazwę jednej z nich stanowiło dwanaście liter: jdlcvhjdvodn. – To sieć Centrali Moskwa.

– Czy jakieś urządzenie ją widzi?

– Nie ma takiej możliwości. I nie można się do niej dostać bez właściwego hasła. Składa się z dwudziestu siedmiu znaków i jest twarde jak skała.

– Więc jak je złamałeś?

– Nie jestem w stanie tego panu wyjaśnić.

– Takiemu idiocie jak ja?

– Ważne jest to – powiedział Ilan – że możemy dodać do tej sieci każde urządzenie, jakie tylko zechcemy. – Wziął od Gabriela telefon. – Wyjdę na zewnątrz, a pan niech popatrzy na laptopa.

Gabriel go posłuchał. Po chwili wystarczającej, by Ilan mógł wyśliznąć się przez żelazną bramę na końcu podjazdu i przejść na drugą stronę ulicy, na ekranie pojawiło się sześć słów:

Jeśli wyśle wiadomość, to ją mamy.

Gabriel skasował wiadomość i nacisnął kilka klawiszy. Na ekranie pojawiło się zakodowane nagranie – niewielki dom, mniej więcej wielkości typowego domku angielskiego, z dziwaczną neogotycką fasadą nad gankiem. Na końcu ścieżki z kamiennych płyt stała żelazna lampa, a obok lampy kobieta. Gabriel przypomniał sobie wiadomość, którą dostał od swojego przyjaciela Adriana Cartera z CIA: *Kim jest ta szczęściara?* Gdybyś tylko wiedział, pomyślał.

Tenleytown, Waszyngton

Mijając duży kolonialny budynek na rogu Nebraska Avenue i Czterdziestej Drugiej Ulicy, Rebecca myślała o dniu, gdy ojciec wyjawiał jej swój plan dotyczący jej samej. Było lato, odwiedziła go na daczce pod Moskwą. On i Rufina wydali lunch dla kilku bliskich przyjaciół, między innymi Jurija Modina, jego dawnego oficera prowadzącego z KGB, a także Saszy. Ojciec wypił dużo gruzińskiego wina i wódki. Modin próbował dotrzymać mu kroku, ale Sasza nie pił w ogóle.

- Wódka - powiedział Rebecce nie po raz ostatni - to rosyjskie przekleństwo.

Późnym popołudniem przenieśli się na osłoniętą werandę, żeby uciec przed komarami: Rebecca, jej ojciec, Modin i Sasza. Nawet teraz, czterdzieści lat później, przypominała sobie tę scenę z fotograficzną precyzją. Modin zajmował miejsce naprzeciwko niej przy drewnianym stole, a Sasza po jego lewej stronie. Rebecca siedziała obok ojca, opierając głowę o jego ramię. Podobnie jak wszystkie jego dzieci, a także jej matka, uwielbiała go. Nie sposób było go nie uwielbiać.

- Rebecco, moja d-d-droga - zaczął, zacinając się uroczo - musimy o czymś porozmawiać.

Aż do tej chwili sądziła, że jej ojciec jest dziennikarzem, który mieszka w dziwnym szarym kraju, daleko od niej. Ale tego dnia, w obecności Jurija Modina i Saszy, powiedział jej prawdę. To on był tym Kimem Philbym, słynnym szpiegiem, który zdradził swój kraj, swoją klasę społeczną i klub. Nie powodowała nim

chciwość, lecz wiara w ideały, w to, że robotnicy nie powinni być traktowani jak narzędzia, że powinni być właścicielami środków produkcji. Rebecca wówczas nie rozumiała, co to znaczy. Ojciec żałował tylko jednego: że musiał zdezerterować, zanim zakończył misję zniszczenia zachodniego kapitalizmu i sojuszu NATO, któremu przewodzili Amerykanie.

- Ale ty, moja droga, skończysz tę pracę za mnie. Mogę ci obiecać tylko jedno: nigdy nie będziesz się nudzić.

Rebecca nie miała okazji odrzucić życia, które ojciec dla niej wybrał. To wszystko po prostu się zdarzyło. Jej matka wyszła za Anglika, który nazywał się Robert Manning, małżeństwo zakończyło się rozwodem i matka wróciła do Francji, zostawiając Rebecę w Anglii. Po latach nie potrafiła już sobie dokładnie przypomnieć twarzy matki, ale nigdy nie zapomniała głupiej gry, w którą bawiły się w Paryżu, gdy były biedne jak mysz kościelna. Ile kroków...

Co roku w lecie Rebecca potajemnie wyjeżdżała do Związku Radzieckiego, by odwiedzić ojca i poddać się politycznej indoktrynacji. Sasza zawsze przemycał ją bardzo ostrożnie: prom do Holandii, zmiana paszportu w Niemczech, kolejna zmiana w Pradze albo w Budapeszcie, a potem lot Aerofłotem do Moskwy. Uwielbiała tę porę roku. Kochała Rosję, nawet szarą Rosję z lat Breżniewa i zawsze z niechęcią wracała do Wielkiej Brytanii, która w tamtych czasach nie wyglądała wiele lepiej. Francuski akcent stopniowo znikał, a gdy przyjęto ją do Trinity College, jej angielski był już bez zarzutu. Sasza jednak poradził jej, by nie ukrywała płynnej znajomości francuskiego. Później się okazało, że między innymi z tego powodu MI6 ją zatrudnił.

Od tamtej pory nie wyjeżdżała już do Związku Radzieckiego

ani nie kontaktowała się z ojcem, ale Sasza zawsze pilnował jej z daleka. Pierwszą placówką, na którą ją wysłano, była Bruksela i właśnie tam, w maju 1988 roku, dowiedziała się, że jej ojciec zmarł. Wiadomość o jego śmierci natychmiast przekazano wszystkim placówkom MI6. Przeczytała telegram, zamknęła się w szatni i płakała. Znalazł ją kolega, który był razem z nią w tej samej grupie podczas wstępnego szkolenia oficerów wywiadu w Fort Monckton. Nazywał się Alistair Hughes.

- Co się z tobą, do diabła, dzieje? - zapytał.

- Nic. Po prostu mam zły dzień.

- To ta pora miesiąca?

- Odczep się, Alistair.

- Słyszałaś wiadomości? Ten sukinsyn Philby nie żyje. Idziemy do kantyny świętować.

Trzy lata później kraj, któremu Kim Philby poświęcił życie, również zmarł. Służby wywiadowcze Zachodu, nagle osieroczone przez tradycyjnego wroga, zaczęły szukać nowych celów, żeby usprawiedliwić swoje istnienie. Rebecca wykorzystała te lata niepewności, skupiając się na robieniu kariery. Na sugestię Saszy zaczęła się uczyć arabskiego, co pozwoliło jej zająć miejsce na pierwszej linii frontu w globalnej walce z terroryzmem. Jej kadencja jako szefowej placówki w Ammanie była pasmem triumfów i doprowadziła do tego, że powierzono jej placówkę w Waszyngtonie. Teraz tylko jeden krok dzielił ją od ostatecznego celu, którego ojcu nigdy nie udało się osiągnąć. Rebecca nigdy nie uważała się za zdrajczynię. Jej jedyną ojczyzną był Kim Philby i tylko jemu dochowała wierności.

Tego ranka pobiegła do Dupont Circle i z powrotem.

Wracając na Warren Street, dwa razy minęła swój dom, nie wchodząc do środka. Jak zwykle pojechała do ambasady samochodem i rozpoczęła dzień, który okazał się niezmiernie nudny. Wyłącznie z tego powodu zgodziła się pójść z Kyle'em Taylorem na drinka do J. Gilbert's, ulubionego miejsca pracowników CIA w McLean. Taylor szefował centrum antyterrorystycznemu i był jednym z najmniej dyskretnych pracowników w całym Langley. Rebecca podczas spotkań z nim przeważnie dowiadywała się czegoś, o czym nie powinna wiedzieć.

Tego wieczoru Taylor rozgadał się jeszcze bardziej niż zwykle. Z jednego drinka zrobiły się dwa i dochodziła już ósma, gdy Rebecca przejechała Chain Bridge i wróciła do Waszyngtonu. Specjalnie wybrała dłuższą drogę do Tenleytown i zaparkowała przed domem. Warren Street była pusta, ale gdy szła do drzwi po kamiennych płytach ścieżki, miała nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się i nie zauważyła nic, co mogłoby potwierdzać jej obawy, ale gdy weszła do domu, natychmiast ujrzała niezaprzeczalny dowód, że podczas jej nieobecności ktoś tu wszedł. Na fotelu, niedbale rzucony, spoczywał płaszcz, a na końcu kanapy po ciemku siedział mężczyzna.

- Witaj, Rebecco - powiedział spokojnie, zapalając lampę. - Nie bój się, to tylko ja.

Warren Street, Waszyngton

Rebecca napełniła dwie szklanki lodem i naląła do nich po kilka uncji whisky Johnnie Walker Black Label. Do swojej szklanki dodała jeszcze odrobinę wody evian, drugą zostawiła nierozcieńczoną. Kolejny drink był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, ale skorzystała z okazji, by odzyskać panowanie nad sobą. Na szczęście nie miała przy sobie broni, bo inaczej możliwe, że zastrzełiłyby dyrektora generalnego służb wywiadowczych. Pistolet, SIG sauer, kaliber 9 mm, leżał na piętrze, w górnej szufladzie nocnej szafki. Amerykanie wiedzieli i aprobowali to, że ma go w domu dla ochrony. Nie wolno jej było jednak nosić go w miejscach publicznych.

- Już zacząłem podejrzewać, że uciekłaś z tego kraju! - zawołał Graham Seymour z sąsiedniego pomieszczenia.

- Kyle Taylor - wyjaśniła Rebecca.

- I co u niego?

- Gadatliwy jak zawsze.

- Czy dzisiaj zanudził kogoś na śmierć?

Rebecca uśmiechnęła się wbrew sobie. Wiedziała, że Kyle Taylor ma wielkie ambicje zawodowe. Mówiono o nim, że zanudziłby na śmierć własną matkę, gdyby mógł w ten sposób zdobyć pracę na najbardziej cenionym siódmym piętrze w Langley.

Zaniosła drinki do salonu i podała jednego Seymourowi. Patrzył na nią uważnie znad brzegu szklanki, gdy drżącą ręką zapalała papierosa.

- Dobrze się czujesz?

- Zaraz poczuje się lepiej. Jak się tu dostałeś?

Seymour uniósł rękę z zapasowym kluczem, który Rebecca przechowywała w placówce na wypadek jakiegoś kryzysu.

- A twój samochód i kierowca?

- Stoją za rogiem.

W duchu wyrzucała sobie, że przed powrotem do domu nie przeszła się po sąsiednich ulicach. Zaciągnęła się mocno papierosem i wydmuchała smugę dymu w stronę sufitu.

- Przepraszam, że cię nie uprzedziłem o przyjeździe - powiedział Seymour. - I że wpadłem tu bez zapowiedzi. Ale chciałem z tobą porozmawiać sam na sam, z dala od placówki.

- Tu nie jest bezpiecznie. - Rebecca omal się nie zakrztusiła przy tych słowach. Żadne pomieszczenie na całym świecie nie było bezpieczne, jeśli ona się tam znalazła.

Seymour podał jej swój telefon.

- Zrób coś dla mnie. Włóż to do woreczka Faradaya. Twój też.

Woreczki Faradaya blokowały wchodzące i wychodzące sygnały smartfonów, tabletów i laptopów. Rebecca zawsze nosiła jeden w torebce. Włożyła do niego oba blackberry - Seymoura i swojego - oraz prywatnego iPhone'a i wsunęła wszystko do lodówki. Wróciła do salonu. Seymour zapalał jednego z jej papierosów.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale potrzebuję nikotyny.

- To brzmi groźnie.

- Obawiam się, że jest. Jutro o jedenastej przed południem mam spotkanie z Morrisem Payne'em w Langley. Powiem dyrektorowi Payne'owi, że mój rząd dostał ostateczny dowód na to, że SWR stało za zamordowaniem Alistaira w Bernie.

- Mówiłeś, że to był wypadek.

- To nie był wypadek. I dlatego jutro w południe nasz minister spraw zagranicznych zadzwoni do sekretarza stanu w Waszyngtonie i przekaże mu podobną wiadomość. Co więcej, minister powie sekretarzowi stanu, że Zjednoczone Królestwo zamierza zawiesić wszelkie dyplomatyczne stosunki z Rosją. Premier przekaże tę wiadomość prezydentowi o pierwszej.

- On tego dobrze nie przyjmie.

- To - odparł Seymour - jest najmniejsze z naszych zmartwień. Wydalenia rozpoczną się od razu.

- Na ile jesteśmy pewni, że Rosja maczała palce w śmierci Alistaira?

- Nie dopuściłbym do tego, żeby premier podjął taki drastyczny krok, gdybym nie miał dowodów wykutych w kamieniu.

- Z jakiego źródła?

- Otrzymaliśmy bardzo istotną pomoc od jednego z naszych partnerów.

- Od którego?

- Od Izraelczyków.

- Allon? - zapytała Rebecca sceptycznie. - Proszę, tylko mi nie mów, że podejmujemy ten krok, opierając się na słowie Gabriela Allona.

- Ma to czarno na białym.

- Skąd?

- Przykro mi, Rebecca, ale obawiam się...

- Czy mogę zobaczyć te dowody, zanim się spotkamy z Morrisem?

- Ty nie jedziesz do Langley.

- Graham, jestem H/Waszyngton. Muszę być na tym

spotkaniu.

- To będzie spotkanie dyrektorów. Prosto z Langley jadę na Dullesa. Chciałbym, żebyś tam przyjechała.

- Moja rola ma polegać tylko na tym, że pomacham ci, kiedy będziesz wsiadał do samolotu?

- Nie. Ty też wsiądziesz do tego samolotu.

Serce Rebekki jak oszalałe obijało się o żebra.

- Dlaczego?

- Bo chcę, żebyś była przy mnie w Londynie, kiedy wybuchnie burza. Zdobędziesz w ten sposób bezcenne doświadczenie w sytuacji kryzysowej. - Seymour ściszył głos i dodał: - A przy okazji mandaryni z Whitehall będą mieli okazję poznać kobietę, którą przygotowuję na swoją następczynię na stanowisku szefa służb wywiadowczych.

Rebecca zaniemówiła. Czterdzieści lat intryg oraz planowania i wszystko poszło dokładnie tak, jak Sasza i jej ojciec przewidzieli. „Ale ty, moja droga, ty skończysz za mnie tę pracę...”.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał Seymour.

- Co się mówi w takiej chwili?

- Przecież tego właśnie chcesz, prawda, Rebecco?

- Oczywiście. Ale poprzeczka jest ustawiona bardzo wysoko. Jesteś doskonałym dyrektorem, Graham.

- Zapomniałaś już, że Isis zaatakowało West End w Londynie za mojej kadencji?

- To była wina Piątki, nie twoja.

Graham uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, jeśli od czasu do czasu udzielę ci jakiejś rady.

- Byłabym głupia, gdybym nie przyjęła twoich rad.

- Nie trać czasu na toczenie starych wojen. Czasy, kiedy Piątka i Szóstka były wrogami, dawno minęły. Bardzo szybko się przekonasz, że potrzebujesz asekuracji ludzi z Thames House.

- Jeszcze jakieś rady?

- Wiem, że nie podzielasz mojej sympatii do Gabriela Allona, ale mądrze jest mieć go w swoim arsenale. Za kilka godzin rozpocznie się nowa zimna wojna. Allon zna Rosjan lepiej niż ktokolwiek inny w tej branży. Ma blizny, które tego dowodzą.

Rebecca poszła do kuchni i wyjęła telefon Seymoura z torebki Faradaya. Kiedy wróciła, Seymour, już w płaszczu, stał przy drzwiach.

- O której mam być na lotnisku? - zapytała, podając mu telefon.

- Nie później niż w południe. I przygotuj się na to, że spędzisz w Londynie co najmniej tydzień. - Wsunął telefon do kieszeni płaszcza i ruszył ścieżką z kamiennych płyt.

- Graham! - zawołała za nim Rebecca z ganku.

Seymour zatrzymał się obok wygaszonej żelaznej lampy i odwrócił.

- Dziękuję ci.

- Za co? - zdziwił się.

- Za to, że mi zaufałeś.

- Ja mógłbym powiedzieć to samo - odrzekł i zniknął w mroku.

Samochód czekał na Czterdziestej Piątej Ulicy. Seymour wsunął się na tylną kanapę. Między drzewami widział w oddali dom Rebekki i pociemniałą lampę na końcu ścieżki.

- Wracamy do rezydencji ambasadora, sir?

Seymour zamierzał spędzić tam noc.

- Muszę najpierw zadzwonić. Masz ochotę obejść kwartał kilkaset razy?

Kierowca wysiadł. Seymour zaczął wybierać numer Helen, ale przerwał. W Londynie było już dobrze po północy i nie chciał jej budzić. Poza tym wątpił, by Rebecca kazała mu czekać długo - nie teraz, gdy opowiedział jej o planie zerwania relacji z Rosją. Zostało jej niewiele czasu, żeby ostrzec przełożonych z Moskwy.

Telefon zawibrował. Przyszła wiadomość od Nigela Whitcombe'a z Londynu, kilka pustych słów, które miały sprawić na Vauxhall Cross wrażenie, że wszystko jest normalnie. Napisał odpowiedź i wysłał, a potem wpatrzył się w przerwę między drzewami w miejscu, gdzie stał dom Rebekki Manning.

Żelazna lampa na końcu ścieżki świeciła jasno.

Seymour wybrał numer i podniósł telefon do ucha.

- Czy widzisz to, co ja?
- Widzę - odrzekł głos na drugim końcu linii.
- Nie spuszczaaj jej z oka.
- Nie martw się, nie spuszczę.

Seymour zakończył rozmowę i patrzył na światło. Jutrzejszy dzień, powiedział sobie, będzie zwykłą formalnością, wpisaniem nazwiska w dokumencie mówiącym o zdradzie. Rebecca jest kretem, a kret jest Rebeccą. Stała się wcieleniem Philby'ego, jego zemstą. Prawda była wypisana na jej twarzy. Tego jednego Philby'emu nie udało się zmienić.

„Jestem Kim. A ty?”.

Jestem Graham, pomyślał. To ja dałem jej twoją dawną pracę. Jestem twoją ostatnią ofiarą.

The Palisades, Waszyngton

Była jedenasta dwadzieścia pięć wieczorem, kiedy Eva Fernandes zamknęła drzwi Brussels Midi, restauracji przy MacArthur Boulevard. Jej samochód stał kilka domów dalej, przy niedużej poczcie. Wsiadła do niego, zapaliła silnik i ruszyła. Mężczyzna, który przedstawił jej się jako Alex, ten wysoki, o jasnej skórze, który mówił po rosyjsku jak Rosjanin i śledził ją przez cały dzień, stał na rogu Dana Place przed ciemnym oknem restauracji afgańskiej serwującej steki. Na ramieniu miał plecak. Wrzucił go na przedni fotel obok Ewy i skinieniem głowy kazał jej jechać dalej.

- Jak tam w pracy? - zapytał.

- Lepiej niż wczoraj.

- Jakieś wiadomości od Centrali?

Przewróciła oczami.

- Przecież ty masz mój telefon.

Wyjął go z plecaka.

- Wiesz, co się stanie, jeśli jutro coś pójdzie nie tak?

- Będiesz uważał, że to moja wina.

- I co będzie dalej?

Przyłożyła do potylicy czubek palca wskazującego.

- Tak by zrobiło SWR, ale nie my. - Wyciągnął telefon w jej stronę. - Czy on przez cały czas tak piszczy?

- Jestem bardzo lubiana.

Przewinął powiadomienia.

- Kim są ci wszyscy ludzie?

- Przyjaciele, uczestnicy zajęć, kochankowie. - Wzruszyła ramionami. - Normalnie.

- Czy ktoś z nich wie, że szpiegujesz dla Rosjan? - Milczała, toteż dodał: - Przed domem przy Warren Street pali się światło. Przypomnij mi, co teraz ma się wydarzyć.

- Jeszcze raz?

- Tak, jeszcze raz.

- Ktoś z rezydentury przejeżdża obok domu każdego wieczoru o jedenastej. Jeśli światło się pali, zawiadamiają Centralę w Moskwie, a Centrala zawiadamia mnie.

- Jak?

Eva westchnęła ciężko.

- Mejmlem. Niezaszyfrowanym. Zupełnie o niczym.

- Jutro jest czwartek.

- Coś takiego!

- Nieparzysty czwartek - zauważył Michaił.

- No i dobrze.

- Gdzie się odbędzie przekazanie?

- W nieparzyste czwartki w Starbucksie na Wisconsin Avenue - powiedziała tonem niezadowolonej uczennicy.

- W którym Starbucksie na Wisconsin? Tam jest ich kilka.

- Powtarzaliśmy to już setki razy.

- Będziemy powtarzać, dopóki nie przekonam się, że nie kłamiesz.

- Starbucks po północnej stronie Georgetown.

- Jakie jest okienko transmisji?

- ósma do ósmej piętnaście.

- Zdawało mi się, że powiedziałaś wcześniej ósma piętnaście do ósmej trzydzieści.

- Nie powiedziałam tak.

- Gdzie masz czekać?
- Przy stolikach na górze.

Jechała przez MacArthur Boulevard wzdłuż brzegu jeziora oświetlonego nisko wiszącym na niebie księżycem. Przed jej domem było wolne miejsce parkingowe. Mężczyzna, który przedstawił się jako Alex, kazał jej się tam zatrzymać.

- Zawsze parkuję trochę dalej, żeby sprawdzić, czy budynek jest obserwowany.

- Jest obserwowany. - Wyciągnął rękę w stronę deski rozdzielczej i zgasił silnik. - Wsiadaj.

Odprowadził ją do drzwi z plecakiem przerzuconym przez ramię i jej telefonem w kieszeni. Gdy wstukowała kod, pocałował ją w kark.

- Jeśli nie przestaniesz - szepnęła - to złamię ci stopę, a potem nos.

- Wierz mi, Evo, to tylko ze względu na sąsiadów.

- Moi sąsiedzi uważają mnie za miłą dziewczynę, która nigdy by tu nie przyprowadziła kogoś takiego jak ty.

Zasuwa otworzyła się z trzaskiem. Eva poprowadziła go na górę do mieszkania. Poszła prosto do zamrażarki i wyjęła butelkę wódki. Mężczyzna, który przedstawił się jako Alex, wyjął zabezpieczone urządzenie komunikacyjne SWR z plecaka i położył na stole w kuchni, a obok położył telefon Ewy.

- Czy twoim przyjaciołom udało się złamać zapórę? - zapytała.

- Dość szybko. Podaj mi telefon. Czy któraś z tych wiadomości jest z Moskwy?

Eva przewinęła długą listę powiadomień jedną ręką. W drugiej trzymała drinka.

- Ta. Od Eduarda Santosa. Niezakodowana. Zupełnie

o niczym.

- Czy masz odpowiedzieć?
- Pewnie już się zastanawiają, dlaczego się nie odzywam.
- W takim razie pewnie powinnaś odpowiedzieć.

Szybko wstukała wiadomość kciukiem.

- Pokaż.
- To po portugalsku.
- Czy muszę ci przypominać, że...
- Nie, nie musisz. - Wysłała wiadomość i usiadła przy stole. -

I co teraz?

- Teraz dokończysz drinka i prześpisz się kilka godzin. A ja będę tu siedział i patrzył na ulicę.

- Znowu? Robiłeś to wczoraj w nocy.
- Dopij drinka, Evo.

Dopiła i naląa sobie następnego.

- To mi pomaga zasnąć - wyjaśniła.
- Powinnaś spróbować rumianku.
- Wódka jest lepsza. - Jakby po to, by udowodnić, że ma rację, wypła pół szklanki. - Bardzo dobrze mówisz po rosyjsku. Podejrzewam, że nie nauczyłeś się tego w instytucie językowym.

- Nauczyłem się w Moskwie.
- Czy twoi rodzice należeli do partii?
- Wręcz przeciwnie. I gdy drzwi się w końcu otworzyły, wyjechali do Izraela najszybciej, jak się dało.

- Masz tam dziewczynę?
- Bardzo miłą.
- Szkoda. Czym się zajmuje?
- Jest lekarką.
- Mówisz prawdę?

- Przeważnie.

- Ja też kiedyś chciałam zostać lekarką. - Popatrzyła na przejeżdżający ulicą samochód. - Wiesz, co się ze mną stanie, jeśli coś pójdzie nie tak?

- Bardzo dobrze wiem, co się stanie.

- Puf - powiedziała i nalała sobie jeszcze jednego drinka.

Siedziba SWR, Jasieniewo

W tej samej chwili w siedzibie SWR w Jasieniewie mężczyzna znany tylko pod pseudonimem Sasza również nie spał. Ze względu na różnicę czasu było u niego kilka minut po ósmej rano. Ale ponieważ w Moskwie wciąż panowała zima, niebo za oszronionymi oknami prywatnej daczki Saszy jeszcze nie zaczęło się rozjaśniać. Sasza jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Patrzył tylko na kawałek cieniutkiego papieru, który godzinę wcześniej przyniesiono mu z szyfrowni w głównym budynku.

Była to kopia pilnego telegramu z waszyngtońskiej rezydentury wysłanego przez samego rezydenta, który zawiadamiał, że kret Saszy zamierza przesłać kolejną partię materiałów później tego przedpołudnia. Rezydent uważał, że to dobra wiadomość, czemu trudno było się dziwić – świecił światłem odbitym od kreta i po każdym udanym przekazie jego gwiazda wznosiła się wyżej. Sasza jednak nie podzielał tego entuzjazmu. Martwił go czas przekazu. Było na to za wcześnie. Być może kret dotarł do jakiejś niezmiernie ważnej informacji, którą należało przekazać natychmiast, ale takie przypadki zdarzały się rzadko.

Położył telegram na biurku obok raportu, który dostał poprzedniego wieczoru. Technicy SWR przeprowadzili wstępną analizę mocno zwęglonego ciała, które francuskie władze przekazały im na lotnisku w Strasburgu. Nie byli jednak w stanie określić, czy to jest ciało Siergieja Morozowa.

- Może to jest Morozow – powiedział technik – a może nie.

Sasza sądził, że czas, w którym wydarzył się ten wypadek, był co najmniej podejrzany. Jako człowiek SWR, a wcześniej KGB, Sasza nie wierzył w wypadki. Wątpił, czy Siergiej Morozow, człowiek, któremu powierzył wiele swoich najcenniejszych sekretów, jest naprawdę martwy.

Ale czy istniało jakieś powiązanie między śmiercią Siergieja Morozowa a wiadomością z Waszyngtonu? I czy nadszedł już czas, żeby ujawnić kreta?

Sasza zorganizował precyzyjną drogę ucieczki dla kreta po tym, jak ten zdrajca Gribkow poszedł do MI6 z ofertą dezercji. Na szczęście Brytyjczycy wahali się i udało się ściągnąć Gribkova do Moskwy, aresztować go, przesłuchać i w końcu zastosować *wysshą mierę*. Egzekucja więźnia odbyła się w piwnicy więzienia Lefortowo w pomieszczeniu na końcu ciemnego korytarza. Sasza sam wystrzelił śmiertelnościaną kulę. Zrobił to bez cienia żalu ani wahania. Miał na koncie sporo mokrej roboty.

Gdy Gribkow został pochowany w nieoznakowanym grobie, Sasza próbował naprawić szkody. Cała operacja rozwijała się dokładnie tak, jak zaplanował, chociaż w jednym miejscu się przeliczył – w tym samym miejscu, w którym inni przeliczyli się wcześniej.

Gabriel Allon.

Możliwe jednak, że bał się cieni. To częsta przypadłość, pomyślał, u starych ludzi, którzy zbyt długo pozostawali w tej grze. Kret działał niewykryty w MI6 przez ponad trzydzieści lat, nawet dłużej niż jej ojciec. Sterowana ukrytą ręką Saszy, przez cały czas wznosiła się coraz wyżej, aż w końcu została szefową placówki w Waszyngtonie. To było bardzo poważne stanowisko, które pozwalało jej spenetrować również CIA, podobnie jak

wcześniej jej ojcu.

A teraz najwyższa pozycja znalazła się już w jej zasięgu. Również w zasięgu Saszy. Gdyby została dyrektorem generalną MI6, mogłaby sama rozwalić Sojusz Północnoatlantycki, tym samym umożliwiając Rosji zrealizowanie ambicji dotyczących państw bałtyckich, Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. To byłby największy cios w historii, zadany przez wywiad, większy nawet niż to, czego dokonał Kim Philby.

Z tego powodu Sasza wybrał drogę środka. Napisał wiadomość ręcznie i wezwał kuriera, by zaniósł ją z daczy do szyfrowni. O dziesiątej piętnaście czasu moskiewskiego – w Waszyngtonie była druga piętnaście po południu – kurier wrócił z potwierdzeniem, że wiadomość została odebrana.

Teraz już nic nie miał do zrobienia, pozostało tylko czekać. Za sześć godzin pozna odpowiedź. Otworzył starą teczkę. W środku znajdował się raport napisany przez Philby'ego w marcu 1973, kiedy agent próbował wrócić do łask Moskwy. Raport dotyczył młodej Francuzki, którą poznał w Bejrucie, oraz dziecka. Philby nie napisał wprost, że dziecko było jego, ale jasno wynikało to z treści. „Sądzę, że mogłaby się okazać przydatna dla nas – napisał – bo ma zdradę we krwi”.

Forest Hills, Waszyngton

Obiekt podejrzeń Saszy również czekał, jednak nie w prywatnej daczce, ale w zrujnowanym domu na północno-zachodnich krańcach Waszyngtonu. Ze względu na późną porę rozciągnięty był w gabinecie na kanapie. Przez ostatnie dwie godziny przeglądał swój plan bitwy, szukając w nim niedociągnięć, słabego miejsca, które mogłoby sprawić, że cała sprawa z hukiem zwali mu się na głowę, nie znalazł jednak żadnych oprócz palącego niepokoju dotyczącego prawdziwej lojalności Ewy Fernandes. Jego myśli, jak często w takich chwilach, pobiegły do brzozowego lasu, sto dwadzieścia osiem mil na wschód od Moskwy.

Jest wczesny ranek. Z ołowianego nieba sypie śnieg. Stoi na skraju wykopanego grobu, rany na ciele matki Rosji. Chiara stoi obok niego, drżąc z zimna i ze strachu. Dalej stoi Michaił Abramow i niejaki Grigorij Bułganow. A przed nimi, wymachując pistoletem i wykrzykując rozkazy na tle dudnienia zbliżającego się helikoptera, stoi Iwan Charkow.

- Patrz, jak twoja żona umiera, Allon...

Gabriel otworzył oczy w momencie, gdy w jego wyobraźni rozbrzmiał pierwszy strzał. Właśnie w tej chwili, pomyślał, zaczęła się jego osobista wojna z Kremlem. Owszem, wcześniej były jakieś potyczki, wstępne rundy, ale to właśnie w ten koszmarne poranek we *władimirskiej obłasti* pojawiła się

wrogość. Wtedy Gabriel zrozumiał, że nowa Rosja idzie tą samą drogą, co stara. Wtedy jego zimna wojna z Kremlem zmieniła się w wojnę gorącą.

Od tamtej pory walczyli z sobą na sekretnym polu bitwy, które rozciągało się od serca Rosji do Brompton Road w Londynie, klifów Kornwalii i nawet zielonych wzgórz Irlandii Północnej. A teraz ta wojna dotarła do Waszyngtonu. Za kilka godzin, kiedy Rebecca Manning przekaże raport, który Gabriel niemal jej podyktował, będzie po wszystkim. W tej potyczce jednak był już górą. Zdemaskował rosyjskiego kreta ukrytego głęboko w brytyjskich tajnych służbach wywiadowczych. Kret był dzieckiem nikogo innego tylko Kima Philby'ego. Gabriel potrzebował jeszcze ostatecznego dowodu, ostatecznego pociągnięcia pędzlem, i arcydzieło będzie gotowe.

Właśnie ta myśl, hipnotyzująca perspektywa ostatecznego zwycięstwa nad najbardziej nieprzejednanym wrogiem, nie pozwoliła Gabrielowi zasnąć w ciągu tej długiej nocy. O wpół do szóstej podniósł się z kanapy, wziął prysznic, starannie się ogolił i ubrał. Spłowiałe dzinsy, wełniany pulower, skórzana kurtka - mundur szefa operacyjnego.

Wszedł do salonu. Przy rozkładanym stole siedziało trzech członków jego legendarnej grupy - Jakow Rossman, Jossi Gawisz i Rimona Stern. Nie mówili teraz do ścian, tylko do siebie, bardzo cichym głosem. Każde z nich wpatrywało się w ekran laptopa. Na jednym ekranie było nieruchome ujęcie niedużego domku, mniej więcej wielkości angielskiego, z dziwną neogotycką fasadą nad gankiem. Na końcu ścieżki z kamiennych płyt świeciła się lampa. światło dochodziło również z okna sypialni na górze.

Było pięć po szóstej rano. Kret wstał.

Warren Street, Waszyngton

Rebecca przejrzała londyńskie gazety na iPhone, pijąc kawę i paląc pierwszego porannego papierosa. Jakimś cudem plan zawieszenia dyplomatycznych stosunków z Kreml, opracowany przez premiera Lancastera, nie wyciekł. W rozmaitych wiadomościach, które dotarły na jej służbowy telefon, też nie było niczego, co wskazywałoby na zbliżający się kryzys. Najwidoczniej informację utrzymywano w ścisłej tajemnicy, znał ją tylko premier i jego wyżsi doradcy, minister spraw zagranicznych oraz Graham. No i oczywiście Gabriel Allon. Rebecce niepokoił udział Allona w tej sprawie. Na razie nic nie wskazywało na to, że została zdemaskowana. Graham nie podzieliłby się z nią tą informacją, gdyby podejrzewał ją o zdradę.

Dzięki Rebecce Centrala i Kreml nie zostaną zupełnie zaskoczeni tą wiadomością. Po wyjściu Grahama napisała szczegółowy raport o planach Brytyjczyków i załadowała go na iPhone'a, gdzie był ukryty w popularnym komunikatorze i niedostępny dla nikogo oprócz SWR i jego systemu cyfrowej komunikacji bliskiego zasięgu. Wiadomość zawierała kod awaryjny, który informował obsługującego ją agenta, atrakcyjną nielegalną imigrantkę z brazylijską legendą, że materiał musi zostać natychmiast przekazany do rezydentury rosyjskiej w Waszyngtonie. To było ryzykowne, ale konieczne. Gdyby nielegalna agentka przekazała wiadomość do Centrali zwykłymi kanałami, raport dotarłby do Moskwy za kilka dni, o wiele za

późno, by mógł się do czegokolwiek przydać.

Przy drugiej kawie Rebecca przejrzała amerykańskie gazety i o wpół do siódmej poszła na górę, aby się wykąpać i ubrać. Tego ranka nie będzie żadnego biegania. W obydwu jej światach panował kryzys. Zamierzała wpaść do Starbucksa na Wisconsin Avenue i potem na chwilę pojawić się w placówce. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się porozmawiać krótko z Grahamem, zanim ten pojedzie na spotkanie z Morrisem Payne'em. To dałoby jej ostatnią szansę przekonania go, by zabrał ją z sobą do Langley. Chciała usłyszeć na własne uszy, czego MI6 dowiedziało się od Gabriela Allona.

O siódmej była już ubrana. Wrzuciła obydwa telefony do torebki - prywatnego iPhone'a i służbowe blackberry - i poszła poszukać paszportu. Znalazła go w górnej szufladzie nocnej szafki razem z SIG sauerem i dodatkowym magazynkiem załadowanym nabojami kalibru 9 mm. Odruchowo zgarnęła również to i wrzuciła do torebki. Na dole wyłączyła lampę przy końcu chodnika i wyszła.

Yuma Street, Waszyngton

Tego ranka Rebecca Manning nie wiedziała o wielu rzeczach, łącznie z faktem, że jej dom był obserwowany przez miniaturową kamerę ukrytą w publicznym parku po drugiej stronie ulicy i że w ciągu nocy do samochodu, szaroniebieskiej hondy civic z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi, przymocowano jej malutki nadajnik GPS.

Kamera obserwowała odjazd Rebekki sprzed domu przy Warren Street. Nadajnik śledził ruch dalej na zachód przez dzielnicę mieszkalną Tenleytown. Jakow Rossman przekazywał te informacje w zaszyfrowanych wiadomościach Eliemu Lavonowi, który siedział przygarbiony na fotelu pasażera wynajętego nissana zaparkowanego przy Yuma Street. Christopher Keller zajmował miejsce za kierownicą. Zdarzało im się już jechać za najbardziej niebezpiecznymi ludźmi na świecie, toteż rosyjski kret z nadajnikiem przyczepionym do samochodu wydawał się marnotrawstwem ich talentu.

- Skręciła właśnie w Massachusetts Avenue - powiedział Lavon.

- W którym kierunku?

- Nadal jedzie na zachód.

Keller odjechał od krawężnika i ruszył w tym samym kierunku przez Yuma Street. Ulica krzyżowała się z Massachusetts Avenue pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni. Keller przyhamował przy znaku stopu i zczekał, aż przejedzie przed nim szaroniebieska honda civic z dyplomatycznymi

tablicami rejestracyjnymi, prowadzona przez szefową waszyngtońskiej placówki MI6.

Eli Lavon patrzył na swój telefon.

- Wciąż jedzie na zachód Massachusetts.

- No nie mów. - Keller przepuścił jeszcze dwa samochody i ruszył za nią.

- Uważaj - ostrzegł Lavon. - Ona jest dobra.

- Owszem - odrzekł Keller spokojnie. - Ale ja jestem lepszy.

Ambasada Brytyjska, Waszyngton

Po powrocie do Ambasady Brytyjskiej poprzedniego wieczoru Graham Seymour poinformował zarządcę garażu, że będzie potrzebował na rano samochód z szoferem. Powiedział, że pierwszym przystankiem będzie hotel Four Seasons w Georgetown, gdzie ma prywatne spotkanie przy śniadaniu. Stamtąd pojedzie do sztabu CIA w Langley, a z Langley na pobliskie lotnisko międzynarodowe Dullesa, gdzie będzie czekał na niego wycarterowany samolot. Złamał jednak protokół i poinformował szefa ochrony, że tego dnia chce pojechać bez ochroniarzy.

Szef ochrony protestował, ale w końcu zgodził się spełnić życzenie Seymoura. Samochód czekał o siódmej rano przed rezydencją ambasadora przy Observatory Circle. Seymour wsiadł i poinformował kierowcę o niewielkiej zmianie programu. Powiedział również, że w żadnych okolicznościach kierowca nie może o tym zawiadomić zarządcy garażu ani szefa ochrony.

- Jeśli piśniesz choćby słowo, to każę cię zamknąć w Tower, wychłostać albo zrobić coś podobnie okropnego.

- Skoro nie jedziemy do Four Seasons, to gdzie?

Seymour podał mu adres i kierowca, który był nowy w Waszyngtonie, wpisał go do nawigacji. Przejechali przez Observatory Circle na Massachusetts Avenue i skręcili na północ w Reno Road przez Cleveland Park. Przy Brandywine Street skręcili w prawo, a przy Linnean Avenue w lewo.

- Czy jesteś pewien, że wpisałeś właściwy adres? - zapytał Seymour, kiedy samochód się zatrzymał.

- Kto tu mieszka?

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział.

Wysiadł z samochodu i podszedł do żelaznej bramy, która otworzyła się automatycznie. Schodki doprowadziły go do frontowych drzwi, gdzie czekała już kobieta o włosach koloru mokrego piasku i szerokich biodrach, dobrych do rodzenia dzieci. Poznał ją. Była to Rimona Stern, szefowa wydziału Biura znanego pod nazwą Księgowości.

- Niech pan tu nie stoi - parsknęła. - Proszę wejść do środka.

Seymour poszedł za nią do dużego pomieszczenia, gdzie Gabriel i dwóch jego wyższych rangą pracowników, Jakow Rossman i Jossi Gawisz, siedzieli przy składanym stole wpatrzni w laptopy. Na ścianie za nimi widać było dużą plamę pleśni, kształtem podobną do mapy Grenlandii.

- Czy tutaj naprawdę mieszka ambasador? - zapytał Seymour.

Ale Gabriel nie odpowiedział. Patrzył na wiadomość, która właśnie pojawiła się na ekranie. Eva Fernandes i Michał Abramow wyjeżdżali z budynku przy MacArthur Boulevard. Seymour zdjął płaszcz i niechętnie przerzucił go przez oparcie krzesła. Z kieszeni wyjął służbowe blackberry i sprawdził godzinę. Była siódma dwanaście rano.

Burleith, Waszyngton

Zrobiły się już koszarne korki, szczególnie na Reservoir Road, która ciągnęła się od Foxhall do północnego krańca Georgetown. Tędy dojeżdżali do pracy mieszkańcy przedmieść z Marylandu zmierzający na wschód rankiem, a na zachód wieczorem. Sytuację pogarszała bliskość Georgetown University Medical Center i o tej porze oślepiający blask wschodzącego słońca. Eva Fernandes była co prawda nielegalną imigrantką, ale także doświadczonym kierowcą waszyngtońskim i znała kilka skrótów. Miała na sobie zwykły poranny strój: legginsy, neonowo zielone buty marki Nike i obcisłą kurtkę zapinaną na suwak, również w kolorze neonowej zieleni. Michaił, który nie spał już dwie noce z rzędu, wyglądał jak jej chłopak, który wolał alkohol i narkotyki niż pracę.

- A mnie się zdawało, że w Moskwie są korki - mruknął pod nosem.

Eva skręciła w lewo w Trzydziestą Siódmą Ulicę i pojechała na północ, do Burleith, dzielnicy szeregowców popularnej wśród studentów i młodych ludzi rozpoczynających karierę. A także wśród rosyjskich szpiegów, pomyślał Michaił. Aldrich Ames zostawiał znaki kredą na skrzynce pocztowej przy T Street, kiedy chciał przekazać sekrety CIA swojemu prowadzącemu z KGB. Ta skrzynka pocztowa znajdowała się teraz w muzeum w centrum miasta. Ta, którą Michaił zauważył za oknem, zastąpiła tamtą.

- Przypomnij mi, co masz zrobić, kiedy wysiądę - powiedział.

Eva już nie protestowała, tylko westchnęła ciężko. Szczegółowo omówili cały plan przy stole kuchennym, a teraz, kilka minut przed rozpoczęciem akcji, mieli znów go omówić, czy było to potrzebne, czy nie.

- Pojadę dalej do Starbucksa - recytowała, jakby nauczyła się tego na pamięć.

- A co się stanie, jeśli spróbujesz uciec?

- FBI. Więzienie.

- Zamów sobie latte - polecił Michaił z operacyjnym spokojem - i zabierz do stolika na górę. Nie nawiązuj kontaktu wzrokowego z żadnym z klientów. I cokolwiek będzie się działo, nie zapomnij włączyć odbiornika. Kiedy Rebecca rozpocznie transmisję, zawartość zostanie automatycznie przekazana nam.

Eva skręciła w Whitehaven Parkway.

- A co będzie, jeśli się przestraszy i nie przeprowadzi transmisji?

- To samo, co by było, gdyby ją przeprowadziła. Czekaj na górze, dopóki się do ciebie nie odezwę. Potem zjedź do samochodu i zapal silnik. Ja wsiądę. A potem...

- Puf - powiedziała.

Podjechała do krawężnika na rogu Trzydziestej Piątej Ulicy. Michaił otworzył drzwi i wysunął nogę na zewnątrz.

- Nie zapomnij włączyć odbiornika. I cokolwiek będzie się działo, nie wychodź z tej kawiarni, dopóki ci nie każą.

- A jeśli ona nie przeprowadzi transmisji? - zapytała ponownie Eva.

Michaił nie odpowiedział. Wysiadł z samochodu i zamknął drzwi. Kia natychmiast oderwała się od krawężnika i skręciła w prawo w Wisconsin Avenue. Na razie wszystko w porządku,

pomyślał i ruszył przed siebie.

Wisconsin Avenue, Waszyngton

Ten obraz przedstawiający szpiegostwo w stylu zimnej wojny pozbawiony był zwykłych symboli: murów, punktów kontrolnych, wież strażniczych, reflektorów czy mostu szpiegów. Zastąpiła je szalenie popularna kawiarnia sieciowa z wszechobecnym zielono-białym szyldem. Mieściła się po zachodniej stronie Wisconsin Avenue, na końcu szeregu małych lokali usługowych: przychodnia dla zwierząt, fryzjer, szewc, krawiec, tresura zwierząt domowych i jedna z lepszych restauracji francuskich w Waszyngtonie.

Tylko kawiarnia miała własny parking. Eva kręciła się po nim przez dobre dwie minuty, zanim zwolniło się miejsce. W środku kolejka sięgała od kasy prawie do samych drzwi. Ale to było bez znaczenia. Miała mnóstwo czasu.

Zignorowała instrukcje mężczyzny, który przedstawił jej się jako Alex, i uważnie rozejrzała po otoczeniu. Przed nią w kolejce stało dziewięć osób – zdenerwowani pracownicy biur w centrum miasta w drodze do pracy, kilkoro mieszkańców okolicy w dresach i troje nastolatków w pasiastych krawatach brytyjskiej szkoły międzynarodowej, która mieściła się po przeciwnej stronie Wisconsin Avenue. Jeszcze pięcioro czy sześcioro klientów czekało na napoje na drugim końcu lady o kształcie litery L, a cztery osoby czytały przy wspólnym stole „Washington Post” i „Politico”. Nikt z nich nie sprawił na Evie wrażenia człowieka z wywiadu izraelskiego albo brytyjskiego, a co najważniejsze, z waszyngtońskiej rezydentury SWR.

Z tyłu restauracji znajdowały się jeszcze dodatkowe miejsca za gablotą z ciastkami i kanapkami o plastikowym wyglądzie. Wszystkie stoliki oprócz jednego czy dwóch były zajęte. Przy jednym siedział mężczyzna około dwudziestopięcioletni, blady, jakby nigdy nie wychodził na słońce. Ubrany w bluzę z emblematem Georgetown University wpatrywał się w laptopa. Wyglądał jak typowy włóczęga, który szuka miejsca z darmowym Wi-Fi, i o to chodziło. Eva uznała, że właśnie udało jej się zidentyfikować izraelskiego komputerowca, który zdołał złamać superbezpieczną zaporę w jej odbiorniku SWR.

Wreszcie złożyła zamówienie. Była siódma czterdzieści. Barista całkiem nieźle śpiewał „Let’s Stay Together” Ala Greena, przygotowując jej grande latte z dodatkowym espresso, które obficie posłodziła, zanim ruszyła na tył sali. Tylko chłopak w bluzie z Georgetown nie podniósł na nią wzroku, gdy go mijiała w swoich legginsach i obcisłej kurtce i tym samym potwierdził, że to właśnie on jest izraelskim technikiem komputerowym.

Po lewej stronie sali znajdowały się schody na górę. Była tam tylko jedna osoba - mężczyzna w średnim wieku w luźnych spodniach i golfie, który pisał coś w szaleńczym tempie na bloczku żółtego papieru. Siedział tuż przy balustradzie, skąd miał widok na frontową część kawiarni. Eva usiadła z tyłu przy drzwiach na pusty taras. Włącznik odbiornika SWR po przyciśnięciu wydał stłumione kliknięcie. Mimo to mężczyzna podniósł głowę i zmarszczył brwi, po czym wrócił do pracy.

Eva wyjęła telefon z torebki i sprawdziła godzinę. Siódma czterdzieści sześć. Okienko przekazu miało się otworzyć za czternaście minut. Piętnaście minut później znów się zamknie i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kret Saszy zostanie

ujawniony. Eva nie czuła się winna, czuła tylko lęk. Bała się, co się stanie, jeżeli SWR jakimś sposobem ją złapie i zawiezie z powrotem do Rosji. Cela bez okien na końcu mrocznego korytarza w więzieniu Lefortowo, mężczyzna bez twarzy.

Puf...

Jeszcze raz spojrzała na zegar. Była siódma czterdzieści dziewięć. Pośpiesz się, pomyślała. Proszę, pośpiesz się.

Wisconsin Avenue, Waszyngton

Po przeciwnej stronie Wisconsin Avenue, o sto metrów na północ, mieścił się ekskluzywny Safeway, który miał przyciągać wyrafinowaną klientelę z Georgetown. Na poziomie ulicy znajdował się zamknięty parking i drugi na zewnątrz, na tyłach sklepu. Rebecca Manning wolała ten drugi. Powoli wjechała po rampie, wpatrując się w lusterko wsteczne. Już dwa razy w ciągu tego poranka odniosła wrażenie, że śledzi ją ktoś z FBI i rozważała rezygnację z transmisji. Teraz uznała, że te obawy były bezpodstawne.

Zaparkowała w najdalszym kącie parkingu, zarzuciła torebkę na ramię i podeszła do tylnego wejścia do sklepu. Koszyki stały przy windzie, którą można było zjechać na podziemny parking. Rebecca wzięła jeden i ruszyła przez sklep, idąc od warzyw i owoców do gotowego jedzenia przez wiele wąskich alejek. W końcu zyskała pewność, że nikt za nią nie idzie.

Zostawiła koszyk przed kasami samoobsługowymi i zeszła po długich schodach do głównego wejścia na Wisconsin Avenue. Ze wzgórza w stronę Georgetown wylewał się sznur samochodów. Rebecca poczekała na zmianę świateł i przeszła na drugą stronę ulicy. Tam skręciła na południe i mijając ciemne okno restauracji tureckiej, skoncentrowała się na tym, żeby dotrzeć do miejsca zrzutu.

Od drzwi restauracji tureckiej do wejścia do Starbucksa było czterdzieści siedem kroków. Przy wejściu siedział bezdomny w brudnych łachmanach. W normalnych okolicznościach

Rebecca dałaby mu trochę pieniędzy, tak jak jej matka zawsze dawała kilka centymów żebrakom na ulicach Paryża, choć sama była niewiele od nich bogatsza. Ale tego ranka ze skrucłą przemknęła obok mężczyzny i weszła do środka.

Przy kasie stała kolejka złożona z ośmiu osób. Prawnicy, lobbyści o gniewnym wyglądzie, dwóch przyszłych pracowników MI6 z brytyjskiej szkoły międzynarodowej, wysoki mężczyzna o bezkrwistej skórze i bezbarwnych oczach, który wyglądał, jakby nie spał od tygodnia. Barista śpiewał „A Change Is Gonna Come”. Rebecca spojrzała na zegarek. Była siódma czterdzieści dziewięć.

Christopher Keller i Eli Lavon nie zawracali sobie głowy śledzeniem Rebekki na górnym parkingu Safeway, tylko zaparkowali na Trzydziestej Czwartej przed szkołą średnią Hardy’ego. Stąd świetnie widzieli, jak obiekt wchodzi do Starbucksa. Eli Lavon przekazał wiadomość do punktu dowodzenia przy Chesapeake Street. To nie było potrzebne, bo Gabriel i reszta ekipy obserwowali Rebecę na żywo przez kamerę w telefonie Ilana. Wszyscy oprócz Grahama Seymoura, który wyszedł do ogrodu, by odebrać telefon z Vauxhall Cross.

Była siódma pięćdziesiąt cztery, kiedy Seymour wrócił do środka. Rebecca Manning składała właśnie zamówienie. Seymour powiedział za nią:

- Duża kawa, mocno palona. Nic do jedzenia, dziękuję.

Gdy młody człowiek za ladą odwrócił się do podgrzewacza, żeby nalać Rebecce kawy, wsunęła kartę kredytową do czytnika, tym samym potwierdzając swoją obecność w kawiarni tego konkretnego poranka.

- Czy życzy pani sobie paragon? - wyrecytował Gabriel.

- Tak, proszę - odpowiedział Seymour w imieniu Rebekki i kilka sekund później młody człowiek przy ladzie podał jej paragon razem z kawą.

Gabriel spojrział na elektroniczny zegar na środku stołu. Była siódma pięćdziesiąt sześć i czternaście sekund. Okienko transmisji za chwilę się otworzy.

- Widziałeś już dość? - zapytał.

- Nie - odrzekł Seymour, patrząc na ekran. - Lećmy dalej.

Wisconsin Avenue, Waszyngton

Przy wspólnym stole było wolne miejsce tuż przy drzwiach, dzięki czemu Rebecca miała niczym niezastłonięty widok na ulicę oraz na tylną część kawiarni. Mężczyzna, który stał w kolejce przed nią, ten z jasną skórą i oczami, usiadł na drugim końcu sali, zwrócony do niej plecami. Kilka stolików dalej młody człowiek, który wyglądał jak absolwent uniwersytetu, stukał w laptop, podobnie jak czterech innych klientów. Trzy osoby siedzące przy stole razem z Rebeccą były cyfrowymi dinozaurami i wołały przyswajać informacje w drukowanej postaci. Rebecca również tak wołała. Najszczęśliwsze godziny swojego niezwykłego dzieciństwa spędziła w bibliotece w mieszkaniu ojca w Moskwie. Jego olbrzymia kolekcja zawierała cztery tysiące książek, które odziedziczył po swoim koledze, szpiegu z Cambridge Guyu Burgessie. Wciąż pamiętała, że fascynująco pachniały tytoniem. Zapewne pierwsze papierosy w życiu wypaliła przy lekturze książek Guya Burgessa. Teraz miała wielką ochotę zapalić, ale oczywiście nie odważyła się. To byłaby zbrodnia gorsza niż zdrada stanu.

Zdjęła pokrywkę z kubka z kawą i odłożyła ją na stolik obok iPhone'a. Służbowe blackberry zawibrowało w torebce, sygnalizując nadejście wiadomości. Najprawdopodobniej dzwoniło do niej ze stanowiska Vauxhall Cross odpowiedzialnego za łączność z półkulą zachodnią. Albo może, pomyślała, Graham zmienił zdanie i chce ją zabrać do Langley.

Teraz pewnie wyjeżdża z rezydencji ambasadora. Powinna chyba przeczytać wiadomość, by się upewnić, że to nic pilnego. Za chwilę, pomyślała.

Pierwszy łyk kawy uderzył jej pusty żołądek jak kwas z bateryjki. Barista śpiewał teraz „What’s Going On” Marvinie Gaye’a, a mężczyzna po drugiej stronie wspólnego stołu, być może zainspirowany tekstem piosenki, narzekał sąsiadowi na ucho na ostatnie skandaliczne słowa wypowiedziane w mediach społecznościowych przez amerykańskiego prezydenta. Rebecca spojrzała na tył sali, ale nikt nie odwzajemnił jej spojrzenia. Nielegalna imigrantka zapewne jest na górze. Rebecca widziała jej odbiornik w ustawieniach sieci na swoim iPhone. Jeśli urządzenie działało sprawnie, to było niewidoczne dla wszystkich innych telefonów, tabletów czy komputerów w pobliżu.

Znów sprawdziła czas. Siódma pięćdziesiąt sześć. Jeszcze jeden łyk kawy i kolejne uderzenie kwasu w żołądek. Na pozór spokojnie przesuwiała ikonki na ekranie iPhone’a, aż znalazła komunikator, w którym ukryto protokół SWR. Jej raport tam czekał, zakodowany i niewidzialny. Nawet ikonka, która służyła do tego, by go przesłać, była oszustwem. Trzymając nad nią palec, po raz ostatni powiodła wzrokiem po sali. Nie działało się nic podejrzanego, tylko jej służbowe blackberry nieustannie wibrowało. Nawet człowiek po drugiej stronie stołu zastanawiał się chyba, dlaczego nie odbiera.

Była siódma pięćdziesiąt siedem. Rebecca odłożyła iPhone’a na stół i sięgnęła do torebki. Blackberry leżało obok SIG sauera, kaliber 9 mm. Ostrożnie wyjęła telefon i wpisała długie hasło. Wiadomość pochodziła od Andrew Crawforda. Pytał, kiedy Rebecca pojawi się w placówce.

Zignorowała tę wiadomość i o siódmej pięćdziesiąt osiem
znów włożyła blackberry do torebki. Dwie minuty przed
pojawieniem się okienka transmisji iPhone zawibrował,
sygnalizując nadejście kolejnej wiadomości. Wiadomość była
z londyńskiego numeru, którego Rebecca nie rozpoznała,
i składała się z jednego tylko słowa.

Uciekaj...

Wisconsin Avenue, Waszyngton

Uciekaj...

Od czego? Od kogo? Dokąd?

Rebecca spojrzała na numer na iPhone. Nic jej nie mówił. Najpewniej wiadomość pochodziła z Centrali Moskwa albo z waszyngtońskiej rezydentury. A może, pomyślała, może to jakaś sztuczka. Oszustwo. I tylko szpieg ucieknie.

Zmarszczyła brwi ze względu na kamery, które niewątpliwie ją obserwowały, i jednym przyciśnięciem kłamliwej ikonki rozproszyła swój oryginalny raport na cyfrowy proszek. Zniknął, jakby nigdy nie istniał. Potem przycisnęła jeszcze jedną fałszywą ikonę i zniknęła cała aplikacja. Teraz nie miała już żadnego dowodu zdrady w telefonie ani w żadnych innych rzeczach. Pozostał tylko pistolet, który przed wyjściem z domu wsunęła do torebki. Teraz była zadowolona, że ma go przy sobie.

Uciekaj...

Od jak dawna wiedzą? I ile wiedzą? Czy tylko tyle, że szpieguje dla Moskwy? A może wiedzą też, że urodziła się i została wychowana na szpiega, że jest córką Kima Philby'ego i dziełem życia Saszy? Pomyślała o niespodziewanej wizycie Grahama poprzedniego wieczoru i alarmujących nowinach, że Downing Street zamierza zerwać dyplomatyczne stosunki z Moskwą. To było kłamstwo, pomyślała, którym chciał ją nakłonić do próby kontaktu z mocodawcami. Nie istniał żaden plan zerwania stosunków z Moskwą i żadne spotkanie nie miało

się dzisiaj odbyć w Langley. Dopuszczała jednak, że rzeczywiście jest samolot, który czeka na międzynarodowym lotnisku Dullesa, żeby zabrać ją do Londynu, gdzie wpadnie w ręce brytyjskiego systemu prawnego.

Uciekaj...

Jeszcze nie, pomyślała. Nie bez planu. Musi działać metodycznie, tak jak jej ojciec w 1951 roku, kiedy się dowiedział, że Guy Burgess i Donald Maclean zdezerterowali do Związku Radzieckiego, katastrofalnie narażając jego samego. Pojechał wtedy samochodem do Marylandu i zakopał w ziemi miniaturową kamerę z KGB i filmy. „Nad rzeką, w pobliżu Swainson Island, pod wielkim platanem...”. Ale samochód Rebekki na nic się nie mógł teraz przydać. Z pewnością zamontowano w nim nadajnik. To wyjaśnia, dlaczego nie zauważyła żadnych obserwatorów.

Po to, żeby uciec, potrzebowała innego samochodu i dostępu do czystego telefonu. Sasza zapewniał, że w przypadku konieczności będzie w stanie przemyścić ją do Moskwy, tak jak Jurij Modin zabrał jej ojca z Bejrutu. Rebecce podano numer w rosyjskiej ambasadzie, pod który mogła zadzwonić, oraz hasło, które uświadomiłoby osobie na drugim końcu linii, że jest w kłopotach. Hasło brzmiało „Vrej”. To była nazwa starej restauracji w ormiańskiej dzielnicy Bejrutu.

Najpierw jednak musi oddalić się od strefy zrzutu. Z pewnością kilkoro spośród siedzących obok niej ludzi to brytyjcy, amerykańscy albo nawet izraelscy agenci. Spokojnie wsunęła iPhone'a do torebki, podniosła się i wrzuciła kubek po kawie do pojemnika przez okrągły otwór. Po prawej stronie były drzwi prowadzące na Wisconsin Avenue. Skręciła w lewo i poszła w stronę tylnej części sali. Nikt na nią nie spojrzał. Nikt

się nie ośmielił.

Chesapeake Street, Waszyngton

Mniej więcej trzy mile na północ, na stanowisku dowodzenia przy Chesapeake Street, Gabriel patrzył z rosnącym niepokojem, jak Rebecca Manning przechodzi przez kadr dostarczony z kamery telefonu Ilana.

- Co tam się stało?
- Nie przesłała raportu - powiedział Graham Seymour.
- Wiem, ale dlaczego?
- Coś ją musiało wypłoszyć.

Gabriel popatrzył na Jakowa Rossmana.

- Gdzie ona teraz jest?

Jakow wpisał pytanie na laptopie. Michaił odpowiedział po kilku sekundach. Rebecca Manning była w toalecie.

- I co tam robi? - zapytał Gabriel.
- Użyj wyobraźni, szefie.
- Używam. - Minęło jeszcze trzydzieści sekund, ale Rebecca się nie pojawiła. - Mam niedobre przeczucie, Graham.
- I co chcesz z tym zrobić?
- Mam wszystkie dowody, jakich potrzebujesz.
- To dyskusyjne, ale słucham cię.
- Powiedz jej, że zmieniłeś zdanie na temat spotkania w Langley i że jednak chcesz, żeby z tobą poszła. To powinno przyciągnąć jej uwagę.
- I co potem?
- Powiedz, że spotkacie się w ambasadzie. - Gabriel urwał na chwilę, po czym dodał: - I zamknij ją w chwili, kiedy postawi

nogę na brytyjskiej ziemi.

Seymour wpisał wiadomość na blackberry i ją wysłał. Telefon brzęknął po piętnastu sekundach.

- Już tam jedzie.

Wisconsin Avenue, Waszyngton

Za zamkniętymi drzwiami koedukacyjnej toalety kawiarni Rebecca po raz drugi przeczytała wiadomość od Grahama Seymoura. Zmiana planów. *Chcę, żebyś była ze mną w Langley. Spotkajmy się w ambasadzie jak najszybciej...* Łagodny ton nie mógł zamaskować prawdziwego sensu tej wiadomości. Potwierdzała najgorsze obawy Rebekki. Została ujawniona i prowadzona w pułapkę.

Klamka niecierpliwie załomotała.

- Chwileczkę - powiedziała Rebecca spokojnym głosem, który mógłby rozgrzać zdradzieckie serce ojca. W lustrze widziała jego twarz. „Z każdym mijającym rokiem, mawiała matka, coraz bardziej jesteś do niego podobna. Masz te same oczy i ten sam pogardliwy wyraz twarzy”. Rebecca nigdy nie była pewna, czy w ustach matki miał to być komplement.

Wrzuciła blackberry i iPhone'a do woreczka Faradaya w torebce, zasunęła zamek i wyrwała kartkę z notesu. Napisała na niej kilka słów cyrylicą. Woda spływająca w toalecie brzmiała jak grzmot. Na kilka sekund puściła wodę w umywalce. Wyciągnęła z podajnika kilka papierowych ręczników i wrzuciła je do kosza.

Zza drzwi dochodził gwar pełnej kawiarni. Rebecca położyła lewą dłoń na zasuwce, a prawą wsunęła do torebki i znalazła kolbę niedużego SIG sauera. Odbezpieczyła go zaraz po wejściu do toalety. W magazynku było dziesięć naboju typu parabellum kalibru 9 mm i drugie tyle w zapasowym

magazynku.

Otworzyła drzwi i wyszła pośpiesznie, starając się stwarzać atmosferę ważnej w Waszyngtonie osoby, która spóźnia się do pracy. Spodziewała się, że ktoś na nią czeka, ale korytarz był pusty. Chłopak w bluzie z kapturem i emblematem uniwersytetu Georgetown miał teraz komputer ustawiony pod innym kątem. Rebecca nie mogła dostrzec ekranu.

Skreśliła gwałtownie w prawo i poszła na górę. Na antresoli siedziały dwie osoby, mężczyzna w średnim wieku, który pisał coś na żółtym bloczku, i Eva Fernandes, nielegalna rosyjska imigrantka. Trudno było nie zauważyć jej neonowo zielonej kurtki.

Rebecca usiadła naprzeciwko niej i trzymając prawą dłoń w torebce na kolbie SIG sauera, lewą podała Evie Fernandes karteczkę. Tamta udawała, że nic nie rozumie.

- Po prostu zrób to - szepnęła Rebecca po rosyjsku.

Kobieta zawahała się, ale podała jej swój telefon. Rebecca wrzuciła go do woreczka Faradaya.

- Gdzie masz samochód?

- Nie mam samochodu.

- Jeździsz nią optimą. Jest zaparkowana na zewnątrz. -
Rebecca uniosła torebkę tak, by tamta zobaczyła pistolet. -
Chodźmy.

Wisconsin Avenue, Waszyngton

Michaił Abramow pogwałcił wszystkie zasady operacyjne Biura, pisane i niepisane, wypowiedziane i niewypowiedziane. Zmienił miejsce i z krzesła zwróconego plecami do sali przesiadł się na takie, z którego widział wyjście z kawiarni. W lewym uchu, teraz zwróconym do ściany, miał miniaturowy nadajnik, który odbierał sygnał z telefonu Ewy pełniącego funkcję przekaźnika - w każdym razie pełniącego ją do godziny ósmej cztery, kiedy Rebecca Manning po wyjściu z toalety nieoczekiwanie pobiegła na górę.

W ostatnich sekundach przed zamilknięciem telefonu Michaił usłyszał szept. Możliwe, że słowa były rosyjskie, ale nie miał pewności. Nie orientował się, kto je wypowiedział. Cokolwiek się stało, obie kobiety szły teraz w stronę drzwi. Eva patrzyła prosto przed siebie, jakby zmierzała w stronę wykopanego grobu. Rebecca Manning podążała krok za nią, trzymając prawą dłoń w eleganckiej torebce.

- Jak sądzisz, co ona ma w tej torebce? - zapytał Michaił cicho, gdy dwie rosyjskie agentki przeszły przez kadr kamery Ilana.

- Kilka telefonów komórkowych - odparł Gabriel - i urządzenie komunikacyjne SWR krótkiego zasięgu.

- Nie tylko to. - Michaił patrzył, jak Eva i Rebecca przechodzą przez drzwi i skręcają na lewą stronę parkingu. - Może powinieneś zapytać swojego przyjaciela, czy szefowa jego waszyngtońskiej placówki ma pozwolenie na broń.

Gabriel zapytał i przekazał Michaiłowi odpowiedź. Rebecca Manning z zasady nie nosiła broni w miejscach publicznych, ale miała pistolet w domu dla ochrony z pełnym błogosławieństwem departamentu stanu oraz CIA.

- Co to za broń?
- SIG sauer.
- Pewnie dziewiątka?
- Dobrze przypuszczasz.
- Pewnie kompakt.
- Pewnie tak - zgodził się Gabriel.
- To znaczy, że ma magazynek na dziesięć nabojów.
- Plus drugie dziesięć w zapasowym.
- Eli pewnie nie ma broni.
- Eli po raz ostatni nosił broń w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. Omal mnie przypadkowo nie zabił.
- A Keller?
- Graham by na to nie pozwolił.
- Więc zostają tylko ja.
- Ty zostań tam, gdzie jesteś.
- Przepraszam, szefie, ale są jakieś zakłócenia na linii. Nie słyszałem, co powiedziałeś.

Michaił podniósł się i przeszedł przez kadr kamery obok stolika Ilana. Na zewnątrz skręcił w lewo i ruszył przez parking. Eva siedziała już za kierownicą, Rebecca otwierała drzwi pasażera. Wsiadając, spojrzała na Michaiła i ich oczy się spotkały. Michaił pierwszy odwrócił wzrok i szedł dalej.

Trzydziesta Czwarta Ulica była jednokierunkowa i biegła na południe. Michaił szedł pod prąd, aż dotarł na tyły tureckiej restauracji w chwili, gdy Eva wyjechała z parkingu na ulicę. Domyślał się, że Rebecca Manning patrzy na niego przez okno

po stronie pasażera. Jej spojrzenie wwiercało mu się w plecy jak kula z pistoletu. Prowokowała go, by się obejrzał i spojrzeć na nią jeszcze raz. Nie zrobił tego.

Nissan był zaparkowany przed szkołą. Michaił opadł na tylne siedzenie za Kellerem. Gabriel krzychał do niego przez radio ze stanowiska dowodzenia. Eli Lavon, najlepszy obserwator w historii Biura, patrzył na niego z naganą z przedniego fotela pasażera.

- Dobra robota, Michaił. To było naprawdę piękne. W żaden sposób nie mogła zauważyć takiego sprawnego ruchu.

Lavon powiedział to sarkastycznym tonem po hebrajsku. Keller patrzył na Trzydziestą Czwartą, w stronę znikającej w dali optymy. Na skrzyżowaniu z Reservoir Road samochód skręcił w prawo. Keller zaczekał, aż grupa uczniów przejdzie przez ulicę, a potem nacisnął gaz.

Burleith, Waszyngton

- Nie wolno mi z tobą rozmawiać - powiedziała Eva Fernandes. - Prawdę mówiąc, nie wolno mi nawet na ciebie patrzeć.

- Zdaje się, że w tej chwili wszystkie zasady są już nieważne.

Rebecca kazała Evie skręcić jeszcze raz w prawo, w Trzydziestą Szóstą, a potem znów na S Street. Czterodrzwiowy nissan przez cały czas jechał za nimi, oddalony o jakieś sześć długości. Kierowca w ogóle nie próbował się ukrywać.

- Skręć jeszcze raz w prawo - warknęła Rebecca i kilka sekund później Eva skręciła w Trzydziestą Piątą, tym razem nie zatrzymując się ani nawet nie zwalniając. Nissan zrobił to samo. Brutalna taktyka pościgu sugerowała Rebecce, że działają bez wsparcia, toteż nie są z FBI. Pomyślała, że wkrótce się tego dowie.

Na rogu Trzydziestej Piątej i Reservoir Road były światła, jedno z nielicznych w spokojnym Georgetown. Gdy zbliżały się do skrzyżowania, zielone zmieniło się na żółte. Eva przycisnęła gaz do podłogi i kia przemknęła przez skrzyżowanie w chwili, gdy światło zmieniało się na czerwone. Nissan za nimi zrobił to samo. Rozległ się ryk klaksonów.

- Skręć jeszcze raz w prawo - powiedziała Rebecca szybko, wskazując wjazd w Winfield Lane. Po obu stronach tej spokojnej ulicy stały jednakowe domki z czerwonej cegły. Rebecce przypominały Hampstead w Londynie. Nissan był za

nimi.

- Zatrzymaj tutaj!

- Ale...

- Rób, co mówię!

Eva gwałtownie nacisnęła hamulec. Rebecca wyrwała SIG sauera z torebki i wyskoczyła z samochodu. Trzymając pistolet w obu dłoniach tak, że jej ramiona tworzyły trójkąt, obróciła się lekko bokiem, by zmniejszyć pole ostrzału, tak jak uczono ją na strzelnicy w Fort Monckton. Nissan wciąż się do nich zbliżał. Rebecca ustawiła celownik na głowie kierowcy i przyciskała spust, aż opróżniła magazynek.

Nissan gwałtownie skręcił w lewo i uderzył w maskę zaparkowanego przy ulicy lexusa z napędem na cztery koła. Nikt nie wysiadł ani nie odpowiedział ogniem, zatem Rebecca z zadowoleniem przekonała się, że ci ludzie nie byli z FBI. Byli to agenci wywiadu brytyjskiego albo izraelskiego, którzy nie mieli uprawnień, by ją aresztować ani by użyć broni palnej, nawet gdy ktoś strzelał do nich na spokojnej uliczce w Georgetown. W gruncie rzeczy wątpiła, by FBI w ogóle wiedziało o tym, że agenci brytyjscy i izraelscy prowadzą przeciwko niej akcję. Dowiedzą się za kilka minut, pomyślała, patrząc na rozbity samochód.

Uciekaj...

Wskoczyła na przedni fotel i kazała Evie jechać. Chwilę później pędziły Trzydziestą Siódmą Ulicą w stronę Ambasady Rosji. Gdy przecinały T Street, Rebecca wyrzuciła przez okno woreczek Faradaya, a zaraz potem odbiornik SWR.

Obejrzała się przez ramię. Nikt za nimi nie jechał. Wyjęła z pistoletu pusty magazynek i wrzuciła nowy. Eva Fernandes drgnęła, gdy usłyszała szcęk broni. Na rozkaz Rebekki skręciła

w lewo, w Tunlaw Road.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, mijając od tyłu kompleks budynków Ambasady Rosji.

- Muszę zadzwonić.

- A potem?

Rebecca się uśmiechnęła.

- Wracamy do domu.

W tej samej chwili trzech mężczyzn szło Trzydziestą Piątą w stronę rzeki Potomac. Wyglądem nie przypominali typowych mieszkańców Georgetown. Zdawało się, że jeden z nich bardzo cierpi i przy bliższym przyjrzeniu się na jego prawej dłoni można byłoby zauważyć krew. Dłoń jednak nie została zraniona. Pocisk trafił go w prawy obojczyk.

Gdy przeszli na drugą stronę O Street, nogi ugięły się pod rannym, ale dwóch kolegów, wysoki mężczyzna o jasnej skórze i drugi, niższy, z twarzą, którą bardzo trudno było zapamiętać, podtrzymało go. Błyskawicznie pojawił się przy nich samochód i dwóch zdrowych pomogło trzeciemu usiąść z tyłu. Jedynym świadkiem była sprzedawczyni z popularnej w okolicy kwiaciarni. Później powiedziała, że ten blady mężczyzna miał przerażający wyraz twarzy. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała.

Wówczas jednak jednostki waszyngtońskiej policji dostały już raporty o strzałach na zwykle spokojnej Winfield Lane. Samochód z trzema mężczyznami jechał szybko przez Georgetown w stronę Connecticut Avenue. Potem skręcił na północ i zbliżył się do zrujnowanego domu przy Chesapeake Street. Wewnątrz znajdowało się dwóch najbardziej potężnych pracowników wywiadu na świecie. Pozwolili jej uciec. A teraz

zniknęła.

Tenleytown, Waszyngton

W całym północno-wschodnim Waszyngtonie zostało tylko kilka publicznych telefonów. Rebecca Manning zapamiętała, gdzie wszystkie się znajdują, na okoliczność właśnie taką jak teraz. Jeden był przy stacji Shella na rogu Wisconsin Avenue i Ellicott Street. Niestety nie miała drobnych. Eva jednak zawsze trzymała rolkę ćwierćdolarówek w samochodzie na liczniki parkingowe. Dała Rebecce dwie monety i patrzyła, jak podchodzi do telefonu i szybko wykręca cyfry z pamięci. Eva rozpoznała ten numer. Jej również go podano. Należał do Ambasady Rosji i wolno go było użyć tylko w sytuacji wyjątkowego zagrożenia.

Ten numer mógł ocalić Rebeccę Manning niczym szalupa ratunkowa, którą dotarłaby bezpiecznie do Moskwy. Dla Evy jednak oznaczało to poważne zagrożenie. Rebeccę niewątpliwie powitano by tam jak bohaterkę, Eva jednak trafiłaby prosto do pokoju przesłuchań, gdzie czekałby na nią Sasza. Miała ochotę włączyć silnik i zostawić tu Rebeccę, ale wątpiła, by udało jej się dotrzeć daleko. O ile wiedziała, na mieszkalnej uliczce w Georgetown został samochód z trzema martwymi osobami. Oprócz tego, że była agentką obcego wywiadu, teraz mogłaby również zostać oskarżona o współudział w zabójstwie. Niestety, musiała uciekać z Rebeccą do Moskwy i mieć nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

Rebecca wróciła do samochodu i kazała Evie jechać na północ przez Wisconsin Avenue. Włączyła radio i zmieniła

stację na WTOP. „Przed chwilą w Georgetown padły strzały...”
Nacisnęła guzik i radio zamilkło.

- Kiedy? - zapytała Eva.

- Za dwie godziny.

- Przyjadą po nas?

Rebecca potrząsnęła głową.

- Chcą, żebyśmy zniknęły z ulicy i czekały, aż otworzy się kryjówka.

Eva w duchu poczuła ulgę. Im dłużej uda jej się utrzymać z dala od rąk SWR, tym lepiej.

- Gdzie jest ta kryjówka?

- Nie powiedzieli mi.

- Dlaczego?

- Chcą się upewnić, czy jest bezpieczna, zanim nas tam wyślą.

- Jak się z nami skontaktują?

- Mamy znów zadzwonić za godzinę.

Evie to się nie podobało, ale kimże była, by kwestionować mądrość Centrali?

Zbliżały się do niewidzialnej granicy oddzielającej Dystrykt Kolumbia od Marylandu. Po obu stronach ruchliwego bulwaru stały naprzeciwko siebie dwie duże galerie handlowe. Rebecca wskazała tę po prawej. Wjazd do garażu znajdował się obok sieciowej restauracji znanej z wielkości porcji i długich kolejek do stolika. Eva zjechała po rampie i wzięła bilet z maszyny, a potem, podążając za instrukcjami Rebekki, znalazła pusty kąt i zaparkowała tyłem.

Czekały w prawie zupełnym milczeniu przez następne trzydzieści minut. Rebecca trzymała SIG sauera na kolanach. Nie miały telefonów, by skontaktować się z zewnętrznym

światem, tylko radio w samochodzie. Odbiór był słaby, ale wystarczający. Policja szukała czterodrzwiowej kii optimy z waszyngtońską rejestracją i dwiema kobietami w środku. Szukali również trzech mężczyzn, którzy porzucili ostrzelanego nissana na Winfield Lane. Według świadków wyglądało na to, że jeden z mężczyzn został ranny od strzału z broni palnej.

Radio zaczęło trzeszczeć. Eva ściszyła odbiornik.

- Szukają dwóch kobiet w kii.

- Słyszałam.

- Musimy się rozdzielić.

- Zostaniemy razem. - Po chwili Rebecca dodała: - Nie dam sobie rady bez twojej pomocy.

Nastawiła głośniej radio i słuchała mieszkanek Georgetown, która opowiadała, jak bardzo jest wstrząśnięta strzelaniną. Eva jednak patrzyła na białą nieoznakowaną furgonetkę z rejestracją z Marylandu, która zbliżała się do nich w nierównym blasku świateł. FBI, pomyślała, bardzo lubi używać nieoznakowanych furgonetek. Podobnie jak SWR.

- Mamy kłopoty - powiedziała.

- To tylko dostawa - odrzekła Rebecca.

- Czy ci dwaj z przodu wyglądają na dostawców?

- To są dostawcy.

Furgonetka wjechała na miejsce obok nich i boczne drzwi się rozsunęły. Eva popatrzyła na twarz Rosjanina tuż za swoim oknem, desperacko próbując ukryć lęk.

- Myślałam, że mamy pojechać do jakiejś kryjówki.

- Zmiana planów - odrzekła Rebecca. - Kryjówka przyjechała do nas.

Forest Hills, Waszyngton

Pocisk przeszedł przez obojczyk Christophera Kellera na wylot, ale pozostawił po sobie roztrzaskaną kość i znaczne uszkodzenia tkanek miękkich. Na szczęście we wszystkich budynkach należących do izraelskiego rządu, nawet tych porzuconych, znajdowały się dobrze zaopatrzone apteczki. Michaił, weteran walk, przemył ranę środkiem odkażającym i zabandażował. Nie miał żadnych leków przeciwbólowych oprócz ibuprofenu. Keller popił osiem tabletek whisky z barku.

Z pomocą Michaiła przebrał się w czyste ubranie i założył na prawą rękę temblak. Lot powrotny do Londynu zapowiadał się długi i niewygodny, chociaż na szczęście Keller nie musiał lecieć komercyjnymi liniami. Na lotnisku Dullesa czekał wycarterowany prywatny odrzutowiec Seymoura. Dwóch mężczyzn po raz ostatni widziano w placówce dowodzenia o dziewiętej trzydzieści, gdy powoli schodzili po stromych, zdradzieckich schodach. Gabriel osobiście nacisnął guzik otwierający żelazną bramę. I tak oto wielkie przedsięwzięcie dotarło do nędznego kresu.

Jego ostatnie chwile były pełne goryczy i nietypowych animozji. Michaił starł się z Gabrielem, a Gabriel ze swoim starym przyjacielem i towarzyszem broni, Grahamem Seymourem. Nalegał, by Seymour zadzwonił do Amerykanów i nakazał im zablokować Waszyngton, a gdy Seymour odmówił, Gabriel zagroził, że sam to zrobi. Zaczął nawet wykręcać numer Adriana Cartera w sztabie CIA, ale Seymour wyrwał mu telefon

z ręki.

- To mój skandal, nie twój. Jeśli ktoś ma powiedzieć Amerykanom, że umieściłem u nich córkę Kima Philby'ego, ja to zrobię.

Seymour jednak nie zawiadomił o tym Amerykanów tego ranka, a Gabriel, choć bardzo go kusiło, nie wyręczył go. W ciągu kilku minut sojusz o historycznej wadze się skruszył. Przez ponad dekadę Gabriel i Graham pracowali ręką w rękę przeciwko Rosjanom, Irańczykom i globalnemu ruchowi dżihadystycznemu. W tym procesie udało im się rozmontować dziesiątki lat wrogości między ich służbami, a nawet krajami. Wszystko to teraz legło w gruzach. Ale jak później zauważył Eli Lavon, to była część planu Saszy od samego początku: wbić klin między Biuro a MI6 i zerwać więź, którą wypracowali Gabriel oraz Graham Seymour. Pod tym względem, nawet jeśli nie pod żadnym innym, plan Saszy odniósł sukces.

Jossi Gawisz i Rimona Stern wyjechali w następnej kolejności. Jeden z obserwatorów zabrał kamerę z parku publicznego przy Warren Street i ruszył na dworzec kolejowy. Pozostali wkrótce podążyli za nim i o dziewiątej czterdzieści pięć tylko Gabriel, Michaił oraz Eli Lavon siedzieli jeszcze na stanowisku dowodzenia. Przy krawężniku czekał jeden samochód. Oren, szef ochrony Gabriela, stróżował przy bramie, choć nikt nie wiedział, przed kim miałyby ich chronić.

Pośpiesznie zbierając się do wyjazdu, zostawili wewnątrz domu w ruinie, w podobnym stanie, w jakim je zastali. Na rozkładanym stole pozostał tylko jeden laptop. Gabriel oglądał nagranie Rebekki Manning w Starbucksie, kiedy jego blackberry zawibrowało, sygnalizując nadejście wiadomości. Wiadomość pochodziła od Adriana Cartera.

Co się, do diabła, dzieje?

Gabriel nie miał już nic do stracenia. Wysłał odpowiedź:

Ty mi powiedz.

Carter zadzwonił do niego po dziesięciu sekundach i to właśnie zrobił.

Okazało się, że niejaki Donald McManus, doświadczony agent specjalny FBI związany z waszyngtońską centralą Biura, zatrzymał się, by zatankować na stacji Shella przy Wisconsin Avenue i Ellicott Street mniej więcej o ósmej dwadzieścia. McManus, człowiek z natury czujny i zwracający uwagę na otoczenie, zauważył dobrze ubraną kobietę, która dzwoniła ze zdezelowanego automatu na stacji, co wydało mu się dziwne. Z jego doświadczeń wynikało, że w obecnych czasach automatów używali tylko nielegalni imigranci, handlarze narkotyków i zdradzający małżonkowie. Ta kobieta najwyraźniej nie należała do żadnej z tych kategorii, chociaż uwagę McManusa zwróciło to, że przez cały czas trwania rozmowy trzymała prawą rękę w torebce. Kiedy odłożyła słuchawkę, usiadła w fotelu pasażera kii optymy z waszyngtońską rejestracją. McManus zapamiętał numer, gdy samochód wjeżdżał na Wisconsin i kierował się na północ. Za kierownicą siedziała kobieta młodsza i ładniejsza od tej, która dzwoniła. McManus odniósł wrażenie, że wydawała się trochę przestraszona.

Jadąc Wisconsin na południe, McManus przełączył radio z satelitarnej stacji CNN na WTOP i usłyszał jedno z pierwszych doniesień podanych przez tę stację, dotyczących strzelaniny, do której właśnie doszło w Georgetown. Brzmiało to jak przypadek agresji drogowej i w tamtej chwili McManus nie zwrócił na to

uwagi. Ale nim dotarł do centrum, policja podawała już opis podejrzanego samochodu. Kia optima, waszyngtońska rejestracja, dwie kobiety w środku. Przekazał policji numer rejestracyjny auta, które zauważył na stacji, i przy okazji sprawdził je w bazie danych Biura. Kie zarejestrowano na Evę Fernandes, Brazylijkę z pochodzenia, posiadaczkę zielonej karty. To było dziwne, bo McManusowi wydawało się, że kobieta wyglądała, jakby pochodziła z Europy Wschodniej.

Mniej więcej w tym samym czasie ekipa obserwacyjna z Wydziału Kontrwywiadu Biura zauważyła kilka samochodów wyjeżdżających tylną bramą z Ambasady Rosji. We wszystkich siedzieli znani albo podejrzewani o to członkowie rezydentury SWR. W oczach obserwatorów wyglądało to tak, jakby rezydentowi zwał się na głowę jakiś kryzys. Podzielili się tym spostrzeżeniem ze sztabem. Agent specjalny McManus, który zajmował się antyterroryzmem, dowiedział się o ruchach personelu rosyjskiego i poinformował oficera dyżurnego o kobiecie, którą widział przy automacie telefonicznym. Dyżurny przekazał tę wiadomość w górę, zastępcy, a zastępca z kolei samemu szefowi wydziału.

I tak oto o dziewiątej trzydzieści pięć rano na nieskazitelnym biurku szefa wszystkie te trzy elementy - strzelanina w Georgetown, pośpieszny wyjazd z ambasady rosyjskiej oraz dwie kobiety w czterodrzwiowej kii - zeszyły się z sobą w sposób, który wskazywał na zbliżającą się katastrofę. Gdy nikt nie patrzył, McManus szybko sprawdził automat telefoniczny i odkrył, że kobieta dzwoniła pod numer zlokalizowany w Ambasadzie Rosji. I tak oto zbliżająca się katastrofa przekształciła się w pełnowymiarowy kryzys międzynarodowy, który mógł doprowadzić do wybuchu trzeciej

wojny światowej. Takie przynajmniej wrażenie odniósł agent specjalny Donald McManus, który po prostu przypadkiem zatrzymał się, by zatankować na stacji Shella przy Wisconsin Avenue i Ellicott Street mniej więcej o ósmej dwadzieścia.

W tym momencie szef Wydziału Kontrwywiadu FBI zadzwonił do swojego odpowiednika w CIA i zapytał, czy agencja prowadzi jakąś operację, o której Biuro nie wie. Człowiek z CIA przysięgał, że nie. To akurat było prawdą, uznał jednak, że mądrze będzie powiadomić o tym Adriana Cartera, który właśnie przygotowywał się na codzienne spotkanie o dziesiątej z Morrisem Payne'em. Carter udawał głupiego, jak zwykle, gdy otrzymywał niewygodne pytania od kolegów, przełożonych i członków komitetów nadzorczych z Kongresu. Potem, w swoim spokojnym gabinecie na siódmym piętrze, wysłał szybką wiadomość do starego przyjaciela Gabriela Allona, który zupełnym przypadkiem był akurat w mieście. Tekst miał drugie, a nawet trzecie dno i Gabriel, który znał Cartera, odpowiedział w podobnym tonie. I tak oto doprowadziło to do rozmowy telefonicznej o dziewiątej czterdzieści osiem w skądinąd zupełnie zwyczajny czwartkowy poranek w Waszyngtonie.

- Kim byli ci trzej mężczyźni? - zapytał Carter, kiedy już zdał Gabrielowi relację.

- Jacy trzej mężczyźni?

- Ci trzej - powtórzył Carter wolno i wyraźnie - których ostrzelano na Winfield Lane w Georgetown.

- A skąd mam wiedzieć?

- Podobno jeden został ranny.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Podobno na Trzydziestej Piątej zabrał ich samochód i od tamtej pory nikt ich nie widział.

- A te dwie kobiety? - zapytał Gabriel łagodnie.
 - Ich również nikt nie widział.
 - Ale po raz ostatni widziano je, jak jechały na północ przez Wisconsin Avenue? Jesteś pewny, że na północ?
 - Mniejsza o kierunek - parsknął Carter. - Powiedz mi, kim one są.
 - Według agenta FBI - odrzekł Gabriel - jedna z nich to obywatelka brazylijska, Eva Fernandes.
 - A druga?
 - Nie mam pojęcia.
 - A masz pojęcie, dlaczego dzwoniła z automatu pod numer w Ambasadzie Rosji?
 - Może powinieneś zapytać o to jednego z tych agentów SWR, którzy w takim pośpiechu opuszczali Ambasadę.
 - Biuro ich też szuka. Jakakolwiek pomoc z twojej strony byłaby zachowana w najściślejszej tajemnicy - obiecał Carter. - Więc może zaczniemy od początku? Kim byli ci trzej mężczyźni?
 - Jacy trzej mężczyźni?
 - A kobiety?
 - Przykro mi, Adrian, ale niestety nie mogę ci pomóc.
- Carter ciężko westchnął.
- Kiedy zamierzasz wyjechać z Waszyngtonu?
 - Dziś wieczorem.
 - Czy jest możliwość, żebyś to przyspieszył?
 - Raczej nie.
 - Szkoda - odrzekł Carter i się rozłączył.

Chesapeake Street, Waszyngton

Michaił Abramow i Eli Lavon opuścili stanowisko dowodzenia pięć minut po dziesiątej z tyłu furgonetki izraelskiej ambasady. Zamierzali polecieć do Toronto, a z Toronto na lotnisko Ben Guriona. Michaił zostawił Gabrielowi baraka .45. Gabriel obiecał, że zamknie go w sejfie w rezydencji przed wyjazdem na lotnisko.

Gdy został sam, przewinął plik na komputerze i jeszcze raz obejrzał nagranie przedstawiające dwie kobiety wychodzące ze Starbucksa. Eva szła pierwsza, Rebecca o krok za nią, ściskając SIG sauera, kaliber 9 mm, ukrytego w torebce. Gabriel wiedział już teraz, że zadzwoniła do Ambasady Rosji ze stacji Shella przy Wisconsin Avenue, a potem skierowała się na północ, w stronę przedmieść Marylandu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa pojechała prosto w ramiona ekipy SWR, która miała przerzucić ją do Rosji.

Szybkość reakcji Rosjan sugerowała, że rezydentura czekała w gotowości z planem ucieczki. A to oznaczało, że szanse na znalezienie Rebekki są bliskie zera. Swr była bardzo sprawną i bezlitosną służbą wywiadowczą, spadkobiercą potężnego KGB. Przemycenie Ewy i Rebekki za granicę Stanów Zjednoczonych nie stanowiłoby dla nich problemu. Rebecca Manning pojawiłaby się wkrótce w Moskwie, podobnie jak jej ojciec w 1963 roku.

Chyba żeby Gabrielowi udało się jakoś ją zatrzymać, zanim wyjedzie z Waszyngtonu. Nie mógł prosić Amerykanów

o pomoc. Obiecał to Gabrielowi Seymourowi. Gdyby złamał słowo, konsekwencje rzuciłyby cień na resztę jego kadencji jako szefa. Nie, musi odnaleźć Rebeccę Manning sam. Ale nie zupełnie sam, pomyślał. Ma do pomocy Charlotte Bettencourt.

Znów przewinął nagranie i jeszcze raz popatrzył, jak Rebecca wychodzi za Evą z kawiarni. Zauważył, że schodków było czternaście. Czternaście schodków z podestu na Wisconsin Avenue. Gabriel zastanawiał się, czy Rebecca w duchu liczyła te stopnie i czy pamiętała grę, w którą bawiła się z matką w Paryżu. Wątpił w to. Z pewnością Philby i Sasza wybili jej z głowy tak kontrrewolucyjne impulsy.

Patrzył, jak Rebecca Manning znika z ekranu komputera i potem przypomniał sobie coś, co Charlotte Bettencourt powiedziała mu tamtego wieczoru w Sewilli, bardzo późno, kiedy zostali sami, bo żadne z nich nie mogło zasnąć.

- Jest bardziej podobna do ojca, niż sądzi. Robi wszystko dokładnie w taki sam sposób, chociaż sama nie wie dlaczego.

Tamtej nocy Gabriel usłyszał od Charlotte Bettencourt coś, co wówczas wydawało się zupełnie nieistotne i o czym wiedziały tylko jeszcze dwie osoby na całym świecie.

- Kto wie, czy to wciąż tam jest - powiedziała, gdy oczy już zamykały jej się z wyczerpania. - Ale jeśli będzie pan miał wolną chwilę, może zechce pan to sprawdzić.

Tak, pomyślał Gabriel. Rzeczywiście może to sprawdzić.

Była dziesiąta piętnaście, gdy Gabriel wsunął baraka .45 za pasek dzinsów i zszedł po stromych schodkach. Oren otworzył żelazną bramę i ruszył w stronę czekającego samochodu, wynajętego forda fusion, jednak Gabriel kazał mu zostać na miejscu.

- Tylko nie to - powiedział Oren.
- Obawiam się, że tak.
- Pół godziny, szefie.
- I ani minuty dłużej - obiecał Gabriel.
- A jeśli się pan spóźni?
- To będzie znaczyło, że zostałem porwany przez Rosjan i wywieziony do Moskwy, gdzie czeka mnie proces i więzienie. - Wbrew sobie uśmiechnął się. - A w takim wypadku nie miałbym wielkiej nadziei, że przetrwam.

- Na pewno nie chce pan towarzystwa?

Gabriel bez słowa siadł za kierownicą. Kilka minut później mijał już duży jasnobrązowy budynek kolonialny na rogu Nebraska Avenue i Czterdziestej Drugiej. W wyobraźni widział zdesperowanego człowieka wsiadającego do bardzo starego samochodu z papierową torbą w ręce. Tym człowiekiem był Kim Philby, a w torbie znajdowały się miniaturowa kamera KGB, kilka rolek filmu i szpadel.

Bethesda, Maryland

Dwaj Rosjanie w furgonetce nazywali się Pietrow i Zelenko. Pietrow był z waszyngtońskiej rezydentury, a Zelenko przyleciał w trybie awaryjnym z Manhattanu poprzedniego wieczoru, gdy Sasza uruchomił kryjówkę. Obydwaj agenci zdobyli rozległe doświadczenie w krajach anglojęzycznych, zanim przerzucono ich do Ameryki, która wciąż była najważniejszym wrogiem SWR, toteż przysyłano tu najlepszych. Pietrow pracował wcześniej w Australii i Nowej Zelandii, Zelenko w Wielkiej Brytanii i Kanadzie. Zelenko był wyższy z nich dwóch i miał czarne pasy w trzech różnych sztukach walki. Pietrow dobrze obchodził się z bronią. Żaden z nich nie zamierzał dopuścić, by coś złego stało się z ich cennym ładunkiem. Gdyby dostarczyli kreta i nielegalną imigrantkę bezpiecznie do Moskwy, staliby się słynni. O niepowodzeniu lepiej nie myśleć. Obydwaj zgadzali się, że lepiej zginąć w Ameryce, niż wracać z pustymi rękami do Jasieniewa.

Furgonetkę marki Chevrolet Express Cargo, należąca do firmy usługowej z Wirginii Północnej, prowadził agent pochodzenia ukraińskiego. Według planu mieli pojechać drogą I-95 do Florence w Karolinie Południowej i tam zmienić samochód na inny, czysty, na resztę podróży na południową Florydę. Moskiewska Centrala dysponowała licznymi bezpiecznymi posiadłościami w okolicy Miami, łącznie z pewnym magazynem w Hialeah, gdzie mieli spędzić następne sześć dni, czyli tyle, ile pływający pod rosyjską flagą

kontenerowiec Archangel potrzebował, by dotrzeć do Cieśniny Florydzkiej. Pietrow, który przed wstąpieniem do SWR służył w marynarce rosyjskiej, zamierzał dopłynąć do statku piętnastometrowym wędkarskim jachtem motorowym.

Byli dobrze zaopatrzeni do podróży i uzbrojeni po zęby. Pietrow miał tokariewa i makarowa, a Rebecca Manning swojego SIG sauera. Leżał na podłodze w luku bagażowym obok telefonu, który pożyczyła od Zelenki. Siedziała oparta plecami o boczny panel furgonetki, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wciąż ubrana jak do pracy, w ciemny kostium ze spodniami i płaszcz Burberry. Eva siedziała w podobnej pozycji po przeciwnej stronie, ale nieco bardziej z tyłu samochodu. Od chwili wyjazdu z garażu podziemnego prawie nie rozmawiały. Rebecca podziękowała Evie za odwagę i umiejętności oraz obiecała, że gdy dotrą do Moskwy, będzie ją pod niebiosa wychwalała przed Saszą. Eva nie wierzyła w ani jedno słowo tej kobiety.

Najkrótsza droga do I-95 prowadziła przez Wisconsin Avenue, Rebecca jednak kazała Pietrowowi, który prowadził, pojechać inną trasą.

- Lepiej byłoby, gdybyśmy...

- To ja decyduję, co jest dla nas najlepsze - ucięła Rebecca i Pietrow nie oponował, bo Rebecca już dawno dostała rosyjskie obywatelstwo i była pułkownikiem SWR, co oznaczało, że jest od niego wyższa rangą.

Skręcił w Czterdziestą Drugą Ulicę i przejechał przez Tenleytown. Eva zauważyła, że Rebecca z wyraźnym zainteresowaniem patrzyła na duży jasnobrązowy kolonialny budynek na rogu Nebraska Avenue. Minęły Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego i kampus American University.

Potem Pietrow skręcił w Chain Bridge Road, która biegła skrajem Battery Kemble Park do MacArthur Boulevard. Gdy zmierzali na zachód, w stronę Marylandu, Eva dostrzegła przez przednią szybę markizę nad Brussels Midi.

- Tu pracowałam - powiedziała.

- Wiem - odrzekła Rebecca lekceważąco. - Byłaś kelnerką.

- Hostessą - poprawiła ją Eva.

- To to samo. - Rebecca sięgnęła po broń i położyła ją sobie na udzie. - To, że przez najbliższe dwa czy trzy tygodnie będziemy podróżować razem, nie znaczy jeszcze, że musimy prowadzić długie rozmowy od serca. Dobrze wykonałaś swoją robotę i jestem ci za to wdzięczna, ale jeśli o mnie chodzi, jesteś tylko kelnerką i nikim więcej.

Eva pomyślała, że jest również osobą, której w każdej chwili można się pozbyć. Patrzyła przez przednią szybę, a Rebecca w telefon, śledząc trasę na mapie. Docierali już do zjazdu na Clara Barton Parkway, aleję prowadzącą na zachód, do Beltway i I-95, Rebecca jednak kazała Pietrowowi jechać dalej prosto. Interesowało ją nieduże centrum handlowe w miasteczku Glen Echo. Powiedziała, że chce kupić kilka rzeczy.

Pietrow znów zaczął protestować, ale powstrzymał się. Pojechał prosto, minął irlandzki pub i stary park rozrywki, po czym dotarł do skrzyżowania MacArthur Boulevard i Goldsboro Road. Znajdowały się tam stacja Exxon, 7-Eleven, drogeria, pralnia chemiczna, bary z pizzą i kanapkami oraz sklep metalowy. Ku zdziwieniu Pietrowa, Zelenki, a także Evy Fernandes, Rebecca Manning weszła do metalowego.

Według zapisu z kamery sklepowej była wtedy dziesiąta dwadzieścia siedem. W tej samej chwili obok centrum handlowego z dużą szybkością przejechał ford fusion, kierując

się na zachód. W środku siedział tylko kierowca, mężczyzna w dość zaawansowanym wieku z krótkimi czarnymi włosami, posiwiałymi na skroniach. Miał pistolet izraelskiej produkcji, barak .45, ale był bez ochrony. FBI i CIA nie wiedziały, gdzie jest, podobnie jak służba wywiadowcza, której szefował. W tej chwili był zupełnie sam.

Cabin John, Maryland

Tuż za bulwarem Wilsona, w kierunku zachodnim, znajduje się zabytkowy Union Arch Bridge. Zbudowany w 1864 roku z granitu z Massachusetts i piaskowca z pobliskiego kamieniołomu Seneca, stanowi część Washington Aqueduct, dziewiętnastokilometrowego rurociągu, który dostarcza wodę z Great Falls do stolicy Ameryki. Na moście mieści się tylko jeden pas i po obu jego krańcach stoją światła regulujące ruch samochodowy, co oznaczało, że Gabriel musiał poczekać prawie cztery minuty, zanim mógł tamtędy przejechać.

Po drugiej stronie mostu było zielone boisko sportowe i osiedlowe centrum kultury oraz miła dla oka grupa domków pokrytych drewnianym sidingiem stojących między drzewami, które zaczynały już wypuszczać pierwsze wiosenne liście. Gabriel kierował się dalej na zachód. Gdy przejechał pod Capital Beltway, znów zatrzymały go światła. W końcu skręcił w lewo i ruszył długim łagodnym zboczem w stronę Clara Barton Parkway.

Aleja ta składała się z dwóch jezdni w każdym kierunku, oddzielonych pasem zieleni. Gabriel jechał na wschód, znów w stronę Waszyngtonu. To nie była pomyłka z jego strony. W ten sposób znalazł się bliżej Potomacu i zabytkowego kanału Chesapeake & Ohio, który ciągnął się na długości stu osiemdziesięciu czterech mil, łącząc Georgetown z Cumberland w Marylandzie. Na kanale wybudowano siedemdziesiąt cztery śluzy, kilka z nich przy Clara Barton Parkway, łącznie ze śluzą

numer dziesięć, przy której znajdował się nieduży parking. W typowy weekend parking bywał zatłoczony samochodami wycieczkowiczów i piknikowców, ale o dziesiątej trzydzieści dziewięć przed południem w czwartek, gdy cały Waszyngton przygotowywał się do kolejnego dnia politycznych zmagania, był pusty.

Gabriel wysiadł z forda i przeszedł przez stary drewniany most nad kanałem. Ścieżka, błotnista po niedawnych deszczach, prowadziła przez kępę klonów i topoli na brzeg rzeki. Swainson Island była bardzo blisko, oddzielona od niego tylko wąską strugą ciemnej, szybko płynącej wody. Pod ogromnym platanem leżała odwrócona do góry dnem drewniana łódź w zielonym kolorze służb parkowych.

Po drugiej stronie drzewa, osłonięte od erozyjnego działania wody przepływającej przez kanał, znajdowały się trzy duże kamienie, niczym malutkie Stonehenge. Gabriel trącił jeden czubkiem buta. Kamień był mocno zagłębiony w ziemię.

Wrócił na ścieżkę i czekał. Rzeka płynęła u jego stóp, parking miał za plecami. Po niecałych pięciu minutach usłyszał odgłos silnika gaszonego na parkingu, a zaraz potem trzask trojga drzwi otwierających się i zamykających jedno po drugim. Obejrzał się przez ramię i zobaczył cztery osoby – dwie kobiety i dwóch mężczyzn – przechodzące przez mostek nad kanałem. Jedna z kobiet miała na sobie elegancki kostium, druga jaskrawy strój sportowy. Wyższy z dwóch mężczyzn niósł szpadel. Tak łatwiej jest wykopać grób, pomyślał Gabriel.

Odwrócił się, patrząc na czarną wodę przepływającą przez kanał. W prawej kieszeni skórzanej kurtki miał służbowe blackberry, w tej chwili zupełnie nieprzydatne. Teraz mógł go ocalić tylko pistolet przy pasie, barak .45. Dzięki niemu

zatrzymałby mężczyznę. Ale również kobietę, pomyślał Gabriel.

Capital Beltway, Wirginia

W drodze na lotnisko Dullesa Michaił Abramow zadzwonił na bulwar Króla Saula i poinformował dyżurnego, że zostawił szefa Biura na stanowisku dowodzenia przy Chesapeake Street w ponurym i nieprzewidywalnym nastroju, z jednym tylko ochroniarzem. Dyżurny natychmiast zatelefonował do ochroniarza, a ochroniarz przyznał, że pozwolił, by szef opuścił stanowisko dowodzenia sam, wynajętym fordem fusion. Dokąd pojechał? Ochroniarz nie miał pojęcia. Czy wziął z sobą służbowe blackberry? O ile ochroniarz wiedział, to tak. A broń? Ochroniarz znowu nie był pewny, toteż dyżurny zadzwonił do Michaiła. Tak, powiedział Michaił, miał broń. Duży pistolet.

Dyżurny nie potrzebował wiele czasu, by zlokalizować telefon szefa poruszający się w kierunku południowo-zachodnim wzdłuż Nebraska Avenue. Kilka minut później telefon opuścił miasto przez MacArthur Boulevard. Przekroczył Beltway, dziwnie zmienił kierunek i ruszył z powrotem w stronę Waszyngtonu drogą, która biegła mniej więcej równolegle i której nazwa nic nie mówiła ludziom w Tel Awiwie. Technik odniósł wrażenie, że szef się zgubił albo coś gorszego. Zadzwonił kilka razy pod jego numer, ale szef nie odbierał.

W tym momencie Uzi Navot, który przez większą część przedpołudnia był tylko widzem tego spektaklu, wkroczył do akcji. On również, tak jak poprzednio technik, zadzwonił do szefa i jego telefon również został zignorowany. Wtedy zadzwonił do Michaiła i zapytał, gdzie jest. Michaił

odpowiedział, że obaj z Elim Lavonem zbliżają się do lotniska Dullesa i że są już prawie spóźnieni na lot do Toronto.

- Obawiam się, że będziecie musieli polecieć później - powiedział Navot.

- Gdzie on jest? - zapytał Michaił.

- Przy słuzie numer dziesięć. Nad rzeką.

Cabin John, Maryland

Rozmawiali po rosyjsku, krótko i ostro. Gabriel, który nie miał ucha do języków słowiańskich, mógł się tylko domyślać, o co chodzi. Przypuszczał, że zastanawiają się, co robić, skoro nie są sami. Głos Rebekki Manning dało się łatwo odróżnić od głosu Ewy, której akcent był mieszaniną brytyjskiego i francuskiego. W tonie dziewczyny Gabriel słyszał strach.

W końcu odwrócił się powoli w stronę przybyszy, uśmiechnął się ostrożnie i krótko skinął głową, zastanawiając się, ile czasu trzeba, żeby przygotować broń do strzału.

- Tyle, ile zwykłemu śmiertelnikowi wystarcza, żeby klasnąć w ręce - mawiał Ari Szamron. Ale Szamron mówił o beretcie .22, a nie o wielkim i ciężkim baraku. I wtedy jeszcze Gabriel był młody.

Żadne z czworga nie odpowiedziało na powitanie. Rebecca szła pierwsza. Wyglądała nieco komicznie w swoim kostiumie, szpilkach i prochowcu, który z jednej strony opadał niżej, bo w kieszeni miała ciężki przedmiot. O krok za nią szła Eva, a za Evą dwóch mężczyzn. Obydwaj wyglądali na zdolnych do przemocy. Ten, który niósł szpadel, był naturalnym sojusznikiem Gabriela - musiał najpierw wypuścić szpadel, by wyciągnąć broń. Ten niższy na pewno był szybszy, a Rebecca już w Georgetown pokazała, że potrafi obchodzić się z bronią. Gabriel uznał, że ma niewielkie szanse na przeżycie kilku najbliższych sekund. A może jednak go nie zabiją. Może załadują go do furgonetki, zabiorą do Moskwy i postawią przed

sądem za zbrodnie przeciwko Carowi i jego kleptomańskim towarzyszom z Kremla.

„Tyle, ile zwykłemu śmiertelnikowi wystarcza, żeby klasnąć w ręce...”.

Ale to dotyczyło dawnych czasów, kiedy Gabriel był księciem ognia, aniołem zemsty. Teraz należało skinąć głową i odejść z nadzieją, że go nie rozpoznają. Odejść, zachowując honor i ciało w całości. Miał w domu żonę i dzieci. Miał służby, które musiał prowadzić, i kraj, który powinien chronić. I miał córkę Kima Philby’ego, która szła teraz w jego stronę ścieżką między drzewami. Znalazł ją i zmusił, żeby się zdradziła. A teraz wchodziła prosto w jego ramiona. Nie, powinien dopilnować wszystkiego do końca. Zamierzał odejść stąd z Rebeccą Manning i zabrać ją do Londynu samolotem Grahama Seymoura.

„Tyle, ile zwykłemu śmiertelnikowi wystarcza, żeby klasnąć w ręce...”.

W czółenkach na wysokich obcasach Rebecca chwiała się na ścieżce. Pośliznęła się i omal nie przewróciła, ale odzyskała równowagę i spojrzała Gabrielowi prosto w oczy.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - powiedziała nabytym brytyjskim akcentem z wyższych sfer. - Powinnam była wziąć kalosze.

Potknęła się i zatrzymała - córka Kima Philby’ego, przedsięwzięcie życia Saszy - o niecałe trzy metry od miejsca, w którym stał Gabriel. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i odezwał się po francusku:

- Tak myślałem, że to będziesz ty.

Przymrużyła oczy, nie rozumiejąc.

- Najmocniej przepraszam? - zapytała po angielsku, ale

Gabriel nadal mówił po francusku, w jej pierwszym języku, języku jej matki.

- To są słowa, którymi pani ojciec zwrócił się do Nicholasa Elliotta w Bejrucie. Pani matka wypowiedziała te słowa do mnie w Hiszpanii tego wieczoru, gdy ją znaleźliśmy. Przesyła pozdrowienia. Przykro jej, że tak się to wszystko skończyło.

Rebecca wymruczała po rosyjsku coś, czego Gabriel nie zrozumiał. Niższy z dwóch mężczyzn sięgnął po broń. Gabriel jednak wyciągnął pistolet pierwszy i dwa razy strzelił mu w twarz, tak jak strzelono w Wiedniu Konstantinowi Kirowowi. Ten większy rzucił szpadel i próbował wyszarpnąć pistolet z kabury na biodrze. Gabriel do niego również strzelił dwukrotnie, prosto w serce.

Nie minęły nawet trzy sekundy, ale w tym krótkim czasie Rebecca Manning zdołała wyciągnąć SIG sauera i pochwycić Evę za włosy. Teraz byli nad rzeką tylko we troje, obok Swainson Island, u podnóża wielkiego płatana. Niezupełnie sami, pomyślał Gabriel. Na parkingu jakiś człowiek wysiadał z bardzo starego auta, trzymając w ręce papierową torbę...

Cabin John, Maryland

- Skąd wiesz o tym miejscu?
- Twoja matka o tym też mi powiedziała.
- Czy to ona mnie zdradziła?
- Już dawno - odrzekł Gabriel.

Patrzył prosto w szalone niebieskie oczy Rebekki nad lufą dymiącego baraka. W ciszy drzew strzały zabrzmiały jak salwa z armat, ale żaden samochód nie zjechał z drogi, by sprawdzić, co się dzieje. Rebecca wciąż trzymała Evę za włosy. Przyciągnęła ją blisko do siebie, wciskając muszkę SIG sauera w szyję tuż pod szczęką.

- Możesz ją zabić - rzekł Gabriel spokojnie. - Jeszcze jedna martwa agentka SWR nic dla mnie nie znaczy. I wtedy będę miał pretekst, żeby zabić również ciebie.

Na szczęście powiedział to po francusku, w języku, którego Eva nie rozumiała.

- Ona była wcześniej agentką SWR - zauważyła Rebecca. - Teraz jest twoją.

- Skoro tak mówisz.
- Kiedy przyszła do kawiarni, pracowała już dla ciebie.
- Jeśli to prawda, to dlaczego pomogła ci uciec?
- Nie dałam jej wyboru, Allon.

Uśmiech Gabriela był szczery.

- W całej naszej branży ty jesteś najbliższa arystokracji, Rebecco. Jestem zaszczycony, że znasz moje nazwisko.

- Nie masz powodu.

- Masz oczy ojca - zauważył Gabriel - ale usta matki.
 - Jak ją znalazłeś?
 - To w gruncie rzeczy nie okazało się trudne. Była jedynym błędem Saszy. Powinien był ją ściągnąć do Moskwy już dawno.
 - Kim by na to nie pozwolił.
 - Tak go nazywałaś?
- Zignorowała to pytanie.
- Ożenił się z Rufiną. Nie chciał wprowadzać bałaganu do życia osobistego po raz kolejny, a to by nastąpiło, gdyby dawna miłość zamieszkała gdzieś w sąsiedztwie.
 - Więc zostawił ją w górach Andaluzji - rzekł Gabriel z potępieniem. - Samą jedną na świecie.
 - Tam nie było tak źle.
 - Wiedziałaś, gdzie ona jest?
 - Oczywiście.
 - I nie próbowałaś się z nią spotkać?
 - Nie mogłam.
 - Bo Sasza nie pozwalał? A może dlatego, że to byłoby zbyt bolesne?
 - Bolesne dla kogo?
 - Dla ciebie oczywiście. Była twoją matką.
 - Nie czuję do niej nic oprócz pogardy.
 - Na pewno?
 - Oddała mnie bez wahania. I ani razu nie próbowała się ze mną skontaktować ani mnie zobaczyć.
 - Raz to zrobiła.
- Niebieskie oczy rozjaśniły się jak u dziecka.
- Kiedy?
 - Kiedy byłaś w Trinity College. Zrobiła ci zdjęcie, kiedy szłaś przez Jesus Lane. Na tle ceglanej ściany.

- I zachowała to zdjęcie?

- To było wszystko, co miała.

- Kłamiesz!

- Jeśli chcesz, mogę ci je pokazać. Mam też twój akt urodzenia. Prawdziwy. Ten ze szpitala Saint George w Bejrucie, na którym jest nazwisko twojego prawdziwego ojca.

- Nigdy nie czułam się związana z nazwiskiem Manning. Wolę Philby.

- On potraktował cię okropnie, Rebecca. Nie miał prawa kraść twojego życia i robić ci prania mózgu, żebyś toczyła jego stare wojny.

- Nie było żadnego prania mózgu. Uwielbiałam Kima. Wszystko, co robiłam, robiłam dla niego.

- A teraz to wszystko się skończyło. Rzuć broń - powiedział Gabriel. - Zabiorę cię do domu.

- Moim domem jest Moskwa - oświadczyła. - Proponuję ci układ. Oddam ci twoją agentkę, a ty pozwolisz mi na swobodny wyjazd do Federacji Rosyjskiej.

- Przykro mi, Rebecca, ale nie mogę zawrzeć takiego układu.

- W takim razie twoja agentka i ja zginiemy tu razem.

- Tak się nie stanie, jeśli najpierw zabiję cię.

Rzuciła mu gorzki, pełen wyższości uśmiech. To był uśmiech Philby'ego.

- Nie stać cię na to, żeby zabić kobietę, Allon. Gdyby było inaczej, już byś to zrobił.

Miała rację. Rebecca była kilkanaście centymetrów wyższa od Ewy i stała za nią na stromej ścieżce. Czubek głowy miała odkryty; mógł strzelić. U stóp Gabriela płynęła rzeka. Wciąż z wyciągniętą bronią, podszedł ścieżką w górę, trzymając się linii drzew. Rebecca obracała się razem z nim, przyciskając

pistolet do szyi Ewy.

Jej wzrok przesunął się po ziemi pod platanem.

- Dziwię się, że to drzewo jeszcze tu stoi.

- Te drzewa mogą rosnać około dwustu pięćdziesięciu lat.

Pewnie już tu było, kiedy Brytyjczycy spalili Biały Dom.

- Zrobiłam, co mogłam, żeby dokończyć zadanie. - Znów zerknęła na drzewo. - Czy myślisz, że to wciąż tam jest? Ta kamera, która ukradła tysiące amerykańskich sekretów?

- Dlaczego po nią przyjechałaś?

- Z powodów sentymentalnych. Nie mam nic, co należało do niego. Po jego śmierci wszystko zabrała Rufina i jego prawdziwe dzieci oraz wnuki. Ale dziecko tej innej kobiety... nie dostało nic.

- Odłóż broń, Rebecco, i wykopiemy to razem. A potem pojedziemy do Londynu.

- Możesz sobie wyobrazić ten skandal? Przy tym cała afera z „tym trzecim” będzie wyglądała jak... - Mocniej pociągnęła włosy Ewy. - Może będzie lepiej, jeśli wszystko skończy się tu nad rzeką, pod tym wielkim platanem.

Zaczynała się wahać, tracić wiarę. Naraz wydała się bardzo zmęczona. I szalona, pomyślał Gabriel. Skończyła tak, jak wszystkie pozostałe kobiety Philby'ego.

- Jak sądzisz, ile to kroków? - zapytał.

- O czym ty mówisz?

- Do mojego samochodu - wyjaśnił. - Ile kroków prowadzi stąd, znad rzeki, do mojego samochodu?

- O tym też ci powiedziała?

- Ile kroków prowadzi z Luwru do Notre-Dame? Od Łuku Triumfalnego do placu Zgody... Od wieży Eiffla do placu Inwalidów...

Milczała.

- Odłóż broń - polecił Gabriel. - Już po wszystkim.

- To ty odłóż broń. Wtedy ja też to zrobię.

Gabriel opuścił lufę baraka i skierował ją w stronę wilgotnej ziemi. Rebecca wciąż trzymała SIG sauera przy szyi Evy.

- Odłóż całkiem - zażądała, a Gabriel po chwili wahania pozwolił, żeby pistolet wysunął mu się spomiędzy palców.

- Głupiec - powiedziała zimno i wycelowała w jego pierś.

Cabin John, Maryland

To był ruch, którego nauczyła się na szkoleniu w Moskwie, dobrze wykonany. Pięta skierowana do wewnątrz, łokieć w stronę splotu słonecznego, wierzch dłoni do nosa, a wszystko w mgnieniu oka. Gabriel zbyt późno pochwycił pistolet, próbując wydrzeć go z rąk Rebekki. Pocisk trafił Evę w rosyjski sposób, w potylicę, i dziewczyna upadła na mokrą ziemię.

Rebecca wystrzeliła jeszcze dwa razy. Kule poleciały między drzewa, nie czyniąc żadnej szkody, a Gabriel, wciąż ściskając SIG sauera, ściągnął ją ze ścieżki. Razem wpadli do lodowatego Potomacu. Pod wodą pistolet obrócił się w palcach Gabriela i cztery małe torpedy pomknęły w stronę Swainson Island.

Gabriel policzył. W magazynku zostały jeszcze trzy naboje. Twarz Rebekki znalazła się pod ciemnym rwącym nurtem. Oczy miała otwarte i krzyczała coś z wściekłością, nie próbując oszczędzać oddechu. Gabriel wepchnął ją głębiej i jeszcze dwa pociski przecięły wodną toń.

Pozostał tylko jeden. Wyleciał z lufy w chwili, gdy ostatni oddech wyszedł z płuc Rebekki. Gabriel wyciągnął ją z wody i usłyszał kroki na ścieżce. W swoim szaleństwie spodziewał się, że to Philby zjawił się, by ocalić córkę, ale to byli tylko Michał Abramow i Eli Lavon. Zjawili się, by ocalić jego.

Rebecca, krztusząc się wodą, opadła na kolana pod platanem. Gabriel wrzucił jej pistolet do kanału i ruszył ścieżką w stronę samochodu. Dopiero później uświadomił sobie, że liczył kroki. Było ich sto dwadzieścia dwa.

Część czwarta

KOBIETA Z ANDALUZJI

Cabin John, Maryland

Kobieta, która w tej okolicy uprawiała jogging, zobaczyła ich o jedenastej piętnaście. Zadzwoiła pod dziewięćset jedenaście. Dyspozytor powiadomił policję parkową, bowiem to miejsce znajdowało się w jej jurysdykcji. Policjanci znaleźli trzy ciała – dwóch mężczyzn i młodej kobiety – ze śmiertelnymi ranami postrzałowymi. Mężczyźni mieli na sobie zwyczajne ubrania, kobieta strój sportowy w jaskrawych barwach. Otrzymała jeden strzał w potylicę. Z kolei mężczyźni dostali po dwie kule. Na parkingu nie było żadnego samochodu, a wstępne przeszukanie miejsca zbrodni nie ujawniło tożsamości ofiar. Znaleziono jednak dwa pistolety produkcji rosyjskiej, tokariewa i makarowa, oraz, co było dziwne, szpadel o krótkiej ręczce.

Ostrze wyglądało na nowe, a na stylisku widniała czyściutka metka z nazwą sklepu, w którym go kupiono. Jeden z policjantów zadzwonił do sklepu i zapytał kierownika, czy ostatnio sprzedawał szpadel dwóm mężczyznom albo kobiecie w jaskrawym w stroju sportowym.

- Nie - odpowiedział mężczyzna - ale właśnie tego ranka taki szpadel kupiła kobieta w eleganckim kostiumie i beżowym prochowcu.

- Zapłaciła gotówką czy kartą?

- Gotówką.

- Czy może pan ją opisać?

- Po pięćdziesiątce, wyjątkowo niebieskie oczy. I mówiła z obcym akcentem - dodał kierownik.

- Przypadkiem nie rosyjskim?
- Brytyjskim.
- Ma pan nagranie?
- A jak pan sądzi?

Przejazd z miejsca zbrodni do sklepu żelaznego zajął policjantowi równe cztery minuty. Po drodze skontaktował się z przełożonym zmiany i wyraził opinię, że tego ranka na brzegu rzeki wydarzyło się coś istotnego, nawet bardziej istotnego niż utrata trzech ludzkich istnień, i że natychmiast należy zawiadomić FBI. Przełożony zgodził się i zadzwonił do siedziby FBI, która była już przygotowana do wojny.

Na miejscu zbrodni jako pierwszy spośród agentów pojawił się sam Donald McManus. O jedenastej pięćdziesiąt przed południem potwierdził, że martwa kobieta to ta sama, którą widział wcześniej tego ranka na stacji Shella przy Wisconsin Avenue. A o dwunastej dziesięć, po obejrzeniu nagrania ze sklepu metalowego, potwierdził, że kobieta, która kupiła szpadel, to ta sama, która dzwoniła do Ambasady Rosji z automatu telefonicznego na stacji benzynowej.

Ale kim ona była? McManus przesłał kopię nagrania do siedziby FBI celem identyfikacji. Szef Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego rzucił okiem na nagranie i poradził McManusowi, by nie zawracał sobie głowy, bo to szefowa waszyngtońskiej placówki MI6.

- Rebecca Manning? - zapytał Donald McManus z niedowierzaniem. - Jesteś pewny, że to ona?
- Tydzień temu piłem z nią kawę.
- Powiedziałaś jej coś poufnego?

Już wtedy, na pierwszym etapie rozwijającego się skandalu, szef NSB miał dość rozumu, by nie odpowiadać. Skontaktował

się z dyrektorem, a dyrektor szybko zadzwonił do prokuratora generalnego, dyrektora CIA, sekretarza stanu i w końcu do Białego Domu. Protokół wymagał, by sekretarz stanu skontaktował się z ambasadorem brytyjskim, co też uczynił o pierwszej trzydzieści.

- Uważam, że ona teraz jedzie na lotnisko Dullesa - odpowiedział ambasador. - Jeśli się pośpieszycie, to może ją złapiecie.

Później ustalono, że prywatny odrzutowiec Falcon wyleciał z międzynarodowego lotniska Dullesa o pierwszej dwanaście. Na pokładzie było sześcioro pasażerów - trzech Brytyjczyków i trzech Izraelczyków, wśród nich tylko jedna kobieta. Personel Signature Flight Support, firmy, która obsługiwała lotnisko, przypominał sobie, że kobieta wydawała się nieco zdezorientowana i miała mokre włosy. Ubrana była w dresy i nowe buty do biegania, podobnie jak jeden z mężczyzn, niewysoki Izraelczyk o siwych skroniach i bardzo zielonych oczach. Ponadto jeden z pasażerów - według brytyjskiego paszportu nazywał się Peter Marlowe - miał rękę na temblaku. Krótko mówiąc, twierdził personel, wszyscy wyglądali, jakby wcześniej przepuszczono ich przez wyżymaczkę.

Kiedy samolot schodził do lądowania w Londynie, w oficjalnym Waszyngtonie wrzało. Jednak przez następne dwadzieścia cztery godziny burza wciąż była ściśle tajna, podzielona na segmenty i zasadniczo ograniczona do wtajemniczonych kręgów. O trzech ciałach znalezionych nad rzeką FBI nie mówiło prawie nic, tylko tyle, że zapewne doszło do próby rozboju, która zakończyła się tragicznie i że trzech ofiar dotychczas nie zidentyfikowano, co nie do końca było

prawdą.

Ale za kulisami dochodzenie przebiegało z szybkością błyskawicy i przynosiło niepokojące rezultaty. Analiza balistyczna wykazała, że dwaj mężczyźni zostali zabici z broni kalibru .45 użytej przez kogoś o dużych umiejętnościach strzeleckich, natomiast kobieta znana jako Eva Fernandes zginęła wskutek pojedynczego strzału z broni kalibru 9 mm, oddanego z bliska. Analitycy z Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego zaczęli grzebać w podaniu o zieloną kartę oraz historii podróży kobiety i jej dość wątpliwym obywatelstwie brazylijskim. Krótko mówiąc, doszli do wniosku, że z wielkim prawdopodobieństwem była ona nielegalną agentką SWR, rosyjskiego wywiadu zagranicznego. FBI uznało, że obydwaj mężczyźni również byli agentami, chociaż posiadali rosyjskie paszporty dyplomatyczne. Jeden nazywał się Witalij Pietrow, a drugi Stanisław Zelenko. Obaj byli dyplomatami niskiego szczebla, co oznaczało przykrywkę dla działalności szpiegowskiej. Pietrow pracował w ambasadzie w Waszyngtonie, Zelenko w Nowym Jorku.

Tym bardziej zdumiewające było oficjalne milczenie Rosji. Ambasada w Waszyngtonie nie prowadziła dochodzenia w sprawie śmierci tych dwóch i nie wystosowała żadnego protestu. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie wykryła żadnego nasilenia w przepływie zakodowanej komunikacji między ambasadą a Centralą w Moskwie. Było jasne, że Rosjanie coś ukrywają - coś bardziej wartościowego niż nielegalna kurierka brazylijska i dwóch agentów mięśniaków. Coś kalibru Rebekki Manning.

Langley nie poszło w ślady Rosji i nie zachowało milczenia. Jeśli rosyjskie podsłuchy działały, a działały z pewnością,

zapewne natychmiast zauważono szybki wzrost liczby bezpiecznych połączeń telefonicznych między siódmym piętrem w siedzibie CIA a Vauxhall Cross. A gdyby Rosjanie potrafili złamać pancerne kody, niewątpliwie byliby zadowoleni z tego, co by usłyszeli, bowiem w kolejnych dniach po ucieczce Rebekki Manning relacje między CIA a MI6 ochłodziły się do poziomu, jakiego nie odnotowano od roku 1963, kiedy to niejaki Kim Philby uciekł z Bejrutu i wylądował w Moskwie.

Amerykanie znów z oburzeniem walili pięścią w stół, domagając się odpowiedzi. Dlaczego Rebecca Manning kontaktowała się z Ambasadą Rosji? Czy była rosyjskim szpiegiem? Jeśli tak, to od jak dawna? Jak wiele zdradziła? Czy to ona jest odpowiedzialna za trzy martwe ciała znalezione nad brzegiem rzeki Potomac w pobliżu Swainson Island? Co łączyło ją z Izraelczykami? I dlaczego, na litość boską, kupiła szpadel w sklepie metalowym na rogu MacArthura Boulevard i Goldsboro Road?

Nie dało się ukryć tego, co się zdarzyło, i trzeba przyznać Grahamowi Seymourowi, że nawet nie próbował, w każdym razie w opinii tych kilku osób z amerykańskich służb wywiadowczych, które jeszcze go wspierały. Owszem, mącił wodę, ale ani razu nie okłamał Amerykanów wprost, bo gdyby tak zrobił, małżeństwo skończyłoby się w jednej chwili. Głównie grał na czas i prosił Langley, by starali się chronić nazwisko Rebekki przed prasą.

- Publiczny skandal - mówił - nikomu nie wyszedłby na dobre. Co więcej, byłoby to kolejne propagandowe zwycięstwo Cara, który ostatnio miał dobrą passę. Lepiej oszacować szkody w zaciszu i zająć się naprawianiem związku.

- Nie ma żadnego związku - powiedział Seymourowi dyrektor

CIA Morris Payne przez bezpieczną linię telefoniczną cztery dni po powrocie Rebekki do Londynu. – I nie będzie, dopóki nie uzyskamy pewności, że przeciek został zatkany i twoja łódź nie nabiera rosyjskiej wody.

– Wy też w przeszłości mieliście problemy, ale my nigdy nie groziliśmy, że zerwiemy współpracę.

– To dlatego, że wy potrzebujecie nas bardziej niż my was.

– Jakież to taktowne z twojej strony, Morris. Szczyty dyplomacji.

– Do diabła z taktem! Gdzie ona, do cholery, jest?

– Wolałbym tego nie mówić przez telefon.

– Od jak dawna to trwało?

– Tego – odparł Seymour z intonacją prawnika – właśnie bardzo chcemy się dowiedzieć.

– Cieszę się, że to słyszę. – Payne zaklął głośno i donośnie. – Graham, Cathy i ja traktowaliśmy ją jak rodzinę. Bywała u nas w domu. I jak się odpłaciła? Ukradła moje tajemnice i zadała mi cios w plecy. Czuję się jak...

– Jak, Morris?

– Chyba tak się musiał czuć James Angleton, kiedy jego bliski przyjaciel Kim Philby zdezerterował do Moskwy.

I tak oto wszystko mogłoby zakończyć się milczeniem Rosjan i kłótniami rodzinnymi, gdyby nie artykuł, który ukazał się w „Washington Post” tydzień po pośpiesznym wyjeździe Rebekki Manning z Ameryki. Wyszedł spod pióra dziennikarza, który w przeszłości pisywał wiarygodne teksty o narodowym bezpieczeństwie, a jego informatorzy jak zwykle byli starannie zakamuflowani. Najbardziej prawdopodobnym źródłem przecieku wydawało się jednak FBI, które przez cały czas nie mogło pogodzić się z myślą, że sprawa Rebekki Manning

zostanie zamieciona pod dywan razem z trzema martwymi rosyjskimi agentami.

Mimo selektywności artykuł przypominał wybuch bomby. Stwierdzał, że zabici znaleźieni na brzegu Potomacu nie byli ofiarami rozboju, lecz agentami SWR. Dwóch mężczyzn miało paszporty dyplomatyczne, kobieta udająca Brazylijkę dostała się do Stanów nielegalnie. Nie było jeszcze jasne, jak i dlaczego zginęli, ale FBI według autora artykułu prowadziło dochodzenie w sprawie zaangażowania w tę sprawę co najmniej dwóch obcych wywiadów.

Ta historia miała jedną ważną konsekwencję: Rosja nie mogła dłużej milczeć. Kreml zareagował wściekłością i oskarżył Stany Zjednoczone o zabójstwo z zimną krwią. Amerykańska administracja żarliwie i wielokrotnie temu zaprzeczyła. W ciągu następnych trzech dni doszło do szybkiej serii przecieków i kontrprzecieków, aż w końcu mleko wylało się na pierwszą stronę „New York Timesa”. A w każdym razie część mleka. Eksperci telewizji kablowej jednogłośnie oświadczyli, że był to najgorszy przypadek szpiegostwa od czasu katastrofy z Kimem Philbym. Przynajmniej pod tym względem mieli absolutną rację.

Pozostało jeszcze wiele pytań, na które należało odpowiedzieć, dotyczących zwerbowania Rebekki Manning jako rosyjskiej agentki. Były również pytania dotyczące roli, jaką odegrał w tym wszystkim Gabriel Allon. Jak donoszono, Allon znajdował się na pokładzie samolotu, którym Rebecca Manning odleciała do Wielkiej Brytanii. Londyn milczał na ten temat, Tel Awiw również.

Tel Awiw - Jerozolima

Widziano go tego samego dnia, gdy przybył do gabinetu premiera na tygodniowe spotkanie kruchego izraelskiego rządu, ubrany w niebieski garnitur i białą koszulę. Twarz miał zmęczoną. Gdy reporter poprosił go o komentarz na temat zdemaskowania Rebekki Manning jako rosyjskiego szpiega, uśmiechnął się tylko i nie odpowiedział. W gabinecie bawił się notatnikiem i kiedy ministrowie przekrzykiwali się jak zwykle, przez cały czas zastanawiał się, jak narodowi Izraela udało się przetrwać i rozkwitnąć, choć ma tak okropnych polityków. Gdy nadeszła jego kolej na wypowiedź, krótko poinformował rząd o niedawnym ataku na islamistycznych bojowników na półwyspie Synaj, przeprowadzonym przez Biuro we współpracy z IDF oraz z cichym błogosławieństwem nowego Faraona. Nie wspomniał, że ta operacja odbyła się w czasie, gdy on znajdował się w powietrzu i leciał nad Atlantykiem, próbując przeprowadzić pierwsze przesłuchanie Rebekki Manning. Graham Seymour szybko uciął te próby i w Londynie rozstali się niemal bez pożegnania.

Przy bulwarze Króla Saula praca nad ochroną kraju przed niezliczonymi zagrożeniami przebiegała normalnie, jakby nic się nie wydarzyło. W poniedziałek rano na spotkaniu personelu jak zwykle walczono o zasoby i priorytety, ale nazwisko Rebekki Manning nie padło ani razu. Biuro miało inne pilne sprawy. Potajemne uderzenie na półwyspie Synaj było tylko jednym aspektem nowej strategii Izraela polegającej na bliskiej

współpracy z sunnickimi reżimami na Bliskim Wschodzie przeciwko wspólnemu wrogowi, Islamistycznej Republice Iranu. Wycofanie się Ameryki z tego regionu wytworzyło próżnię, którą teraz gwałtownie próbowali wypełnić Irańczycy i Rosjanie. Izrael służył jako bufor przeciwko narastającej groźbie irańskiej, a Gabriel i Biuro byli na pierwszej linii ostrzału. Co więcej, nieobliczalny prezydent Ameryki ogłosił zamiar zerwania umowy, która tymczasowo powstrzymywała nuklearne ambicje Iranu. Gabriel spodziewał się, że Irańczycy w odpowiedzi szybko odtworzą program zbrojeń, toteż sam wprowadzał właśnie nowy program zbierania danych i sabotażu, by ich powstrzymać.

Spodziewał się też, że Rosjanie przeprowadzą odwet za utratę Rebekki Manning. Toteż nie zdziwiła go wiadomość, która nadeszła później w tym samym tygodniu, że w Wiedniu zginął Werner Schwarz. Wypadł z okna swojego mieszkania. Tego właśnie, z którego sygnalizował Centrali w Moskwie potrzebę spotkania. Nie znaleziono żadnego listu pożegnalnego, natomiast Bundespolizei odkryła kilkaset tysięcy euro na jego prywatnym koncie bankowym. Austriacka prasa zastanawiała się, czy ta śmierć miała jakiś związek z zabójstwem Konstantina Kirowa. Minister spraw wewnętrznych Austrii również się nad tym zastanawiał.

Należało napisać oficjalne raporty i przygotować obronę prawną, ale Gabriel używał wielu pretekstów, by unikać prawników Biura. Chcieli dokładnie wiedzieć, co się zdarzyło na brzegu rzeki Potomac w Marylandzie. Kto zabił dwóch rosyjskich agentów operacyjnych, Pietrowa i Zelenkę? I co z tą nielegalną imigrantką, która zgodziła się wciągnąć Rebeccę Manning w pułapkę w zamian za azyl w Izraelu? Uzi próbował

wyciągnąć tę informację od Michaiła i Eliego Lavona, ale obydwaj odpowiadali szczerze, że gdy pojawili się na scenie, trójka Rosjan była już martwa. Toteż nie mieli żadnej pewności, jak do tego doszło.

- I nawet nie zapytaliście go, co się stało?

- Próbowaliśmy - odrzekł Lavon.

- A Rebecca?

- Nie pisnęła ani słowa. To był jeden z najgorszych lotów w moim życiu, a niejedno już przeżyłem.

Znajdowali się w ciasnym gabinecie Lavona pełnym kawałków ceramiki, starych monet i narzędzi. W wolnym czasie Lavon był jednym z najwybitniejszych izraelskich archeologów.

- Założmy - powiedział Navot - że to Gabriel zabił tych dwóch.

- Założmy - zgodził się Lavon.

- Więc jak to się stało, że dziewczyna też nie żyje? I skąd Gabriel wiedział, że Rebecca tam będzie? I po co, na litość boską, zatrzymała się, żeby kupić szpadel?

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo jesteś archeologiem.

- Wiem tylko tyle - powiedział Lavon - że szef Biura ma szczęście, że jeszcze żyje. Gdybyś na jego miejscu był ty...

- To już wykuwaliby moje nazwisko na ścianie pamięci.

Jeśli ktokolwiek zasłużył na to, by jego nazwisko zostało wykute na ścianie pamięci, pomyślał Lavon, to jest człowiek, który odnalazł Rebeccę Manning. On jednak nie rościł sobie żadnego tytułu do chwały. Jego jedyną nagrodą był od czasu do czasu wieczór spędzony w domu z żoną i dwójką małych dzieci, ale nawet oni wyczuwali, że coś go trapi. Któregoś wieczoru Irene przesłuchała go gruntownie, gdy siedział na skraju jej

łóżka. Kłamał tak nieudolnie, że nawet dziecko mu nie uwierzyło.

- Zostań ze mną, *abba* - rozkazała swoją dziwną mieszanką włoskiego i hebrajskiego, gdy Gabriel próbował odejść. Potem dodała: - Proszę, nigdy ode mnie nie odchodź.

Gabriel został w pokoju dzieciennym, aż Irene mocno usnęła. A potem w kuchni nalał sobie kieliszek galilejskiego sziraza i usiadł przy stoliku, ponuro patrząc na wiadomości z Londynu, podczas gdy Chiara przygotowywała kolację. Na ekranie Graham Seymour na tylnej kanapie limuzyny opuszczał Downing Street po złożeniu rezygnacji z powodu skandalu, jaki wydarzył się za jego kadencji w służbach wywiadowczych. Według anonimowego sekretarza z Downing Street, którego cytowano, premier Lancaster odmówił przyjęcia rezygnacji, w każdym razie w tej chwili. Domagano się dochodzenia parlamentarnego, a co gorsza, niezależnego dochodzenia w rodzaju tego, jakie przeprowadzono po fałszywych informacjach dotyczących broni masowego rażenia w Iraku. A co z Alistairem Hughesem? - lamentowały media. Czy jego śmierć w sennym Bernie nie wiązała się jakoś ze zdradą Rebekki Manning? Czy on też był rosyjskim szpiegiem? Czy gdzieś w mroku czai się „ten trzeci”? Krótko mówiąc, skończyło się to właśnie takim spektaklem publicznym, jakiego Seymour miał nadzieję uniknąć.

- Jak długo uda mu się utrzymać to w tajemnicy? - zapytała Chiara.

- Którą część?

- Tożsamość ojca Rebekki Manning.

- To pewnie zależy od tego, ilu ludzi w MI6 wie, że ona uważa się za Rebeccę Philby.

Chiara postawiła przed Gabrielem talerz *spaghetti al pomodoro*. Posypał je tartym serem, ale zawahał się, zanim zaczął jeść.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć - rzekł w końcu. - O tym, co się zdarzyło tamtego ranka nad rzeką.

- Chyba wiem, co się zdarzyło.

- Wiesz?

- Byłeś gdzieś, gdzie nie powinieneś być, sam, bez żadnego wsparcia ani ochrony. Na szczęście wystarczyło ci rozsądku, żeby przed wyjściem z bezpiecznego domu wsunąć do kieszeni pistolet.

- Duży pistolet - zauważył Gabriel.

- Nigdy nie lubiłeś czterdziestekpiątek.

- Są za głośne - stwierdził Gabriel. - I robią za dużo bałaganu.

- Ta nielegalna imigrantka zginęła od naboju kalibru dziewięć milimetrów - zauważyła Chiara.

- Eva - wyjaśnił Gabriel. - W każdym razie tak brzmiało jej brazylijskie imię. Nigdy nam nie powiedziała, jak się nazywała naprawdę.

- Sądzę, że to Rebecca ją zabiła.

- Ja też tak sądzą.

- Dlaczego?

Zawahał się, ale odrzekł:

- Dlatego, że ja nie zabiłem Rebekki wcześniej.

- Nie byłeś w stanie tego zrobić?

Gabriel znów się zawahał, ale przyznał, że nie był w stanie.

- A teraz przesładują cię wyrzuty sumienia, bo kobieta, którą zmusiłeś, żeby robiła to, co jej kazałeś, nie żyje.

Gabriel nie odpowiedział.

- Ale dręczy cię coś jeszcze. - Gabriel milczał, więc Chiara mówiła dalej. - Powiedz mi, Gabrielu, jak blisko śmierci byłeś w ostatnim tygodniu?

- Bliżej, niż mógłbym sobie życzyć.

- Przynajmniej mówisz szczerze. - Chiara spojrzała na telewizor. BBC wyciągnęło skądś stare zdjęcie Rebekki zrobione w Trinity College. Była bardzo podobna do ojca. - Jak długo uda im się zachować tajemnicę? - zapytała znowu.

- A kto by uwierzył w taką historię?

Na ekranie telewizora stare zdjęcie Rebekki Manning zniknęło i teraz pojawiło się jeszcze jedno zdjęcie Grahama Seymoura.

- Zrobiłeś jeden błąd, kochanie - powiedziała Chiara po chwili. - Gdybyś ją zabił, kiedy miałeś okazję, to wszystko by się nie zdarzyło.

Tej nocy, gdy Chiara mocno spała, Gabriel usiadł na łóżku z laptopem opartym na kolanach i ze słuchawkami na uszach, i w kółko oglądał to samo piętnastominutowe nagranie zrobione samsungiem galaxy. Zaczynało się o siódmej czterdzieści dziewięć rano, kiedy kobieta w eleganckim kostiumie i beżowym prochowcu weszła do popularnego Starbucksa na północy Georgetown i stanęła w kolejce przy kasie. Przed nią stało osiem osób. Przez słuchawki Gabriel słyszał, jak barista śpiewa „A Change Is Gonna Come”, zresztą całkiem nieźle. Przypomniawszy sobie, że Graham Seymour nie widział tego występu. Wyszedł wówczas z domu do zarośniętego ogrodu, gdzie odbierał telefon z Vauxhall Cross.

Była siódma pięćdziesiąt cztery, gdy kobieta złożyła zamówienie - duża mocno palona kawa, nic do jedzenia -

i siódma pięćdziesiąt sześć, kiedy usiadła przy wspólnym stole i wzięła do ręki iPhone'a. Kilka razy przesunęła prawym kciukiem po ekranie. O siódmej pięćdziesiąt siedem odłożyła iPhone'a na stół i wyjęła z torebki drugi telefon, model BlackBerry KEYone. Hasło było długie i nie do złamania, dwanaście znaków, które wybierała obydwoma kciukami. Wprowadziła je i spojrzała na ekran. Barista śpiewał „What's Going On”.

„Mamo, mamo...”.

O siódmej pięćdziesiąt osiem znów wzięła do ręki iPhone'a, zerknęła na ekran i rozejrzała się po kawiarni. Nerwowo, pomyślał Gabriel. To nie było do niej podobne. Potem kilkakrotnie stuknęła w ekran iPhone'a i wrzuciła go do torebki. Podniosła się i wyrzuciła kubek po kawie do kosza. Drzwi znajdowały się po jej prawej stronie, ona jednak poszła w lewo, na tył kawiarni.

Gdy zbliżała się do samsunga galaxy, jej twarz była nic niewyrażającą maską. Gabriel przycisnął ikonkę pauzy i popatrzył w niebieskie oczy Kima Philby'ego. Czy coś ją przestraszyło, jak sugerował Graham Seymour, czy też ktoś ją ostrzegł? A jeśli tak, to kto?

Najbardziej oczywistym podejrzanym był Sasza. Nie można wykluczyć, że monitorował zrzut z daleka, że miał swoich ludzi na ulicy i w kawiarni. Może zauważył coś, co mu się nie spodobało i co sprawiło, że kazał swojemu dziełu życia wyjść, nie kończąc przekazu, i uciekać do ustalonej kryjówki. W takim razie dlaczego Rebecca po prostu nie opuściła kawiarni? I dlaczego wybrała ramiona Evy Fernandes, a nie ludzi z SWR?

Bo nie było żadnych ludzi z SWR, pomyślał Gabriel, przypominając sobie pośpieszny wyjazd znanych agentów SWR

przez tylną bramę ambasady rosyjskiej mniej więcej o ósmej dwadzieścia. Jeszcze ich nie było.

Przesunął wskaźnik czasu na filmie i nacisnął „play”. Zegar wskazywał siódmą pięćdziesiąt sześć w popularnym Starbucksie na północnym krańcu Georgetown. Kobieta w eleganckim kostiumie i prochowcu siedzi przy wspólnym stole i kilkakrotnie stuka palcem w ekran iPhone’a. O siódmej pięćdziesiąt siedem zamienia iPhone’a na blackberry, ale o siódmej pięćdziesiąt osiem znowu wraca do iPhone’a.

Gabriel nacisnął pauzę. To jest to, pomyślał. Lekkie drgnienie ciała, niemal niedostrzegalne. Otwarte szerzej oczy. To się zdarzyło wtedy, o siódmej pięćdziesiąt osiem minut i czterdzieści sześć sekund, na iPhonie.

Nacisnął „play” i patrzył na Rebeccę Manning, która kciukiem wpisywała na ekranie iPhone’a kilka poleceń, które niewątpliwie skasowały jej raport dla Centrali, a także całe oprogramowanie SWR. Gabriel był pewny, że skasowała również wiadomość, która ostrzegła ją, że ma uciekać. Może FBI ją znalazło, a może nie, ale to bez znaczenia, bo nigdy nie podziela się tą informacją z kimś takim jak on. Brytyjczycy byli kuzynami. Dalekimi kuzynami, ale jednak kuzynami.

Gabriel otworzył przeglądarkę w laptopie i przejrzał nagłówki londyńskich gazet. Każdy był gorszy od poprzedniego. „Gdybyś ją zabił, kiedy miałeś okazję, to wszystko by się nie zdarzyło”. Tak, pomyślał, kładąc się w ciemności obok śpiącej żony. To by wszystko wyjaśniało.

Eaton Square, Londyn

Gabriel poleciał do Londynu trzy dni później, z izraelskim paszportem dyplomatycznym wystawionym na fałszywe nazwisko. Na lotnisku Heathrow czekał na niego ochroniarz z ambasady oraz niezbyt dobrze ukryty zespół obserwacyjny z MI5, Wydziału A4. W drodze do centrum Londynu zadzwonił do Grahama Seymoura i poprosił o spotkanie. Seymour zgodził się z nim spotkać o dziewiątej wieczorem u siebie w domu przy Eaton Square. Późna pora oznaczała, że Gabriel nie jest zaproszony na kolację. O tym samym mówiło chłodne powitanie przez Helen Seymour.

- Jest na górze - powiedziała. - Sądzę, że sam trafisz.

Gdy Gabriel wszedł do gabinetu na piętrze, Seymour przeglądał zawartość tajnej teczki z czerwonym paskiem. Zaznaczył coś zielonym piórem Parkera i szybko wrzucił teczkę do stalowej walizeczki. Wyglądało na to, że przed wizytą Gabriela Seymour pozamykał już rodowe srebra i porcelanę. Nie podniósł się ani nie wyciągnął ręki, nie zaproponował też, by poszli porozmawiać do bezpiecznego pomieszczenia. Gabriel sądził jednak, że to nie jest konieczne. MI6 nie miało już sekretów, które można byłoby zdradzić. Rebecca Manning przekazała je wszystkim Rosjanom.

- Poczęstuj się - zaproponował Seymour, spoglądając obojętnie na wózek z napojami.

- Dziękuję, ale nie - odrzekł Gabriel i usiadł bez zaproszenia.

Zaległo ciężkie milczenie. Gabriel naraz pożałował, że

przyleciał do Londynu. Obawiał się, że ich relacji nie da się już naprawić. Przypomniawszy sobie z żalem popołudnie w Wormwood Cottage, kiedy przeglądali stare teczki, szukając imienia kochanki Kima Philby'ego. Gdyby wiedział, że do tego dojdzie, wyszeptałby nazwisko Philby'ego do ucha Seymourowi i umył ręce od całej tej historii.

- Jesteś zadowolony? - zapytał Seymour w końcu.

- Moje dzieci są zdrowe, a żona w tej chwili dość mnie lubi. - Gabriel wzruszył ramionami. - Więc tak, sądzę, że nigdy nie będzie lepiej.

- Nie o to pytałem.

- Mój dobry przyjaciel jest pod ostrzałem z powodu czegoś, co nie było jego winą. Martwię się o niego.

- Czytałem kiedyś coś podobnego na pocztówce.

- Daj spokój, Graham. Nie rób mi tego. Wiele razem przeszliśmy, ty i ja.

- I po raz kolejny ty zostałeś bohaterem, a ja muszę posprzątać cały ten bałagan.

- W takiej sytuacji nie ma bohaterów. Wszyscy tracą.

- Oprócz Rosjan. - Seymour podszedł do wózka i nalał do szklanki dwa centymetry whisky. - A tak w ogóle, Keller cię pozdrawia.

- Jak on się czuje?

- Niestety, lekarze twierdzą, że przeżyje. Chodzi po Londynie z bardzo ważnym sekretem w głowie.

- Coś mi mówi, że twój sekret u Christophera Kellera jest bezpieczny. Kto jeszcze wie?

- Nikt oprócz premiera.

- To razem trzy osoby w obrębie rządu Jej Królewskiej Mości - zauważył Gabriel.

- Cztery - poprawił go Seymour - jeśli doliczymy Nigela Whitcombe'a, który mniej więcej orientuje się, co zaszło.

- No i jeszcze Rebecca.

Seymour nie odpowiedział.

- Czy ona coś mówi? - zapytał Gabriel.

- Rebecca Manning jest ostatnią osobą na świecie, z którą miałbym ochotę rozmawiać.

- A ja bym chciał z nią porozmawiać.

- Ty już miałaś szansę. - Seymour popatrzył na Gabriela znad brzegu szklanki. - Skąd wiedziałeś, że ona tam będzie?

- Przeczuwałem, że zechce coś zabrać z sobą. Coś, co jej ojciec zostawił tam w pięćdziesiątym pierwszym roku po dezercji Guya Burgessa i Donalda Macleana.

- Kamera i filmy?

Gabriel skinął głową.

- To by wyjaśniało, po co kupiła szpadel. Ale skąd wiedziałeś, gdzie to zostało zakopane?

- Od wiarygodnego informatora.

- Charlotte Bettencourt?

Gabriel nie odpowiedział.

- Gdybyś tylko zabrał ten szpadel, kiedy stamtąd odchodziłeś...

Gabriel poprosił, by Seymour mówił dalej.

- Moglibyśmy wykraść Rebeccę z Waszyngtonu bez wiedzy Amerykanów - ciągnął Seymour. - Ale zgubiło ją to nagranie ze sklepu metalowego, na którym kupuje szpadel.

- A jak byś wyjaśnił trzech martwych agentów SWR?

- Bardzo ostrożnie.

- A nagłe wezwanie Rebekki do Londynu?

- Kłopoty zdrowotne - zasugerował Seymour. - Nowa

placówka.

- Przykrywka.

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

Gabriel udawał, że się zastanawia.

- Amerykanie by to przejrzeni.

- Dzięki tobie nigdy tego nie sprawdzimy.

Gabriel zignorował te słowa.

- W gruncie rzeczy byłoby o wiele lepiej, gdyby Rebecca wyleciała z Waszyngtonu z Rosjanami. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - Tego właśnie chciałeś przez cały czas, prawda, Graham?

Seymour nie odpowiedział.

- I dlatego wysłałeś na jej iPhone'a esemesa dwie minuty przed otwarciem okna i ostrzegłeś, żeby nie robiła przekazu. Dlatego kazałeś jej uciekać.

- Ja? Po co miałbym to robić?

- Z tego samego powodu, z którego MI6 pozwoliło Kimowi Philby'emu uciec w sześćdziesiątym trzecim. Lepiej, żeby szpieg był w Moskwie niż w brytyjskiej sali sądowej.

Seymour uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Wszystko sobie ładnie rozpracowałeś. Ale czy to nie ty mi powiedziałaś, że mój szef placówki wiedeńskiej był rosyjskim szpiegiem?

- Wymyśl coś lepszego, Graham.

Uśmiech Seymoura zniknął.

- Gdybym miał zgadywać - ciągnął Gabriel - wysłałeś wiadomość z ogrodu, kiedy rzekomo odbierałeś pilny telefon z Vauxhall Cross. Albo może Nigel wysłał ją w twoim imieniu, bo ty nie chciałeś zostawiać odcisków palców.

- Jeśli ktokolwiek kazał Rebecce uciekać, był to Sasza -

stwierdził Seymour.

- To nie był Sasza, tylko ty.

Znowu zaległo milczenie. A więc tak to się kończy, pomyślał Gabriel i się podniósł.

- Na wypadek gdybyś się zastanawiał - powiedział nagle Seymour - układ został już zawarty.

- Co to za układ?

- Układ, żeby odesłać Rebeccę do Moskwy.

- Żałosne - mruknął Gabriel.

- Jest rosyjską obywatelką i pułkownikiem SWR. Tam jest jej miejsce.

- Możesz to sobie powtarzać, Graham. Możesz w to nawet uwierzyć.

Seymour milczał.

- Ilu za nią dostałeś?

- Wszystkich, o których prosiliśmy.

- Podejrzewam, że Amerykanie też brali w tym udział. - Gabriel powoli potrząsnął głową. - Kiedy ty się nauczysz, Graham? Ile wyborów musi nam jeszcze ukraść Car? Ilu politycznych przeciwników zgładzić na twoim terenie? Kiedy wreszcie mu się postawisz? Tak bardzo potrzebujesz jego pieniędzy? Czy tylko dzięki nim to przeceniane miasto jeszcze jakoś trzyma się na powierzchni?

- Życie dla ciebie jest bardzo czarno-białe, prawda?

- Tylko jeśli chodzi o faszystów. - Gabriel ruszył do drzwi.

- Ten układ - powiedział Seymour - zależy od jednej rzeczy.

Gabriel zatrzymał się i odwrócił.

- Od czego?

- Od Siergieja Morozowa. Ty go masz, a Rosjanie go chcą.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Wyraz twarzy Seymoura świadczył o tym, że nie żartuje.

- Bardzo chciałbym ci pomóc - zapewnił Gabriel - ale Siergiej Morozow nie żyje, nie pamiętasz? Powiedz Rebecce, że przykro mi, ale niestety będzie musiała spędzić resztę życia tutaj, w Wielkiej Brytanii.

- Może sam jej to powiesz.

- O czym ty mówisz?

- Napomknąłeś, że chciałbyś z nią porozmawiać.

- Chciałbym.

- Tak się składa - odrzekł Seymour - że ona też chce zamienić z tobą słowo.

Szkocja

Gabriel spędził tę noc w bezpiecznym mieszkaniu przy Bayswater Road, a rano wsiadł do wojskowego samolotu w bazie RAF Northolt na dalekich przedmieściach Londynu. Ochroniarz z MI6 nie powiedział mu, dokąd zmierzają, ale sądząc po długości lotu i wyglądzie terenu na dole, jedyną możliwością były północne krańce Szkocji. Wyglądało na to, że Rebeccę Manning zesłano na obrzeża królestwa.

W końcu Gabriel zauważył pasmo złocistego piasku i nieduże nadmorskie miasteczko. Dwie drogi przecinały się pod ostrym kątem, tworząc patchwork ziem uprawnych. To była baza RAF Lossiemouth. Na wietrznym pasie startowym czekała karawana range roverów. Przejechali kilka mil pomiędzy łagodnymi wzgórzami pokrytymi wrzosem i janowcem, aż w końcu dotarli do bramy wiejskiej posiadłości na odludziu. Wyglądała jak coś, co MI6 pożyczyło sobie podczas wojny i potem zapomniało zwrócić.

Za podwójnym płotem strażnicy w cywilu patrolowali rozległe trawniki. Nieprzyjemny mężczyzna o nazwisku Burns pouczył Gabriela w sprawach związanych z bezpieczeństwem i stanem umysłu więźnia.

- Proszę to podpisać. - Podsunął mu pod nos dokument.
- Co to?
- Deklaracja, że nigdy nie będzie pan rozmawiał z nikim o tym, co pan dzisiaj zobaczy albo usłyszy.
- Jestem obywatelem Izraela.

- To nie ma znaczenia, coś wymyślimy.

Pomieszczenie, do którego w końcu go wprowadzono, nie przypominało lochów, chociaż kiedyś mogło być lochem. Prowadziły do niego długie i kręte kamienne schodki śmierdzące wilgocią oraz pleśnią. Oryginalne kamienne ściany zostały otynkowane gładkim betonem i pomalowane na biało. Biel kości, pomyślał Gabriel, tak jak w *pueblo blanco* w górach Andaluzji. Światło nad głową było jaskrawe jak w sali operacyjnej, świetlówki cicho brzęczały. Z każdego kąta wyglądały kamery, a kilku strażników obserwowało pomieszczenie przez kuloodporne lustro weneckie.

Dla Gabriela ustawiono krzesło przy kracie celi Rebekki. Znajdowały się tam prycza, schludnie zaścielona, i nieduży stolik, na którym piętrzyły się stare tanie wydania powieści. Leżało też kilka gazet. Wyglądało na to, że Rebecca śledzi przebieg swojej sprawy. Ubrana była w luźne sztruksowe spodnie i gruby szkocki sweter chroniący przed chłodem. Wydawała się niższa niż wtedy, gdy Gabriel widział ją ostatnio, i bardzo szczupła, jakby zamierzała wywalczyć sobie wolność strajkiem głodowym. Nie miała makijażu, włosy były proste i przylizane. Gabriel zastanawiał się, czy sobie na to wszystko zasłużyła. Philby może tak, ale nie jego dziecko zdrady.

Po chwili celowego wahania Gabriel niechętnie przyjął dłoń, którą wysunęła do niego między kratami. Była szorstka i sucha.

- Proszę usiąść - powiedziała życzliwie, a Gabriel znowu z wahaniem opadł na krzesło. Strażnik przyniósł mu herbatę z mlekiem, bardzo słodką. Kubek był bardzo ciężki.

- Ty nic nie pijesz? - zapytał.

- Ja mogę pić tylko w porze posiłku. - Nie wiedział, czy świadomie, czy nie porzuciła angielski akcent. Wyglądała teraz

i mówiła jak Francuzka. - Wydaje mi się, że to głupia zasada, ale tak tu jest.

- Jeśli ci to przeszkadza...

- Nie, proszę. To musiała być bardzo długa podróż. A może nie - dodała. - Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie jestem.

„Prawdę mówiąc...”. Gabriel zastanawiał się, czy ona w ogóle potrafi mówić prawdę i czy umie odróżnić ją od kłamstwa.

Usiadła na skraju pryczy z kolanami razem i stopami opartymi płasko o betonową podłogę. Miała na nogach zamszowe mokasyny bez sznurówek, obrzeżone futerkiem. W celi nie było zupełnie nic, czym mogłaby sobie zrobić krzywdę. Gabrielowi wydawało się to zbędne. Rebecca Manning, którą spotkał na brzegu Potomacu, nie była typem samobójczyni.

- Obawiałam się, że nie przyjedziesz - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał Gabriel słodko.

- Bo tamtego dnia bym cię zabiła, gdyby nie to, że...

- Doceniam twoją szczerłość - przerwał jej.

Uśmiechnęła się, słysząc ten absurd.

- Nie przeszkadza ci to?

- Że spotykam się z kimś, kto kiedyś próbował mnie zabić?

- Tak.

- To jeden z moich zwyczajów.

- Masz wielu wrogów w Moskwie - zauważyła.

- Teraz chyba jeszcze więcej niż wcześniej.

- Może uda mi się nieco zmienić opinię SWR na twój temat, kiedy już zajmę nowe stanowisko w Centrali Moskwa.

- Nie będę na to czekał z zapartym tchem.

- Nie czekaj. - Uśmiechnęła się z zamkniętymi ustami. Może jednak źle ją osądził. Może jej miejsce było w klatce. - Tak

naprawdę - ciągnęła - wątpię, żebym miała się zająć Bliskim Wschodem. Moim naturalnym miejscem jest wydział zajmujący się Wielką Brytanią.

- To kolejny powód, dla którego twój rząd nie powinien nawet zastanawiać się nad przekazaniem takiej zdrajczynie jak ty.

- To nie jest mój rząd, a ja nie jestem zdrajczynią. Jestem penetrującą agentką. To nie moja wina, że Brytyjczycy byli na tyle głupi, żeby mnie zatrudnić i awansować aż do stanowiska szefowej waszyngtońskiej placówki.

Gabriel ze znudzoną miną zerknął na zegarek.

- Graham wspominał, że chciałaś ze mną o czymś porozmawiać.

Zmarszczyła brwi.

- Rozczarowuje mnie pan, monsieur Allon. Czy naprawdę nie ma nic, o co chciałby mnie pan zapytać?

- Po co? I tak byś skłamała.

- Ale może warto spróbować? Chociaż raz - powiedziała prowokująco. - Albo dwa...

- Heathcliff - odezwał się Gabriel.

Wydeła usta.

- Biedny Heathcliff.

- Podejrzewam, że to ty go wydałaś.

- Oczywiście nie z nazwiska, bo go nie znałam. Ale Centrala zidentyfikowała go dzięki mojemu raportowi.

- I adresowi bezpiecznego mieszkania?

- To dostali bezpośrednio ode mnie.

- Kto ci dał ten adres?

- A jak sądzisz?

- Gdybym miał zgadywać - odrzekł Gabriel - to wskazałbym na Alistaira Hughesa.

Jej twarz pociemniała.

- Skąd wiedziałaś, że widywał się z lekarką w Szwajcarii?

- O tym też mi powiedział. Byłam jedyną osobą w Szóstce, której ufał.

- To wielki błąd.

- Błąd Alistaira, nie mój.

- Byliście kochankami?

- Przez dziewięć okropnych miesięcy. - Przewróciła oczami. -

W Bagdadzie.

- Sądzę, że Alistair wspominał to inaczej.

- Był we mnie zakochany. Głupiec. Naprawdę chciał zostawić Melinę.

- Z gustem się nie dyskutuje.

Nie odpowiedziała.

- Twoje zainteresowanie nim brało się z profesjonalnych powodów?

- Oczywiście.

- Moskwa zasugerowała ten romans?

- Prawdę mówiąc, to była moja inicjatywa.

- Dlaczego?

Długo i uporczywie patrzyła w jedną z kamer, jakby chciała przypomnieć Gabrielowi, że ich rozmowa jest nagrywana.

- Tego dnia, kiedy zmarł mój ojciec, Alistair i ja pracowaliśmy w brukselskiej placówce. Możesz sobie chyba wyobrazić, że byłam bardzo wytrącona z równowagi. Alistair jednak...

- Był zadowolony?

- Nie posiadał się z radości.

- I nigdy mu tego nie wybaczyłaś?

- Jak mogłabym mu to wybaczyć?

- Pewnie zauważyłaś tabletki, kiedy z nim sypiałaś.

- Trudno było nie zauważyć. Alistair w Bagdadzie był w rozsypce. A potem rozsypał się jeszcze bardziej, kiedy zerwałam ten romans.

- Ale pozostaliście przyjaciółmi?

- Konfidentami - poprawiła.

- I wtedy dowiedziałaś się, że potajemnie jeździ do Szwajcarii, nie mówiąc o tym Vauxhall Cross?

- Zachowałam tę informację na czarną godzinę.

- I czarna godzina nadeszła - zauważył Gabriel - gdy WuWu próbował zdezerterować w Nowym Jorku.

- Najczarniejsza.

- Dlatego powiedziałaś Saszy o Alistairze, a Sasza rozpoczął operację, której celem było sprawienie wrażenia, że twój dawny kochanek jest kretem.

- To rozwiązywało problem.

- Niezupełnie - odparł Gabriel. - Wiedziałaś, że zamierzali go zabić?

- To niebezpieczna zabawa, monsieur Allon. Wiesz chyba o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Wydział Brytyjski w Centrali Moskwa, pomyślał Gabriel, wkrótce znajdzie się kompetentnych rękach. Rebecca była bardziej bezlitosna niż oni. Miał jeszcze tysiąc innych pytań, ale nagle poczuł dojmującą chęć, by stąd wyjść. Rebecca Manning chyba to wyczuła. Zaczęła się niespokojnie wiercić i pocierać dłońmi o sztruksowe spodnie.

- Zastanawiałam się... - Brytyjski akcent wrócił. - Czy mogłabym cię o coś prosić. Ale nie chciałabym się narzucać.

- Już to zrobiłaś.

Zmarszczyła brwi z konsternacją.

- Masz pełne prawo ze mnie drwić, ale proszę, posłuchaj.

Gabriel lekko skinął głową.

- Moja matka...

- Tak?

- Jak się czuje?

- Od prawie czterdziestu lat mieszka sama w górach Andaluzji. Jak może się czuć, twoim zdaniem?

- A jej zdrowie?

- Ma problem z sercem.

- To częsta przypadłość u kobiet, które znały mojego ojca.

- U mężczyzn też.

- Wygląda na to, że przypadłeś jej do gustu.

- Nasze spotkanie nie było zbyt przyjemne.

- Ale powiedziała ci o...

- Tak. - Gabriel zerknął na jedną z kamer.

Rebecca znów potarła dłońią o spodnie.

- Z-z-zastanawiałam się - wyjąkała - czy mógłbyś jej coś ode mnie p-p-powiedzieć.

- Kilka minut temu podpisałem dokument, w którym zobowiązuję się między innymi, że nie będę przekazywał żadnych wiadomości na zewnątrz.

- Rząd brytyjski nie ma nad tobą władzy. Możesz zrobić, co zechcesz.

- Ale wolę tego nie robić. Poza tym - dodał Gabriel - SWR może dostarczyć twoją pocztę.

- Moja matka ich nie cierpi.

- Ma do tego prawo.

Zapadło milczenie, w którym słychać było tylko szum świetlówek. Ten szum denerwował Gabriela.

- Czy myślisz - spytała w końcu - że ona m-m-może... kiedy już zamieszka w Moskwie...

- Sama będziesz musiała ją o to zapytać.
- Ale pytam ciebie.
- Nie uważasz, że dosyć już wycierpiała?
- Obydwie cierpiałśmy.

Przez niego, pomyślał Gabriel.

Podniósł się gwałtownie. Rebecca też. Dłoń znów wystrzeliła spomiędzy krat. Gabriel zignorował ją, postukał kostkami palców o weneckie lustro i poczekał, aż strażnik otworzy drzwi.

- W Waszyngtonie popełniłeś jeden błąd - stwierdziła Rebecca, cofając rękę.

- Tylko jeden?
- Trzeba było mnie zastrzelić, kiedy miałeś szansę.
- Moja żona powiedziała mi to samo.
- Ma na imię Chiara. - Rebecca uśmiechnęła się chłodno zza prętów klatki. - Przekaż jej ode mnie pozdrowienia.

Kilka minut po drugiej samolot transportowy wylądował na lotnisku RAF Northolt na przedmieściach Londynu. Heathrow znajdowało się trzy mile na południe, co znaczyło, że jest jeszcze mnóstwo czasu, by złapać lot British Airways do Tel Awiwu o czwartej czterdzieści pięć. Przed lotem Gabriel wyjątkowo przyjął kieliszek z szampanem, uważając, że zasłużył sobie na to. Potem pomyślał o Rebecce Manning w klatce, Alistairze Hughesie w trumnie oraz Konstantinie Kirowie na pokrytej śniegiem ulicy w Wiedniu i oddał nietknięty kieliszek stewardowi. Gdy samolot pędził po pasie startowym, o okno obok Gabriela dudnił deszcz jak krew płynąca w żyłach. Wszyscy tracą, pomyślał, patrząc, jak w dole kurczy się Anglia. Wszyscy oprócz Rosjan.

Zahara, Hiszpania

Wymiana odbyła się sześć tygodni później na płycie starego opuszczonego lotniska na wschodnich krańcach Polski. Stały na niej dwa samoloty, suchoj Aerofłotu i airbus wycarterowany od British Airways. W południe dwunastu wychudzonych po pobycie w więzieniu mężczyzn, cennych zdobyczy brytyjskich i amerykańskich służb wywiadowczych, zeszło po schodkach suchoja. Idąc radośnie przez płytę w stronę airbusa, minęli tylko jedną kobietę, która posępnie zmierzała w przeciwnym kierunku. Nie było kamer ani reporterów, którzy mogliby uwiecznić to wydarzenie, tylko dwóch wyższych rangą oficerów polskich tajnych służb, którzy pilnowali, by wszystko odbyło się zgodnie z zasadami. Kobieta minęła ich bez słowa, ze spuszczonym wzrokiem, i zajęła miejsce na pokładzie suchoja. Samolot ruszył, zanim zamknęły się drzwi kabiny, i o dwunastej piętnaście wszedł w przestrzeń powietrzną przyjaznej Białorusi, zmierzając w kierunku Moskwy.

Minął jeszcze tydzień, zanim opinia publiczna została poinformowana o tej wymianie, ale i wówczas powiedziano bardzo niewiele. Zapewniono tylko, że tych dwunastu mężczyzn dostarczyło bezcennych wiadomości o nowej Rosji, toteż walczyli o swoją cenę. W Ameryce zapanowało oburzenie, ale Londyn zareagował zaciśniętymi ustami i atmosferą rezygnacji. Tak, to gorzka pigułka do przełknięcia, zgadzali się mandaryni z Whitehall, ale zapewne tak jest najlepiej. Jedynym jaśniejszym punktem był artykuł w „Telegraphie”, w którym napisano, że

wymiana doszła do skutku, mimo że Rosjanie chcieli dwóch więźniów, a nie jednego.

- W każdym razie jest ktoś, kto ma dość charakteru, żeby się przed nimi nie ugiąć - mruknął emerytowany brytyjski szpieg tego wieczoru w Travellers Club. - Szkoda tylko, że to nie byliśmy my.

Rosjanie czekali jeszcze miesiąc, zanim wystawili swoją zdobycz na widok publiczny. Było to w godzinnym programie dokumentalnym w rosyjskiej telewizji kontrolowanej przez Kreml. Po programie nastąpiła konferencja prasowa, którą prowadził Car we własnej osobie. Kobieta wychwalała jego zalety, wynosiła pod niebiosa odzyskanie przez Rosję pod jego przywództwem statusu mocarstwa światowego oraz atakowała Brytyjczyków i Amerykanów, których tajemnice odkrywała z wielką radością. Żałowała tylko tego, że nie udało jej się zostać dyrektorem generalnym MI6 i w ten sposób ukoronować swojej misji.

- Jak się pani podoba w Rosji? - zapytał jeden z członków uległego kremlowskiego korpusu prasowego.

- Bardzo mi się podoba - odrzekła.

- A czy może pani nam powiedzieć, gdzie pani mieszka?

- Nie - odparł surowo Car w jej imieniu. - Nie może.

W *pueblo blanco* Zahara na wzgórzach Andaluzji moskiewskie wydarzenie stało się okazją do krótkiego świętowania, w każdym razie przez członków antyimigranckiej i antynatowskiej skrajnej prawicy. Kreml znów stał się mekką, w stronę której zwracał się pewien typ Europejczyków. W dwudziestym wieku był gwiazdą przewodnią lewicy, a teraz perwersyjnie to skrajna prawica podążała po linii wyznaczonej

przez Moskwę; polityczni brutale drwili z Charlotte Bettencourt każdego popołudnia, gdy szła uliczkami wioski. Gdyby tylko znali prawdę, myślała. Gdyby...

Nikogo nie dziwiło, że śledziła sprawę Brytyjki, która była szpiegiem, uważniej niż większość ludzi w wiosce. Konferencja prasowa Kremla stanowiła spektakl, nie dało się nazwać tego inaczej. Rebecca siedziała na podwyższeniu jak rzadki gatunek zwierzęcia pod szklanym kloszem, a Car obok niej z szerokim uśmiechem chełpił się swoim ostatnim triumfem nad Zachodem. Kogo on chciał oszukać tą swoją wykrochmaloną i wyprasowaną twarzą? Prawdziwi faszyci, myślała Charlotte, nie używają botoksu. Rebecca wyglądała przy nim na wyniszczoną. Charlotte była wstrząśnięta jej wyglądem i tym, jak bardzo jej córka przypomina Kima. Nawet znów zaczęła się jąkać. To cud, na który nikt inny nie zwrócił uwagi.

Ale Rebecca znikła z widoku jeszcze szybciej, niż się pojawiła. Izraelscy goście Charlotte wkrótce potem również opuścili Andaluzję. Po raz ostatni przetrzasnęli willę, szukając wśród jej pamiątek jakichkolwiek pozostałości po Rebecce i Kimie. Zabrali ostatnie fotografie z Bejrutu i mimo jej sprzeciwów, również jedyną kopię „Innej kobiety”. Zdawało się, że jej krótka kariera literacka skończyła się, jeszcze zanim się zaczęła.

Nastał już koniec czerwca i wioskę zalali spoceni, poparzeni słońcem turyści. Osamotniona Charlotte znów wróciła do dawnej rutyny, bo tylko to jej pozostało. Nie wolno jej było spisywać wspomnień, toteż postanowiła opisać swoją historię jako powieść z kluczem. Przeniosła miejsce akcji z Bejrutu do Tangeru, Charlotte stała się Amelią, wrażliwą córką kolaboranta, francuskiego administratora w koloniach, a Kima przedstawiła jako Rowe'a, olśniewającego, choć cokolwiek

cynicznego brytyjskiego dyplomatę, w którym Amelia odkryła rosyjskiego szpiega. Ale jak ta powieść miała się zakończyć? Obrazem samotnej kobiety siedzącej w opustoszałej willi i czekającej na wiadomość od córki, którą kiedyś porzuciła? Kto by uwierzył w taką historię?

Spaliła manuskrypt w końcu października, używając go jako rozpałki, żeby po raz pierwszy napalić jesienią w kominku, i zaczęła czytać zakłamaną autobiografię Kima. O okresie spędzonym w Bejrucie napisał tylko pięć niejasnych, nieszczerych akapitów. „Moje doświadczenia na Bliskim Wschodzie od roku 1956 do 1963 niełatwo jest opisać...” Może jej doświadczenia też, pomyślała. Potem spaliła również książkę Kima.

Tego samego popołudnia szła przez promenadę w porywistym wietrze *leveche*, licząc kroki, i naraz uświadomiła sobie, że je liczy na głos. Z pewnością to oznacza, że w końcu zaczyna tracić zmysły. Zjadła lunch pod drzewami pomarańczowymi w barze Mirador.

- Widziała pani wiadomości z Palestyny? - zapytał kelner, gdy przyniósł jej kieliszek wina, ale Charlotte nie miała ochoty na antysyjonistyczne polemiki. Prawdę mówiąc, zmieniła zdanie o Izraelczykach. Uznała, że Kim mylił się co do nich. Ale Kim mylił się niemal w każdej sprawie.

W drodze do kawiarni kupiła wczorajsze wydanie „Le Monde”, ale wiał tak silny wiatr, że nie dała rady czytać. Opuściła gazetę i zauważyła niskiego człowieka w okularach, który siedział samotnie przy sąsiednim stoliku. Wydawał się bardzo zmieniony, mimo to Charlotte od razu go poznała: to był milczący przyjaciel Rosenkrantza i Guildensterna, ten chłopak na posyłki, który towarzyszył jej w Sewilli, gdzie wyznała swoje

ukryte grzechy. Ale po co wrócił do Zahary? I dlaczego teraz?

Nerwowo zastanawiała się nad przyczynami jego przyjazdu, gdy każde z nich jadło skromny lunch. Starannie unikali patrzenia na siebie. Izraelczyk zjadł pierwszy i wychodząc, położył pocztówkę na stoliku Charlotte. Zrobił to tak niespostrzeżenie, że zauważyła ją dopiero po chwili i ostrożnie wsunęła pod półmisek, by wiatr jej nie porwał. Po jednej stronie znajdował się oczywiście widok domów pomalowanych na biało, po drugiej kilka słów skreślonych po francusku pięknym charakterem pisma.

Charlotte spokojnie dopiła wino i gdy dostała rachunek, zostawiła dwukrotność tej sumy. Światło na placu raziło w oczy. Od drzwi kościoła dzieliły ją dwadzieścia dwa kroki.

- Tak myślałam, że to będzie pan.

Uśmiechnął się. Stał przed świecami wotywnymi, patrząc w górę na rzeźbę Madonny z Dzieciątkiem. Charlotte rozejrzała się po nawie. Była pusta, jeśli nie liczyć kilku ochroniarzy.

- Widzę, że przyprowadził pan z sobą orszak.

- Nie potrafię się ich pozbyć, choćbym nie wiem jak próbował
- odrzekł.

- To chyba dobrze. Rosjanie na pewno są na pana wściekli.

- Przeważnie są na mnie wściekli.

Uśmiechnęła się mimo zdenerwowania.

- Czy miał pan coś wspólnego z decyzją, żeby odesłać ją do Moskwy?

- Prawdę mówiąc, robiłem, co mogłem, żeby temu zapobiec.

- Jest pan mściwy z natury?

- Wolę myśleć, że jestem pragmatyczny.

- A co pragmatyzm ma z tym wszystkim wspólnego?

- Ona jest niebezpieczna. Zachodni świat pożałuje tej decyzji.
- Trudno mi myśleć o niej w taki sposób. Dla mnie zawsze będzie dziewczynką, jaką była w Paryżu.

- Bardzo się zmieniła.

- Naprawdę? Nie jestem taka pewna. - Popatrzyła na niego. Nawet w czerwonym blasku świec oczy miał zdumiewająco zielone. - Rozmawiał pan z nią?

- Dwa razy.

- Wspominała o mnie?

- Oczywiście.

Serce Charlotte zatrzepotało. Tabletki... Potrzebuje tabletki.

- Dlaczego nie próbowała się ze mną skontaktować?

- Bała się.

- Czego?

- Pani odpowiedzi.

Podniosła wzrok na rzeźbę.

- Monsieur Allon, jeśli ktokolwiek ma powody do obaw, to ja. To ja oddałam swoje dziecko i pozwoliłam, żeby Kim i Sasza zmienili ją w istotę, która siedziała obok Cara.

- To było dawno temu.

- Dla mnie tak, ale nie dla Rebekki. - Charlotte przeszła przez nawę do ołtarza. - Często bywał pan w katolickich kościołach?

- Częściej, niż może sobie pani wyobrazić.

- Czy wierzy pan w Boga, monsieur Allon?

- Czasami.

- Ja nie wierzę - powiedziała Charlotte, odwracając się plecami do niego - ale zawsze bardzo lubiłam kościoły. Najbardziej lubię zapach. Zapach kadzidła, woskowych świec. To zapach...

- Zapach czego, pani Bettencourt?

Nie odważyła się odpowiedzieć. Nie po tym, co zrobiła.

- Ile czasu minie, zanim się do mnie odezwie? - zapytała po chwili, ale gdy się odwróciła, była w pustym kościele sama. Wybaczenie, pomyślała, wychodząc na plac. To zapach wybaczenia.

NOTA AUTORA

„Inna kobieta” to powieść rozrywkowa i wyłącznie tak należy ją traktować. Nazwiska postaci, miejsca i zdarzenia przedstawione w książce powstały w wyobraźni autora albo też zostały wykorzystane bardzo swobodnie. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żywych czy zmarłych, firm, instytucji, wydarzeń i miejsc jest zupełnie przypadkowe.

Siedziba izraelskich służb wywiadowczych nie znajduje się już przy bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie, zdecydowałem się jednak zachować ten adres, po większej części dlatego, że nazwa tej ulicy podoba mi się znacznie bardziej niż obecna. Jak się dowiadujemy w „Innej kobiecie”, Gabriel Allon jest podobnego zdania. Nie muszę chyba dodawać, że on i jego rodzina nie mieszkają w niedużym budynku przy ulicy Narkiss w historycznej jerozolimskiej dzielnicy Nachlaot.

Ci czytelnicy, którzy często podróżują między Wiedniem a Bernem, niewątpliwie zauważyli, że zmieniłem rozkłady lotów i pociągów na potrzeby książki. Ogromnie przepraszam pracowników słynnego hotelu Schweizerhof za to, że umieściłem operację wywiadowczą w ich holu, ale, niestety, nie miałem wyjścia. W malowniczej szwajcarskiej wiosce Münchenbuchsee, gdzie urodził się Paul Klee, znajduje się prywatna klinika, ale nie nazywa się ona Privatlinik Schloss.

Szkoła szpiegów MI6 rzeczywiście mieści się w Fort Monckton w pobliżu pierwszego wjazdu i bramy klubu golfowego Gosport & Stokes, choć brytyjskie służby posiadają

również inne, bardziej odludne ośrodki szkoleniowe. O ile wiem, nie istnieje żaden bezpieczny dom na skraju Dartmoor znany jako Wormwood Cottage. Nie mam pojęcia, gdzie MI6 przechowuje swoje archiwa, ale wątpię, żeby był to magazyn w pobliżu lotniska Heathrow.

Odwiedzający dzielnicę Palisades w Waszyngtonie na próżno będą szukać belgijskiej restauracji Brussels Midi przy MacArthur Boulevard. Przy Wisconsin Avenue w Burleith jest Starbucks niedaleko Ambasady Rosji, ale nie ma już automatu telefonicznego na stacji Shella na rogu Ellicott Street. Służyć numer dziesięć na kanale Chesapeake & Ohio opisałem wiernie, podobnie jak, niestety, oficjalną rezydencję izraelskiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych.

Harold Adrian Russell Philby, lepiej znany jako Kim, rzeczywiście mieszkał w dużym jasnobrązowym budynku kolonialnym, który wciąż stoi przy Nebraska Avenue w Tenleytown. Krótka biografia Kima Philby'ego, która pojawia się w rozdziale czterdziestym pierwszym, jest prawdziwa oprócz dwóch ostatnich zdań. Philby nie mógł spotkać pracownika MI6 nazywającego się Arthur Seymour w dzień po swoim przyjeździe do Bejrutu, bo Arthur Seymour, podobnie jak jego syn Graham, nie istnieje. Nie istnieją również Charlotte Bettencourt i jej córka Rebecca Manning. Obydwie zostały stworzone przeze mnie i nie były inspirowane żadną osobą, jaką poznałem, badając życie Kima Philby'ego i jego działalność szpiegowską dla Moskwy.

To prawda, że Philby w swojej niewiarygodnej autobiografii „Moja cicha wojna” poświęcił tylko pięć akapitów latom spędzonym w Bejrucie. Uciekł stamtąd w styczniu 1963 roku, po tym, jak przyznał się swojemu staremu przyjacielowi

Nicholasowi Elliottowi, że jest sowieckim szpiegiem. Jest mało prawdopodobne, by wyznał kochance prawdę o swojej przeszłości, zanim wsiadł na pokład radzieckiego statku towarowego Dołmatowa. Według Jurija Modina, oficera prowadzącego z KGB, Philby nigdy nie zdradził żadnej z żon ani kochanek prawdy o swojej sekretnej pracy dla wywiadu rosyjskiego. „Nigdy nie mieliśmy z tym żadnego problemu”, pisał Modin w swoich wspomnieniach „Moja piątka z Cambridge”.

W Moskwie Philby ożenił się po raz czwarty i po kilku latach spędzonych w odosobnieniu z chęcią wziął udział w kilku projektach KGB. W większości jego praca miała charakter analityczny i pomocniczy, ale według Modina prowadził również działalność operacyjną, na przykład identyfikował agentów na zaprezentowanych mu fotografiach. Nie ma żadnych dowodów, które mogłyby sugerować, że brał udział w przygotowaniu penetrującego agenta - kreta. Ale nie ma również dowodów, które by sugerowały, że tego nie robił. Z mojego doświadczenia wynika, że wspomnienia szpiegów należy czytać ze sporą dozą rezerwy.

Latem 2007 roku, gdy przygotowywałem się do napisania powieści, która później otrzymała tytuł „Reguły Moskwy”, odwiedziłem prywatne muzeum KGB w jego budzącej strach dawnej siedzibie przy placu Łubianka. I tam, w szklanej gablocie, zobaczyłem niewielki ołtarzyk piątki z Cambridge czy też „wspaniałej piątki”, jak nazywało ich KGB. Zostali zrekrutowani, zaczynając od Philby’ego, zaledwie szesnaście lat po narodzinach Związku Radzieckiego, w okresie wielkiej paranoi w Moskwie, kiedy Stalin i jego przyboczni próbowali chronić swoją młodą rewolucję, po części wypowiadając

polityczną wojnę przeciwnikom na Zachodzie. NKWD, poprzednik KGB, określało ten program mianem „aktywnych środków”. Wachlarz tych środków rozciągał się od kampanii dezinformacyjnych w zachodnich mediach do politycznej przemocy i zamachów, a ich celem było osłabienie i ostateczne zniszczenie kapitalistycznego Zachodu.

Istnieją uderzające paralele między tamtymi czasami a obecnymi. Rosja pod rządami Władimira Putina znów stała się rewanżystowska i paranoidalna, co jest niebezpieczną kombinacją. Słaby ekonomicznie i demograficznie Putin używa swoich potężnych służb wywiadowczych i cyberwojowników dla zwielokrotnienia swoich mocy. Gdy Putin sieje polityczny chaos w Europie Zachodniej oraz próbuje zaburzyć i zdyskredytować amerykańskie wybory prezydenckie, po prostu sięga do starej książki sztuczek KGB i używa „aktywnych środków”.

Tak jak pierwsi sekretarze partyjni, którzy go poprzedzali, Władimir Putin często używa zabójstwa jako narzędzia polityki państwowej. Wystarczy popatrzeć na przypadek Siergieja Skripala, byłego agenta rosyjskiego wywiadu wojskowego pozyskanego przez MI6, który został otruty w swoim domu w Salisbury w Anglii 4 marca 2018 roku środkiem działającym na układ nerwowy, a pochodzącym z epoki sowieckiej i znanym jako nowiczok. W czasie, gdy to piszę, Skripal wciąż pozostaje w szpitalu w poważnym stanie. Jego trzydziestotrzyletnia córka Julia przez trzy tygodnie leżała nieprzytomna. O symptomach zatrucia doniosło również czterdzieści osiem innych osób, łącznie z policjantem, który trafił na oddział intensywnej terapii.

Atak na Siergieja Skripala wydarzył się dwanaście lat po tym, jak Aleksander Litwinienko, krytyk Putina mieszkający

w Londynie, został zabity filiżanką herbaty z polonem. W 2006 roku oficjalna reakcja Wielkiej Brytanii na użycie radioaktywnej broni na jej terenie ograniczyła się do pojedynczej prośby o wydalenie, którą Kreml radośnie zignorował. Jednak po próbie zamordowania Siergieja Skripala premier Theresa May wydalila dwudziestu trzech rosyjskich dyplomatów, a w jej ślady poszły Stany Zjednoczone, Kanada i czternastu innych członków Unii Europejskiej. Ponadto Stany Zjednoczone nałożyły sankcje ekonomiczne na siedmiu najbogatszych Rosjan i siedemnastu wysokich urzędników rządowych, po części jako karę za zakłócanie przez Rosję przebiegu wyborów prezydenckich 2016 roku. Władimir Putin, którego wielu obserwatorów uważa za najbogatszego człowieka na świecie, nie znalazł się na tej liście.

Analicyści do spraw bezpieczeństwa szacują, że mniej więcej dwie trzecie dyplomatów stacjonujących w typowej ambasadzie rosyjskiej w Europie Zachodniej to w istocie agenci wywiadu. Toteż jest mało prawdopodobne, by skromna rundka sankcji odwiodła Putina od jego obecnej ścieżki. I dlaczego miałyby się tak stać? Putin i putinizm maszerują naprzód. Silny przywódca i korporacyjne państwo – inaczej mówiąc, faszyzm – są w tej chwili na fali. Demokracja w zachodnim stylu i globalne instytucje, które doprowadziły do bezprecedensowego okresu pokoju w Europie, naraz przestały być modne.

„Testujcie bagnetami – radził Lenin. – Jeśli natraficie na maź, idźcie dalej; jeśli na stal, wycofajcie się”. Dotychczas Putin natrafiał tylko na maź. W latach trzydziestych XX wieku, kiedy świat obserwował podobny rozkwit rządów autorytarnych i dyktatur, wynikała z tego upokarzająca wojna, w wyniku której życie straciło ponad 60 milionów ludzi. Byłoby naiwnością

zakładać, że w XXI wieku flirt z faszyzmem obejdzie się bez konfliktu zbrojnego. Wystarczy popatrzeć na Syrię, gdzie oś złożona z Rosji, Hezbollahu, Irańskiej Gwardii Rewolucyjnej i milicji szyickiej z Iraku i Afganistanu przywróciła reżim Baszara el-Asada, najbliższego przyjaciela Kremla na Bliskim Wschodzie. Asad wielokrotnie używał broni chemicznej przeciwko własnemu narodowi z błogosławieństwem, a może nawet z pomocą Moskwy. Szacuje się, że w syryjskiej wojnie domowej zginęło dotychczas 400 tysięcy ludzi i na razie nie widać końca tego konfliktu. Putin testuje bagnetami i tylko stal może go powstrzymać.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować mojej żonie Jamie Gangel, która cierpliwie słuchała, gdy wymyślałem wątki i zwroty akcji „Innej kobiety”, a potem sprawnie wybrała sto stron ze sterty, którą eufemistycznie nazywam pierwszym szkicem. Mój dług wobec niej jest nieskończony, podobnie jak moja miłość.

Mój drogi przyjaciel Louis Toscano, autor „Triple Cross” i „Mary Bloom”, wprowadził niezliczone, większe i mniejsze, poprawki do książki, a moja obdarzona sokolim wzrokiem redaktorka Kathy Crosby dopilnowała, żeby książka wolna była od błędów typograficznych i gramatycznych. Za te, które przedarły się przez te zapory obronne, odpowiadam ja, a nie ona.

Jestem dozgonnie wdzięczny Davidowi Bullowi, który jest jednym z najlepszych konserwatorów sztuki na świecie, oraz wielkiemu Patrickowi Matthiesenowi z Matthiesen Gallery w Londynie, którego dowcip i urok ożywiały cykl powieści o Allonie od samego początku.

Żeby napisać powieść o szpiegu, który zajmował się swoim rzemiosłem w połowie dwudziestego wieku, musiałem przeprowadzić rozległe badania. Moja półka z książkami przypomina półkę Charlotte Bettencourt w Zaharze. Korzystałem ze wspomnień i spuścizny Jurija Modina, Rufiny Philby, Richarda Beestona, Phillipa Knightleya, Anthony’ego Boyle’a, Toma Bowera, Bena Macintyre, Anthony’ego Cave’a Browna, Patricka Seale’a i Maureen McConville.

Szczególne podziękowania kieruję do mojego superprawnika z Los Angeles Michaela Gendlera, a także do wielu przyjaciół i członków rodziny, którzy dostarczali mi bardzo potrzebnego śmiechu w krytycznych chwilach w ciągu roku, gdy pisałem tę książkę - Nancy Dubuc, Michael Kizilbash, Andy i Betsy Lack, Jeff Zucker, Elsa Walsh, Bob Woodward, Ron Meyer, Elena Nachmanoff.

Na koniec chciałbym podziękować moim dzieciom, Lily i Nicholasowi, które są dla mnie nieustającym źródłem miłości i inspiracji. Niedawno skończyli college i mają już własne życie. Trudno się chyba dziwić, że po tym, co widzieli w dzieciństwie, żadne z nich nie zdecydowało się zostać pisarzem.

[1] Mansfield Smith Cumming, pierwszy szef MI6, parafował dokumenty dużą literą „C”, używając zielonego atramentu. Zwyczaj ten przejęli jego następcy, określani później symbolicznie literą „C” (przyp. red.).

[2] Mazeł tow (jidysz) - gratulacje (przyp. red.).

Tytuł oryginału: *The Other Woman*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2018

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Joanna Morawska

© 2018 by Daniel Silva

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Projekt okładki: Will Staehle. Zdjęcie na okładce: copyright by Alexander Voskresensky/Shutterstock. Zdjęcie autora: copyright by Marco Grob

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327639905

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi S.A.